

TRYGVE GULBRANSEN

A LASY WIECZNIE
ŚPIEWAJĄ

A LASY WIECZNIE ŚPIEWAJĄ
TOM 1

Przełożył Henryk Goldmann

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Ostre kontury skał, wznoszące się ponad Jomfrudal¹, łagodniały w zapadającym mroku jesiennego wieczoru. W głębi, za ciemniejącą masą gór, niebo rozbłysło nagle i słońce zniknęło za horyzontem, pozostawiając za sobą krwawą lunę ogni. Na wyniosłym zrębie stał ciemny jak skała niedźwiedź. Węszył. Spoglądał w dół na nisko położone tereny, na zasnute mgłą jeziora i strumienie.

Niedźwiedź miał kanciastą głowę i długą, chudą, pokrytą cienkimi kłakami szyję. Od kilku lat dopiero późną jesienią układał się do snu zimowego. Wiele zwierząt padało jego ofiarą i żarł dużo, a mimo to czegoś mu brakowało. Uczucie sytości i błogiego odrętwienia, które ogarniało go zawsze w jesieni, nie chciało się jakoś pojawić. W tym roku zaś działo się z nim coś naprawdę niedobrego. Gdzieś w głębi jego cielska czaił się ból. Teraz nic mu już nie smakowało. Nie rozszarpywał swych ofiar z tą samą chciwością, co kiedyś. Większą część zabitych przez siebie zwierząt pozostawiał niemal nietkniętą. Ssał ciepłą krew, pożerał drgające jeszcze serce i inne lżejsze do strawienia kąski – i tym się nasycił.

¹

Dolina Dziewicy

Ciało jego stało się dziwnie ciężkie i prędko się teraz męczył. Nie miał już sił, aby tropić łośia po leśnych ostępach, a przy tym ów głuchy, czający się wewnątrz ból nie ustępował nawet na chwilę. Być może ból ten wstąpił weń owego dnia, kiedy jakiś człowiek z lasu björndalskiego oddał do niego strzał, który rozległ się straszliwym echem dokoła. Zdawało mu się, że sam piorun wbił się w jego ciało. Z rany lała się krew. Odtąd jakiś nieokreślony ból przypominał mu nieustannie o tym okropnym zdarzeniu. Niezdolny ścigać łośia, porywał teraz owce i zabijał krowy. Na domiar złego tej jesieni ludzie o wiele wcześniej spędzili bydło do wsi. Niejednokrotnie niedźwiedź był zmuszony skradać się w ciemnościach nocy aż do domostw, wyłamywać drzwi od obór i stajen, aby zdobyć krew i pożywienie. Ludzie z krzykiem i hałasem rzucali się za nim. Ale raz dosięgnął łapą jednego ze swych prześladowców. Człowiek nie podniósł się więcej. Od tego czasu pozostawiono niedźwiedzia w spokoju.

Tutaj, na otwartej równinie, ludzie i psy byli inni aniżeli na północy, w Björndal², gdzie przebywał za młodych lat. Psy w Björndal czekały tak głośno i uporczywie, że można było ogłuchnąć. Ludzie natomiast zachowywali się tak cicho i spokojnie, że dopiero kiedy byli już zupełnie blisko, zauważało się ich obecność. A wówczas rozlegał się straszliwy strzał, który przeszywał wnętrzości i druzgotał kości. Potem długo pozostawał ból. Tu, na otwartej równinie, psy chowały się ostrożnie za ludźmi. Robiły dużo wrzawy i hałasu, ale nie kęsały. Tutaj zatem pozostanie. W nocy zaś, gdy pogasną światła, będzie mógł wygodnie podkraść się do jakiejś stajni lub obory.

Czarny, groźnie odcinający się na tle czerwonego nieba niedźwiedź stał długo, nieruchomo. Miało się już ku nocy i niebo coraz bardziej ciemniało. Łeb niedźwiedzia był kanciasty, szyja wyciągnięta ku przodowi, na niej sterczały skołtunione kłaki; potężnie zbudowany tułów był teraz skurczony w sobie, pod futrem ostro wystawały łopatki.

Dawny człowiek – olbrzym – zabijaka...

Tego samego wieczoru ludzie z okolicy tłumnie podążyli na plebanię. Pan Diderich, pastor, sprawował władzę i opiekę w obrębie parafii, kiedy pułkownik von Gall z Borgland był, jak teraz, nieobecny.

Pan Diderich dopiero niedawno przybył w te strony. Ale pokazał już wszystkim, co potrafi. Umiał leczyć ludzi i zwierzęta, a o zdrowie moralne parafii dbał swym krasomówczym talentem. Powinien więc znaleźć radę i na niedźwiedzia, i na inne nieszczęścia.

Wielu uważało wieczorną czerwień nieba za oznakę zbliżającego się nieszczęścia. Ktoś nawet twierdził, że na tle czerwonego nieba ujrzał krwawy, płonący miecz. Potem i inni wmawiali sobie, że widzieli to samo.

Siedzieli w pokoju duchownego i rozprawiali o ciężkich czasach. Duszono im owce, zabijano krowy. Na długo przed właściwą porą spędzili z gór bydło. I wtedy stało się coś niesłychanego: drzwi stajen i obór zostały wyłamane i doszczętnie roztrzaskane, bydło poduszone; zaś do ocalałych zwierząt, szalonych z przerażenia, nie można się było nawet zbliżyć.

Per Velt, młody parobek z Björkland, otrzymał tak potężny cios w głowę, że jeszcze teraz leżał bezwładny, nie odzyskawszy przytomności.

To nie był zwykły niedźwiedź! To był potwór, jakiego jeszcze nikt nie widział. Olbrzymi, silny, chudy i kanciasty, miał zielone, błyszczące oczy. Na jednym boku – każdy to widział – była jasna plama. To był niedźwiedź nie z tego świata.

Czekali.

Pan Diderich kazał im czekać na siebie. Wiedział, czego chcieli od niego. Musiał się zastanowić, powinien przecież wystąpić stosownie do sytuacji.

W pokoju ucichło. Ludzie bladymi twarzami patrzyli bezradnie ku sobie. Jedni myśleli prawdopodobnie o krwawym mieczu na niebie jako zapowiedzi najgorszych nieszczęść, inni myśleli może o tym, że do domu przyjdzie im wracać po ciemku i że mogą być napadnięci przez potwora. Jeszcze inni czuli gniew do starego samotnika z Björkland, który spowodował, że musieli przyjść o tak późnej porze. Ale każdy obawiał się, że może właśnie w tej chwili potwór włamuje się do jego stajni i morduje mu zwierzęta.

Po cóż właściwie tutaj przybyli? Jakiej pomocy mogli oczekiwać? Ubiegłej niedzieli pastor modlił się z ambony do Pana, aby oszczędzał swoje owieczki i nie doświadczał ich ciężkimi próbami, a szczególnie, aby bronił je przed krwiożerczymi bestiami. Słowa modlitwy brzmiały w kościele jak grzmoty, lecz w dwa dni potem niedźwiedź włamał się do obory w Björkland. Co zatem mógł tu zdziałać pastor?

Uzbroili się w strzelby, niektórzy zabrali psy i ruszyli na obławę. Ale psy się bały, a strzelby były zardzewiałe; poza tym nikt nie zdobył się na strzał, gdy niedźwiedź odwrócił się ku nim. Doprawdy to wstyd, ale krzyżąc uciekli sromotnie, gdy zobaczyli, jak niedźwiedź jednym uderzeniem łapy powalił na ziemię Pera Velta.

Gdyby przynajmniej pułkownik był teraz w Borgland! To bardzo dzielny wojak, ale i on z pewnością nie chciałby zadzierać z takim zwierzem. Wdawać się w sprawy nie z tego świata to rzecz bardzo drażliwa.

Nareszcie zjawił się pan Diderich.

Wszyscy podnieśli się z szacunkiem, a człowiek z Björkland powiedział, o co chodzi. Pastor poprosił, aby zajęli swe miejsca. Wszyscy usiedli, a pastor wygłosił do nich kazanie, komentując słowo Boże dotyczące kary i poddania się temu, co nieuniknione.

Nie zbywało im na odwadze, a teraz resztki jej zaczęły ich opuszczać – owo „nieuniknione” może już gdzieś się na nich czai, czekając chwili, kiedy będą wracali w ciemności do domu.

Jedynym człowiekiem zdolnym odezwać się jeszcze po mowie pastora był skąpy, stary chłop z Björkland. Żądał on zemsty na niedźwiedziu za zaduszone owce i jałowkę, którą rozszarpał mu ów chciwy krwi potwór. Jemu też przyszła do głowy myśl, na jaką nie zdobyłby się żaden ze współtowarzyszy. Chrząknął i wtulił ostrożnie głowę w ramiona, bo wiedział, jaką reakcję wywoła jego propozycja. Jeżeli Bóg odmawia pomocy, pozostaje tylko jedno wyjście. Należy zobaczyć, czy Zły i jego pomocnicy, których ma tutaj na ziemi, mogą w istocie zdziałać to, czego nie potrafią inni.

Znów odchrząknął i wykrztusił:

– Jeżeli już nie ma lepszej rady, to należy chyba zwrócić się do ludzi z Björndal, do tych na północy, może ktoś z nich zechce pomóc.

Niektórzy wstali z udanym oburzeniem, inni zaś pochylili się, jak gdyby nie śmieli nikomu spojrzeć w oczy. Dla dumnych, pyszałkowatych chłopów była to przykra, bardzo przykra sytuacja. Oni, którzy pod każdym względem przewyższali tych leśnych włóczęgów z Björndal, mieliby zebrać pomocy u tej hołoty! Ale równocześnie widać było, jak wszyscy odetchnęli z ulgą, a gdy owe słowa zostały powiedziane. Najgorsze już minęło, złe słowo zostało wyrzeczone. Nikt nie miał odwagi się przeciwstawić.

Ale kogo wyprawić na północ? Nie wypadało posłać tam byle kogo, gdyż ta hołota z Björndal strasznie zadzieraa nosa. Każdy to widział, ilekroć spotykali ich na swej drodze lub gdy – co prawda z rzadka – pokazywali się w kościele.

Ciemny mur lasu oddzielał otwartą równinę od Björndal. Był to górski las, do którego od południa, jak daleko pamięć ludzka sięga, żaden chrześcijanin nie ważył się wstąpić. Droga do Björndal prowadziła przez ten las, ale co znajdowało się po tamtej stronie? Niewątpliwie był tam znowu las i chyba także niedźwiedź, z którym można się było zetknąć oko w oko na samym środku drogi. A ludzie stamtąd – zawsze tak wyniośli i tak powściągliwi w rozmowie, kiedy przychodzili tutaj – okazał się przy spotkaniu może jeszcze gorsi niż niedźwiedź. Tradycyjnie, z ojca na syna, ludzie na równinie utrzymywali złą opinię o leśnych ludziach z północy, tak że teraz, pod działaniem własnego uprzedzenia, bali się z nimi spotkać. Nikt nie chciał myśleć o tym, że mógłby zostać powołany do odbycia tej podróży. Nikt nie miał odwagi wymienić jakiegoś nazwiska. Ale ktoś musiał spełnić misję.

I znów pan Diderich okazał się prawdziwym ojcem parafii. Jeżeli znajdzie się ktoś, kto go zawiezie, jutro będzie gotów do drogi. Zdecydowano, że sam projektodawca będzie służył za przewodnika. I stary skąpiec z Björkland musiał się zgodzić.

Od dawien dawna równina miała swych stałych mieszkańców. Była to ziemia uprawna. Coraz więcej lasu wyrąbywano na wschód i na zachód. Najpierw ukazywały się z rzadka rozrzucone pólka i łąki, potem pojawiły się samotne gospodarstwa, a karczowiska zamieniały się w szerokie pola i pastwiska. Jedynie wzdłuż łożyska strumienia i pomiędzy domostwami pozostawiono trochę drzew jak gdyby na pamiątkę dawnych lasów, które tutaj królowały.

Dopiero daleko za płaszczyną pól, ku wschodowi i ku zachodowi, rozciągał się bór. Prawdziwy, śpiewający bór. Gaje leśne pozostawione w pobliżu najbardziej odległych domostw, służyły tylko do zaspokojenia potrzeb gospodarskich, wykorzystywano je na budulec lub na opał.

W dawnych czasach lasy znajdujące się daleko w głębi łądu nie posiadały wartości. W rozległym terenie chłop osiedlał się wśród pól i łąk, z trzodą zabezpieczoną w oborze. Nie przebiegał lasów w poszukiwaniu zwierzyny lub przygody – nie był przecież przestępcą. I tak zasięg ziemi uprawnej rozszerzał się coraz dalej na wschód i na zachód, zaś od strony południowej budowano coraz gęściej. Nowe osiedla parły coraz dalej na południe.

Jednak istnieje także północ. A na północ od otwartej równiny las pozostał nietknięty. Majestatyczny i ciemny, śpiewał swą starą baśń, niosąc ją poprzez górskie wzniesienia ku nieskończonym przestrzeniom północy.

W lesie mieszkaly trolle, czarownice i wszelkiego rodzaju upiory. Na otwartej równinie straszono dzieci lasem. Nic więc dziwnego, że dzieci wzrastały w przekonaniu, iż wszystko zło czyha na górze, w lesie. Ta trwoga przed lasem miała zresztą swoje uzasadnienie. Gdy niedźwiedź zstępował na dół na krwawe łowy – przychodził z lasów północy. Gdy jak za dawnych czasów wilki napadały ludzi – nadciągały one z gór i lasów położonych na północy. Gdy nad pastwiskami krążył orzeł i porywał jagnięta i inne pomniejszych stworzenia – przylatywał z północy. Chciwy łupu jastrząb, spadający na kurczęta, przybywał z północy. Gdy złodziej-lis skradał się po najtłustszą gęś – ślady jego prowadziły z północy. Gdy jesienią i zimą lodowata zamieć szalała nad pustymi polami i drogami – napędzał ją wichur z północy. Wszystko zło pochodziło z północy, z lasów.

Jednak ludzie chodzą różnymi ścieżkami. Mieszkańcy otwartej równiny nie mieli odwagi iść do lasu, ale na ich miejsce znaleźli się inni, wszędzie bowiem dotrze stopa ludzka. Więc też i w owych lasach żyli ludzie. Nikt w osiedlach nie wiedział, skąd przybyli, ze wschodu czy zachodu, i nikt nie wiedział kiedy. Musiało to być już dawno, dawno dawno temu. Z czasem tam na górze powstało osiedle i wtedy na drogach pomiędzy wioskami zaczęli się pokazywać jego mieszkańcy. Ale ludzie z lasu i ludzie z równiny nigdy się do siebie nie zbliżali, jedni do drugich się nie odzywali. Ci z równiny mijali ludzi z lasu z wysoko podniesionymi głowami, uważając ich za hołotę, za coś najpodlejszego i unikali zetknięcia z nimi w ciemnościach.

Tymczasem chłopci coraz częściej spotykali na swej drodze ludzi z północy. Musieli się do tego przyzwyczaić. Podobno kiedyś istniała droga przez las, która prowadziła do osiedli od strony zachodniej, ale ponieważ droga od południa była lepsza, tamta poszła w zapomnienie. Ludzie z północy przynosili ze sobą swoje towary, skóry i inne przedmioty, które sprzedawali na południu. Zdarzało się, że handlowali nawet w wysuniętych daleko na południe osiedlach, ale tutaj, wśród swoich sąsiadów – nigdy. Byli pomiędzy nimi mężczyźni ogromni i dumni, którzy z góry spoglądali na tutejszych chłopów. Prawdopodobnie także z tego powodu chłopci spoglądali na nich spode łba.

Z wolna, gdy ludzie z północy coraz więcej stykali się z mieszkańcami otwartej równiny, dowiadywano się czegoś o ich życiu na górze. Ale choć wreszcie przestano uważać ich za hołotę, bynajmniej ich nie szanowano. Byli przecież ludźmi stamtąd, zza lasu, pogardzano nimi tak jak i lasem. Nie traktowano ich jak chrześcijan, posądzano ich o czary, gwałt i wszelkiego rodzaju wybryki.

2

Rankiem po zebraniu na probostwie przejechał przez Borgland powóz, w którym siedziało dwóch mężczyzn. Powóz skręcił na północny zachód, okrążył ponure czeluście Doliny Dziewicy, przeciskając się pod ostrymi występami czarnych skał, po czym wjechał do lasu stanowiącego granicę Björndal.

Stary chłop z Björkland gorzko żałował całego przedsięwzięcia i żywił nadzieję, że pastor jeszcze się rozmyśli. Ale na plebani wczesnym rankiem otrzymano wiadomość, że tej właśnie nocy widziano niedźwiedzia w Bo, we wschodniej części parafii. Pastor był ogromnie rozgniewany i przynaglał, żeby jechać co koni wyskoczy. Niedawno przybył w te strony. Jakkolwiek dobrze już wiedział, jaką opinią cieszy się Björndal i jego mieszkańcy, nie bał się ich jeszcze w tym stopniu, co stali mieszkańcy równiny. W czasie jazdy obaj podróżni nie zamienili ze sobą ani słowa, uchylając się ciągle przed sterczącymi nisko występami skał w Dolinie Dziewicy.

W głębokich wąwozach przebywały niebezpieczne, wabiące sylfidy, a w ciemne wieczory dochodziły z dołu śpiewy i tony trącanych strun. Ludzie, którzy odważyli się iść tamtędy w nocy, nie wracali już nigdy. W szczelinach skalnych po drugiej stronie drogi mieszkwałytrolle i koboldy. Nocami dochodziły stamtąd jakieś dziwne głosy i hałasy.

Las górski graniczący z Björndal był ciemny. Olbrzymie drzewa szumiały głucho i groźnie. Podróżni zatrzymali się na skraju wysoko położonej polany. Ziemia załamywała się tutaj stromym stokiem w dół aż do osiedla björndalskiego. Stary chłop zatrzymał konie.

Patrzyli przed siebie oniemiałi. Blade promienie jesiennego słońca wyczarowywały widok tak piękny, że wszystko, co dotąd słyszeli o ciemnych i złych siłach, rozplynęło się w nicość. Pastor chrząknął, towarzyszący mu chłop milczał. Ruszyli w dalszą drogę. Zjeżdżali wciąż w dół, aż wreszcie dotarli do pierwszej z brzegu zagrody. Wjechali w obejście Hamarrbö.

Od niepamiętnych czasów najstarsi synowie osiadłego tutaj rodu nosili imię Ørnulf, dziś nazywano ich po prostu Ørn³. Zdarzało się, że dwóch, trzech, a nawet i czterech synów nosiło jednocześnie imię Ørn.

Przybyli z południa podróżni spotkali na podwórzu dziewczkę od krów i posłali ją do domu, żeby oznajmiła o ich przyjeździe. Sami tymczasem rozglądali się dokoła. Patrzyli na ciemne zabudowania o dachach porośniętych gęstą trawą, na wyłaniający się za nimi las i skały, które wznosiły się ku jasnemu niebu sine i pełne surowej dzikości. Wyglądały groźnie i ciężko, jak gdyby zamierzały zmiażdżyć sobą dom i ludzi.

Najstarszy Ørn, podpierając się kijem, wyszedł na próg domu. Pastor skinął na niego, ale stary Ørn Hamarrbö stał przed swoim domem i nieporuszony, nie podnosząc ani nogi, ani kija powiedział:

– A, to nasz pastor w objeździe?

Pastor zmarszczył czoło, wyjawiał jednak cel swojej podróży.

– Aha, łowców niedźwiedzi – powtórzył za nim starzec i wskazał kijem na północ, na wskroś doliny. – To Gammel-Bjørndal⁴ – dodał.

³ Orzeł

⁴ Stara Dolina Niedźwiedzi

Pastor spojrział we wskazanym kierunku. Wysoko ponad wsią w dolinie, niby osadzony na tronie, stał dwór wśród obszernych zabudowań, ciemnych jak sam las, oświetlanych jedynie chwilami odbłaskiem słońca w szybach okien. Pastor i chłop z Björkland słyszeli już o dworze, który nazywał się Gammel-Björndal, i uświadomili sobie niejasno, że z tym łączy się coś ogromnego. To stąd pochodzili owi wysokiego wzrostu mężczyźni, przewyższający wszystkich innych. Oni to jeździli owymi dzikimi, czarnymi końmi, które prześcigały wszystko na drodze. Coś wspaniałego było w tych ludziach, coś, co mieszkańcy równiny uznawali jedynie u najwybitniejszych w swoim własnym środowisku, ale czego nigdy nie przyznaliby ludziom z lasu. O ludziach z Björndal zawsze krążyły złe pogłoski: że dopuszczali się gwałtów, że mordowali.

To złe wyobrażenie zaczęło jednak pryskać, gdy zobaczyli przed sobą dwór i zabudowania. Tworzyły one obraz tchnący pewnością siły i spokoju – czegoś podobnego nigdy dotąd nie widzieli. Zrozumieli teraz, że ludzie stamtąd mieli prawo tak dumnie występować. Pastor i chłop uświadomili sobie jednocześnie, jak mało znaczyli tutaj razem ze swoim niedźwiedziem, i wstydzieli się złych plotek, których wysłuchiwali i które podawali dalej. Kierując się prawdopodobnie tymi uczuciami, pastor ponownie zwrócił się do starego Ørna z pytaniem, czy nie można by gdzie indziej znaleźć ludzi gotowych spotkać się z niedźwiedziem.

– O – stary wyciągnął to „o” bardzo długo – obcy muszą zgłosić się tam, we dworze.

Dwie rzeczy w tej odpowiedzi zwróciły uwagę pastora. Po pierwsze, że on, pastor, został nazwany obcym, po drugie, że informacja brzmiała jak zarządzenie administracyjne: obcy mają zgłosić się w Gammel-Björndal. Nie mieli więc nic więcej do powiedzenia. Pożegnali się i pojechali dalej.

Droga wiodła teraz w dół. Zagrody, które mijali w dolinie, wyglądały ubogo, ale było ich więcej, niż się spodziewali. Ludzie i zwierzęta ze zdziwieniem patrzyli za nimi. Tutaj dróg nie nawiedzały żadne niedźwiedzie, poza tym osiedle nie było zagrzebane w gęstwinie ciemnego lasu. Były tu widne, brzozone gaje, a między nimi pola i pastwiska, zaś pośród domów drzewa liściaste rzucające na nie cień w porze słońca.

W głowie pastora kielkowała pewna myśl. Słyszał kiedyś, iż jeden z jego poprzedników karmił surowo ludzi z lasu za to, że przychodzili z bronią na ramieniu do kościoła. Nie przystoi chrześcijaninowi – napominał – przychodzić do domu Bożego w uzbrojeniu. Od tej pory ludzie z lasu nie pojawiali się więcej w kościele. Przychodzili w wyjątkowych wypadkach, gdy trzeba było ochrzcić noworodka, kogoś pochować lub dopełnić ceremonii małżeństwa. Był to bunt przeciwko Kościołowi. Teraz pastor poznał źródło tego buntu i rzucał ponure spojrzenia ku dworowi na skraju lasu. Jednak gniew jego szybko minął. Chciał sądzić tych ludzi za to, że byli uzbrojeni, a przecież sam przybył, żeby prosić ich właśnie o zbrojną pomoc. Przed chwilą wydawało mu się, że będzie mógł wystąpić wobec nich z surową powagą, a tymczasem sam znalazł się w dwuznacznej sytuacji.

Droga przez dolinę była dłuższa, niż się spodziewali, a jazda pod górę uciążliwa. Gdy nareszcie dotarli na górę i jechali przez pola i łąki, nie chcieli wierzyć własnym oczom. Choć wszystko już zwieziono z pól, widać było, gdzie rosło zboże i len, gdzie zaś kwitły łąki. W każdym razie przybywali do osiadłych tu na stałe chrześcijan.

Zdumienie ich doszło chyba do szczytu, kiedy podróż się skończyła i powóz zatrzymał się na podwórzu. Podwórze to, jeszcze nie tak obszerne jak w późniejszych czasach, było dość okazałe, otoczone wielu masywnymi zabudowaniami. W tej chwili stało ciche, dziwnie ciche, jakby opuszczone. Prawdopodobnie była to pora posiłku. Lecz nawet zamilkły dom ma oczy. Na ganku ukazał się młody człowiek. Był to blondyn o spleśniałych od słońca włosach i jasnym, pięknym obliczu. Oczy jego, niezwykle niebieskie, miały ostre spojrzenie.

Pan Diderich był zaskoczony. Zwiedził już kawał świata, wiele poznał i wielu różnych ludzi spotkał w swoim życiu. Ten młodzieniec o ostrożnym, lekkim kroku, wysmukłej postaci i pięknej, wysoko podniesionej głowie ma w sobie coś z wielkich ludzi, bardzo wielkich ludzi.

Nie, nie myli się. To nie hołota.

Młody człowiek tymczasem przyglądał mu się badawczo i wyczekująco. Pastor skinął na niego. Taki już miał zwyczaj. Nigdy nie schodził z wozu, gdy objeżdżał parafię, chyba że w czyimś domu zagościła śmierć. Ludzie musieli wychodzić z domu i z uszanowaniem stać przed nim. Jedynie do starego, szlacheckiego dworu w Borgland, do którego należała ziemia na otwartej równinie, pastor wchodził ze skromnym uśmiechem na ustach.

Młodzieniec zbliżył się i stanął we wskazanym mu miejscu. Pastor chce pomówić z jego ojcem – bo niewątpliwie należy do rodziny?

Tak, należy. Odwrócił się i poszedł po ojca. Zaraz powrócił, ale sam. Ojciec prosi pastora do domu. Pan Diderich zaczerwienił się.

– Ja jestem tutaj pastorem i chcę z ojcem pomówić, może zechcesz mu to powtórzyć i powiedzieć, że mnie się spieszy.

Ale młodzieniec znów powrócił sam. Ma powiedzieć, że i pastor będzie mile widziany w domu. W słowach jego dźwięczał ostry ton. Pan Diderich podniósł brwi wysoko do góry. Kąciki jego ust drgały, gdy wysiadał. Wielkimi krokami przemierzył podwórze i wszedł za młodzieńcem do domu. Stary chłop z Björkland dreptał za nimi w milczącym zdumieniu.

3

Pastor i chłop weszli do ciemnego hallu. Na lewo i na prawo były drzwi. Młodzieniec otworzył drzwi po prawej stronie i poprowadził przybyłych przez jedną izbę do następnej. Twarz pastora przybrała inny wyraz. W nie było jakiej stali izbie. Ogromne belki podierały niski pułap, słupy ścian były potężnych rozmiarów, W dłuższej, południowej ścianie znajdowało się niskie okno o małych, ciemnych szybach. Słońce przepuszczało przez nie swe złote promienie. W północnym końcu ściany zachodniej wybudowana była nisza na drzwi. W południowym końcu znajdowało się drugie, takie samo okno. Było otwarte i światło dzienne padało ukośnie na stół. Leżała na nim Biblia i jakaś inna księga, obok stał kałamarz oraz pióra świeżo nacięte do pisania. Pastor musiał stwierdzić ponownie, że bynajmniej nie przybył do barbarzyńców. Podówczas niewiele jeszcze było dworów, w których umiano czytać Biblię i pisać. Wszystkie przedmioty tu były ciężkie, masywne i artystycznie rzeźbione. Na górze pod stropem połyskiwała w półmroku zimna stal rozwieszanej broni.

Pastor i chłop patrzyli na siebie w milczeniu. Potem otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł jakiś mężczyzna. Wszystko wskazywało na to, że był ojcem młodzieńca. Ale cerę miał ciemniejszą, a twarz jego była jak wykuta z żelaza, jak gdyby całe pokolenia uczyły ją sztuki nieokazywania żadnych uczuć: ani troski, ani radości. Surowe słowa, które pastor miał na końcu języka, pozostały nie wypowiedziane.

– Tu jest miejsce do siedzenia – powiedział ów mężczyzna, sadowiąc się pod ścianą, gdzie promienie słońca już nie docierały. Pastor usiadł, chłop z Björkland zrobił to samo.

Pan Diderich nie wyobrażał sobie, że wykonanie tej misji będzie takie trudne. Na widok tego opartego o ścianę człowieka myśli jego zatrzymywały się, słowa grzęzły w gardle.

Chmura przesłoniła słońce i w pokoju zrobiło się ciemno. Bynajmniej nie ułatwiło to pastelowi zadania. W tej wielkiej mrocznej komnacie odniósł wrażenie, jakby znalazł się w jakimś obcym świecie. Ale musiał jakoś zacząć, a gdy już zaczął, słowa same się dobierały. Opowiedział o wszystkim, co się stało na równinie, potem także o wizycie w Hamarrbö i o tym, jak skierowano go tutaj. Przychodzi teraz prosić o pomoc, zresztą także innych tutejszych ludzi, aby zapobiec dalszemu spustoszeniu.

Gospodarz na Björndal nazywał się Torgeir. Siedział teraz przed pastorem na ławie i uparcie milczał. Milczał, na przemówienie pastora nie odparł ani słowa. Więc pastor musiał mówić dalej. Zwrócił uwagę na to, że chrześcijanie powinni sobie pomagać w potrzebie, zaznaczył również, że ludzie z równiny chyba będą mogli przysłużyć się kiedyś ze swej strony, w złych czasach czy przy innej sposobności, ludziom z północy.

Torgeir Björndal podniósł powoli głowę i spojrzał na pastora:

– Nie potrzebujecie mi przypominać obowiązków chrześcijańskich – odpowiedział. – Dotychczas my z północy ani w złych czasach, ani w innej potrzebie nie zwracaliśmy się o pomoc do ludzi z południa. Myślę, że potrafimy sobie sami poradzić, tak jak to jest obowiązkiem człowieka.

Pan Diderich podniósł się i dał do zrozumienia, że zapłaci za jego trudy, jeżeli pójdzie z nimi. Nie wątpił, że propozycja jego wydawać się będzie bardzo nęcąca. Torgeir Björndal także się podniósł i obrócił ku oknu, jak gdyby chciał wyjrzieć przez nie. Lecz szyby były grube i matowe i służyły jedynie do przepuszczania światła, nic przez nie nie było widać. Torgeir obrócił się do pastora i powiedział:

– Sami mamy tutaj kilka niedźwiedzi, z którymi musimy się rozprawić. Nie potrzebujemy więc szukać ich po wioskach.

Wówczas pastor odrzucił całą swą godność i w imię Boże prosił pokornie o opiekę i pomoc. Opowiedział dokładnie o wszystkim, o ich wysiłkach i niepowodzeniu. Dał opis olbrzymiej, okrutnej bestii o zielonych, niesamowicie błyszczących ślepiach i o jasnej plamie na boku. Niedźwiedź był tak olbrzymi i groźny, że widokiem swym wprawiał wszystkich w śmiertelną trwogę.

Torgeir siedział teraz twarzą zwrócony ku oknu. Gdy pastor wspomniał o bladej plamie na boku niedźwiedzia, nagłym ruchem odwrócił się i przeszył go wzrokiem. Pan Diderich mimo woli cofnął się. Wzrok ten ugodził go jak stal. Torgeir Bjørndal długo patrzył na pastora, po czym powoli zwrócił oczy ku północnej ścianie. Wisiała tam strzelba na niedźwiedzie: błyszcząca i groźna, bez śladu rdzy. Wreszcie odwrócił się i utkwiał na długo wzrok w otwartym oknie zachodnim. Jesienne słońce siało blade promienie na zbocze odległej góry. Spojrzenie Torgeira jak gdyby straciło swą przenikliwość, ale rysy były jak z kamienia. Niczego nie można było wyczytać z tej twarzy. Zajął swe poprzednie miejsce przy oknie południowym, gdzie słońce znowu złociło szyby. Oparł łokcie na kolanach, zaciśnięte pięści podtrzymywały głowę. Pastor także usiadł. Nie miał odwagi mówić dalej, usiłował przypomnieć sobie, czy nie powiedział czegoś, co mogło tego człowieka rozgniewać. Torgeir Bjørndal nie zmienił pozycji, lecz coś drgnęło dookoła jego brody i ust i wreszcie przyszły słowa. Mówił jak gdyby do siebie samego, głos był ponury i ochrypły.

Ojciec mojego ojca umarł...

Zamilkł. Pastor zdziwiony patrzył na niego, a chłop z Bjørkland ukradkiem spozrywał w stronę drzwi, jak gdyby chciał się upewnić, że droga jest wolna.

– On umarł... – odezwał się znowu Torgeir. – Zabił go niedźwiedź.

Pastor zaczynał rozumieć i patrzył przed siebie z wyężoną uwagą. Stary chłop z Björkland pochylał się naprzód. I on wyężył słuch. Z podziwu otworzył usta.

– Mój ojciec umarł zabity przez niedźwiedzia.

Stary chłop z Björkland westchnął gęęboko. Pastor poczuł się bardzo mały.

– Miałem brata. On także spotkał się z niedźwiedziem i poniósł śmierć.

Torgeir zamilkł. Nie odzywał się przez dłuższy czas. Pastor siedział jakby skamieniały. Jego towarzysz patrzył przed siebie z otwartymi ustami; oczy jego były rozwarłe szeroko i nieruchome, aż łzy spływały mu po policzkach. Torgeir mówił teraz jeszcze ciszej:

– Miałem także trzech synów. Teraz mam tylko dwóch. Starszy ubiegłego roku poszedł na niedźwiedzia. Był jeszcze młodym chłopcem. Zabroniłem mu, ale on poszedł. Już nie wrócił.

Po każdym słowie zatrzymywał się. Ostatnie wyszło jak ciężkie westchnienie. To, co słyszeli, brzmiało w ich uszach jak baśń z innego, dalekiego świata. Mężczyzna przed nimi wyprostował się i obrócił ku otwartemu oknu:

– Mój dziadek zabił siedemnaście, przy ostatnim został. Znów pauza.

– Niedźwiedź miał na boku jasną plamę barwy gniadego konia...

Pastor wysoko podniósł brwi, ręce jego drżały nieco. Stary chłop siedzący za nim opuścił dolną wargę i ślina ciekła mu na brodę, a kolana się trzęsły. Torgeir Björndal mówił dalej ledwo dosłyszalnym głosem:

– Mój ojciec zabił siedemnaście, ostatni zadał mu śmierć. Miał na boku jasną plamę barwy gniadego konia.

Krzesło pod chłopem zatrzeszczało, a pastorowi aż dech zaparło.

– Mamy tutaj dwie skóry niedźwiedzie. Na każdej z nich przyniesiono do domu trupa.

Przy ostatnim słowie słońce raptownie zaszło: ponura ciemność wypełniła pokój. Torgeir wstał i spojrział w okno. Słowa jego brzmiały teraz mocno:

– Ja sam zabiłem szesnaście. Nie miałem zamiaru polować więcej. Ale jeżeli wasz niedźwiedź ma jasną plamę, to pochodzi z tych samych, które zabiły mojego ojca i mego dziada; więc pójdę jeszcze raz. Tam u was, na dole, kończą się już niedźwiedzie i być może ja... też.

Pastor powinien był coś powiedzieć, nie mógł jednak znaleźć słów. Nie był przygotowany na tak silne wrażenia. Torgeir dał im do zrozumienia, że mogą jechać do domu.

– Ja pojadę za wami – dorzucił. – Jeżeli pragniecie coś zjeść, zanim wyruszyacie w drogę, proszę, jedzenia jest dosyć.

Obaj podnieśli się i cicho opuścili pokój. Po tym, co usłyszeli, nie chciało im się jeść.

W drodze powrotnej nie wymienili ze sobą nawet jednego słowa. Także później z nikim na ten temat nie mówili.

Następnego dnia wczesnym rankiem na plebanię przybył jakiś mężczyzna z północy. O szerokich barach i długich nogach, szedł jak łoś – krokiem elastycznym, zdecydowanym. Głowę trzymał wysoko i prosto. Daszek niewielkiej czapki chronił mu oczy przed słońcem. Miał krótką obcisłą kurtkę, spod której widać było kamizelkę z garbowanej skóry, spodnie do kolan sznurowane, skórzane owijacze mocno ściągnięte dokoła łydek, buty miękkie, ale solidne. Przez jedno ramię był przewieszony na rzemieniu worek, przez drugie – strzelba. Na prawym biodrze miał przymocowany do pasa krótki, szeroki nóż w pochwie. Prowadził na smyczy dwa szare, o ostrej sierści psy.

Cały ten myśliwski ekwipunek był już mocno zużyty i zniszczony przez wędrowniki po lasach i połoninach. Nie robił wrażenia stroju paradnego, ale dookoła szyi i przegubów rąk koszula lśniła tak białą, jak tylko słońce może wybielić, zaś guziki u kamizelki błyszczały srebrem.

Był to Torgeir Björndal.

Zaskoczony pastor zapytał, czy przybywa sam.

– Nie – odparł Torgeir – mam ze sobą strzelbę i psy. – Twarz jego była jak z kamienia, zaś ton głosu taki, że pastor wstrzymał się od wszelkich dalszych uwag.

Torgeir pragnął się jeszcze dowiedzieć, czy od wczorajszej nocnej wizyty niedźwiedzia w Bo nie zdarzyło się nic nowego. Pastor odrzekł, że o niczym nie słyszał.

I Torgeir odszedł. Pastor długo patrzył za nim.

Po przeżyciu wielkiego strachu ludzie nabrali otuchy. Od zagrody do zagrody biegła wieść, że myśliwy wyruszył już w drogę. Dwaj wysłannicy, którzy udali się do ludzi z północy z prośbą o pomoc, nie opowiadali nic ani o tym, co widzieli, ani o tym, co słyszeli. Chłop z Björkland powiedział tylko tyle, że ludzie jeszcze bardziej utwierdzili się w przekonaniu, iż w niedźwiedziu siedział diabeł. To, że myśliwy poszedł sam, dowodziło niesłychanej odwagi. Musiały się w tym kryć jakieś czary.

W izbach i po różnych kątach stare baby w spódnicach i stare baby-mężczyźni opowiadali niestworzone rzeczy. Opowiadali o płonącym niebie i o krwawym mieczu, który ukazał się poprzedniego dnia, o zielonkawych, niesamowicie błyszczących oczach niedźwiedzia, błyszczących jadem i piekielnym światłem, wreszcie o jasnym piętnie na boku, które wystąpiło wtedy, gdy demon posiadał jego ciało. O myśliwym zaś, który odważył się wyruszyć zupełnie samotnie, opowiadali, że w worku nosi czary, a w strzelbie proch piekielny i że będzie strzelał kulami z poświęconego srebra.

4

W znacznej odległości od Bøa, na wschód od granicy, gdzie zaczyna się obszar innych gmin, las przechodzi w wielki, dziewiczy bór. Za nierównymi wzniesieniami teren opada gwałtownie ku rwącej i spienionej rzece, która toczy swe wody w przepastnej niemal głębi. Skały porasta gęstwina starych drzew i krzaków, które przesłaniają rzekę i przepaść.

Tego dnia, gdy Torgeir tropił niedźwiedzia, las nad przepaścią wyglądał tak jak zwykle. Ogromne głuszce przechadzały się beztrudnie po zielsku i zjadały się owocami lata: jagodami czarnymi, czerwonymi, niebieskimi. Ostre kopyta łośi pozostawiły głębokie ślady na mchu. Wysoko na tle bladego, jesiennego nieba zataczał kręgi orzeł, szeroko rozpościerając skrzydła. Biel słonecznego światła legła na wszystkich lasach.

Czy nie spadła tam z drzewa szyszka? Głuszcę hałaśliwie wzbili się w powietrze i jak strzała pomknął ponad przepaścią i zniknął.

Czy to nie trzask łamanej suchej gałęzi? Po kępkach wrzosu i płatach mchu przesuwiał się jakiś kanciasty cień. Przesuwiał się ku skalnym występom na krawędzi przepaści. Za tym cieniem toczyło się duże, ciemne zwierzę. Był to niedźwiedź o potężnych rozmiarach, ale chudy i powolny ze starości. Głowa zwisała na cienkiej, kudłatej szyi, pysk był na wpół otwarty. Węszył i nasłuchiwał szumu rzeki. Ciężkie łapy pozostawiały ślady z szerokim odstępem. Rozdeptywały jagody i rozpląszczały kępki wrzosu.

Czy to nie wiewiórka skoczyła z gałęzi? Niedźwiedź nagłym ruchem odwrócił się, po czym nasłuchiwał z przekrzywioną głową. Jego małe, błyszczące oczka patrzyły wstecz w kierunku, z którego przyszedł.

Ciche stąpanie, potem tupot łap szybko pędzących, zadyszanych zwierząt – i naraz wściekłe ujadanie przeszło ciszej.

Cóż to się dzieje ze starym, zgrzybiałym niedźwiedziem? Cóż to za potwór stoi na polanie, podnosi się i jak oszalały bije łapami w powietrzu? Puścił je w wir niby koło młyńskie pod rwącym strumieniem, a psy ujadły, wyły, odskakiwały do tyłu i z najeżoną sierścią i dzikim, skomleniem rzucały się znów do ataku. Wszystko zagłuszał ochryply ryk, wydobywający się ze spienionego pyska potwora.

Czy to piorun uderzył? Jednemu z psów udało się zatopić zęby głęboko w udzie niedźwiedzia, ale wtedy trafiło go uderzenie łapy. Zatoczyło koło w powietrzu i padł na ziemię z rozszarpanym brzuchem i wylewającymi się z rany wnętrzościami między te same drzewa, z których przed chwilą wyskoczył. Drugi pies widząc, że został sam, zatrzymał się na chwilę niepewnie, ale gdy niedźwiedź posunął się o kilka kroków bliżej ku przepaści, zaczął znów szczekać i rzucił się do walki.

Ruchy niedźwiedzia stały się spokojniejsze. Śledził bacznie każde poruszenie swego rozszalałego wroga. Za każdym razem, gdy pies podchodził bliżej, gotował się do zadania mu ciosu. Cios taki zdolny był zabić wołu. Ale pies dopadał i odskakiwał jak błyskawica.

Krok za krokiem niedźwiedź przesuwał się ku krawędzi przepaści. Znowu błyskawiczny atak. Niedźwiedź wymierzył cios. Nie trafił w środek ciała, musnęła jedynie przez grzbiet. Wystarczyło to w zupełności – szerokim łukiem pies runął w dół.

Niedźwiedź zdumiony rozglądał się dookoła. Czy to był koniec jego udręki? Ach, nie, zbyt dobrze pamięta. Pewnego razu, jeszcze za czasów swej młodości, spotkał się z takimi psami. Wówczas to ów grzmiący cios wgrzył mu się w bok. Teraz należało oczekiwać pojawienia się najniebezpieczniejszego ze zwierząt – człowieka z północy, z Björndal.

Chyłkiem jak czający się ryś przemknął na skraj jaru. Nie, ta rozpadlina prowadziła tylko na wielki blok skalny, a stamtąd nie wiodła już dalej żadna droga. Wciągnął się na krawędź z powrotem, przetoczył się przez zwalony pień jodły, skulił się i wpełzł w jamę tuż za drzewem. W tym momencie zeszywniał i znieruchomiał. Żył tylko jego błyszczące oczy. Spojrzenie pełne nienawiści i ogromnego strachu utkwiał tam, skąd przybiegły psy.

Człowiek wreszcie nadszedł. Nie przybywał z krzykiem i hałasem, tak jak to zwykle czynili ludzie z wiosek na równinie. Szedł pochylony, przyczajony jak lis w trawie lub ryś na gałęzi drzewa. Wyteżył wzrok, nastawił uszu, wietrzył. Najniebezpieczniejsze zwierzę na świecie.

Prawdopodobnie człowiek znalazł w lesie swego psa. Oczy szukały czegoś na ziemi. Szerokie ślady wskazywały, że był na właściwym tropie. Długi czas stał w miejscu, gdzie rozegrała się walka z psami. Trzymał w pogotowiu długi i niebezpieczny piorunujący pręt.

Niedźwiedź poczuł, że pali go całe ciało. Miejsce na udzie, ukąszone przez psa, bolało i piekło tak, że z ledwością mógł wysiedzieć. Gdzieś w głębi ciała szarpał go stary ból. Niedźwiedź szalał. Czego szuka tutaj ten człowiek, który potrafił zadawać tylko ból? Ach, jak dojmujący jest ten ból, jak bardzo pali świeża rana!

Człowiek podchodzi coraz bliżej, czujnie i cicho. Lekko ześliznął się do rozpadliny, w której niedźwiedź zostawił swoje pierwsze ślady. Teraz stanął na bloku skalnym tuż pod jego kryjówką.

Ból w ciele niedźwiedzia zamienił się w żrący ogień. Ukąszenie paliło, jak gdyby ranę rwały jeszcze psie zęby. Krew szumiała jak wodospad i uderzała do głowy. Stracił panowanie nad sobą. W porywie ślepej nienawiści jednym dzikim skokiem wypadł z kryjówki i rzucił się poprzez krawędź na mężczyznę stojącego na bloku skalnym.

Torgeir Bjørndal badał dokładnie spadzisty stok poniżej – może niedźwiedź tam się ukrywa? W ostatniej chwili spostrzegł nagłe niebezpieczeństwo i zdążył jeszcze odskoczyć do tyłu. To go uchroniło od zmiażdżenia. Ale strzelba spadła w dół do przepaści. Wszystko się skończyło.

Nie, jeszcze nie. Człowiek z północy, człowiek z Doliny Niedźwiedzi może okazać się niebezpieczny i bez strzelby. I tak się też stało. Torgeir Bjørndal, zwinniejszy od niedźwiedzia, skulił się, rzucił się na niego pochyłony jak byk i wbił głowę w szyję zwierzęcia. Naprężył ramiona i grzbiet w potężną kłamrę, przypierając łokciami z góry. W tej samej chwili niedźwiedź zamknął go w uścisku swoich łap.

Wszystko rozegrało się przez kilka mgnień, jednym tchem. Nad głową Torgeira rozlegał się wściekły ryk niedźwiedzia, a jego pazury szarpały mu plecy, rozdzierały ubranie, wrywały ciało z krwią. Torgeir przesunął ramię w dół, wy dobył nóż, odchylił się z całych sił do tyłu, przystawił go w miejscu, gdzie winno znajdować się serce, i wepchnąwszy ostrze, obrócił je. Po ciele niedźwiedzia przebiegł skurcz. Łapy zatopiły się głębiej w plecach Torgeira, i zwierzę, a z nim razem i człowiek runęli ciężko na ziemię.

Torgeir przebudził się. Leżał ściskając kurczowo w dłoni rękojeść noża. Druga ręka była zagłębiona w futrze na karku niedźwiedzia. Ostrożnie spojrzął w bok, na skałę. Czy żył jeszcze? Czy było to przebudzenie po śmierci?

Ale... chyba jeszcze żył! Widział, jak chwiały się żdzbla drzączki, a liliowe dzwoneczki wychylały ze szczelin swe jedwabne kielichy. Zupełnie jak za życia. Więc żył, a niedźwiedź był pokonany. Po twarzy przesunął mu się twardy uśmiech. Więc nie był mniej wart niż jego ojcowie. Nagle przeszył go zimny strach. Czy to tylko był ten niedźwiedź?

Usiłował się podnieść, lecz kręgosłup miał jakby złamany. Niepokojący chłód owładnął całym jego ciałem. Udało mu się obrócić tak, że widział teraz cały bok niedźwiedzia. Nie, bok nie był płowy! W oczach zamigotały mu gwiazdy. Spróbował ostrożnie obrócić głowę. Zimny dreszcz i niepokój paraliżowały mu ciało. Długo tak leżał, zanim odważył się spojrzeć na drugi bok zwierza. Powoli, z zamkniętymi oczyma, uniósł głowę, odpoczął chwilę, wyciągnął szyję i z wolna podniósł powieki. Szeroko rozwartymi oczyma wpatrywał się w bok niedźwiedzia – futro było w tym miejscu bladeżółte, barwy gniadego konia.

Kurczył się z bólu i z zimna. Lód obejmował całe ciało. Ale nie odrywał oczu od płowej plamy. Twardy, zimny uśmiech błąkał się na ustach. Naraz czerwień przesłoniła mu widzenie, płomienna, pełna blasku, a potem wszystko zapadło w ciemność, w noc.

Utykając, na trzech nogach, powoli zbliżał się pies. Czwarta była złamana i zwisła bezwładnie. Podróż powietrzna zaszkoziła biedakowi, był dotkliwie potłuczony. Ale węszył i obchodził dopóty, dopóki nie znalazł, czego szukał. Najpierw obszcekiwał trupa niedźwiedzia, po czym, zobaczywszy swego pana, zaskomlał ze szczęścia. Ale nic się nie poruszyło, ani pan, ani niedźwiedź. Skomląc, machając ogonem i poszczekując, kuśtykał dokoła. Wreszcie stanął jak wobec czegoś niepojętego. Po lesie rozległo się żalosne wycie.

Nazajutrz, gdy zaczęło świtać, biedny pies pokulał przez równinę i znikł na drodze prowadzącej do Björndal. Jeszcze tego samego dnia nadjechał wóz, na którym siedziało dwóch mężczyzn i pies. Czarny koń pędził szybko tą samą co zawsze drogą. Zatrzymali się chwilę przed probostwem i skręcili w stronę Bo. Tam wjechali na podwórze.

Obaj mężczyźni na wozie byli jeszcze prawie chłopcami. Jeden z nich smukły i szczupły, i jasny jak letni poranek; drugi starszy, mocniejszej budowy i ciemniejszy. Obaj byli wysokiego wzrostu i mieli śmiałe twarze. Pozostawwszy konia i wóz w pełnej gotowości, udali się z psem do lasu.

Gdy zapadł mrok wieczorny, widziano, jak obaj młodzieńcy schodzili na dół na równinę. Szli wolno jeden za drugim, pochyleni pod ciężarem czegoś, co nieśli. Wreszcie dotarli na podwórze w Bo i złożyli ostrożnie swój ciężar. Stary gospodarz nieśmiało i trwożnie przybliżył się do nich. Na ziemi leżała skóra niedźwiedzia. Przez łapy były przeciągnięte żerdzie tak, żeby mogła być użyta jako nosze. Futro było rzadkie, takie jakie mają stare niedźwiedzie. Z jednej strony widniała płowa plama. Na skórze spoczywały zwłoki myśliwego, który poprzedniego dnia wyruszył z Bo. Prawica jego zeszywniała ściskając kurczowo rękojęść krótkiego szerokiego noża. Ręka i ostrze były czarne od zakrzepłej krwi. Lewa dłoń zaciśnięta, pomiędzy palców wystawały kłaki niedźwiedziego futra. Oblicze było jak z kamienia, na ustach twarde uśmiech.

– Złe polowanie – odezwał się stary chłop z Bo, żeby tylko coś rzec. Młodzieńcy nie odpowiedzieli i opuścili wzrok ku ziemi. Chłop częstował ich jedzeniem. Potrzęsnęli przecząco głowami. Podnieśli nosze na wóz, odmawiając przyjęcia wszelkiej pomocy, i odjechali na północ.

Czy teraz na równinie spoglądano innym wzrokiem na ludzi z osiedla leśnego na północy? Należałoby tak przypuszczać. Niestety, ludzie na ogół są niewdzięczni, a mieszkańcy równiny bynajmniej nie byli lepsi. Zostali upokorzeni odwagą tego człowieka z północy, który nie wahał się oddać nawet życia po to, aby pokonać zwierzę, opętane przez diabła. Tak, u ludzi małostkowych wstyd budzi nienawiść. Niebawem zapomniano na równinie o odwadze, a z tego samego wstydu zrodziły się zawiść i oszczerstwa przeciwko wszystkiemu, co pochodziło z północy. Następne pokolenia opowiadały to zdarzenie z różnymi dodatkami. Tych z Björndal okrzyczano jako grabarzy zwierząt i grabarzy ludzi.

Taka jest wdzięczność świata.

5

Od czasu opisanych wyżej wydarzeń minęło wiele dni i wiele lat. Na równinie nie było już więcej wypadków z niedźwiedziami. Wprawdzie zdarzało się jeszcze, że latem znikła ta lub inna owca i że natrafiono na ślad niedźwiedzia, lecz bywało to coraz rzadziej.

Później ludzie z północy coraz częściej ukazywali się na drogach. Niekiedy ludzie z południa szli do tamtych na służbę, stąd też nareszcie dowiedziano się prawdy o życiu ludzi z Björndal.

Nauczono się rozróżniać, z jakiego folwarku pochodziły konie i ludzie. Koń o płowej grzywie pochodził z Hamarrbö. Gdy był czarny jak kruk i niespokojny, ludzie wstrzymywali oddech i wlepiali weń oczy. Był to koń z Gammel-Björndal. A właśnie najczęściej pokazywały się czarne konie. Nie ulegało wątpliwości, że Gammel-Björndal stawało się coraz większą i rosnącą w znaczenie posiadłością. Wystarczało to, by wzbudzić złe uczucia. Zazdrość jest niemal tak stara jak świat i w sercach ludzkich znajduje chętne przyjęcie.

Coraz częściej widywano te czarne konie, konie-demony, małe, lecz silne i szybkie, pędzące i na południe, i na północ na drodze pomiędzy wioskami. Czasami jechały przez dolinę ku miastu, gdzie zawsze pozostawały przez kilka dni. Wozy wyjeżdżały załadowane i wracały często tak samo pełne. Tak, ci z północy umieli się obracać. Zastanawiano się na równinie, co też tamci wozili do miasta, ale niewiele można się było dowiedzieć.

W czasie, kiedy dzięki owym transportom droga do miasta tak się ożywiła, na Björndal gospodarowało dwóch młodzieńców. Byli to ci sami, którzy owego pamiętnego dnia przywieźli swojego ojca z lasu na wschód od Bo. Poważni a zdolni zabrali się do dzieła z całym zapalem młodości. Starszy, Tore, miał właściwie decydujący głos w sprawach dotyczących zarządzania majątkiem, choć nie znaczyło to bynajmniej, by jasnowłosy Dag, który wyrósł na przystojnego mężczyznę, nie dorównywał bratu.

Wielki, barczysty Tore robił wrażenie człowieka silnego i nieugiętego. Miał ciemniejszą cerę i ciemniejsze włosy aniżeli Dag. Oczy jego były surowe i przenikliwe. Wykapany ojciec – mówili o nim ludzie.

Dag nie był tak szeroki w barach, ale również miał silną budowę, a przy tym był zwinny i zręczny. Miał jasną cerę i jasne włosy, zaś w ciemnoniebieskich oczach zawsze jaśniała radość. Starzy mówili, że tak piękny młodzieniec nie kroczył jeszcze po tej ziemi, i uważali, że jest podobny do ojca swego ojca.

To, co opowiadano sobie w parafii, było prawdą. Już wówczas Gammel-Björndal było zasobną posiadłością. Prawdopodobnie młodzieńcy nie gospodarowaliby tak dobrze, gdyby stary Ørn z Hamarrbö nie udzielał im swych rad. Przy jego pomocy przeżyli pierwsze, ciężkie lata, potem jednak radzili sobie sami.

Już od dawnych czasów wysyłano do miasta wozy naładowane skórą i innymi artykułami. Dobry towar, który przynosił ładne pieniądze. Wszelkie produkty mniej wartościowe, pochodzące tak z lasu, jak z gospodarstwa, sprzedawano w pobliżu, gdzie ceny były co prawda niższe, ale za to dogodniejsza komunikacja. Z biegiem lat nawiązali w mieście stosunki z wielkim domem kupieckim Holdera, który handlował bezpośrednio z zagranicznymi firmami i płacił najwyższe ceny za towar pierwszej jakości. Utrzymywali z nim stałe stosunki i nigdy się na nim nie zawiedli.

Tak było przez wiele lat. Raz jednak zwrócono im uwagę na to, że wszelkie inne produkty znajdują w mieście również dobry zbył i że będą mogli ponadto zaopatrzyć się we wszystko, cokolwiek tylko im będzie potrzebne. Odtąd jeździli z wszystkimi produktami do Holdera i przywozili od niego nie tylko potrzebny im towar, ale również dobry pieniądz. Wielki dom towarowy mógł wiele uczynić dla kogoś, kto mieszka daleko w głębi kraju. Wszystko kupował i dobrze płacił, udzielając równocześnie wskazówek, co mogłoby znaleźć w mieście dobry zbył, a czego ludzie ze wsi i z lasu mogli dostarczyć. Takim sposobem ludzie z Björndal mieli możliwość niejedno spieniężyć. Była to korzyść, o którą inni nie dbali.

Pewnego dnia, gdy Tore Björndal w drodze do miasta przejeżdżał koło folwarku Gistad, położonego wśród gospodarstw wysuniętych daleko na południe od szerokiej równiny, złamało mu się koło u wozu. Tore doznał uprzejmej pomocy ze strony właściciela gospodarstwa. Przy tej okazji między nim a rodziną gospodarza wywiązała się żywa i miła pogawędka. Od tego czasu Tore chętnie zatrzymywał się w Gistad w drodze do miasta. Wreszcie nie mógł już nawet przejechać, żeby nie przystanąć tam na chwilę odpoczynku. Wkrótce pomiędzy nim a córką gospodarza zawiązała się wzajemna sympatia, a zimą odbyło się wesele. Uroczystości weselne w Gistad trwały przez wiele dni, tak jak nakazywał obyczaj.

W jakiś czas potem starzy gospodarze z Gistad udali się do Björndal, aby zobaczyć, jak wiedzie się ich córce. Pogłoski, które krążyły na temat wielkiej zamożności björndalskiego dworu, zostały przez nich skwapliwie potwierdzone. Rodzice nie mieli bynajmniej powodu ukrywać, jak dobrze wyszła za mąż ich córka.

Ludzie z Björndal mieli sposobność dalszego spokrewniania się z chłopami z równiny – druga córka gospodarza wyszła za mąż za właściciela gospodarstwa w Böhle. Nikt z Björndal nie był obecny na weselu. Odbyło się ono zimą, po ślubie pierwszej córki, która właśnie spodziewała się potomstwa i nie mogła podróżować. Wszyscy pozostali więc w domu.

Wesele odbywało się w czasie świąt Bożego Narodzenia. Zaraz potem wydano przyjęcie powitalne w Böhle. Dag musiał pojechać, gdyż młoda pani i rodzina z Böhle przysłali gońca do Björndal z usilną prośbą, aby krewni z północy nie stronili od przyjęcia wydawanego na jej cześć. Po raz pierwszy oto zdarzyło się, że ludzie z Björndal zostali zaproszeni na uroczystość urządzaną przez mieszkańców równiny. Dag pojechał. Ale miał tego później gorzko żałować, gdyż wydarzyło się tam coś...

6

Każdy co ważniejszy mieszkaniec równiny uczestniczył w przyjęciu w Böhle. Starsi nie przyszli, gdyż miało to być przyjęcie dla młodych, z muzyką i tańcami. Jedzenia i picia było w bród, jak przystało w okresie świąt Bożego Narodzenia. Gdy rozpoczęły się tańce, młodzież była już podochocona. W czasie zabawy pito dalej.

To, czego Dag miał później gorzko żałować, stało się późną nocą. Przed weselem w Gistad Dag nigdy jeszcze nie tańczył, ale nie potrzebował wiele czasu, aby się tej sztuki nauczyć. Był nie tylko zręczny i muzykalny, ale po prostu stworzony do tańca. W Böhle tańczył dużo, i to z wieloma pannami. Okazało się, że jest jednym z najlepszych tancerzy. Nie wszystkim jednak podobało się, że dziewczęta tak często i chętnie tańczyły z tym leśnym chłopakiem z północy. Ba, dziewczęta wciąż oglądały się za nim, nawet gdy – miały innych partnerów. Podsyciło to dawną nienawiść. W pewnym momencie Dag poprosił do tańca dziewczynę, która siedziała z narzeczoną. Tańczył z nią już przedtem, ale teraz narzeczony sprzeciwił się i musiała odmówić. Ci, którzy to widzieli, śmiali się, a ktoś powiedział, że dziewczęta chcą mieć partnerów, którzy nie wypadają z taktu. Dag zrozumiał to jako przyczynę do niezręczności, jaka przydarzyła się jego bratu podczas własnego wesela w Gistad. Tore w ogóle nie umiał tańczyć i nie udał mu się wówczas ani jeden taniec.

Wielu śmiało się z tego dowcipu, a Dagowi nietrudno było zauważyć, że o niezręczności jego brata musiano sobie często opowiadać i że sobie z niego pokpiwano. Nigdy jeszcze nie opanowała go tak ślepa złość, jak tym razem. Nie chodziło mu już o to, że sam został zaczepiony, oburzało go to przede wszystkim, że przez cały rok drwili z jego brata z powodu takiej drobnostki, i myśl o tym doprowadzała go wprost do wściekłości.

Spojrzał ironicznie na osobnika, który wypowiedział te słowa, i zwrócił mu uwagę, że człowiek, który sam nie czuje się pewny na nogach, nie powinien zabierać głosu. Głos Daga drżał. Oczy rzucały stalowe blaski. Nikt z ludzi równiny nie miałby odwagi powiedzieć choć jednego słowa. Wiedzieli, że Dag aż pręży się od gniewu, a strach przed ludźmi z Björndal był w nich zakorzeniony. To, co o nich opowiadano i co sami stale powtarzali, nie było bynajmniej zachęcające. Jednak obok człowieka, który wyraził się tak nieopatrznie, siedział inny, obcy w tych stronach mężczyzna, należący do zaproszonych gości. Był ogromnego wzrostu, o niedźwiedzich łapach, szerokiej klatce piersiowej i potężnych barach. Człowiek ten podniósł się ciężko i radził Dagowi, żeby się pospieszył, jeżeli chce stąd wyjść cało! Dag odparł, że on sam zadecyduje o tym, czy ma zostać, czy też nie. Rzucalo się od razu w oczy, że obcy był przyzwyczajony do komenderowania. Zacerwienił się gwałtownie i wymierzył pięścią cios zdolny powalić wołu. Zwinny jak kuna Dag uchylił się zręcznie. Jednocześnie zaparł się i zadał błyskawiczne uderzenie.

Wszyscy zerwali się i utworzyli koło, zachowując jednak przyzwoitą odległość. Będą mogli stwierdzić teraz na własne oczy, czy istotnie ci z Björndal potrafią bić się tak, jak o tym głosiła fama. Ludzie z północy mieli wrodzony instynkt walki. Walczyli o życie i mienie z naturą, z dzikimi zwierzętami i z ludźmi. Walczyli tak już od wieków, byli tego nauczeni. Byстрыm okiem oceniali niebezpieczeństwo i nie tracili czasu na namysły. Działali jak piorun.

Dag Björndal bynajmniej nie odrodził się od swych przodków. Całą siłą swego młodego ciała, zwarłszy żelaznym napięciem mięśnie klatki piersiowej i wyteżywszy prawe ramię, posłał błyskawiczny, twardey cios w brodę obcego, tak że ciężki mężczyzna runął jak długi na ziemię. Nie był to słaby człowiek, szybko stanął znów na nogach. Ale natychmiast nastąpił drugi cios. Tym razem padł pod nim ciężko i już się nie poruszył. Otaczający ich ludzie byli jak oniemiała. Człowiek leżał na ziemi, a Dag skierował się ku drzwiom. Wtedy nagle jak szalejący wodospad wybuchła nienawiść ku tym z Björndal. Rozległy się obelżywe okrzyki, wołano: „leśny włóczęga” i „morderca”, a równocześnie liczne razy i kopnięcia posypały się na Daga. Atak nastąpił tak niespodziewanie, że Dag niemal upadł na ziemię; naraz przed oczyma błysnął mu nóż i poczuł ostry, piekący ból od skroni aż do ucha.

Zrobiło mu się czerwono w oczach i wszystko dokoła zawirowało. Odwrócił się szybkim, błyskawicznym ruchem i napał na gromadę. Żelaznym chwytem złapał pierwszego z brzegu człowieka i wywijając nim młyńca, kładł wszystkich, którzy stawali mu na drodze. W końcu rzucił trzymany człowiekiem jak workiem o ziemię i szybkimi krokami skierował się ku drzwiom. Wszyscy usuwali mu się z drogi. Wyszukał swoje sanie i konie, wsiadł i odjechał. Nikt nie śmiał go zatrzymać.

Świtało za ledwie, gdy Dag wszedł do ciemnego hallu w Björndal i osunął się na ławę przed kominkiem. Tore zbudzony dzwonkiem u sań, wyszedł do sieni w samej tylko koszuli, niosąc zapaloną świecę. Chciał dowiedzieć się od brata, jakie było przyjęcie. Zobaczywszy go jednak na ławie, uniósł światło do góry i wlepił w niego przerażony wzrok. Gdy Dag odwrócił ku niemu głowę, Tore musiał mocno ścisnąć świecę, gdyż byłby ją wypuścił z rąk. Twarz była blada i okrwawiona, ręce powalane skrzepłą czarną krwią, ubranie w strzępach.

Co się stało? Podszedł, postawił świecę na gzymsie kominka. Drżał – on, żelazny Tore; trochę z zimna, ale bardziej z podniecenia. Biłeś się? zapytał.

Dag podniósł się. I on drżał. Odwrócił twarz od światła i potwierdził – tak, bił się. Zachował się tak, że wszystko zło, o które posądzają ich tam na dole, tej jednej nocy potwierdziło się raz na zawsze. Tore poczuł się bardzo nieswojo. Dag opowiedział o całym zajściu. Tore przysunął się do niego bliżej. Jego potężne bary drgały, stawy palców trzeszczały, obrośnięte nogi przywarły do podłogi. Żyły, ścięgna i mięśnie drżały jak u zmęczonego konia.

– Chwyciłem jednego, który stał najbliżej – zakończył Dag – i wywijając nim dokoła zrobiłem sobie wolne przejście. Potem wyszedłem i pojechałem do domu.

Po tych ostatnich słowach Tore uspokoił się, lecz niemiłe uczucie jak gdyby zazdrości ścisnęło mu serce. Kiedy wreszcie nadarzyła się okazja, że można się było bić i zemścić na ludziach z równiny za ich złośliwe języki, on musiał leżeć w domu i chrapać, a jego piękny, jasnowłosy brat mógł załatwić sam wszystko to, czego sobie Tore, jego ojciec i wielu ich przodków tak gorąco życzyło. Ale sprawa jest już zakończona. Nawet tak dobrze, że nie było już czego poprawiać. Usta ściągnęły się twardym uśmiechem, spojrzął na brata z błyskiem zadowolenia w oczach.

– Nikt nie szedł za tobą, gdy wychodziłeś? – dopytywał się.

– Nie, nikt.

– I nie potrzebowałeś się spieszyć, aby bezpiecznie odjechać?

– Nie, nie spieszyłem się.

– I nikt nie miał odwagi odprowadzić leśnego włóczęgi? Gniew, który wstrząsnął nim tak gwałtownie, już Daga opuścił.

Mógł teraz zebrać myśli. Wcale nie były przyjemne. Ani wesołość, ani żarty brata nie osiągały go.

– Może tam kogoś przetrąciłem? – powiedział ponuro.

– Słaby przegrywa, mocny wygrywa – odparł Tore twardo.

– A może kogoś zabiłem? – powtórzył Dag. – Ten obcy upadł ciężko jak kłoda. I nie podniósł się. A ten, którego na końcu rzuciłem o ziemię, tak samo leżał bez ruchu.

– Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi – zauważył Tore, jakkolwiek trochę mniej zadowolony.

– Nieprzyjemna historia – ciągnął dalej Dag. – O ile dotąd nie było dobrze pochodzić z północy, to od dziś nie ma nic gorszego. Wszystko zaś tylko dlatego, że człowiek nie potrafi się opanować.

Tego już było Toremu za wiele. Głos jego brzmiał ostro:

– Chyba ci rozum z głowy wybili. Czy pamiętasz, żeby oni kiedykolwiek coś o nas dobrego powiedzieli? Zawsze robili z nas najgorszych. A teraz, jeszcze tej samej nocy, kiedy rzucali tobie prosto w twarz najzjadliwsze obelgi, masz skrupuły, że dałeś im taką odprawę? Jak bym ja na to zareagował? A ojciec, a wszyscy inni z naszego rodu? Ci ludzie dostali teraz prawdopodobnie taką nauczkę, że jej tak prędko nie zapomną. Za to, co się stało, sami ponoszą winę.

Tore zabierał się do odejścia. Odwrócił się jednak jeszcze raz i przyjrzał się bratu. Nigdy nie okazywał słabości i jeszcze nikt nie widział u niego łez wzruszenia. Teraz jednak oczy jego były wilgotne, a głos drżał:

– A przecież zachowałeś się jak mężczyzna. – Obdarzył brata ciepłym spojrzeniem. Nigdy nie wydał mu się tak piękny, jak teraz, gdy stał pokrwawiony, z potarganymi włosami i ubraniem podartym na strzępy.

Ludzie z rodu Björndalów mieli mściwe serca. Tore był nieodrodnym synem swego rodu. Dla niego było rzeczą wielkiej wagi, że Dag wyzwolił wreszcie starą, zadawnioną nienawiść rodu do mieszkańców równiny i zapłacił im za ich pogardę i szyderstwa. Dag pomścił swój ród. Tore odchodził z uśmiechem zimnego zadowolenia na ustach. Ale Dag patrzył na to inaczej. Mszcząc się, był nieubłagany jak jego brat, jednak miał znacznie szersze horyzonty myślenia. Tej nocy zaś nasunęło mu się niejedno.

W całej okolicy rozprawiano wiele o owym wydarzeniu w Böhle. Zarówno obcego, jak i młodzieńca, którym Dag rzucił o ziemię, musiano nieprzytomnych położyć do łóżek. Wprawdzie obcy już następnego dnia wstał, ale dolna część twarzy i oczy były tak zapuchnięte, że nie mógł się nigdzie pokazywać. Bardziej groźny był stan drugiego. Co prawda i on odzyskał przytomność, doznał jednak jakiegoś porażenia w plecach, cierpiał wielki ból i musiał leżeć w łóżku zupełnie nieruchomo. Można było spodziewać się śmierci.

Opowiadano sobie, że Dag chwycił za nóż i że jest mordercą, przed którym niech Bóg człowieka strzeże. Szczęściem pewien chłop z Böhle widział bijatykę na własne oczy. Był to jedyny ze starszych, obecny wówczas na miejscu. Zaświadczył, że Dag nie wyciągnął noża, i dodał, iż jest to najodważniejszy młodzieniec, jakiego zdarzyło mu się widzieć. Jednak mimo to, gdziekolwiek tylko ludzie zbierali się wieczorami na plotki, wymyślano jeszcze wiele innych oszczerczych zarzutów – wszystko dyktowała nienawiść.

Twierdzono też uparcie, że Dag wyciągnął nóż, że czarował, że trzyma z diabłem, bo przecież żaden chrześcijanin nie mógłby sobie dać rady z tyloma przeciwnikami naraz.

W trzy tygodnie po świętach Bożego Narodzenia do Björndal przyjechał urzędnik z policji wraz z pomocnikiem. Mieli ze sobą kajdany. Musieli jednak odjechać z niczym, gdyż Dag przebywał w lesie, a same plotki nie mogły stanowić dowodu rzeczowego, na którym można by się oprzeć. Kiedy urzędnik wystąpił z twierdzeniem, że Dag posługiwał się nożem, został wraz ze swoim pomocnikiem tak potraktowany przez Torego, że obaj byli szczęśliwi, gdy powrócili cało do domu.

Człowiek, którego Dag rzucił na ziemię, wyzdrowiał i nie wniesiono skargi o zabójstwo. Ale na równinie gadano dalej: ludzie z Björndal są gorsi od morderców. Powstają oni przeciwko królowi i władzy, nie boją się ani Boga, ani diabła.

7

Blizny po ranach odniesionych podczas uroczystości w Böhle pozostały Dagowi na całe życie. Trwałe ślady owego zajścia nosił na ciele i w duszy. Od czoła do ucha rysowała się głęboka szrama, na zawsze zachowało się też przykre wspomnienie. Początkowo, gdy obawiał się o życie owego człowieka, był tak przygnębiony, że nie chciał nikogo widywać. Nie mógł pogodzić się z tym, aby go nazywano mordercą. Toteż na wiadomość, że stan zdrowia rannego uległ poprawie, doznał uczucia takiej radości, jak jeszcze nigdy w życiu. Rychło zatarło się wspomnienie wizyty urzędnika policji i cała sprawa zaczęła tracić dla niego znaczenie. Mimo to nie widział już wszystkiego tak po prostu jak dawniej.

Pewnego dnia Dag przypiąwszy narty odjechał i przepadł na długi czas w lesie. Podówczas w lasach należących do Björndal grasowały jeszcze łaknące krwi wilki i nikt nie miał odwagi zapuszczać się zimową porą dalej niż do ostatnich domów osady. Ale Dag był człowiekiem innego pokroju. On był sam najgroźniejszym zwierzęciem lasów, ulubioną zaś jego bronią – topór. Przy spotkaniu z wilkami strzelba mogła w swym zasięgu uśmiercić tylko jedno zwierzę. Każdy cios topora natomiast był śmiertelny, gdy zaś trzon jego znajdował się w ręku Daga, wówczas śmierć pienią się na jego ostrzu. Sam pilnował kucia topora w kuźni. Musiał być tak wąski i długi, a głowica tak ciężka, jak sobie życzył. Własnoręcznie wykonał trzon, który obrabiał, poprawiał i wygładzał tak długo, aż nabrał kształtu i smukłości ściśle według jego wymogów. W Björndal znajdowało się jeszcze kilka zardzewiałych toporów wojennych z dawniejszych czasów. Na ich wzór był wykonany topór Daga. Wielokroć rozłupywał niedźwiedzie czaszki i wbijał się głęboko w grzbiety wilków. Nieraz krew czerniała na jego ostrzu i trzonie.

W lesie Dag nie polegał jednak wyłącznie na toporze. Do nóg miał przypięte narty swojej roboty. Były lekkie i krótkie stosownie do warunków na nierównym, pełnym skrętów i uskoków leśnym terenie. Umiał używać nart jak nikt inny. Jedyne ptaki leciały szybciej niż on – mawiali ludzie, którzy widzieli go w biegu.

Dag wybrał się dzisiaj ku zachodniej stronie lasu. Zatrzymał się na najwyższym szczycie skalistego wzniesienia, zwanego Elgkollen⁵, i podparłszy się kijkami, patrzył przed siebie. Zdjął czapkę, a jasne loki jego włosów lśniły jak złoto w czerwonym, zimnym blasku słońca. Blizna pod opaską na czole pulsowała. Oddech zamieniał się w białą parę. Było mu gorąco. Szybkim pędem wbiegał na stromo wznoszące się stoki, wymijał zręcznie drzewa i wystające korzenie, pochylał się zwinnie pod zwisającymi gałęziami, na otwartej przestrzeni parł przeciw silnie dmącemu wiatrowi, przy nagłym rozbiegu ugiął kolana, by lepiej brać łożyska strumieni i wądoły, błyskawicznymi zygzakami omijał głązy i pniaki, przelatywał nad pniami zwałonych drzew i zaznaczał w miękkim śniegu ślady swoich nart, mieszając je ze śladami zwierzęcych i ptasich łap. Czynił to wszystko bezwiednie. Zupełnie inne sprawy zaprzętały mu głowę.

Długo spoglądał w przestrzeń ponad lasami, ku bladoczerwonej tarczy słonecznej, prześwietlającej przez zimowe mgły, ale oczy jego nic nie widziały. Ciężkie, ponure myśli zasłaniały mu wszystko. Był już tak blisko jakiejś niepojętej sytuacji. Niewiele brakowało, a nazwano by go mordercą, zaś urzędnik policji zaprowadziłby go skutego w kajdanach do więzienia. Musi teraz sam siebie ująć w cugle, opanować namiętności i podziękować Bogu za ocalenie. Nie jego to zasługa, że sprawa tak szczęśliwie się zakończyła. Będzie się musiał wystrzegać wszelkich wybuchów. Ludzie ci byli nie dość wytrzymali, aby znosić gwałtowne traktowanie. Pochodzili ze słabej rasy.

⁵ Wzgórze Łosi

Ale wspomnienie owej okropnej nocy znów odżyło. Wiedział o kłamstwach i plotkach, które krążyły na temat Björndal i jego mieszkańców. Co innego jednak było słuchać o tym, a co innego znosić obelgi rzucające prosto w twarz i wbijane do głowy za pomocą kopnięć, pięści i noża. Jak przeraźliwy krzyk uderzyła weń nienawiść i zazdrość ludzi z doliny.

Do duszy jego wsączyła się trucizna. Na nienawiść tę odpowiedział owej nocy straszliwym, żywiołowym gniewem, a twarz skamieniała mu od złości. I oto teraz, ze wzrokiem wpatrzonym w obraz słońca na płomiennym niebie, ten jasny młodzian o pogodnej duszy i łagodnych, błyszczących oczach stał się zimnym i zamkniętym w sobie człowiekiem.

Wysłano po niego policjanta z kajdanami, chciano łącać go kołem. Nie mógł ich bić, gdyż słabe ich ciała nie wytrzymały jego rąw. Oczy ich puchły, a szczęki były tak kruche, że z ledwością mogły żuć kaszę. Cóż miał z takimi począć!

Nagle wyprostował się i spojrzął dumnie dookoła. Tak, wszystko przez zazdrość. Ci z równiny byli zazdrośni o dobrobyt w Björndal, zazdrośni o konie, o bogate ładunki zwożone do miasta. Zazdrośni o osiedle w lesie, które się tak rozrosło i rozwinęło, a które woleliby widzieć pogrążone w niedostatku i biedzie. Ci na równinie myśleli wyłącznie o dobytku i bogactwach i byli pewni siebie, ponieważ posiadali pola, bydło w oborach i stajniach, talary w skrzyniach i mogli się żywić zbożem, masłem i mięsem. Tymczasem tutaj na górze musiano mieszać zboże z korą drzewną, mięso dzielić, a masło spożywano jedynie w dni świąteczne. Zrozumiał teraz ich złośliwość. Zazdrościli im kęsa strawy w ustach, koszuli na grzbiecie, koni z saniami. Ludziom z Björndal nie mogli przebaczyć tego, że prowadzili mniej nędzne życie niż ludzie z lasu. Najchętniej widzieliby ich na kole tortur.

Tylko w jeden sposób mógł im za to odpłacić – nie miało sensu próbować swych sił na tych marnych kreaturach z równiny. Należało całą mocą swych możliwości i rozsądku starać się o powiększenie dobrobytu w Björndal. Niech patrzą, jak rosną tu bogactwa, i niech pękają ze złości.

Promienie słońca odbijały się czerwonożłotym blaskiem od jego silnej postaci.

Nigdy jeszcze Dag nie czuł się tak zdecydowany jak teraz. Wepchnąwszy czapkę do kieszeni, sprawdził najpierw, czy topór jest należycie zatknięty za pasem, potem poprawił przepaskę na czole, wyprostował się i wzniesając tumany śniegu dookoła, zjechał z powrotem... na odwet.

Słowa wędrują od człowieka do człowieka, do niewiast, do wszelkich gadatliwych istot. Słowa żyją i wędrują dalej, dopóki nie dotrą tam, gdzie wyrządzają zło. Tak poszła wieść z równiny do Hamarrbö i dalej do Björndal – wieść o wizycie urzędnika policji. Do uszu Torego dotarła wtedy, gdy Dag był w lesie.

Nigdy jeszcze Dag nie widział takiego gniewu u swego brata. Nie był zdolny wykrztusić słowa.

– Powinniśmy zaprząć sanie i zjechać w dół, na równinę – powiedział wreszcie Tore.

– Czego tam chcesz? – zapytał Dag, domyślając się jego zamiarów. Tore spojrział na niego dzikim i ponurym wzrokiem.

– Czego chcę? Jeździć od domu do domu i wypędzić tę szatańską złość z każdego z tych śmierdzących gadów. No, co ty na to?

– Sądzę, że powinniśmy się mieć na baczości – odparł spokojnie Dag.

– Mieć się na baczości! Nie uchronimy się od ich przeklętych kłamstw i złości, jeśli będziemy siedzieć w domu za piecem.

Dag zrozumiał grożące niebezpieczeństwo. Tore znajdował się teraz w takim nastroju, że mógłby na nic nie zważając pojechać na równinę i szaleć tam jak opętany. Pamiętał jeszcze z dziecięcych lat, że gdy Tore raz wpadł w złość, nie potrafił się pohamować. Musiał podsunąć mu coś, co by skierowało jego myśli w inną stronę.

– Zapominasz, że tym razem to, co nazywasz kłamstwem, jest właściwie prawdą.

Tore popatrzył na niego, otworzywszy szeroko usta.

– Czy człowiek ma być mordercą dlatego, że broni się własnymi rękami przeciwko zgrai zdziczałych napastników, którzy rzucają się nań jak sfora wilków? Czy naprawdę należy nazywać kogoś buntownikiem przeciwko władzy dlatego tylko, że trochę dosadnie tłumaczy swoją rację urzędnikowi policji, słuchającemu bezkrytycznie starych plotkarek?

Dag zawahał się chwilę i odparł:

– To, co mówisz, jest może słuszne i sprawiedliwe; jednak ja patrzę na to nieco inaczej. Nie moja to zasługa, że nie jestem mordercą, Tore. Gdyby ten człowiek umarł, wtedy policjant przyszedłby po mnie. Czy sądzisz, że poszedłbym za nim skuty w łańcuchy? Nigdy, Tore! Wówczas uczyniłbym to, co o nas mówią: zbuntowałbym się przeciwko królowi i władzy. Uciekłbym do lasu i chodziłbym drogami, po których nikt nie odważyłby się mnie ścigać. Tacy już jesteśmy.

Podniósł się. Oczy jego błyszczwały.

– Tym razem byliśmy o włos od nieszczęścia i dlatego powinniśmy się mieć na baczności i trzymać się raczej z dala od ludzi. Nie powinniśmy jednak zapominać przyczyny nieszczęścia, którego byliśmy już tak blisko: jest nią zawiść mieszkańców równiny! Złość ich pochodzi z zazdrości. Zazdroszczą nam tego, że nie jesteśmy tacy mali i pokorni, jakimi powinni być ludzie z lasu. Wybrałem się dziś do lasu, aby wszystko przemyśleć, i zastanowiłem się już, co należy uczynić. Powinniśmy wytrząsnąć z nich szatana albo też wpędzić im ich zazdrość tak głęboko, że się nią udławia. Nie może się to stać na poczekaniu, w ciągu jednej godziny czy jednego dnia. Na to jest inny, bardziej skuteczny sposób.

Tore musiał przyznać rację rozumowaniu brata. Zresztą był przyzwyczajony do tego, że Dag znajdował na wszystko najlepszą radę. Milczał więc i pozwolił mu się wypowiedzieć.

– Pokażemy im tam na równinie, że mamy prawo postępować i działać, jak nam się podoba – powiedział Dag. – Poszerzymy obszar naszych pól, zamienimy lasy w łąki, powiększymy nasz inwentarz. Nie poprzestaniemy na tym, co obecnie posiadamy, co nam przekazali nasi ojcowie. Pokażemy im, czego potrafią dokonać praw dziwi ludzie. Oto zadanie dla mężczyzny, równie dobre jak rozgromić słabeuszów i uczynić z nich kaleki. Baty sprawiają ból, który szybko przemija, gdy tymczasem to, co my mamy zamiar zrobić, będzie kłuć i palić, a z biegiem lat będzie dopiekać coraz głębiej i coraz dokuczliwiej.

Tore wydawał się niezupełnie zadowolony z wypowiedzi Daga.

– Śmielej i inaczej myślisz niż inni. Obawiam się, że nie przyjdzie nam tak łatwo przysporzyć bogactw. Nasi przodkowie ciężko praco wali, żeby zebrać to, co mamy dzisiaj, i nikt nie ma prawa twierdzić, że się nam źle dzieje.

Dag milczał ze wzrokiem wpatrzonym w przestrzeń. Był przyzwyczajony do tego, że Tore woli widzieć wszystko w dawnym stanie i porządku i że niechętnie patrzy na wszelkie innowacje. Jednak Dag za bardzo już zżył się ze swoim planem – był stanowczo zdecydowany go przeprowadzić.

– Jutro wyjeżdżam – rzekł.

– Jak to? Co? – Tore patrzył na niego zdumiony. – Co ty zamierzasz?

– Chcę pojechać do miasta i tam zostać.

Tore spojrzał szybko na twarz brata; była dziwnie blada. Zdjął go wielki, zimny strach. Dag musiał się tą sprawą przejąć więcej, niż mu się zdawało, a teraz gniewał się na niego za to, że nie spotkał się z oczekiwanym poparciem. I dlatego chciał pojechać do miasta i zostać tam...

Nie, nigdy – powiedział sobie Tore – nawet gdyby Dag na złość ludziom z równiny chciał wybudować własny kościół w Björndal, nigdy nie wolno im się pogniewać ze sobą. Co się z nim stanie, gdy Dag wyjedzie? Wprawdzie można było dalej żyć i jakoś przetrwać, ale z kim będzie rozmawiał i kogo się radził?

– Co chcesz robić w mieście? – zapytał drżącym głosem.

– Chcę się czegoś nauczyć – wyjaśnił mu Dag – chcę nauczyć się rachunków i prowadzenia ksiąg, w ogóle chcę skorzystać z możliwości wszelkiej nauki. Chcę się przekonać, jakich tam można spotkać ludzi, może usłyszę coś, co będziemy mogli zastosować z pożytkiem dla siebie. Kiedy powrócę, zabierzemy się do przeprowadzenia różnych zmian.

Oczy Torego zabłysły radością. Zgodził się chętnie na wszystko, co uplanował sobie brat.

Tore zajął się przygotowaniem do podróży gorliwiej niż sam Dag. Dag nieraz jeździł do miasta, tym razem jednak sposobiono się tak, jak gdyby wybierał się w o wiele dłuższą podróż. Tore uważał, że powinien otrzymać rzeczy jak najwspanialsze i jak najlepsze. Zarządził specjalne czyszczenie koni i uprząży, sań i futrzanych der. Tore dbał o wszystko. Gdy jednak przydźwigał worek napełniony talarami, które wystarczyłyby na podróż aż do Londynu, Dag wybuchnął dawnym serdecznym śmiechem, którego już od owej pamiętnej nocy nie słyszano.

Tore wtórował mu trochę swym na pół warczącym śmiechem, był jednak zdania, że nie powinien pogardzać pieniędzmi, zważywszy że przez długi czas będzie pozostawiony samemu sobie. Nauka będzie kosztowna, książki są drogie. Zresztą także inne rzeczy mogą okazać się potrzebne i pożądane. Wprawdzie mieli pieniądze w mieście na koncie u kupca Holdera, ale mają one procentować, nie należy więc ich ruszać. Stało na tym, że Dag zabierze pieniądze ze sobą. Co mu z nich pozostanie, wpłaci Holderowi.

Tore i Dag byli dobrymi przyjaciółmi – w każdej okoliczności życia.

8

Dag powrócił z miasta w okresie zasiewów wiosennych. Dużo widział, niejedno słyszał i mądra jego głowa nauczyła się wielu interesujących rzeczy.

Zaszła w nim wyraźna zmiana. Najbardziej odczuwał to Tore. Było w nim coś innego, coś nieuchwytnego. Wydawał się taki wytworny i obcy w swym nowym ubraniu i od czasu do czasu posługiwał się jakimś niezwykłym słowem. Lecz już trzeciego dnia Dag przebrał się w swój stary ubiór myśliwski i poszedł do lasu.

W mieście przywykł do nowych, obcych dźwięków – do turkotu kół, odgłosu kroków na wybrukowanych ulicach i gwaru rozmów. Tu w domu, w rodzinnych stronach, koła inaczej zgrzytały, ludzie ciszej chodzili, w Björndal zaś niewiele i rzadko mówiono. W mieście wszystkie dźwięki były głośnie i przenikliwe. Tak, w domu było inaczej; szczególnie zaś w lesie, gdzie panowała taka cisza. Odgłosy miasta jeszcze teraz tętniły mu w uszach. Był nimi zupełnie ogłuszony. Teraz, gdy znalazł się w lesie, odżyły w nim wszystkie zmysły. Uświadomił sobie tysiączne, najbardziej nikłe dźwięki lasu – tchnienie wiatru w jodłach, trzask gałązek, gwizd ptaków, odgłosy strumyków i wodospadów. Równocześnie trwała tak głęboka cisza, że słyszał bicie własnego serca. Teraz poczuł się znów u siebie i przyrzekł sobie, że już nigdy na tak długi czas nie wyjedzie.

Wieczorem po owej wędrówce po lesie rozmawiał z Torem. Usiedli w sieni przed kominkiem, każdy miał szklanę napelnioną mocnym napojem. Aby zejść się i wypić z okazji powrotu trzeba im było aż trzech dni. W Björndal każdy zawsze potrzebował dużo czasu, zanim zaczął się przed drugim wywnętrzać. Dag opowiadał o ludziach, z którymi spotkał się w mieście. Umiał obrazowo wszystko przedstawić. Był spostrzegawczy. Tore uważał, że wyjazd do miasta opłacał się chociażby ze względu na same te świetne relacje, zresztą nauka ani inne sprawy nie interesowały go w najmniejszym nawet stopniu.

Było późno, gdy Dag skończył opowiadanie. Przekazał wszystko, co wiedział. Nie! Jedną rzecz umyślnie zataił. Zrobił w mieście pewne głupstwo i teraz gniewało go to niepomierne.

Którógos wieczoru zaznajomił się z pewnym szyprem. Miał on starą broszkę, całą ze złota, cudownie rzeźbioną, którą nabył w Holandii. Dag kupił ją, lecz potem tego żałował. Do czego może mu się przydać złota broszka? Nie mógł przecież tłumaczyć się teraz przed bratem i powiedzieć mu, że wydał tyle talarów na bezużyteczny przedmiot.

W mieście od czasu do czasu bywał zapraszany do domu zamożnego kupca. W przeddzień swego wyjazdu otrzymał również zaproszenie. Najmłodsza córka kupca, Teresa, darzyła go swymi względami, zaś tym razem była w szczególnie wesołym nastroju. Ciągłe śmiała się i żartowała. Podarował jej broszkę jako podziękowanie za gościnę.

– Śliczna broszka, za śliczna, aby ją dawać w prezencie – powiedziała, zwracając mu ją.

Ale on położył ją na stole i oświadczył, że podarował jej tę broszkę i chciałby, aby ją wzięła – jeżeli zresztą można w ten sposób wyrazić swoją wdzięczność za gościnę, taka mała broszka bynajmniej nie stanowi za dużo. Przyjęła broszkę i jakoś szczególnie na nią popatrzyła.

Tak, panna Teresa zachowała się dziwnie. Może nie przystało darować wytwornej pannie tak drobnego klejnotu? Okoliczność ta musiała ujawnić istniejące między nimi różnice stanowiska i przynależności, ale on nic jeszcze nie rozumiał.

Naraz zrobiło mu się gorąco. Może panna myślała, że on się w niej podkochuje? I że dlatego ofiarował jej broszkę? Albo też uważa go za głupca, który sobie za dużo wmawia, sięgając tak wysoko. Dobrze, że nie przyszło mu to na myśl wtedy, gdy byli razem. Zapadłby się chyba pod ziemię ze wstydu.

Dag potrafił wykorzystać to, czego się w mieście nauczył. Trzeba było koniecznie prowadzić rachunki i zlikwidować zadawniony bałagan. Cała gmina tu na górze należała do Gammel-Björndal. Wszystko: budynki, chaty, gospodarstwa, dzierzawy we wsi oraz w lesie stanowiły część dworu.

Dotychczas każdy osiadły tutaj chłop był odpowiedzialny za to, co dzierżawił, i dzielił na równi z właścicielem wszelkie straty i zyski.

Od dawien dawna po osiedlu snuli się włóczędzy, a wędrowni kramarze chodzili od domostwa do domostwa i skupowali skóry i inne towary. Dawali w zamian bardzo mało, a poza tym zatrzymywali się, gdzie chcieli, i nic ich to nie kosztowało.

Teraz wszystko, co można było spieniężyć, musiano przynosić do dworu. W zamian za swój towar każdy otrzymywał albo zboże, albo taki towar, na jakim mu najbardziej zależało. W odpowiednim czasie wysyłano wszystko do miasta i tam sprzedawano.

Ludzie zaczęli wykorzystywać swój czas lepiej niż dotychczas. Chodzili częściej na polowania do lasu, z jezior i strumieni wylawiali więcej ryb, niż sami mogli zużytkować. Siali teraz więcej lnu; zwiększyła się liczba owiec, gdyż wełna nabrała wartości, a kobiety przędły i tkwały więcej, aniżeli trzeba było na pokrycie własnego zapotrzebowania.

Z biegiem lat pola i łąki zajmowały coraz większy obszar. Skutki tych przeobrażeń dały się odczuć tak w osiedlu, jak i w Björndal. Zdarzało się, że ludzie, którzy dawniej siedzieli bezczynnie w domu, przychodzili do Daga z prośbą o pozwolenie karczowania lasu. Otrzymywali nie tylko pozwolenie, ale i pomoc w postaci podwód i narzędzi. Zjawiali się więc coraz częściej w tej sprawie.

Tak oto dzięki radom, udzielanym ludziom przez Daga, zaczęło rozwijać się nowe życie. Wszystko udawało się o wiele lepiej, aniżeli śmiał przypuszczać.

Coraz częściej spotykano na drogach konie z północy – czarne z Björndal albo jasnogniade z Hamarrbö. Ludzie z Hamarrbö, cieszący się wielkim zaufaniem, jeździli do miasta wtedy, gdy Tore i Dag mieli inne sprawy do załatwienia.

Karę konie szły równo i spokojnie, jak długo znajdowały się w obrębie osiedla i lasu. Ale gdy tylko poczuły otwartą równinę, pędziły jak wichry i wpadały wszędzie jak ciemny, groźny siejący tuman.

Pewnej jesieni zbudowano nową drogę na równinie. Prowadziła ona do alei borglandzkiej na północ aż do skraju lasu. Państwo na Borgland chcieli w ten sposób zademonstrować, że bynajmniej nie zależy im na tym, aby owe dzikie konie pędziły przez ich tereny. Na Björndal powitano nową drogę z wielkim zadowoleniem. Dotychczas musieli korzystać z okrzężnej drogi wiodącej nad urwistymi stokami Doliny Dziewicy.

Z nadejściem jesieni zaczęli ściągać ludzie do wyrębu lasu, który tak długo trwał w ciszy i spokoju. Zawrzała tu teraz gorączkowa praca. Nie ścinano wszakże drzew na budulec dla nowych domów w okręgu ani na opał. Nie. Kierowano je do rzeki, która bierze swój początek na wyżynach północy. Spieniony jej nurt przewala się z hukiem przez progi wodospadów niedaleko Björndal, następnie toczy się między zabudowaniami, skręca na południe i przeciska się przez wąwóz, oddzielający las południowy od lasów wschodnich, aż połączywszy się z wielką rzeką, płynie dalej wśród innych lasów, w których mieszkają inni ludzie.

Tą oto drogą transportowano olbrzymy leśne z Björndal na cały świat, przede wszystkim jednak do Holandii i Londynu.

Myśl wyrębu drzew na sprzedaż została im podsunęta przez dom handlowy w mieście. Dokładny plan wyrębu ustalono w mieście, tam też podpisywano transakcję. Dag podjął się kierowania robotami w lesie, Tore zaś zajął się nadzorem prac we dworze oraz stawianiem nowych budynków dla pomieszczenia ludzi, żywego inwentarza i zbiorów.

Tore był zrazu przeciwny powiększeniu majątku, czego domagał się Dag, gdy jednak w końcu przystąpiono do robót, pracował gorliwie od świtu aż do późnego wieczora. Był niezmordowany.

Dawne pastwiska zostały teraz zamienione na ziemię uprawną, pastwiska zaś przesunięto głębiej w las. Karczowano go na polany, na których potem stawiano chaty. Nie było w tym nic nowego – to samo działo się kiedyś na równinie: lasy musiały ustąpić. Zachodziła tu jednak istotna różnica, bo na północy lasy ciągnęły się w nieskończoność, wobec której powierzchnia karczowisk zupełnie się nie liczyła.

Dag coraz więcej czasu spędzał w lasach. Jesienią i zimą nadzorował wyręb drzew i ich transport, w pozostałych porach roku polował. Rzadko można go było spotkać we dworze. Tore więc musiał nauczyć się od Daga prowadzenia ksiąg. Robił to dobrze i dokładnie. Dopilnowywał wszystkiego i na próżno wysiłały się ten, kto by go chciał oszukać. Nadzwyczaj skrupulatny, sam nigdy by nikogo nie oszukał.

Minęło kilka lat.

W porze letniej zielone pola dokoła dworu rozszerzały się coraz bardziej; coraz dalej też rozciągały się pola wokół osiedla.

Późną jesienią w lasach rozbrzmiewały uderzenia siekier, zimą ludzie i konie zajęci byli wywożeniem drzewa. Wiosną, gdy wody wzbierały, drzewo spływało w dół rzeki do miasta.

Coraz częściej biegły konie do miasta i z powrotem. Z każdym rokiem dwór przysparzał sobie bogactw i znaczenia.

Ale na niebie zbierały się chmury.

Żądza zemsty odnowiła się w sercach Torego i Daga. Równocześnie zaś z powodzeniem materialnym wzrastały w nich, niby złe ziele, pycha i arogancja. Uporczywe myśli o zemście krążyły nad ich głowami jak czarne zwiastuny nieszczęścia.

Tego rodzaju uczucia musiały sprowokować jakieś ostrzeżenie z niebios.

Przyszło nagle, brutalnie pewnego wieczoru z końcem zimy.

Tore pojechał z żoną i synkiem do Böhle, aby odwiedzić szwagierkę. Wybrali się wczesnym rankiem i przejechali bezpiecznie po zamarzniętej powierzchni jeziora Lysne, utworzonego przez rzekę w miejscu, gdzie spływała na równinę. Spędzili przyjemny dzień w Böhle, ale kiedy wieczorem wracali tą samą drogą przez jezioro, lód załamał się pod nimi, koń, sanie i ludzie zniknęli pod lodową skorupą, która skruszała w ciągu dnia pod wpływem pierwszego tchnienia wiosny. Sprowadzono z lasu Daga i ludzie wraz z końmi podążyli czym prędzej na brzeg. Ale było już za późno. Wyrąbali lód i wyłowili trupy. To wszystko.

Odbył się pogrzeb, a potem zgodnie ze starym zwyczajem wyprawiono stypę. W Björndal zapanowała cisza. Dagowi zdawało się, że nie należy już do tego świata, że został zawieszony w przestrzeni, odsunięty od ziemi. Spoglądał ze zdziwieniem dookoła jak małe dziecko, dla którego wszystko jest nowe i niezrozumiałe. Chodził jak we śnie, wszystko wydawało mu się dziwne, niedosiężne, niepojęte. Nie obchodziło go nic, zaledwie zdawał sobie sprawę z tego, że upływa czas.

Minęła wiosna i lato, potem jesień i zima, a Dag nie zajmował się niczym. Nie znajdował nigdzie spokoju. Gdy wracał do domu, każdy przedmiot przypominał mu zmarłych. W lesie wspomnienia o tych, o których myślał, ilekroć tam przebywał, tłoczyły się doń ze wszystkich stron. Gdy odważył się iść na cmentarz, zdawało mu się, że groby wołają go do siebie. Leżeli tam pod ziemią wszyscy jego najbliżsi. I malec, który miał odziedziczyć majątek. Czy opłaca się gospodarować dalej? Dla kogo? Sprawdziło się stare powiedzenie: co powstaje w ciągu wielu lat, może runąć w ciągu jednej chwili.

We dworze zapanował teraz nieład. Co dotąd było utrzymywane we wzorowym porządku, zaczęło się szybko rozpadać. Takie rzeczy zdarzają się ludziom, niejednym ludziom. Zwłaszcza jeśli są przyzwyczajeni do tego, aby ich pilnowały bystre, czujne oczy. Gubią się i tracą orientację, gdy tych oczu zabraknie. Nie wszyscy, ale wielu. W okolicy pojawili się znowu kramarze i włóczędzy – zaczęli się rządzić we wsi i wciskać pomiędzy ludzi jak za dawnych lat. W tym roku niewiele ładunków przewieziono do miasta, gdyż kramarze zabierali ze sobą tłumok po tłumoku... Był to zły rok także i dla łąk, i pól. Nie obchodzono się zbyt troskliwie z plonami. Nie suszono ich już tak dokładnie i często zwożono je jeszcze wilgotne. A to, czego w ogóle nie zebrano z pola –gniło, nie dając nikomu żadnego pożytku. Dlatego też zima ta była najgorsza, jaką ludzie pamiętali. Nie starczyło zboża na chleb ani paszy dla bydła.

Mieszkańcy osiedla zaczęli zatrzymywać dla siebie plony z pól i łąk, które uprawiali dla Gammel-Björndal. Zdarzało się to i dawniej, lecz Tore wystąpił stanowczo i ukrócił tę samowolę. Zaledwie jednak złożono go do grobu, złe zwyczaje powróciły.

Majątek Björndal zmuszony był tej zimy kupować w mieście zboże na własne potrzeby i dla innych, którzy jednak nigdy tego długu nie zwrócili. Nie zbierano już liści i mchu jak dawniej, za nieurodzajnych lat. Dlatego też zimą musiano zabić wiele sztuk bydła.

Dag na nic nie zwracał uwagi, o nic się nie martwił. Wszystko było dlań obojętne. Kiedy wójt zameldował mu, że ludzie bezprawnie zwożą sobie zbiory z jego pól, odwrócił się zagniewany:

– A dlaczego nie? – odparł. – Za kilka lat nie będzie ani ich, ani mnie, ani ciebie.

9

Ludzie zaczęli powtarzać coraz uparciej, że Dag stracił rozum. Omijali go z daleka, a gdy się przypadkowo z nim zetknęli, patrzeli na niego z przerażeniem. Nie sypiał po nocach. Za dnia chodził jak lunatyk. Jak wielu innych, również i on miał swój pogląd na śmierć i życie. Nieraz, gdy siadywał przy kominku w chatce leśnej lub przy polnym ognisku, rozmyślał w samotności o znaczeniu śmierci dla jednostki. Myślał o tym, że śmierć jest wieczna, a życie trwa tak krótko!

To, co teraz zaszło, nie dotyczyło już tylko jednostki; było to coś znacznie większego. Instynkt wspólnoty rodowej jest najsilniej rozwinięty u ludzi lasu. U Daga był tak mocno zakorzeniony, że uważał się tylko za ogniwo łańcucha, który łączy tych, co byli, z tymi, co będą. Śmierć jednego człowieka nie oznaczała jeszcze zakończenia. Zmarły będzie żył dalej życiem swego pokolenia. Tak było, gdy umarł jego ojciec, tak myślał też o swojej własnej śmierci.

Ze śmiercią Torego wszystko się tak straszliwie zmieniło. Tore był dla niego uosobieniem całego rodu – był najstarszy, był dziedzicem, miał żonę i dziecko. Dagowi nie przyszło wcale na myśl, że teraz on był dziedzicem i że mógł się ożenić.

Od czasu, kiedy dorósł, zżył się do tego stopnia ze swą rolą pomocnika brata, że teraz, w ciemnościach żałobnych, inne myśli nie miały do niego dostępu.

Rzadko się zdarzało, aby dwóch żonatych braci mieszkało pod jednym dachem. Najczęściej wśród nich następował podział, tego jednak ani Dag, ani Tore nie uważali za słuszne. Toteż nie dokonali podziału majątku. Zamieszkiwali we dworze razem i byli ściśle ze sobą związani. Zmuszały ich do tego dawniejsze, ciężkie czasy, a potem wroga postawa ludzi z równiny.

Według wielu zasłyszanych dawniej opowiadań w Björndal stale mieszkał ten sam ród, zawsze liczne grono. Teraz pozostał tylko on jeden. Jeden nie stanowi rodziny. Nie miał nikogo, z kim mógłby dzielić dobro i zło. Ród jego wygasł.

W myśl poglądów swoich ojców Dag mniemał, że to Bóg doświadczył go i karał. Nic nie działo się bez woli Bożej. Niezliczone godziny spędzał na rozmyślaniach o tym, dlaczego Bóg zesłał mu taki los. Gdyby to było spotkało jego samego! Omal nie popełnił przecież morderstwa. Ale Tore, Tore, który nigdy nikomu nie zrobił krzywdy! A jego żona, która tak spokojnie pracowała i spełniała swoje obowiązki... A malec...

Nie mógł się w tym dopatrzeć celu. Rozmyślał i zastanawiał się dzień i noc. Cała egzystencja wydała mu się szara i beznadziejna jak bezkres oceanu, który toczy swoje fale spokojnie i nieustannie, bez końca.

Czas mijał. I znów upłynął rok, znowu nastąpiła wiosna, a potem lato. Na drzewach pojawiły się liście, kwiaty zabarwiły się różnymi kolorami, zazieleniły się pola. Lecz Dag niczego nie dostrzegał, zajęty był ciągle swoimi myślami. Prawie nie sypiał, a wobec otoczenia był jakby nieobecny. Ludzie, mijając go, kiwali głowami i patrzyli na siebie porozumiewawczo.

– Zwariował – mówili.

Pewnego dnia zdarzyło się coś nadzwyczajnego.

Dag chodził między budynkami – to przystawał, to siadał, to znów wstawał i szedł dalej.

Gdzie on jest? Co to za szmery i głosy wokół niego?

Musiał znajdować się gdzieś w pobliżu budynków dworskich. Widział w głębi wieś i otaczające ją lesiste wzgórza. Widział zabudowania, chaty, drogi, gaje, łąki i pola. Zwykły jego świat, na który patrzył co dzień i co noc. Ale teraz nad tym wszystkim unosiło się coś dziwnego, niezwykłego, jakieś huczenie, jakaś wrzawa, jakiś szum dochodzący ze wszystkich stron.

Cóż to się działo z lasem? Żył, poruszał się, podchodził ze wszystkich stron. Drzewa chwiały się jak trawa na wietrze. Zginały się z szumem do ziemi i prostowały z wielkim hałasem. Poruszały się, podchodziły coraz bliżej ku niemu. Czyżby udawały się na wędrówkę? Coś w nich huczało, szumiało i żyło. Słyszał zewsząd stąpanie wielu, nieskończenie wielu zwierząt, łap ciężkich oraz delikatnych, miękkich. Tuż, tuż od wschodu i południa i z wielkich lasów na zachodzie i północy. Ziemia chwiała się w posadach, a drzewa z trzaskiem łamiących się gałęzi i łoskotem upadku kładły się jedno za drugim. Ukazywały się zwierzęta, tłoczyły się gromadnie, tratowały las, parły naprzód z wolna, lecz pewnie: wielkie niedźwiedzie, skradające się wilki, zwinne lisy, stare łosie o rogach rozgałęzionych jak drzewa. Coraz bliżej, setki, tysiące, powoli – bez końca. Grzbiet przy grzbiecie. W powietrzu unosiły się chmary orłów, sępów i innych ptaków. Cicho leciały naprzód, gotowe rzucić się każdej chwili w dół ku ziemi.

A na dole we wsi szli ludzie. Szli po drogach, szli tłumnie. Szła hołota, szli włóczędzy. Ludzie, których dawniej wyganiano z majątku. Wyglądali zza węgłów domów i uśmiechali się szyderczo. Roilo się od nich, byli coraz bliżej. Szemrali i grozili; za nimi skradali się spomiędzy wzgórz Hamarrbö i spod spadzistych ścian lesistej wyżyny ludzie z otwartej równiny. Chowali się tchórzliwie za krzewy i drzewa. Ale widział ich wszystkich. Trzaskały gałęzie, trzeszczały drzewa, pełno było hałasu od nadchodzących tysięcy zwierząt i tchórzliwie przyczajonych istot ludzkich.

Poczuł się bezsilny i bezwolny. Kulił się coraz bardziej w sobie.

Ludzie zbliżali się nieustannie. Wyraźnie widział złośliwe spojrzenia, widział błyszczące ślepie zwierząt i na wópół otwarte, chciwe pyski, ociekające śliną i krwawą pianą.

Nagle usłyszał coś tuż za sobą. Coś go dotknęło. Tuż obok niego przechodzili ludzie, człowiek przy człowieku. Wszyscy uzbrojeni. Niektórzy szli z ponurymi, ciemnymi twarzami, inni szli lekko i tak jak on mieli złociste włosy i niebieskie oczy, choć dookoła ich ust igrał zimny uśmiech. Wszyscy mieli szerokie bary. Ci jasnowłosi szli lekko i zwinnie jak gdyby na zabawę. Odbezpieczano strzelby, sypano proch do luf. Wszyscy poruszali się wolno, szli, nie spiesząc się, przed budynkami. Dagowi zdawało się, że zna ich wszystkich. Ciemnowłosi przypominali mu Torego, drudzy zaś jego samego – byli to ludzie z jego rodu.

Nagle wszystko w lesie i na polach ucichło. Znikli ludzie i zwierzęta, hałas oddalił się i zamarł jak lekki podmuch wiatru w powietrzu. Uzbrojony tłum zatrzymał się i stał długo na skraju lasu. Tworzył mur odgradzający świat. Zapanowała cisza, w niebiosach i na ziemi...

Lecz Dag nie mógł zrozumieć, gdzie się wszyscy podzieli. Przed chwilą stali tam jeszcze, a teraz już ich nie było. I znowu doszedł go zewsząd wzrastający hałas, przybierający gwałtownie na sile. Nadchodził coraz bardziej, podchodzili ludzie, skradały się zwierzęta, z ziemi wyłaniała się nienawiść. Morze nienawiści płynęło z ziemi, lasu i powietrza. Hałas wzrastał się nieustannie, łoskot walących się drzew zagłuszał ryki zwierząt. Grzmiało. Śmiertelna ciemność przesłoniła wszystko...

Nagle rozległ się huk. Jak jedna potężna salwa ze wszystkich strzelb świata, przejmująco zimny. Zadrzała ziemia, zakołysały się niebiosa, błękitne płomienie zawisły jak mgła nad osadą i lasem. Potem wszystko ucichło. Tylko szum i szmer jak w czasie ulewy przechodził ponad lasami.

Wielka brzoza, rosnąca z boku na południowy wschód od starej komnaty, stała od wieków. Największa brzoza, jaką kiedykolwiek widziano. Mówiono, że gdyby brzoza doznała jakiejś krzywdy, byłyby to złe omen dla rodu Björndalów.

Stało się to teraz. W brzozę trafił piorun. Ścięty wierzchołek runął w dół. I stał na ziemi niby nowe, okazałe drzewo. Spod gałęzi starej brzozy wydostał się człowiek, Dag. Przyzwyczajeniem jego było chronić się od deszczu pod starą brzozą. Siedział tam i śnił. Obudził go piorun. Po raz pierwszy od długiego czasu zasnął, aż naraz zbudził go piorun. Sen i uderzenie pioruna ocuciły go.

Przetarł oczy, przyjrzał się nowej brzozie przed sobą i rozmyślał o swoim śnie. Prawdopodobnie działał się tak z człowiekiem, gdy postradał zmysły. Wtedy widziało się takie nieprawdopodobne rzeczy, jak na przykład wielkie drzewa wyrastające z ziemi w przeciągu jednej minuty. Zebrał odwagę i zbliżył się do nowej brzozy. Chwycił za gałęzie i powąchał świeże listowie. Doprawdy! Przejęty tym, że mógł chwycić rękami gałęzie i czuć zapach liści, cofnął się i wlepił w brzozę przerażone oczy.

Odszedłszy kawałek zauważył, że stara brzoza nie wyglądała tak jak dawniej. Zbadał uważniej jej wierzchołek, po czym przeniósł wzrok na podstawę cudownego drzewa i dostrzegł dwa czarne ślady wypalone przez piorun. Zrozumiał, co się stało. Nie postradał więc zmysłów, skoro widział, dotykał i wąchał drzewo, które właściwie nie istniało. Ale piorun uderzył tuż obok niego i uszkodził najstarszą brzozę. Tak! Bóg chciał przemówić do niego i aż nadto wyraźnie objawił mu swoje zamiary.

Deszcz przestał w końcu padać, a Dag stał ciągle jeszcze na tym samym miejscu. Był przemoczony aż do samej skóry, ale nie zdawał sobie z tego sprawy. Patrzył w stronę doliny, jak gdyby widział ją po raz pierwszy w życiu. Nawet teraz na jawie zachował tak żywe wspomnienie swego sennego widzenia, że oczekiwał niemal jego powtórzenia. Ale tylko szum, jak tęskne echo, dochodził do niego sponad leśnych wzgórz – pośród śmiertelnej niemal ciszy, jaka zapanowała po burzy. Czarna warstwa chmur rozdzieliła się z wolna na zachodzie. Słońce zdążające ku wieczorowi przecisnęło się przez szczelinę, śląc długie cienie od zachodniej grani gór wskroś zamilkłej wsi. Ostatnimi promieniami złociło wierzchołki najwyższych drzew, a na wschodzie oświetlało jeszcze dalekie stoki wzgórz. Ciemne i jasne pasma światłocieni odcinały się ostro od siebie, sprawiając złudzenie nieskończonej dali i nadając osiedlu dziwny i nieziemski wygląd. Na tle ponurych, ciemnych chmur na południu widniała tęcza, rozpięta szerokim, mieniącym się łukiem ponad lasami.

Oczy Daga, od dawna już ślepe na wszystko, co się dokoła niego działo, wchłaniały całą pełnię spojrzenia ten niezwykle obraz. Kiedy zaś zwrócił twarz ku zachodzącemu słońcu i wpatrywał się w złociście rozświetloną szczelinę chmur, zdawało mu się, że patrzy przez bramę raju niebieskiego.

Padął cichy deszcz. Od czasu do czasu z oddali dochodził odgłos grzmotu.

Wróciwszy do domu, Dag przebrał się w suchą odzież i wszedł do pokoju, którego progu nie przestąpił od czasu pogrzebu Torego. Była to stara komnata, w której zwykle odbywały się uroczystości.

Na stole pod oknem od wschodniej strony leżało kilka książek o podobnej treści. Bóg przemówił do niego, do całego rodu. Był tego pewny. Ostrożnie ujął starą Biblię w swe szorstkie ręce i zaczął przerzucać stronicę. Natrafił na *Stary Testament*. W każdym wierszu powtarzały się uporczywie słowa kary, zemsty, gniewu Boga. Zamknął Biblię, usiadł na krześle i podparłszy głowę łokciem, pogrążył się w zadumie. Tak, dosięgnął go gniew Boga. Na nic się zdawało przerzucanie kart książki. Był to sąd nad nim. Nie wątpił. Ale za co?

Myślał o swoim ojcu i o przodkach, o których mu opowiadano. Wiedział też o nich, że wszyscy mieli wielki respekt przed Bogiem. Rozmyślał dalej o swoim ojcu. Był to sługa Boży. Z całą pewnością. Ale trudno było się przekonać, jakie jeszcze myśli chodziły mu po głowie. Był tak skąpy w słowach.

Nagle podniósł głowę, wyprostował się. Znalazł drogę do myśli ojca. Przypomnił sobie słowa często wypowiedane przez niego w chwilach uroczystych i wobec spraw codziennych: „Obowiązek człowieka”. Słowa te przywiodły mu wiele wspomnień o ojcu. Zawsze uważał, że największym obowiązkiem człowieka jest praca. Praca od wczesnego ranka do późnego wieczora, aby zapewnić byt sobie i swoim najbliższym. Drugim ważnym obowiązkiem człowieka było nie przeklinać i nie używać bezbożnych słów. W tych sprawach nie wolno było z ojcem żartować. Dag przypomniał sobie, jaką okropną chłostę, największą w swoim życiu, otrzymał raz za to, że w porywie złości kłął, a ojciec to usłyszał. Tak, ojciec był zdania, że należy spełniać przykazania Boże, odmawiać *Ojcze nasz*, obchodzić święta. Dobrze pamiętał słowa ojca. Dag był wychowany w tym duchu i sądził, że prowadził życie zgodne z otrzymaną nauką.

Tę samą naukę ojciec jego otrzymał od swego ojca; każdy ojciec przekazywał ją swojemu synowi. Dlaczego więc ściga ich gniew Boży? Czyż nie spełniali wszystkich swoich obowiązków względem Boga? Wobec tego niepojętego dlań gniewu w Dagu wezbrała atawistyczna, arogancka pewność siebie, właściwa jego rodowi. Powoływał Boga przed sąd. Nie, ród na Björndal jeszcze się nie skończył. Był samotny i opuszczony, nie mógł się jeszcze otrząsnąć z nieszczęścia po śmierci brata i nie zapomniał niebieskiego płomienia pioruna, który uderzył w brzozę, ale – nie dał się nastraszyć. Był jeszcze zdolny świadczyć swoją własną wolę, nawet przed Panem Bogiem.

Pochylił się znowu nad stołem, ręce wyciągnęły się do Biblii, lecz nie dotknął jej. Wzrok jego padł na małą książeczkę do nabożeństwa, tak małą, że mógł ją schować w garści. Bawił się nią, aż się otworzyła. Na pierwszej stronie było napisane: Dr Dinnysön Jersin *Myśli pobożne*⁶. Następował tekst. Przewracał bezmyślnie kartki i czytał machinalnie:

„Pierwszym obowiązkiem każdego chrześcijanina jest walczyć ze świadomymi, wyraźnymi i pospolitymi grzechami oraz złymi uczynkami, zakazanymi przez Boga i prawo ludzkie...”

Myśli Daga zajęły się tym, co widziały jego oczy. Przeczytał jeszcze raz ten fragment z obudżonym zainteresowaniem, następnie przewrócił kartkę. Na drugiej stronie wyczytał:

„Bóg żąda jeszcze od nas, abyśmy zwalczali złą skłonność i przewrotne pragnienia naszego serca”.

⁶ To dzieło duńskiego biskupa Jensa Dinesena Jersina (1588-1634).

Zdumiony patrzył przed siebie. Więc nie tylko dziesięcioro przykazań i *Ojciec nasz* było słowem Bożym? Czytał potem jeszcze tu i tam, niewiele rozumiejąc, aż natrafił na słowa, które zupełnie nim wstrząsnęły:

„Gdy człowiek, na przykład, czuje złość lub niechęć do bliźniego swego, nie zawsze obraca to w czyn, gdyż nie zawsze ma po temu sposobność. Dzień po dniu chodzi i myśli, wynajduje środki, snuje plany, jak by się mógł zemścić, i myślami tymi z lubością syci swoje serce”.

Krew uderzyła Dagowi do głowy. Czyż on i Tore całymi latami nie myśleli o tym, jak zemścić się na mieszkańcach równiny? Czy nie cieszyli się skrycie w poczuciu zemsty przy każdym udanym przedsięwzięciu, przy każdej sposobności, kiedy Bóg użył im powodzenia? Spoglądał trwożnie na brzozę za oknem i myślał o wszystkich dawniejszych członkach rodu i o swoim ojcu. Wszyscy od niepamiętnych czasów wierzyli, że zemsta należy do obowiązków każdego mężczyzny. Gdy stara Ane Hamarrbö opowiadała mu o jego krewnych różne szczegóły, których znała tak wiele, zawsze kończyła dumnym zwrotem: – Nikt nie leży w grobie nie pomszczony! – Przypomniawszy sobie dzień, w którym do ojca przybył pastor z prośbą o pomoc przeciwko niedźwiedziowi. Stał wtedy w przedsiönku i słuchał. Wiedział, że ani prośby, ani obietnice nie poruszyły ojca. Dopiero gdy się okazało, że był to niedźwiedź pochodzący z legowiska tych, które zabiły jego dziadka, a później jego ojca, Torgeir nagle się zgodził. Dopóki żyły niedźwiedzie z tego legowiska, przodkowie w grobie nie byli jeszcze pomszczeni! Zemsta – zemsta – zemsta.

Myślał dalej o opowiadaniach Ane Hamarrbö o bardzo dawnych czasach. Wiele było na temat krwawych zemst. Serce Daga wzbierało również dumą. Ojcowie jego odznaczali się odwagą. A teraz szedł od nich strach. Na chwilę głęboko się zamyślił. Potem wyprostował kark i plecy. Czyż przykazaniem Bożym nie było: Czcij ojca swego?! Czyż nie należało zemścić się na tych, którzy byli przeciw ojcu? Podniósł wyniośle głowę i zmarszczył brwi.

Obrazy ze snu znowu przemykały mu przed oczami. Widział bardzo żywo, jak wszelkie zło szukało czym prędzej ukrycia, gdziekolwiek pojawili się ludzie jego rodu. Strach przed mściwą ręką tych z Björndal trzymał w karchach nikczemników i dzikie zwierzęta. Tylko dzięki strachowi życie na miejscu było jako tako znośne.

Podniósł się. Czuł się związany silnymi korzeniami z pniem swego rodu, tak jak olbrzymia brzoza za oknem zakorzeniła się w swym gruncie. Pomimo że piorun ściał jej wierzchołek, korzenie tkwiły głęboko w starej ziemi. Nie można jej było wyrwać jednym szarpnięciem. Nie podobają mu się myśli nowe, dziwne, które przychodzą mu teraz do głowy. Czczył dotąd swoich przodków na równi z Bogiem, a oto nagle ośmiela się potępiać ich czyny.

Spierał się zawzięcie z Bogiem, ale równocześnie uświadomił sobie, że ludzie jego rodu nie byli – tak jak w śnie – zgromadzeni wokół niego. Wszyscy spoczywali w ziemi, a on niebawem połączy się z nimi.

Powiódł ręką wzdłuż krzesła i mała książeczka, którą przedtem odsunął od siebie, dostała mu się znów do ręki. Skórzany grzbiet starej książeczki skurczył się, drewniane okładki popękały. Pod dotknięciem jego ręki książka otworzyła się sama. Na jednej z ostatnich stron przeczytał: „*Wiem, że zemstę winienem pozostawić Bogu...*” Zastanowił się głęboko. Wiedział, że słowa ludzkie można było tłumaczyć w różny sposób. Słowo Boże było nienaruszone. Tutaj było to wydrukowane. Myślał. Jeżeli trzeba pozostawić zemstę Bogu, czy pewne jednak było, że Bóg zechce i znajdzie czas, aby... Tak! Siedziało mu to we krwi: każda niesprawiedliwość musi zostać wcześniej lub później pomszczona.

Naraz przeszedł go zimny dreszcz. Czy to nie Pan Bóg pomógł mu zemścić się i użył mu siły wówczas w Böhle, tak że mógł szczęśliwie oprzeć się liczebnej przewadze? I czy nie za łaskawym zarządzeniem Boga uniknął winy morderstwa oraz kajdan przygotowanych przez policjanta? A kiedy pracowali, aby zdobyć bogactwa, czy to nie Bóg okazał im swą pomoc i pozwolił lasom nabrać takiej wartości? Nie zważali na pomoc Bożą, dlatego przyszła na nich kara...

Mimo to nie mógł zrozumieć, dlaczego przodkom jego wolno było przeżyć tyle pokoleń w atmosferze ciągłych sporów, zabójstw i rozlicznych gwałtów, a dopiero teraz na ród spada wyrok unicestwiający jako kara za zemstę, którą Tore i on żywili tylko w myślach.

Mijały godziny. Wieczór zapadał powoli ponad wsią i dworem, a Dag z głową opartą na rękę ciągle jeszcze siedział w starej komnacie. Walczył uporczywie z narzucającymi się myślami. Punktem, do którego ciągle powracał, była myśl o obowiązku człowieka. Zrozumiał teraz dobrze sens tych dwu wyrazów. Zdawało mu się, że nareszcie pojął, dlaczego spadła na nich kara.

Obowiązki nie są zawsze jednakowe. Zmieniają się one tak, jak zmieniają się czasy. Stwierdził to po swoim dzisiejszym śnie. W dawnych czasach ludzie musieli bronić zaciekle życia i mienia przed dzikimi zwierzętami i zawalidrogami. Dlatego ojcowie jego szerzyli u siebie śmierć i spustoszenie, a mimo to wolno im było zakładać rodziny i pozostawiać potomków. Teraz było inaczej. Dag sam miał okazję śmiertelnie przerazić mieszkańców doliny, tak że uciekaliby od niego za lasy, za góry, gdyby tylko spojrzął na nich ostrym wzrokiem. Wystarczyło, że raz tylko spojrzął na wędrownych kramarzy, aby zaraz na łeb, na szyję umykali. Tore i on umieli zaprzęgać ludzi do ciężkich robót, podczas gdy sami chodzili z nie zgiętymi plecami, pokazując tylko, co i jak ma być zrobione.

Tak. Ojcowie wykonali już najcięższą pracę. Nadeszły nowe czasy, w których te ogromne lasy nabrały wartości. Obowiązki nie były już tak ciężkie na tym świecie, więc Bóg ustanowił cięższe na tamym. Teraz nie można było znaleźć pretekstu, aby radować serce myślami o zemście. Ale czy wobec tego mógł jeszcze żyć? Czy nie miał obowiązku pomszczenia swoich ojców za brak poważania, za lekceważenie; jakiego doznawali ze strony tylu ludzkich pokoleń? Czy nie ciążył na nim dług honorowy, jako spuścizna w tragicznym dziedzictwie?

Letni mrok snuł lekkie, przejrzyste zasłony za oknami. Ale w starej komnacie ponura i czarna ciemność czaiła się na niego ze wszystkich ścian i kątów. Pod pułapem dochodzące jeszcze z zewnątrz światło zatrzymało się na wypolerowanych mosiężnych lub żelaznych krawędziach starej broni, wiszącej tam od niepamiętnych czasów. Gdzieś, tam w górze, wisiał podobno stary topór. Była to najstarsza broń w Björndal i mówiono, że w żelazo został zakuty srebrnobiały krzyż. Nikt nie wiedział, czy krzyż miał służyć jako ochrona przeciwko nieszczęściu, czy też czarom. Opowiadano, że krzyż w toporze splamił się nie tylko zwierzęcą krwią. Także inna broń tam zawieszona mogłaby opowiedzieć o niejednym ostrym starciu człowieka z człowiekiem, o gwałtownych słowach i dzikich okrzykach, o przelewanej krwi i ciałach, które padały, aby się więcej nie podnieść.

Tego wieczoru pod pułapem jakby coś drgnęło, dochodził stamtąd jakiś upiorny chrzęst żelaza... Jak gdyby silni jak łosie mężczyźni powstali i w groźnym milczeniu stanęli pod ścianami i po rogach pokoju. Podstępna, żywa ciemność napierała na Daga, który starał się utrwalić w sobie swe nowe postanowienie zaniechania zemsty i w myśli, i w czynie. Czy przodkowie jego nie ujeli się teraz mocno za ręce, wszyscy, od najstarszego aż do ojca i Torego? Czy nie trzymali i jego za rękę? Był to uścisk mający zaświadczyć, że będą trwać zawsze razem przy sobie za dni życia i przez wieczność śmierci. Czy ma teraz cofnąć swoją rękę i wyrwać się z prastarej wspólnoty?

Dag pochylił się ku przodowi i oparł czoło na zaciśniętych pięściach. Miał wrażenie, jakby coraz głośniejsze chrzęściła broń pod pułapem, że w komnacie poruszają się posępni mężowie, zbliżający się ku niemu z wolna i nieubłagane.

U belki nad jego głową coś zaskrzypiało, zgrzytem przecięło ciszę. Zaświszczało w powietrzu, uderzyło stuknięciem młotka w krawędź stołu tuż obok niego i spadło na podłogę. Dag był pod tak silnym urokiem wrażeń z nierzeczywistego świata, że dopiero po chwili zareagował na ów dźwięk. Podniósł głowę i nasłuchiwał pochylony. Wreszcie wstał i spojrzął na podłogę. W cieniu stołu, tuż u jego nogi, tkwił w podłodze swoim górnym ostrzem stary, długi topór. Dag z ledwością zdołał go wyrwać, tak głęboko zarył się w drzewie.

Przyjrzał się wąskiemu ostrzu. Czerniało od dymu i nosiło ślady rdzy od krwi. Czy to nie znak krzyża widnieje z jednej strony ostrza, pomiędzy rdzawymi plamami? Potarł mocno palcem i srebrnoszary krzyż załśnił na czarnym żelazie. Wiedział o istnieniu tej starej broni, lecz za życia ojca nie odważył się ruszać żadnej broni przodków. Tylko raz miał w ręku inny, podobny topór, który pożyczono mu na wzór, gdy kuto jego własny. Później miał tyle spraw na głowie, że nie stało mu czasu na słuchanie starych podań i opowiadań. Teraz przekonał się, że podanie głosiło prawdę: legendarny topór istniał.

Prawdopodobnie z pułapu wypadł stary, zardzewiały gwóźdź. Dziwne jednak było, że stało się to właśnie wtedy, gdy po raz pierwszy siedział przy tym stole, i że topór upadł tak blisko niego, jak przedtem uderzył piorun. Dziwne – był to właśnie ten topór, wokół którego, jak opowiadano, zaciskały się ręce jego przodków w chwilach złości i zemsty.

Powoli uniósł głowę. Stalowe oczy patrzyły długim, twardym spojrzeniem w ciemności letniej nocy, nie zatrzymując się na niczym. Szczęki naprężyły się, usta zacisnęły, brwi zjeżyły, nozdrza drgały jak u wietrzącego psa – twarz wyglądała jak u człowieka pędzącego pod ostrym wiatr.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości – Bóg chciał go dzisiaj poskromić. I chociaż raniło mu to serce, nie tak trudno było poddać się Bogu, jak mu się początkowo wydało. Pozostawić zemstę Bogu, nie oznaczało stchórzyć. Bóg miał przejąć zemstę i karać surowo, tak jak to było napisane w Biblii. Na nic się zdało sprzeciwiać się Bogu. Miał widoczne znaki. Niech zatem ojcowie sądzą go, jak chcą, jeżeli naprawdę mogą go teraz widzieć.

Jednym świszczącym zamachem wbił topór w belkę tuż pod przewiewnikiem. Niech tkwi tam na pamiątkę tego dnia, w którym stanął twarzą w twarz wobec Boga, i na rzecz tych, którzy, być może, byli niewidzialnymi świadkami tego, co zaszło w półmroku tej izby, wreszcie też na swoją własną pamiątkę.

Przez wiele lat topór pozostawał tam, gdzie go wbił Dag. Nikt by nawet nie przypuszczał, że od jednego uderzenia zarył się tak głęboko w twardym jak krzemień drzewie dębowym. Tylko Dag wiedział, że topór tkwił tam jak kamień graniczny pomiędzy starymi czasami i nowymi.

10

Ale nie tylko rozprawa z Bogiem zbudziła Daga do nowego życia. Rankiem następnego dnia, po nocy spędzonej w starej komnacie, otrzymał list. Ktoś, kogo wysłano w jakiejś sprawie do miasta, przywiózł go w drodze powrotnej. Listy były jeszcze wtedy rzadkością. Dostarczono go wozem z Hamarrbö i Dag nie mógł zapytać, kto go przysłał. Można było po prostu otworzyć list, lecz Dag obracał go na wszystkie strony w swoich wielkich rękach i nie mógł się zdecydować. Wreszcie skierował się do starej komnaty, gdyż była to sprawa uroczysta.

Otworzył zachodnie okno i siadł na tym samym miejscu, co ubiegłego wieczoru. Jeszcze raz obrócił list w jedną, potem w drugą stronę, następnie wyciągnął nóż z pochwy i ostrożnie rozciął kopertę. Był to ten sam nóż, którym już niejednokrotnie zdierał skórę ze zwierząt, narzędzie służące mu do wszystkiego. Wyjął kartkę i spojrzął czym prędzej na podpis. Czy to trzęsa się jego ręka, czy też wiatr powiał od okna? Papier drżał mu w dłoni. List był podpisany przez Teresę Holder.

Długo siedział i patrzył na brzozę przed oknem oraz na dalekie wzgórza, zanim odważył się czytać. Czy to wspomnienie o broszce z Holandii przemknęło mu przez głowę? Ale od tego czasu upłynęła chyba cała wieczność. Może myślał o czasach, gdy mieszkał w mieście i bywał w domu zamożnego kupca? Czy było w tym coś dziwnego? Nie, ojcu jego i bratu okazywano tę samą gościnność.

Jedynie u ludzi z otwartej równiny Björndalowie nie cieszyli się poważaniem. U siebie w domu i w mieście byli kimś. U bogatego kupca zostawiali w stajni swoje konie tak jak i inni, ale nie sypiali tam w pokojach gościnnych, przeznaczonych dla chłopów. Mieszkali gdzie indziej i byli panami siebie. Ba, nawet wyróżniali się swym wyglądem. Nie tylko mieli słuszniejszy wzrost, ale i głowy nosili inaczej – wyżej, mocno, spokojnie. Szybko przybywali, szybko znikali. Nie można ich było zapraszać na szklaneczkę wina do karczmy. Nie zadawali się z nikim, nie mieli czasu na próżną gadaninę w stajniach ani na picie wódki. Dlatego to, zresztą też jako dobrzy klienci, bywali niekiedy zapraszani do domu kupca. Innego powodu ku temu nie było, stąd też Dag nie przywiązywał do tego zbyt wielkiej wagi.

Pomyślał znowu o złotej broszce. Przypomniał sobie także dziwne zachowanie się panny Teresy i wrażenie, jakie to w nim wywołało.

Od owego pożegnalnego dnia zwykle tylko Tore jeździł z ładunkiem do miasta, czasami zaś ludzie z Hamarrbö. Dag nie miał po temu najmniejszej chęci. Po ofiarowaniu broszki starał się nie mieć żadnej styczności z rodziną kupca.

Siedział w starej komnacie i dumał. Niewiele zrozumiał po przeczytaniu listu. Doznał jednak nowego, nieznanego uczucia. Nie wiadomo, czy pochodziło ono z ciepłego powietrza, które napłynęło przez otwarte okno, czy też zjawilo się właśnie po przeczytaniu listu. Nigdy nie otrzymywał listów. Sam fakt, że znalazł się ktoś, kto myślał o nim i kto pisał do niego, był zadziwiający. To było powodem, że przywiązywał do listu większe znaczenie, niżby należało. Panna Teresa pisała do niego na wieść o wielkim nieszczęściu, które go spotkało. Wiedziała, że był teraz sam jeden na świecie. Donosiła o nowinach z miasta. Ojciec jej umarł tego samego dnia, gdy wyłowiono z rzeki zwłoki Torego. Czy nie było to zrządzenie losu? – pisała. Co miała na myśli? Pisała też, że nie była tak osamotniona jak on. Miała siostrę, miała rodzinę stryja i innych. Obecnie syn stryja chciał się ożenić i zająć się przedsiębiorstwem; było więc rzeczą naturalną, że pragnął zamieszkać w domu, który one teraz zajmują. Więc niebawem przeprowadzą się do innego mieszkania. Nie, jeszcze nie wszystko. Panna Teresa zapytywała, czy Dag nie przyjedzie znów do miasta. Chętnie z nim porozmawia.

Tylko tyle. Lecz przez swój list stała mu się jakby bardzo bliska. Miała zaufanie do niego jako do dobrego znajomego. Ale cóż mógł o tym wiedzieć taki człowiek jak Dag?

W majątku zapanowało powszechne zdziwienie, gdy Dag pojechał do miasta. Wiele czasu upłynęło od jego ostatniej tam bytności. Na ogół wszyscy dostrzegli, że przechodził jakąś wielką przemianę. Zaczął znowu zajmować się sprawami zaniedbanymi w ostatnim roku. Niczego nie znajdował w takim stanie i porządku, jaki kiedyś zaprowadził, i oczy jego przybrały tak surowy wyraz, że ludzie zaczęli go unikać.

Dom Holderów, wciśnięty pomiędzy inne, anemiczny, od strony ruchliwej ulicy wyglądał dosyć skromnie. Nawet szyld nad drzwiami wyblakł już od starości i niepogody. Trudno byłoby przypuszczać, że mieszkają w nim tak możni kupcy. Na sklepie, obecnie takim samym jak przed laty, wzbogaciły się już dwa pokolenia, najwidoczniej dlatego też uważano, że nie potrzeba wprowadzać doń żadnych ulepszeń.

Dom był dwupiętrowy. Sklep znajdował się na parterze. Od wczesnego ranka do późnej nocy wrzało tam od ciągłego ruchu i krzątania. Stare biuro i składy mieściły się od podwórza. Stamtąd schodziło się do piwnicy. Na pierwszym piętrze było kilka dalszych pokoi biurowych oraz izby dla pomocników i uczniów. Z tyłu tego domu znajdowało się brukowane podwórze zamknięte przez dwa jego skrzydła. Na dole jednego mieściły się stajnie i szopy dla wozów i sań, nad nimi zaś kilka izb dla chłopów, strych i dalsze składy. Wzdłuż ścian ciągnął się prawdziwy labirynt schodów, galeryjek, zakamarków i daszków – trzeba było dobrze znać rozkład domu, aby nie zbłądzić.

Oficyna, zamykająca podwórze z drugiego końca, przylegała do innej ulicy. Była to mała, spokojna uliczka i z tej strony budynek wyglądał zupełnie inaczej. Dopiero tu uzewnętrzniało się bogactwo domu Holderów. Tutaj mieszkała rodzina.

Liczne okna wychodziły na podwórze. Na parterze poza nowym biurem, w którym załatwiano najważniejsze interesy, znajdowała się jedna kuchnia, na pierwszym piętrze była druga oraz izby dla służby. Stronę frontową od uliczki zamieszkiwali państwo. Na parterze mieszkał najstarszy z rodziny Holderów; jego zmarły niedawno brat, ojciec Teresy, mieszkał na piętrze. Tam również spędzała swe pracowite dni Teresa.

Od wczesnej młodości była przyzwyczajona do pracy. Miała zawsze mnóstwo spraw do załatwienia, musiała wszystko nadzorować, zwłaszcza od czasu, gdy zachorowała matka. Po jej śmierci zarządzała kuchnią, piwnicami i całym domem. Miała niemało kłopotów, ponieważ ojciec był człowiekiem bardzo towarzyskim i chętnie zapraszał do siebie kompanów, skorych do śmiechu i zabawy.

Tak, panna Teresa miało dużo roboty. Tymczasem nagła śmierć zabrała jej ojca i w obszernych pokojach zapanowała niesamowita cisza. Od roku dopiero żyła w tej ciszy i pustce, lecz wydawało się jej, że trwa to już długie lata.

Niekiedy odnosiła wrażenie, że się starzeje. W czasie bezsennych nocy, a nawet w jasny dzień, przenikał ją dreszcz przerażenia. Nabrała przekonania, że będzie musiała dopełnić swych lat w staropanieństwie. Za życia ojca miała tyle zajęć, że ledwie tylko wspominała przeżyte lata, nigdy zaś nie znajdowała chwili na rozmyślanie o sobie ani o swojej przyszłości. I tak upływał czas. Uważała pracę domową za normalne panięskie zajęcie, stanowiące wstęp do rozpoczęcia prawdziwego życia, które miało dopiero nadejść. Tymczasem nagle wszystko się zmieniło i oto stwierdziła, że zaczyna więdnąć, zanim je rozpoczęła.

W młodości wielu starało się o jej rękę. Ale żaden nie wydawał jej się odpowiedni. Uważała, że ma jeszcze dużo czasu przed sobą. Coraz bardziej zamknięta w sobie, nigdzie się nie udzielała; każdemu też z gości przebywających w ich domu wydawało się coraz bardziej nieprawdopodobne, aby można było ożenić się z Teresą Holder.

Będzie zupełnie taka sama jak jej babka – mówiono, a to miało swoją wymowę. Wielu sądziło, że stara pani Holder ugruntowała bogactwo domu. Tak aktywnej kobiety jeszcze nikt nie widział. Mogła jednocześnie być tu i tam, czuwała nad porządkiem, ale nie należało do przyjemności być jej mężem. Im bardziej zatem uwidoczniło się podobieństwo Teresy do babki, tym mniej było kandydatów do jej ręki. Niektórzy uważali jej sposób wyrażania się za nieco szorstki, a to niekoniecznie musi się podobać.

Zresztą już od wczesnej młodości musiała być samodzielna, spędzając wiele czasu w kuchni, jak również na podwórzu. Bez wątpienia tam nauczyła się okropnego języka, jakim się posługiwała.

Mogli się przecież znaleźć i tacy, którzy pragnęliby się z nią ożenić ze względu na jej majątek, ale było powszechnie wiadomo, że Teresa jest za mądra, aby się dać w ten sposób oszukać.

I tak dookoła panny Teresy panowała cisza.

Od czasu, gdy dorosła, uważała za rzecz zupełnie naturalną, iż musi wyjść za mąż. Ale teraz nic na to nie wskazywało. Czy cisza dookoła niej była tą atmosferą, w której spędzają swe dni stare panny? Czy zaczął się dla niej ten okres? Liczyła trzydzieści jeden lat i na twarzy jej ukazały się drobne zmarszczki. Czy naprawdę zaczęła się już starzeć?

Siostra jej, panna Dorota, była żywym tego ostrzeżeniem. O pięć lat starsza, była niepodobna do Teresy. Przypominała ich matkę: była bardzo ładna, jeszcze teraz ładna, mimo że wiek już znaczył swój ślad. Była wytworna i wysmukła – prawdziwa dama. W młodości często zapadała na zdrowiu i dlatego Teresa musiała objąć gospodarkę po śmierci matki.

Panna Dorota miała swoje przeżycia. W ciągu czterech czy pięciu swych najpiękniejszych lat była zaręczona z pewnym przystojnym oficerem. Miało to być utrzymane w tajemnicy, ale całe miasto wiedziało o zaręczynach. Nie można ich było ogłosić oficjalnie, gdyż rodzina oficera sprzeciwiała się jego związkowi z „rodziną kramarza”. W końcu ożenił się z inną, także bogatą, ale której stanowisko społeczne bardziej odpowiadało jego szlacheckiej krwi. Od tego czasu życie straciło dla panny Doroty wszelką wartość.

W pierwszą rocznicę śmierci ojca wuj jej we własnej osobie udał się na górę, żeby powiedzieć kilka słów okolicznościowych. Było to ładnie z jego strony, ale Teresa domyśliła się niebawem, że wuj od dawna oczekiwał końca żałoby.

Wuj miał coś na sercu. Syn jego zamierzał się ożenić i wuj prosił głosem łagodnym i ojcowskim, aby Teresa rozejrzała się za innym mieszkaniem. Syn bowiem chciałby się tutaj wprowadzić. Niezbyt taktownie nazwał siostrę i ją „dwojgiem samotnych ludzi”, przy czym Teresa zrozumiała to jako aluzję, że pozostaną samotne do końca życia i że wobec tego nie będą potrzebowały tak obszernego mieszkania. Miały się więc usunąć w cichą samotność, oszczędzać, a tymczasem wuj dalej będzie zarządzał majątkiem. Nie, teraz chciała wyjść za mąż, nawet gdyby sama musiała iść w konkury.

Wśród strapień, jakie gnębiły ją w ciągu całego tego roku, przyświecał jej zrazu słaby promyk nadziei, podsycany później coraz silniejszym pragnieniem. Zrodził się on z kilku drobnych pamiątek, które od lat w cichości przechowywała, Z nimi łączyło się wspomnienie o kimś, kto podarował jej kiedyś broszkę. Posiadała wprawdzie wiele innych kosztowności, także broszki podarowane jej przez ojca lub odziedziczone po matce. Ta broszka jednak była niezwykła – miała idealny kształt i zrobiono ją z masywnego złota. Nie domyśliła się nigdy, dlaczego ją dostała. Należała jej się, ponieważ gościli go w swym domu – powiedział. Od nikogo z gości, którzy tak licznie w ciągu lat odwiedzali ich dom, nie otrzymała nigdy żadnego takiego prezentu. Czyż nie miała prawa przypuszczać, że była w tym jakaś ukryta myśl?

W chwilach rozsądku dochodziła do wniosku, iż podarował jej broszkę dlatego, że leżało to w jego usposobieniu. Wiedziała coś o nim. Nosił imię Dag. Ładne, stare imię. Kiedyś pytała o nie pewnego pastora, przyjaciela rodziny Holderów, który wszędzie był znany ze swej wielkiej wiedzy. Pastor tłumaczył, że Dag to imię wodza z dawnych czasów i że obecnie jest już nie używane. Odrzekła, że zna kogoś, kto nosi to imię, a kto na jej zapytanie, jakim sposobem je otrzymał, odpowiedział, że od dawna jest ono dziedziczone w jego rodzinie. Pastor uznał to za rzecz niezwykłą, zgodził się jednak, że jest zupełnie możliwe, iż żyją jeszcze potomkowie jakiegoś starego rodu, chociaż rody takie przeszły już do historii.

Teresa nie powtórzyła Dagowi słów pastora, ale ilekroć nań patrzyła, słowa te zawsze przychodziły jej na myśl. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości: był kimś niezwykłym.

Taki człowiek ma pewno inne projekty, niż pojąć za żonę starą pannę z miasta. Jej pieniądze też chyba nie miały dla niego znaczenia, sam bowiem pochodził z zamożnego domu, o czym wiedziała od ojca.

Zwykle panna Teresa myślała trzeźwo i rozsądnie i nie dopuszczała do siebie tak łatwo marzeń o takim mężczyźnie jak Dag; ale broszki i wspomnień nie mógł jej nikt zabrać. Myśli jej częstokroć niepowstrzymanie wędrowały ku niemu. On był inny niż wszyscy, on był prawdziwym mężczyzną.

Rozmyślała o tym długi czas. Tymczasem wuj wystąpił ze swoimi planami, co dla niej oznaczało zniweczenie wszelkich szans. Od tego dnia niełatwo było znosić jej obecność w jednym mieszkaniu, gdy zaś wuj latem znów ją zagadnął w tej sprawie, napisała bezzwłocznie list do Daga. Z okna kuchni zauważyła wśród koni płomiennozłotą grzywę. Wiedziała stąd, że musiał tam być wóz z Björndal. Nadarzała się więc sposobność wysłania listu.

Długo łamała sobie głowę nad ułożeniem treści. Już po napisaniu kilku wierszy stwierdziła, że byłoby niedorzecznością pisać tak ni stąd, ni zowąd do mężczyzny. Niemniej wiedziała przecież o nieszczęściu, które go spotkało, wiedziała także, że stało się to w dzień śmierci jej ojca. Stanowiło to doskonały pretekst do napisania. Wszelkie pokusy, jakie nachodziły ją w czasie pisania listu, zdecydowanie od siebie odsuwała.

Potem jednak dzień i noc żałowała, że wysłała list. Nie mogła zmrużyć oka, z ledwością potrafiła przełknąć kęs stawy. Najgorsze jednak było, że nie pamiętała, co właściwie napisała. W czasie pisania tyle myśli przechodziło jej przez głowę, że nie mogła sobie teraz przypomnieć, co ostatecznie znalazło się w liście. Niemniej odtąd co dzień i co chwila, od wczesnego rana do późnego wieczora, wychodziła pod różnymi pretekstami do kuchni, aby śledzić przez okno, co się dzieje na podwórzu. Kręciło się tam wiele osób, zajeżdżało wiele wozów, ale tego, którego oczekiwała, nie było. Przyjmowała to za każdym razem ze smutkiem, ale i z ulgą. Z ulgą, bo to byłoby straszne, gdyby naprawdę przyszedł; wprawdzie prosiła go, żeby przyjechał – dobrze to pamięta – lecz co miała mu powiedzieć, gdy przyjdzie?

Dziewczyny kuchenne nie mogły zrozumieć tych ciągłych wędrówek, sądziły, że panna chyba zwariowała.

Po obiedzie obie siostry siadły w oknie wykuszowym – Dorota ze swoim wiecznym szyciem, zaś panna Teresa „ta pracowita mrówka”, siedziała beczynn timer, spoglądając od czasu do czasu przez okno na sąsiedni dom. Letnie słońce złościło wszystko dookoła łagodnymi promieniami.

Panna Teresa podniosła się. Czyżby w ten sposób miało upływać jej życie? Czy tylko to jej zostało, aby przypatrywać się ze swego okna żyjącemu na zewnątrz światu? Nie, nie byłaby tą, za którą się uważała, gdyby pozwoliła, aby życie przeszło obok niej. Wyprostowała się i zacisnęła pięści na piersiach. Aż strzeliło w stawach.

A jednak żałowała swego listu.

Jeżeli przybędzie, powie mu wszystko. Po prostu. Zwyczaje i obyczaje były dla niej obojętne. Nigdy nie kierowała się konwenansem, a teraz stawiała wszystko na jedną kartę.

Jeżeli nie przybędzie, cóż, poradzi sobie w inny sposób. Przynajmniej skończy się niepokój wyczekiwania, jakkolwiek co do tego nie czuła się teraz taka pewna, skoro myśli jej krążyły wciąż wokół jego osoby.

Siostra Dorota spojrzała na nią nagle swymi pięknymi, spokojnymi oczyma i szła dalej. To, co widziała, wystarczyło. W ciągu minionego roku zdołała się zorientować, co dzieje się w sercu jej siostry. Zaobserwowała w niej to, co sama kiedyś przeżyła: bunt przeciwko śmierci za życia.

W przedśionku rozległy się kroki. Najpierw szybkie kroki służącej, potem ciężkie kroki mężczyzny.

Panna Teresa odrzuciła głowę do tyłu i nasłuchiwała. Również Dorota podniosła oczy i spojrzała na siostrę, potem na drzwi – z uwagą i zdziwieniem.

Służąca otworzyła, do pokoju wszedł mężczyzna i drzwi zamknęły się za nim.

Dag nieco ostrożnym, ale zdecydowanym krokiem podszedł do Teresy i podał jej rękę. Oczy Doroty znieruchomiały ze zdumienia. Teresa wydawała się teraz jakby zamieniona w posąg – wielki, śmiało zarysowany. Na twarz wystąpił ciepły rumieniec, oczy zalśniły radosnym błyskiem, twarz o grubych rysach była prawie ładna.

Powiedziano sobie dzień dobry, życzo no pokoju Bożego, wyrażano radość powitania. Teresa podsunęła gościowi krzesło, po czym nastąpiła zwykła w takich wypadkach rozmowa: jak dawno już tutaj nie był, jak mu się wiodło, jak straszne przeżywał strapienie, jaki to smutek spadł także na ich dom – i tak dalej. Teresa mówiła dużo, jak się to zwykle robi, kiedy się chce zamaskować ważniejsze, drastyczne sprawy.

Podano francuskie wino i ciastka. Nastąpił czas niezwykle przyjemnej rozmowy o wszystkim i o niczym. Po pewnej chwili panna Dorota podniosła się i dyskretnie opuściła pokój.

Dagowi wydawało się, że śni. Siedział i słuchał ożywionego radością głosu panny Teresy. Wychodził z mroku śmiertelnych ciemności, jakie otaczały go przez cały ten rok. Trudno mu było pojąć, że to nadzwyczajne przeżycie, którego oto doznaje, to coś rzeczywistego.

Ocknął się. Panna Teresa umilkła nagle i położyła mu rękę na ramieniu. Spojrzył na nią wielkimi oczami. Pochyliła się z ożywieniem ku przodowi, położyła rękę tuż nad przegubem jego dłoni, tam, gdzie jaśniał rękaw koszuli. Siedzieli naprzeciw siebie twarzą w twarz. Z oblicza Teresy biła śmiertelna powaga. Pierś jej oddychała ciężko. Usta poruszały się, nie wyszło jednak z nich ani słowo. Oczy zalśniły wilgocią. Spuściła wzrok, ale po chwili znowu spojrzała na niego.

Zmieniła się znacznie od czasu, kiedy znał ją młodą. Teraz była to wysoka i tęga kobieta, na twarzy zaczęły pojawiać się zmarszczki. Jednak w tym momencie ta twarz o surowych rysach tchnęła takim ciepłem i taką dobrocią, że jeszcze nigdy nie wydawała mu się piękniejsza.

W toku rozmowy dowiedziała się, jak to dom jego teraz, kiedy tamci odeszli, stał samotny i opuszczony. Wówczas odezwała się:

– Dagu Björndal, powinien się pan ożenić.

Siedział nieruchomo, jak gdyby nasłuchując jakichś dalekich, bardzo dalekich odgłosów. Zwrócił ku niej twarz, a wzrok jego był tak przenikliwy, że czuła się jak sparaliżowana.

– Musiałbym znać osobę, która by mnie zechciała – powiedział. Ręka na jego ramieniu zdrząła.

– Znam taką – odrzekła spokojnie.

Dag zmrużył oczy jak przed rażącym blaskiem słońca, wyprostował się i wyprężył pierś pełnym oddechem, jak gdyby w obronie przed jakimś miazdzącym go ciężarem. Otworzył oczy szeroko, bezradnie, tak jakby szło o życie lub śmierć.

– To znaczy...? – zapytał tylko.

– Siebie samą... jeżeli zechcecie! – powiedziała szybko i bardzo cicho.

Podnieśli się oboje jednocześnie. Po raz pierwszy w życiu Teresie wydawało się, że jest malutka – na szerokiej piersi Daga. Powoli zapadał wieczór, z zewnątrz sączył się mrok.

– Czy mogę powiedzieć Dorocie? – spytała.

– Czy to konieczne? – zauważył nieśmiało, ale poprawił się szybko:

– Tak, tak. – Nie wiedział sam, co mówi.

Teresa wyszła, aby przynieść światło, a do pokoju wsunęła się Dorota, cichutko jak zaczarowana. Był niezdarny jak mały chłopiec, gdy składała mu życzenia i ścisnęła rękę. Jej głos był dziwnie miękki i drżący. W pokoju było jeszcze na tyle widno, że Dag mógł zauważyć jej ogromne wzruszenie. Twarz jej była delikatnie zaróżowiona, a zgrabna postać miała w sobie tyle dziewczęcej czystości, kiedy uśmiechnięta wypowiadała miłe słowa życzeń, że odczuwał wielką chęć, aby ją także przycisnąć do siebie.

Oczy panny Doroty nie można było zapomnieć. Jej uroda przede wszystkim w nich się wyrażała. Przymykały się, kiedy miała się uśmiechnąć. Gdy były otwarte, odzwierciedlała się w nich ogromna dobroć i życzliwość. W uśmiechu oczy jej lśniły niby błyszczące łą. Panna Dorota współczuła z każdym – i w strapieniu, i w radości.

Tego wieczoru przed Dagiem życie otworzyło nowe perspektywy. Wszystko, co było za nim, usuwało się coraz dalej i nikało niby mgła.

Oto istota ludzka ofiarowała mu się – w bezbrzeżnej dobroci, której nie był wart. Nadto jeszcze jedna istota podeszła do niego niby dziecko, przykładając swój policzek tklawie i z ufnością. Tam, gdzie wzrósł Dag, rzadko słyszało się czułe słowa, pieszczoty prawie nie istniały. Były to świeże kwiaty na jego ziemi. Znał jedynie twardych, zdecydowanych ludzi czynu. Takimi byli jego krewni, takim był on sam.

Dotychczas spotykał się wyłącznie z zawiścią i perfidią mieszkańców z otwartej równiny. Ludzie, których tutaj spotkał, wydawali mu się z innego świata.

Pod pretekstem, że ma jeszcze coś do załatwienia wieczorem w mieście, Dag chciał opuścić dom Teresy. Pragnął się udać do swej kwatery, aby w samotności zebrać myśli. Dorota była ogromnie zaskoczona, słysząc, że ma jeszcze jakieś inne plany na ten wieczór. Kazała nakryć do stołu, musi zostać na wieczerzy. „Tak – myślał w duchu – ona lepiej zna się na obyczajach”. I został.

Siedział i rozmawiał z Dorotą, Teresa musiała tymczasem wyjść do kuchni i do piwnicy. Od czasu do czasu zaglądała do pokoju jak ktoś, kto chce się nacieszyć pewnym, nowym faktem. Stół w sali jadalnej był uroczyście nakryty, co w domu Holderów miało szczególne znaczenie. Adamaszkowy obrus, samo ciężkie srebro, kosztowne wina południowe oraz najwytworniejsze jedzenie, jakie tylko sobie można wyobrazić.

Dag nigdy jeszcze nie zasiadał do takiej uczyty. Ani w tym domu. Dotychczas podejmowano go tutaj jedynie codzienną strawą. Zdawał sobie sprawę, że w tym nowym dla niego świecie nie będzie brakowało trudności.

Jak sobie Teresa, przyzwyczajona do wytwornego życia, przedstawiała życie w Bjørndal? Czy wiedziała, że był to ponury, leśny dwór o ścianach z poczerniałych belek i niskich pułapach?

– Jaki pan poważny – powiedziała nagle Teresa, kładąc mu rękę na ramieniu.

Dag patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Tak, z nią było pomówić otwarcie. Opowiedział jej, jak inaczej było u niego w Bjørndal, jak inne było wszystko, do czego przywykła tutaj. Nie upiększał niczego. W porównaniu było to jak niebo i ziemia. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale panna Teresa przerwała mu z twarzą tak beztroską i spojrzeniem tak ciepłym, że panna Dorota czuła się zażenowana. Teresa odrzekła, że jest osobą dorosłą i wie, co czyni. Nie zaręczyła się z jego domem; musi wziąć dom taki, jaki jest, i być z niego zadowolona.

11

Widocznie Bóg naprawdę przyjął na siebie zadanie wymierzenia zemsty na mieszkańców równiny za ich podłość. Odwet był potężny. Nastąpił w pierwszych dniach jesiennych w postaci wielkiego wesela w mieście oraz dwu światowych dam, które zjechały do Björndal z ogromnym taborem wozów, załadowanych kosztownym towarem. Na równinie obserwowano to z wielkim zdziwieniem. Wszyscy czuli się głęboko dotknięci. Prastara przemoc wymykała im się z rąk. Panie były kobietami z wyższych sfer i przywoziły ze sobą niezliczoną ilość talarów i wspaniałych rzeczy.

Nawet panowie w Borgland zaczęli się zastanawiać. Nazwisko Holderów było im znane. Kiedy niby od niechcienia zaczęli wypytywać swoich krewnych w mieście, dowiedzieli się, że dom Holdera chlubi się olbrzymim bogactwem i że nazwisko pewnego oficera, spowinowaconego z rodziną z Borgland, było kiedyś łączone z jedną z dwu córek Holdera, które teraz zamieszkały w Björndal.

Państwo z Borgland nie uważali wprawdzie, żeby świetność ich domu choćby cokolwiek na tym ucierpiała. Posiadali przecież tak wielki majątek, że nic nie mogło go zaćmić. Zbyt pewni byli swojej wyższości, aby obawiać się czyjejkolwiek konkurencji. Granice Borgland były bardzo szerokie. W owym czasie posiadali kilka tuzinów folwarków i gospodarstw. Mieli też ziemię w innych częściach kraju. Nikt nie mógł nawet marzyć o tym, by się porównywać z nimi; na tym terenie byli niepokonani.

A jednak ten dwór na północy zaczął ich irytować. Wiał z niego niepokój. Tylko państwo z Borgland mogli mieć tutaj znaczenie, nikt inny. Potęga i bogactwo należały do nich od niepamiętnych czasów i dla żadnych intruzów nie było tutaj miejsca. Nikomu nie wolno było panoszyć się na terenie ich wpływów. A przecież w ostatnim czasie tacy się właśnie pojawili. Jeździli sobie po szosie i popędzali ostentacyjnie konie, ilekroć spotykali państwa z Borgland. Nie zwalniali tempa i nie kłaniali się unizenie jak wszyscy inni. Nie! Ostro i wyzywająco jechali dalej, nie patrząc na nikogo. A teraz bogactwo wzmocniło jeszcze tę hardość.

Był jesienny wieczór przed zachodem słońca. Przez równinę przejeżdżał Dag z żoną i jej siostrą, Dorotą. Udawali się na północ. Gdy wjechali do ciemnego, górskiego lasu, siostry umilkły. Dag zauważył to i nigdy jeszcze droga przez las nie wydała mu się taka daleka jak dzisiaj. Gdy las się przerzedził, otwierając widok na osiedle, odzyskał pewność siebie i poczucie swojskości po owych dniach przeżytych w mieście, zaś widok słońca odbijającego się w oknach uczynił go zupełnie szczęśliwym i zadowolonym. Zatrzymał konia i wskazał na północ – tam był cel ich podróży.

Teresa wiedziała, że mieli zajechać pod wieczór. Już długo siedziała, wyczekując w napięciu końca podróży. Na ogół dość rozmowna, teraz milczała. Trzymała tylko męża mocno pod rękę. Liczyła dni i godziny, myśląc o tej chwili. Nareszcie zobaczyła to miejsce, gdzie miała spędzić swe najlepsze lata i gdzie miały się wychować jej dzieci. Gdzie w końcu miała dokonać żywota. Panna Dorota także milczała. Z oczu jej wykradła się łza.

Koń pędził teraz w dół. Minęli posiadłość Hamarrbö i wjechali do osiedla. Nikt nie wyszedł im na powitanie. Jednak zza okien w przedsionkach i zza uchylonych drzwi wyglądały ku nim niewyraźne twarze, czuli na sobie ciekawe spojrzenia. W Björndal wyszedł przed dom stary stajenny i zaczął wyprzęgać konia. Od strony zachodniej zabudowania dworskie rzucały długi cień na podwórze. Było tak cicho i pusto, jak gdyby nikt tutaj nie mieszkał. Wprawdzie Dag uprzedził, że nie ma tam nic wspaniałego, ale nawet dla przybywających z miasta taki stary dwór wyglądał jak bardzo duży dom. Teresa i jej siostra miały uczucie zimna i pustki, jaką tchnęły zabudowania i ogromne podwórza. Zamyślane, niespiesznym krokiem weszły na ganek. Dag otworzył drzwi. Usłyszała niemiły zgrzyt zawiasów.

W szczególnych chwilach życia obrazy utrwalają się w pamięci, by nigdy nie zaniknąć. Teresa i Dorota często potem wspominały miłe wrażenie ciepła, jakie biło od polan wesoło trzaskających na kominku, gdy po raz pierwszy weszły do tego domu.

Zmęczenie po dalekiej podróży szybko minęło. Teresa musiała zaraz wszystko obejrzeć. Dag był także zmęczony po wrażeniach dnia, ale towarzyszył Teresie, aby jej dogodzić. Wiele było drzwi w Björndal, toteż wędrówka po domu stała się bardzo długa. Ale Teresa nie czuła się znużona. Gdy wróciła do sieni, w której Dorota rozkoszowała się jeszcze błogim ciepłem kominka, odkryła w sobie taką ufność i taką szczęśliwość, że zarzuciła siostrze ręce na szyję, przy czym oczy jej napelniły się łzami.

Gdziekolwiek przechodziła, ludzie podnosili się z szacunkiem, milcząc i przyglądając się jej zdumionymi oczami. Był to dla niej zupełnie nowy świat ludzi i zwierząt. Nie jacyś przygodni podróżni ani obce konie, które zjawiały się i znikwały, jak bywało u niej w domu. Były to istoty i stworzenia, którymi odtąd miała się na zawsze opiekować.

Gdy minęło pierwsze wrażenie, odzyskała mowę i zaczęła opowiadać Dorocie o tym, co widziała. Wkrótce powrócił Dag, zapraszając je do stołu w drugiej izbie. Dorota szła pierwsza, za nią Teresa, objąwszy mocno ramię Daga.

– Jakże się ze wszystkiego cieszę – powiedziała.

Stare powieźdzenie mówi, że kto chce prowadzić gospodarstwo wiejskie, musi wychować się na wsi. Nie było chyba nikogo z Björndal, kto by się spodziewał, że taka wytworna pani z miasta będzie miała dostatecznie sprawną rękę, aby gospodarować. Ale inaczej jest z ludźmi pojętymi. Przystosują się i nauczą przez jeden rok więcej, aniżeli inni przez całe swoje życie. Była stworzona do pracy i do rządzenia. Posiadała poza tym ogromne zapasy energii, której dotychczas nie mogła wykorzystać.

Wkrótce już dało się odczuć, że we dworze jest kobieta, i to dzielna kobieta. Najpierw uwidoczniło się to w kuchni, w zmianie jedzenia. Kucharka gospodarująca tam w ostatnim roku była kobietą starą i niedbałą. Robotę tylko zbywała. Często jedzenie bywało źle przyrządzone lub nieświeże. Ale narzekanie na nową gospodynię nie zdało się na nic. Dobre jedzenie jest bardziej przekonujące aniżeli złe słowa. Ludzie szybko nauczyli się cenić swoją nową panią. Wyrzekania starej kucharki na jej surowość i wymagania sprawiły tylko tyle, że do nowej pani odnoszono się z jeszcze większym respektem. Opowiadania zaś, że w kuchni bije po twarzy na prawo i lewo, przyjmowano tylko ze śmiechem.

Teresa nie ograniczyła się tylko do interwencji w kuchni. Pojawiała się o każdej porze dnia w stajni, w oborze. Jakkolwiek nie wtrącała się od razu do każdej roboty, ludzie poczuli się niepewnie, zdając sobie sprawę, że lenistwo i niedbalstwo obecnie nie popłaci.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Z osiedla zaczęły przychodzić do dworu kobiety. Teresa dziwiła się, że gdy wchodziła do kuchni, kobiety podnosiły się nieśmiało i nisko się kłaniały. Skinęła im głową i zaraz pospieszyła do Daga. Wpisywał różne liczby do swych ksiąg.

– Przyszło tak dużo kobiet – powiedziała mu. – Czego one chcą?

– Zbliżają się święta – odpowiedział po prostu.

– Tak, ale po co ci obcy ludzie tutaj przyszli?

Dag zapomniał powiedzieć żonie wiele rzeczy. Odłożył pióro i podniósł się.

– To nie są obcy ludzie. Jest tu taki zwyczaj, że przychodzą, aby pomagać przy przygotowaniach świątecznych i przy innej w tym okresie pracy.

– Ależ to bardzo dużo rąk do pracy – zauważyła niepewnie.

– One przynależą tutaj – powiedział Dag.

– Ależ one mieszkają w osiedlu! – rzekła Teresa, nic nie rozumiejąc.

– One chyba pochodzą z gospodarstw w dolinie.

– Tak – Dag patrzył poważnie przed siebie – ale widzisz, wszystkie te gospodarstwa i grunty również przynależą tutaj.

– Przynależą! – Teresa zdziwiła się zaskoczona. – Czy chcesz przez to powiedzieć, że stanowią naszą własność?

– Od dawien dawna całe osiedle Björndal jest nasze.

W Teresie odżyło niejasne wspomnienie. Pewien pastor opowiadał jej kiedyś o imieniu Dag. Kryło się za tym więcej, niż przypuszczała. Zatrwożyła się. Przywiozła ze sobą wiele, bardzo wiele talarów, ale posiadać domy dla tych ludzi było dla niej więcej niż bogactwem. Popatrzała uważnie na męża i odeszła, ale przy drzwiach zatrzymała się.

– Tak. Zbliży się Boże Narodzenie. W domu także urządzaliśmy uroczystość świąteczną, ale tutaj zapewne są inne zwyczaje?

– Tak, to możliwe. Czy Ane Hamarrbö już przyszła? Opuściła ją odwaga. Za dużo wszystkiego naraz.

– Poznasz Ane po jej wzroście. Jest wyższa od innych kobiet. Gdy przychodzi Ane, wtedy nadchodzą święta. Dopóki Ane nie przybędzie, nie wolno palcem ruszyć! O ile wszystko ma pójść dobrze – dodał z uśmiechem.

– Czy to niebezpieczna osoba?

– Nie... – odpowiedział z wahaniem. – Nie jest niebezpieczna, ale tutaj we dworze wszyscy jej słuchają. Jeszcze zanim ja się urodziłem, Ane kierowała przygotowaniem do świąt Bożego Narodzenia. Robi to zresztą już od osiemdziesięciu lat.

– Od osiemdziesięciu lat? – zawołała Teresa. – To ona ma chyba ze sto lat!

– Taka stara chyba nie jest, ale dziewięćdziesiąt na pewno przekroczyła i cieszy się doskonałym zdrowiem.

– I ona ma tutaj rządzić? – głos Teresy brzmiał ostro. Dag popatrzył na nią.

– Uważają, że tak jest najlepiej.

– Dlaczego? – Teresa chciała wiedzieć. To wszystko wydawało jej się nader dziwne.

– Takie są stare obyczaje – wyjaśnił Dag z poważną miną. – Należy na tyle rzeczy uważać, trzeba wszystko zacząć właściwego dnia. Wszystko, co żyje na ziemi i pod ziemią, musi być właściwie traktowane. W okresie świąt Bożego Narodzenia działają różne złe siły.

– Ależ to są przesady! – powiedziała przestraszona Teresa.

– Cóż my o tym wiemy? Pewnego razu, gdy Ane zachorowała i nie mogła przybyć, piwo przygotowane na święta skwaśniało. Świece nie chciały się palić, syczały i gasły. Działy się jeszcze inne rzeczy, których już nie pamiętam.

Teresa czuła się bezradna. Ale Dag tłumaczył jej, że znajdzie tutaj wiele rzeczy całkiem innych niż to, do czego była przyzwyczajona. Jeżeli pozwoli Ane w tym okresie zająć się wszystkimi sprawami gospodarstwa domowego, będzie mogła obserwować, a później przejąć je sama, kiedy Ane już nie będzie na świecie. Przyzwyczajonej do rozkazywania Teresie nie mogło się to podobać, ale musiała się przystosować. Wyszła z pokoju.

Przez chwilę Dag siedział zamyślony. Uśmiechnął się. Osi Teresę, żeby nie zadzierała z najniebezpieczniejszą osobą w osiedlu.

Stare, dobre obyczaje nie zejdą wraz z Ane do grobu. Zna przecież swoją Teresę i wie, że weźmie sobie za punkt honoru postępować zawsze zgodnie ze starymi zwyczajami, dopilnuje też, aby wszystko odbywało się przynajmniej tak dobrze jak za życia Ane.

To samo myślała Teresa, kiedy wchodziła do sieni po drodze do kuchni.

W tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe i do środka weszła stara kobieta. Postać wysoka i koścista. Ane Hamarrbö. Teresa poznała ją natychmiast.

Przez krótką, pełną napięcia chwilę mierzyły się wzrokiem: stara, która w życiu tylu ludzi stanowiła potęgę, respektowaną w całym osiedlu i znała każde urodzone w nim dziecko, i która od czasu dłuższego, niż ktokolwiek mógłby pamiętać, organizowała wielkie uroczystości na Björndal – i nowa pani, która nie znała nikogo, ale która miała tutaj rządzić, być może, jeszcze wiele lat po śmierci Ane.

Ane stała w świetle kominka, tak że Teresa mogła widzieć wyraźnie część twarzy nie zakrytej chustką. Twarz ta wyglądała jak zrobiona ze starej stwardniałej skóry. Była nieruchoma, tylko oczy świeciły niebiesko i przenikliwie w cieniu chustki. Teresa przyglądała się jej z ciekawością, lecz zaraz zauważyła, że sama też znajduje się pod baczna obserwacją. Podeszła do Ane i podała jej rękę. Wyciągnęła się ku niej sucha, twarda i zimna od mroźnego powietrza dłoń.

– Nie wiem – odezwała się Teresa – czy jako nowo przybyła moge powitać tu kogoś, kto od tak dawna mieszka w tym dworze.

Ane zdjęła chustkę z głowy i zaczęła ją powoli składać. Przez ten czas Teresa mogła się jej dobrze przyjrzeć – oglądała jej srebrne włosy, wciąż jeszcze falujące, jej pokryte bruzdami czoło, długi, zakrzywiony nos, jej zasuszone usta bez warg i pomarszczone, jak gdyby pozszywane licznymi ściegami, stanowczy podbródek, wystający mocno do przodu, nie przegrodzony, choć z wyraźnym dołeczkiem.

Twarzy, tchnącej taką powagą i takim spokojem, Teresa nie widziała jeszcze u żadnej kobiety. Ane wciąż milczała, więc Teresa zaczęła już podejrzewać, że jest głucha i niema...

Tymczasem Ane złożyła nareszcie chustkę i znów podniosła wzrok na Teresę. Przemówiła. Nie była to odpowiedź na słowa Teresy, mówiła teraz to, co myślała.

Widzę, że nie jesteś młodziutka.

Czegoś podobnego Teresa nigdy jeszcze nie słyszała. Nie wiedziała, czy się uśmiechnąć, czy też przyjąć te słowa z poważną miną. Staruszka nie zważała na jej zakłopotanie i mówiła, a raczej myślała głośno dalej.

– Tak. Silna kobieta była tutaj bardzo potrzebna. Mówiono mi, że jesteś energiczna. Bij ich. Im to potrzebne, tym leniuchom!

Teresie krew uderzyła do głowy. Więc już po drugiej stronie osiedla wiadano o tym, że kilka razy straciła cierpliwość i nie poskąpiła razów.

Staruszka myślała głośno dalej:

– Jeżeli wśród ludzi ma zapanować dawny porządek i ład, to musi rządzić ten, kto jest do rządzenia powołany. Mówiono mi, że dobrze karmisz ludzi, długo gotujesz mięso, nie dolewasz wody do zupy. Nikt ci za to nie będzie wdzięczny. Kto dobrze gotuje, ludzi sobie psuje. Dziewczyny wieczorami szyją sobie u ciebie koszule. Czyż nie mają wolnych wieczorów na Wielkanoc, Zielone Świątki i na Boże Narodzenie? Jeżeli chcesz, aby trudy twoje były owocne, musisz trzymać tych leniuchów stale przy wrzecie. Inaczej wygryzą cię z twego własnego domu, moje dziecko.

Przez całe swoje życie Teresa nie musiała słuchać tyłu nauk. Ale Ane dawała jej dobre rady, więc nie mogła się na nią gniewać; miała wrażenie, jak gdyby słuchała słów wypowiedzianych przez umarłych, słów słyszanych za czasów jej własnej babki, nie, chyba jeszcze dawniej, gdyż babka jej miałaby dopiero osiemdziesiąt lat. Doznawała czegoś niemal niesamowitego, słuchając głosu osoby, która żyła już dziesięć lat, zanim urodziła się jej własna babka. Ale nie słyszała jeszcze najważniejszego.

Ane Hamarrbö zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów i powiedziała:

– Jesteś już cztery miesiące lub więcej po ślubie, a wcale jeszcze nie zgrubiałaś w pasie. Jeżeli masz zostawić potomstwo, wykorzystaj czas, póki jesteś młoda. Wyobrażałam sobie, że dopomogę jeszcze tutaj przy porodzie, zanim mnie pogrzebią; nie godzi się więc, abys przespała czas na niczym.

Teresa nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby ktoś głośno mówił o takich sprawach: a jednak nie mogła się gniewać. Polubiła starą Ane. W jej twarzy było coś, co wzbudzało zaufanie, nie umiała jednak tego określić.

– Ane, czy nie chciałabyś się posilić czymś gorącym po tak długiej jeździe na mrozie? – zapytała Teresa, aby zmienić temat rozmowy.

– Zwykle częściej mnie zupa, ale ty tego nie mogłaś wiedzieć, toteż się nie odzywałam.

Teresa czuła się zawstydzona, ale nie dała za wygraną.

– Nie. O tym nie wiedziałam. Ale może byś chciała skosztować czegoś, co obecnie piją ludzie w mieście? To się nazywa kawa i cudownie rozgrzewa w czasie mroźnej pogody.

– Słyszałam o tym – odparła Ane. – Podobno jest okropnie drogie.

– Tak, owszem... – Teresa przyznała. – Aleja przywiozłam to ze sobą z domu.

– Tak, ludzie w mieście dogadzają sobie. Słyszałam o tym. Warto by chyba tego skosztować.

Teresa szła już do kuchni, ale naraz przypomniała sobie o wszystkich innych przybyłych kobietach. Zwróciła się więc do Ane z zapytaniem, co należało im podać.

– Wilki znajdują sobie żer – odparła. – Same dbają o siebie, kiedy przychodzą i kiedy odchodzą.

Teresa zrozumiała, że nie ma obowiązku wobec innych kobiet, i poszła zaparzyć kawę.

Gdy wróciła, Ane nie było. Teresa zajrzała do sąsiedniej izby. Siedziała tam wygodnie jak osoba od dawna zadomowiona. Teresa przyniosła ciastka i filiżanki. Ane śledziła bacznie każdy jej ruch.

– Widzę, że umiesz zabrać się do rzeczy. Upiekłaś także ciastka dla mnie.

Teresa pomyślała sobie, co by było, gdyby Ane wiedziała, że Dag i ona mają co niedziela kawę z ciastkami.

Oto nadeszła chwila, kiedy Ane po raz pierwszy w życiu piła kawę. Nie wiadomo, czy z wrażenia, czy też dlatego, że miała już słabą, drżącą rękę – była to długa ceremonia.

Kosztowała i doszukiwała się smaku raz i znowu, bardzo powoli.

Wcale nieza i dobrze rozgrzewa – powiedziała.

Ane nie mogła siedzieć bez końca nad kawą. Jednak kawa z ciastkami, jako coś dla niej nowego, mocno ją intrygowała. Chciała bowiem wiedzieć o kawie jak najwięcej, również to, w jaki sposób się ją przyrządza. Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat Ane Hamarrbø dowiedziała się o czymś nowym w sztuce kulinarnej, a pani na Björndal miała ją tego nauczyć.

Ane otrzymała obietnicę, że dostanie trochę kawy do domu, aby syn jej, stary Ørn, mógł również pokosztować.

Dzięki temu Teresa zyskała sobie potężnego sprzymierzeńca i dziękowała Bogu całe życie za to, że nie okazała Ane żadnego niezadowolenia z powodu jej bezpośredniej, nie przebiegającej w niczym mowy.

Dopiero gdy wyszła do izby sypialnej, Teresa zrozumiała, kogo jej Ane przypominała. Przypominała jej Daga. Powiedziała mu to. Spojrzał na nią zdziwiony.

– Ależ ty masz bystre oko – powiedział śmiejąc się – trzeba się mieć na baczności przed tobą.

Nie zrozumiała go.

– Masz rację. Mówią, że Ane jest ciotką mojego ojca, choć o tym nie trzeba za dużo opowiadać.

– Czy ona o tym wie?

– Na pewno. Ane wie wszystko o wszystkich z tak dawnych czasów, że nie sposób zrozumieć, jak ktoś może tyle spamiętać. Była obecna przy przyjściu na świat każdego dziecka, była przy każdym chorym, przy każdym łożu śmierci w okolicy, a przy takich okazjach wiele sobie ludzie opowiadają.

– Czy nie mogłabym z nią jakoś porozmawiać i nakłonić do tego, aby mi opowiedziała o tych rzeczach?

– Ona sama o tym zadecyduje. Jeżeli cię nie lubi, nie powie ci ani słowa. Będzie mówiła tylko „tak” i „nie”. Jeżeli cię polubi, miej się na baczności, bo ona używa różnych słów. Później, jeżeli będziesz jej ulegać, nabierze zaufania do ciebie i wtedy od czasu do czasu coś ci opowie. Nie każdemu i nie co dzień opowiada o tym, co wie.

Nadeszły święta. Rządziła Ane Hamarrbö. Od wczesnego ranka do ciemnej nocy ubijano zwierzynę i warzono, pieczono, szorowano i prano, jak gdyby nadchodził koniec świata. Święta obchodzono wówczas przez wiele, wiele dni i kobietom nie wolno było w tym czasie pracować, o ile nie chciały sprowadzić na siebie nieszczęścia.

Kobiety z osiedla i dziewczki folwarczne szły do pracy szeregami jak żołnierze. Parobcy zabijali niezbędne bydło i drób, przynosili wodę i drzewo, pomagali przy cięższych robotach. Nikt nie odważył się szemrać. Ane nie traciła słów na próżno. Oczy jej były wszędzie, palące i przenikliwe, jej kościste palce groziły. Więcej nie trzeba było. Miało się wrażenie, że koścista jej postać posiadała jakąś magiczną władzę nad ludźmi. Kto chciał się narazić na wstyd urodzenia dziecka bez pomocnej obecności Ane Hamarrbö? Kto miał człowieka uleczyć lub bydło uzdrowić? Czyż można więc być w złych stosunkach z Ane?

Dawno, dawno temu znalazł się ktoś, kto się sprzeciwił Ane. Nie zdarzyło się to już nigdy więcej.

Teresa robiła to, co i wszyscy. Słuchała Ane i dziękowała Bogu za to, że postąpiła tak mądrze. Jakże by dała sobie radę z tym wszystkim bez Ane Hamarrbö? Stałaby się pośmiewiskiem dla całej okolicy, także dla Daga.

W swojej izbie sypialnej zapisywała dokładnie co do dnia i godziny wszystko, co się teraz działo. Po babce swojej Teresa odziedziczyła starą książkę; na pierwszej stronie było napisane wielkimi, niezdarknymi literami: „Pieczenie, zaprawy, ekstrakty”.

W książce były jeszcze żółte, nie zapisane kartki – tam Teresa pilnie notowała to, czego się nauczyła.

Zdarzało się czasami, że nie zgadzała się z Ane. W niektórych rzeczach знаła lepsze sposoby, ale milczała. Pamiętała słowa Ane: „Musi rządzić ten, kto jest do rządzenia powołany”.

W czasie wszystkich posiłków Ane zjawiała się w izbie i jadła razem z Dagiem, Teresą i Dorotą.

Pewnego dnia powiedziała do Teresy:

– Palisz światło w swoje izbie aż do północy. Czy boisz się ciemności?

Teresa wiedziała, że niepotrzebne palenie świecy było wielkim grzechem, i tłumaczyła się tym, że zapisuje do książki wszystko, czego się teraz uczy w sprawie przygotowań świątecznych. Ane siedziała ze wzrokiem utkwionym przed siebie i długo nic nie mówiła. Teresę zdjął śmiertelny strach. Może jej się coś nie podobało?

Wreszcie Ane przemówiła:

– Umiesz więc również pisać? Tak.

Następnie Ane zauważyła:

Ten musi zapisywać, kto ma złą pamięć.

Teresa pomyślała sobie, że raz przecież będzie mogła próbować zmienić sąd Ane. Dlatego wyjaśniła jej, że nie pisze wyłącznie dla siebie, bo nadejdzie dzień, kiedy nie stanie ani Ane, ani jej. Wtedy może przyjdzie nowa pani i będzie z chęcią czytała z notatek Teresy, jak to Ane Hamarrbö przygotowywała święta gwiazdkowe.

– Myśli twoje sięgają daleko – powiedziała stara, spoglądając przed siebie niebieskimi oczami.

Po chwili nadszedł Dag. Gdy zjedli, Ane podniosła się i powiedziała do niego:

– Masz więcej rozumu w kwestii małżeństwa niż wielu z twoich krewnych.

Daga zmieszało to trochę, ale zrozumiał i spojrział ukradkiem na Teresę. Oczy ich spotkały się rozbawione.

Gdy święta Bożego Narodzenia nadeszły, praca dla kobiet z osiedla skończyła się. Wróciły do domu, niosąc ze sobą resztki mięsa pozostałego z uboju. Ostatnie dni pracowały już tylko te kobiety, które na stałe należały do dworu. Ane miała pozostać do ranka wigilijnego. Na Hamarrbö jest dosyć rąk do pracy – mówiła. Teresa nie wątpiła, że ręce te pracowały, tak jak je tego nauczyła Ane.

12

Teresa, a jeszcze bardziej panna Dorota, dziwiły się, że od czasu, gdy mieszkały w Björndal, nikt jeszcze nigdy nie pojechał do kościoła. Pewnego wieczoru, trzy dni przed Bożym Narodzeniem, Teresa spotkawszy w przedsionku Daga, zapytała:

– Pojedziemy chyba na pasterkę do kościoła?

Na ręce miała zimową odzież, którą wyjęła do wywietrzenia. Twarz Daga stała się nagle tak nieruchoma, a wzrok tak twardy, że Teresa przeraziła się. Głos jego brzmiał obco i ochryple, gdy po długiej chwili milczenia odrzekł, że Biblię i wszelkie tego rodzaju rzeczy mają w domu. Teresa czuła, że za słowami Daga coś się kryło, Dag nie był bezbożnikiem. Wiedziała to. Dlaczego więc nie chciał iść do kościoła?

– Ani Dorota, ani ja nie byliśmy tutaj w kościele. Cieszyliśmy się, że będziemy na pasterce powiedziała cicho.

Dag odwrócił się od niej i usiadł przy kominku. Oparł głowę na pięściach, które zacisnęły się aż do białości.

– Nie ma u nas zwyczaju jeżdżenia na pasterkę.

Teresa dobrze rozumiała, że najchętniej nie mówiłby więcej o tym. Choć sama była nieustraszona, nie chciała, znając jego charakter, sprzeciwiać mu się w niczym. Teraz jednak czuła, że musi go trochę nawrócić.

– Dlaczego nie ma u was tego zwyczaju?

Dag siedział bez ruchu. Nie przypuszczał, że nadejdzie taka chwila. Mógł coś wymyślić, ale Teresa nie da się zbyć byle czym. Dla niej i dla Doroty była to sprawa poważna. W ostateczności mogły pozwolić im pojechać, a sam zostać w domu. Ale nie miałyby żadnego słusznego powodu odmowy, chyba że opowiedziały o starej historii ze zbroją, ale o tym Teresa nie powinna wiedzieć, a już najmniej Dorota.

Można było wątpić, czy taki człowiek jak Dag mógł w ciągu kilkumiesięcznego okresu, jaki Teresa i Dorota spędziły na Björndal, poznać i zrozumieć umysły dwóch kobiet pochodzących z całkiem innego świata. Był jednak spostrzegawczy, w sprawach wielkiej czy małej wagi umiał zorientować się z wyrazu ich twarzy, tonu głosu i gestów, co już na Björndal widziały i słyszały, i co o tym myślały.

Owszem, poznał je. Ale poznać nie oznacza jeszcze chcieć naśladować, Dag zaś nie należał do tych, którzy dobrowolnie przystosowują się do nowych form życia. Siedząc przy kominku, myślał i zastanawiał się. Przeraziłyby się, gdyby im opowiedział o buncie przeciwko Kościołowi, datującym się od z górą stu lat. Nie mógł także opowiadać o ciągłych zatargach pomiędzy ludźmi z osiedla a mieszkańcami otwartej równiny. Wzbudziłoby to w nich nowe uczucie strachu, a dosyć się już bały starej zbroi pod pułapem i wielu innych rzeczy, które widziały lub o których słyszały. Nie należało przerażać ich jeszcze bardziej. Ciężkie to były dla niego chwile, gdy musiał wyjaśnić im to i owo, ale z tej sytuacji nie widział już żadnego wyjścia. Do kościoła nie pojedzie – powodów nie brakowało.

Nagle podniósł głowę, jak gdyby nasłuchiwał. Niezwykle wydarzenia ostatnich kilku miesięcy przesłoniły ową walkę wewnętrzną, jaką stoczył wczesną wiosną ze sobą, aby rozprawić się z Bogiem. Odtąd osiągnął pełniejsze życie; sądził przy tym, że w takich chwilach był skłonny trochę ustąpić; teraz wszakże zdał sobie przedtem nigdy jasno nie pojmował: kościół jest domem Bożym. Bóg miał słuszne powody ku temu, by tak srogo doświadczyć jego rodzinę. Wtedy nie myślał w ogóle o tym, by chodzić do kościoła. Słowa Teresy wydały mu się ostrzeżeniem od samego Boga.

Owego wieczoru w starej komnacie przeczytał coś, czego nie mógł objąć swoim rozumem. Teraz dopiero to pojął: występowanie przeciw służom Bożym jest ciężkim grzechem. Bóg pokazał mu to dziś niedwuznacznie. A jednak Pan był dla niego bardzo surowy, jeśli jeszcze tego wymagał. Jak mógł spojrzeć w oczy ludziom w kościele? Bo przecież wszyscy wiedzieli, jak jego rodzina ustosunkowała się do tej sprawy. Poza tym po raz pierwszy od owego zdarzenia w Böhle miał spotkać się z mieszkańcami otwartej równiny. Mogło to nosić pozory przeprosin nie tylko w stosunku do Boga, ale i do ludzi. Jakże się będą złośliwie uśmiechali, gdy zobaczą, że ci dumni i sztywni Björndalowie w końcu ulegli i okazali się zwykłymi, przeciętnymi ludźmi. I co na takie zerwanie z tradycją powie Ane Hamarrbö?

Była to prawdziwa, ciężka kara. Ale Dag miał teraz szacunek dla Boga. Widział w swym małżeństwie wolę Bożą. Stanowiło ono zarówno pomstę, jak i rehabilitację dla niego i jego rodu. Jeżeli teraz będzie się buntował, sprowadzi na siebie i na swoich bliskich klęskę i nieszczęście. Nie było innej drogi – musiał iść do kościoła, nawet gdyby na całe życie miał się okryć wstydem. Bo Pan jest zazdrosnym Bogiem – tak napisane jest w Biblii.

Dag podniósł głowę tak ciężko, jak gdyby czynił to po raz ostatni w życiu, i powiedział suchym, bezdźwięcznym głosem:

– Tym razem... pojedziemy.

Bez jakichkolwiek wyjaśnień wstał i poszedł do izby sypialnej. Teresa patrzyła za nim zadumana.

Tej nocy Dag długo nie mógł zasnąć. Ugiął się już raz przed Bogiem – ale w cztery oczy. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się w jego rodzinie, żeby ktoś się ugiął na oczach wszystkich. Bolało go to bardziej aniżeli najgłębsza rana.

Następnego ranka pierwszy raz od ożenku przypiął znów narty i podążył po świeżym śniegu do lasu. Jak bywało dawniej, również i teraz las podniósł go na duchu.

Gdy późnym wieczorem powrócił do domu, nie czuł już żadnego ciężaru był swobodny i pewny siebie jak za życia brata. Dookoła ust rysował się jak gdyby uśmiech, twarda twarz wyrażała spokój mocy.

Przywołał starszego parobka i powiedział mu parę słów. Parobek szybko zaprzągnął konia i wyjechał przez osiedle wprost do Hamarrbö. Przystawał przy każdej zagrodzie, gdzie były konie, i rzucał kilka słów. Powróciwszy do domu, udał się do drwalni, zabierając ze sobą jeszcze dwóch ludzi. Aż do późnej nocy łupali drzewo na łuczywo. W czasie posiłku Dag powiedział do Ane:

- Pojedziemy do kościoła na pasterkę.
- Dawno to już czułam – odparła krótko. Co przy tym myślała, tego z jej kościstej twarzy nie sposób było wyczytać.

Nadeszła pora wieczerzy wigilijnej. Wszyscy ludzie z dworu i majątku zebrali się w starej komnacie. Świeca Trzech Króli paliła się pośrodku długiego stołu, a dwie świece woskowe stały po obu stronach Biblii, która leżała otwarta przed miejscem Daga. Dag i Teresa siedzieli w dwóch wielkich fotelach, ustawionych w połowie długości stołu, zaś wszyscy pozostali siedzieli dokoła w głębokim uroczystym milczeniu. Dorota miała wrażenie, że znajduje się w kościele, gdy Dag czytał *Pismo święte*. Teresie niejedno wydawało się dziwne we dworze, szczególnie nie mogła pogodzić się z obecną rolą Daga. Ale najbardziej niezrozumiałe było to, że przestrzegali pobożnego zwyczaju, który – jak słyszała – miał bardzo starą tradycję, a mimo to nigdy nie chodzili do kościoła, chyba że byli do tego zmuszeni.

Po wieczerzy Dorota grała kolędy na szpincie. Śliczne, delikatne tony brzmiały tak nieziemsko pięknie, że nikt nie ważył się wchodzić do izby w chwili, kiedy grała. Również trochę śpiewała. Jakąś dziwną moc miała pieśń w tych izbach. Melodie te zapowiadały nowe życie, a dźwięki muzyki drgały niby światło gwiazdy w ponurych ciemnościach nocy.

Wszyscy udali się wcześniej na spoczynek, ponieważ mieli wyruszyć na długo przed świtem.

Była jeszcze czarna noc, gdy wstali. Dookoła kominka w sieni były rozwieszane futra i pledy, aby się nagrzały. W powietrzu unosił się ostry zapach starych skrzyń i ziół używanych do odstraszenia moli, a także zapach tłących się włosów, na futra bowiem spadały czasami strzelające z kominka iskry. Dag mruzczał, należało bowiem kłaść do kominka tylko sosnowe lub brzoszowe drewno: wtedy nie byłoby pryskających iskiei.

Z podwórza dochodziły odgłosy żywej krzątanimy, słyhać było stąpanie koni i dźwienzenie dzwoneków. Wszyscy wyszli w ciemną zimową noc. Teresa i Dorota zostały otulone w skóry niedźwiedzie, a nogi wpakowano do trzymających ciepło worków. Dag siadł wysoko z tyłu i wziął do rąk lejce. Za nimi uszykowały się jeszcze trzy pary sań z co ważniejszymi domownikami. Wszyscy trzymali sosnowe łuczywa zapalone przy ognisku w sieni. Teresa i Dorota miały również pochodnie, każda swoją. Zabrano też ze sobą zapas, aby zastąpić te, które się wypala. Siostry nie zdążyły się jeszcze dobrze usadowić, gdy sanie ostro ruszyły z miejsca. Szybko sunęły po śniegu, zostawiając za sobą smugi dymu. W osiedlu migotały wszędzie palące się łuczywa; z oddali dobiegał słaby dźwięk dzwoneków u sań. Im dalej jechali, tym więcej spotykali sań i coraz wyraźniej śpiewały dzwoneczki.

Na Hamarrbö czekały jeszcze dwie pary sań. Wsunęły się za ich sanie i Teresa oczom swoim nie wierzyła, gdy zobaczyła spiczastą twarz Ane, wychylającą się spośród futer. Dziwne. Ci z Hamarrbö także nie zważali na dawne obyczaje, i nawet Ane jechała do kościoła! Później Teresa zorientowała się; w osiedlu istniało tylko jedno prawo – wola pana na Björndal. Stary czy młody, kto tam rządził, miał posłuch. Teresa zauważyła dalej, że słowa starej Ane nie były cczą gadaniną. Miała swoje zasady i była konsekwentna. Powiedziała, że ten rządzi, kto jest do tego powołany. Gdy Dag rozgłosił, że pragnie jechać do kościoła ze świtą, z Hamarrbö pośpieszyli bez wahania.

Spokojnie i pewnie jechano pod górę na leśne stoki. Było teraz mnóstwo sań i głoś dzwoneków rozbrzmiewał dokoła.

Panna Dorota przytuliła się do swej silnej siostry i patrzyła na gwiazdy na niebie, które jak gdyby nieustannie sunęły razem z nimi. Pamiętała niejedną radosną jazdę do kościoła z uroczystości minionych lat, ale takiej nie przeżywała jeszcze nigdy. Oparła głowę na ramieniu siostry i spod przymkniętych powiek śledziła procesję gwiazd, podczas gdy głos dzwonnów to podnosił się, to opadał lub brzmiał melodią pieśni.

Naraz spokój się skończył. Dag mocno chwycił za lejce, krzyknął na konia i zjechali błyskawicznie w dół ku nizinom, wzniecając tumany śniegu i syjąc za sobą deszcz iskier. Wyjechali z lasu i Dag dostrzegł w oddali dwór w Borgland. Paliło się tam wiele pochodni, prawdopodobnie sanie wjeżdżały już w szeroką aleję. Oczy Daga zabłyśły dziecięcą radością. Zgodnie z tradycją nie wolno było nikomu wjeżdżać na drogę wiodącą do kościoła, dopóki sanie z Borgland nie przejechały pierwsze. W tych czasach szlachta i oficerowie byli wszystkim i nadawali piętno świetności i przywilejów królewskich okolicom, które zamieszkiwali.

Od lasu do zjazdu aleją na drogę było daleko. Dag postanowił osiągnąć zbieg alei i drogi, zanim dojadą tam sanie z Borgland. Aby ten wyczyn się udał, trzeba było niezmiernego wysiłku, ale Dag był człowiekiem szybkich decyzji. Czarny koń pomknął w szalonym galopie, zanim dźwięk dzwonnów i rozplómięte pochodnie zdążyły spłynąć na aleję z podwórza borglandzkiego. Na alei ci z Borgland musieli najpierw ochłonąć ze zdumienia, bo przecież było rzeczą niesłychaną, aby ludzie z lasów północnych uczestniczyli w jeździe do kościoła parafii.

Ludzie z najbliższych zagród obserwowali tę straszną jazdę, o której opowiadano sobie później jeszcze przez wiele pokoleń. Czegoś podobnego, jak te dwie rzeki sań płynące w ciemność w blasku rozpalonych pochodni i odgłosie rozspiewanych dzwonek – jedna z północy, druga z zachodu – jeszcze nigdy nie widziano. Był to wyścig szaleńców. Niech Bóg dopomoże ludziom i koniom, jeśli obie te rzeki wpadną na siebie.

Panna Dorota przytuliła się do siostry. Teresa krzyczała z całych sił, żeby Dag zwolnił. Lecz Dag stał za nimi w swej kurcie z wilczej skóry, niewzruszony, z twarzą jak gdyby wykutą z kamienia i niebezpiecznym uśmiechem w rozpalonym wzroku. Zbliżali się coraz bardziej, zdawało się, że ani siła boska, ani ludzka, nie będą mogły przeszkodzić zderzeniu się sań na rozwidleniu dróg.

Znowu rozległa się krótka komenda. Kary koń Daga rzucił się naprzód – jego kopyta niemal nie dotykały ziemi. Gdy pierwsze sanie z Borgland były już na szosie, minęły je w szalonym tempie sanie z Björndal. Bułany z Hamarrbö pozostawał nieco w tyle za koniem Daga. Ale konie z Borgland wjechały zaraz, wbrew dobrym, uświęconym tradycją zwyczajom pomiędzy sanie björndalskie. Słysząc było ostre głosy męskie, krzyki kobiet, trzask sań najeżdżających na siebie. Dag nie zwrócił na to uwagi. Jechał dalej, wzbijając tumany śniegu.

Tuż za sobą usłyszał sapanie zbliżających się koni. Uświadomił sobie, jak ciężkiego podjął się zadania. Wojskowe konie z Borgland były niebezpiecznym przeciwnikiem, zaś koń Daga miał już za sobą daleką drogę z Björndal, przy czym dużą jej część przebył w galopie. Droga została na Boże Narodzenie świeżo oczyszczona. Była, co prawda, wąska, ale dwie pary sań mogły się na niej zmieścić. Nie mógł też zatrzymać tamtych, gdyby chcieli wyjść do przodu. Nie miałby na to usprawiedliwienia. W tym samym momencie usłyszał za sobą rozkazujący głos:

– Z drogi, człowieku!

Dag wyobraził sobie, że musiał to być sam kapitan. Zjechał na bok. Mógł popędzić swego konia, ale uważał, że należało oszczędzać sił. Droga do kościoła była jeszcze daleka. Tuż obok Daga ukazał się łeb gniadego konia. Po budowie czaszki Dag poznał, że był to bardzo groźny przeciwnik. Blask płonącego łuczywa, trzymanego przez Teresę, wyraźnie przeszkadzał koniowi.

– Precz z łuczywem tam z lewej! – zawołał kapitan i Teresa spiesznie rzuciła je w śnieg. Koń z Borgland biegł teraz coraz żywiej naprzód. Dwoje ludzi, siedzących na przodzie, odwróciło się do Daga. Patrzyli na niego z wściekłością i oburzeniem. Tak, był to kapitan i jego żona, o której mówiono, że jest „zła”. Dag już ich nieraz spotykał na drodze. Jechali teraz obok i Dag rzucił okiem na tego, który trzymał lejce. Był to przystojny człowiek o ostrym, orlim profilu, prawdopodobnie jakiś porucznik. Łuczywo kapitanowej otarło się z sykiem o futro Teresy. Po raz pierwszy rozległ się na równinie rozkazujący głos Björndala.

– Precz z łuczywem tam na prawo! – grzmiał Dag, a kapitanowa rozdrażniona rzuciła łuczywo. Mimo woli oboje, dama i jej mąż, odwrócili głowy, patrząc na siebie oniemiały ze zdumienia. Na jaki to sposób przemawiania pozwala sobie taki prosty człowiek? I co za niezwykła siła w tym głosie!

Było to dopiero pierwsze spotkanie państwa von Gall na Borgland z Dagem Björndalem. Miało dojść między nimi jeszcze do dwu ważnych spotkań, ale o tym wówczas nie wiedzieli.

Jedne obok drugich, sanie sunęły dalej. Teresa skuliła się trwożliwie, kiedy ostre uderzenia kopyt tamtego konia dzwoniły niemal przy jej głowie. Ale teraz miała sanie i ludzi obok siebie. Wyprostowała się i nadała swej twarzy wyraz godności i dumy. Chyba też zła pani von Gall na Borgland i Teresa Björndal wykorzystały ten czas, aby kilku szybkimi spojrzeniami przypatrzeć się sobie nawzajem – nawet przy tym szalonym, zapierającym dech tempie jazdy.

Człowiek powożący saniami z Borgland naraz wykonał szybki manewr. Koń jego wyskoczył nagle do przodu, wyprzedzając konia Daga o całą długość. Pędził teraz przed siebie w tempie szalonego galopu, a równocześnie napierał na karego konia Daga, spychając w ten sposób jego sanie na zasypany śniegiem skraj drogi. Tak to sanie z Borgland były, jak zresztą zawsze, pierwsze na drodze do kościoła na pasterkę.

Ale za nimi, jak nieodstępny cień, pędził kary koń z Björndal. W tyle na saniach stał teraz całkowicie wyprostowany olbrzymi mężczyzna w kurcie z wilczej skóry. Oczy Daga nie były już wesołe – były zimne jak stal. W saniach znajdował się bat. Dag rzadko go używał, wydobył go jednak teraz.

Odsunął się z wolna od drugich sań. Znajdowali się na szczycie wzgórza opodal Voll, skąd można już było dostrzec kościół niby małeńkie światełko, zagubione w ciemności. Skąd droga biegła już bez żadnych zakrętów wprost do kościoła.

– Wolna droga! – zagrział Dag, popuszczając cugle.

Jednak sanie przed nim jechały samym środkiem drogi, uniemożliwiając przejazd. Zawsze panowie na Borgland jechali na czele sań udających się na pasterkę – byli zawsze panami tych okolic i ich szlachecką ozdobą. A teraz przybywał ten człowiek z lasu i nakazywał im zejść z drogi. Sanie z Borgland uparcie i niewzruszenie trzymały się środka drogi.

Dag znał doskonale swojego konia. Podczas wielu przejazdów do miasta w okresie ostatnich kilku miesięcy niejednokrotnie rozpędzali się, nabierając wcale przyzwoitego tempa. Znał go też jak samego siebie i wiedział, że po chwilowej uldze, na którą mu pozwolił, koń był znowu w doskonałej kondycji. Gdyby mógł teraz wyjść do przodu, pokazałby im, jak się jeździ! Ale droga uciekała, a kościół był już niedaleko. Uczciwie ich wyminąć było niemożliwe, a jak dokonać tego siłą? Bo on musiał ich minąć, musiał! Postanowił to sobie! Musi przyjechać pierwszy i pokazać, że nie tylko zmienia obyczaje w Björndal, ale także i na równinie, wierny tradycji swoich przodków i własnym obyczajom. W ten sposób, rozumował, ludziom odechce się dwuznacznych uśmiechów. Gdyby teraz dał za wygraną, mówiono by o tym w całej parafii na jego wieczny wstyd i znów wszędzie spotykałby się ze złośliwymi uśmiezkami. Ale jak ich wyminąć?

Już wiedział. Jak dobrze, że tak doskonale pamiętał tę drogę. Bo nawet w migotliwym świetle pochodni orientował się, gdzie się znajduje. Owszem, ryzykował życie, ale tu chodziło o coś ważniejszego niż życie. On musi wyprzedzić tamte sanie! Nieco dalej ziemia na skraju drogi opadała stromymi zboczami w dół i w tym miejscu pług na pewno zepchnąłby go za krawędzie, tak że żadne zapory śnieżne nie zatrzymałyby tam jego sań.

Owinął dwukrotnie lejce dookoła lewej ręki. Teraz oto zbliżał się ten odcinek drogi. Bat świsnął w powietrzu, jedno, jedyne uderzenie – i czarny koń jak strzała pomknął skrajem drogi tuż nad przepaścią. W ostatniej chwili Dag popędził jeszcze raz swego konia, który zaraz wyprzedził tamtego. W momencie mijania von Gallów sanie Daga zawisły na sekundę niemal całą połową nad czarną czeluścią, ale wszystko działo się z tak błyskawiczną szybkością, że nikt nie miał nawet czasu krzyknąć. Kiedy potem sanie Björndalów sunęły po drodze z niedoścignioną wprost szybkością, zimny strach ogarnął tak Teresę i Dorotę, jak i samych von Gallów. Dokonano niesłychanie zuchwałego wyczynu, o którym nie można było pomyśleć bez uczucia grozy.

Gdy zajechały sanie z Borgland, Dag już stał spokojnie, wycierając swego konia. Spotkało go śmiertelnie nienawistne spojrzenie, lecz Dag z niebezpiecznym błyskiem w oczach starannie i z niewzruszonym spokojem ścierał pianę ze swojego konia. „Takim sposobem – myślał sobie w duchu – zarówno Bóg, jak i ci z równiny otrzymają każdy to, co mu się należy”. Ale nie przyszło mu w ogóle na myśl, że nawet w kajaniu się przed Bogiem nie popuścił nic ze swej dumy.

Powoli nadjechały pozostałe sanie i wypełniły wolną przestrzeń przed kościołem. Dag oddał swego konia pod opiekę starszego parobka i spokojnym, pewnym krokiem wszedł wraz z Teresą i Dorotą do kościoła. Krótki wyścig ze śmiercią nie pozostawił żadnych śladów na jego surowej twarzy. Za nimi szli ludzie z Hamarrbö i wszyscy inni. Tak wielu było pobożnych, niezwyčajnych kościoła, że ostatni z trudem mogli się pomieścić.

Zaszły jeszcze dwa niesłychane zdarzenia. Po pierwsze – rzecz niewiarygodna! – pani von Gall, siedząca w stallach panów borglandzkich, odwróciwszy się do połowy, rzuciła szybkie spojrzenie w stronę, gdzie siedział Dag Björndal. Może chciała sobie utrwalić w pamięci twarz człowieka, który na chwilę zmusił ją do posłuszeństwa? Nie leżało w jej naturze kogokolwiek słuchać!

Drugie zdarzenie: pastor, pan Diderich, człowiek już stary, podszedł później do sań z Björndal i podał całej trójce rękę na pożegnanie, tak jak państwu na Borgland. W puszczy ofiarnej znalazł dzisiaj ciężką, złotą monetę. Wielka suma pieniędzy w jednej, jedynej monecie. Rzecz taka zdarzyła się po raz pierwszy za jego czasów, pierwszy też ci na Björndal przybyli do kościoła bez koniecznej potrzeby, a przy tym z tak wielką świątą. Na pewno między jedną rzeczą a drugą zachodził jakiś związek.

13

Wraz z Teresą i Dorotą przybyło do Björndal wiele dobrze załadowanych wozów. Nie pozostawiły nic. Zabrały to wszystko, co dom ich dzieciństwa uczyniło jednym z najbogatszych domów w mieście. Przywiozły nawet ze sobą wino i koniaki, które stały nie naruszone w piwnicach, w butelkach i beczułkach, od czasu śmierci ich ojca. Lecz w Björndal poszło wszystko inaczej, niż sobie to wyobrażała Teresa. Dom w Björndal był już całkowicie umeblowany i wszystko, co nadeszło z miasta, zostało umieszczone w spichrzach i na strychach. Z początku Teresa bardzo się tym martwiła, ale nie śmiała głośno o tym mówić.

Tego samego dnia, w którym Teresa przybyła do Björndal, przywieziono też ostatnią partię jej ruchomości, tym razem dwie skrzynie. Mniejszą wniesiono do izby przeznaczonej dla Doroty; większą, którą musiało dźwigać kilku ludzi, ustawiono w dużej izbie sypialnej, gdzie stały łóżka obojga małżonków. Dag ledwie spojrzął na skrzynię i nigdy nie zapytał, co się w niej znajduje. Stała pod ścianą. Była okuta tak dokładnie, że wydawała się cała z żelaza. Miała trzy bardzo solidne zamki, a na przodzie figurowało nazwisko Holder i *anno...*

Szpinet panny Doroty umieszczono w jednej z izb środkowych, w jej izbie zaś wszystko to, czego sobie życzyła. Urządziła się całkowicie według swego gustu.

Niejednokrotnie już Teresa zamierzała pomówić z Dagiem, czy nie dałoby się usunąć niektórych sprzętów, a na ich miejsce wstawić jej własnych mebli. Ale z czasem przekonała się, że na Björndal było niezmiernie trudno przeprowadzić jakieś zmiany. Wszystko musiało zostać po dawnemu. Nie odważyłaby się odzywać w tej sprawie.

Z czasem zrozumiała też, że wszystkie sprzęty björndalskie doskonale pasowały do izb, w których się znajdowały. Od czasu do czasu jednak smuciła się trochę, że nie mogła widzieć koło siebie na co dzień swych dawnych, ulubionych przedmiotów.

Wina i koniak ustawiono starannie w najciemniejszej piwnicy. Nigdy nie przyjeżdżali tu ani goście, ani podróżni. Pobudzających napojów, pochodzących z piwnicy Holderów, nigdy nie przynoszono na górę gwoli rozweselenia tych, którzy mieszkali w tym pełnym surowej powagi domu. Chyba też stąd pochodził ów dziwny nastrój, który jej się udzielał, ale dni miała tak zajęte, że na smutki i melancholię niewiele pozostawało czasu.

Posiadała wszystkie umiejętności potrzebne do prowadzenia gospodarstwa. Najstarsze niewiasty musiały jej opowiadać o pracach wyznaczonych kobietom z dworu. Raz po raz jechała też do Ane Hamarrbö i na wszystko miała zawsze otwarte oczy i uszy. Kto się chce uczyć, ten zawsze znajdzie sposobność, a Teresa nigdy żadnej nie zaniechała. Kobiety na folwarku mówiły, że Teresa była wszędzie: w kuchni, w spiżarni, w spichrzu, w stajni, w oborze, w chlewie, wszędzie jednocześnie! Wieczorami zaś kręciły się kołowrotki i czółenka chodziły tam i z powrotem – jak za dawnych dni.

Życie Teresy nabrało jeszcze innej treści. Minęła zima. Ożywcze tchnienie wiosny ogarnęło wzgórze – a wiosna sprawiała wielkie przemiany w dolinie björndalskiej, schowanej między osłaniającymi ją lasami. Dla Teresy zaś ta wiosna znaczyła wiele więcej niż wszelkie inne, które już minęły.

Pewnego dnia kazała się zawieźć do starej Ane, z którą pragnęła pomówić w cztery oczy. Kiedy od niej wychodziła, Ane wbrew swoim zwyczajom odprowadziła ją aż przed dom, przy czym ręce trzęsły się jej bardziej niż kiedykolwiek. Również oczy jej patrzyły cieplej niż zwykle. Gdy Teresa odjechała, Ane długo jeszcze patrzyła za nią, czy tylko bezpiecznie zjedzie ze wzgórza. Poza samą Teresą Ane była jedyną osobą, która wiedziała, że w jesieni na Björndal miało urodzić się dziecko. Jeszcze nigdy Ane nie czuła się tak pewna, kiedy chodziło o zabezpieczenie przyszłości jej świata, jak teraz.

Za czasów starej pani na Björndal, matki Daga, Ane zapraszano z konieczności w porze świąt gwiazdkowych, do porodu i w wypadku choroby, ale we wszelkich innych sprawach zupełnie ją ignorowano.

Za czasów młodej pani, żony Torego, nic się w tym względzie nie zmieniło. Żadna z nich nie pokazała się nigdy w Hamarrbö. Wolały się obywać bez jej rady i nie czuć na sobie wzroku, który śledził wszystko, co tylko czyniły.

A potem przybyła nowa pani – z pieniędzmi, władcza, łatwo rozdzielająca policzki. Ane sądziła, że nadszedł kres jej starych, z dumą wypełnianych obowiązków i że zostanie zlekceważona i zdana na samotność puste, czczej starości. A jednak udała się na okres świąteczny do Björndal, przygotowana na to, że spotka się z nowymi metodami, przywiezionymi z wielkiego miasta i że – gdy przybędzie – nikt nie pokwapi się, aby ją powitać. Ale postanowiła sobie, że wejdzie, a potem wyjdzie z podniesioną głową i że ta kobieta z miasta będzie musiała wysłuchać trochę gorzkiej prawdy.

W rzeczywistości jednak stało się zupełnie inaczej.

Poprzednie panie na Björndal nigdy nie zachodziły do kuchni w okresie przygotowań świątecznych, tymczasem Teresa przychodziła i bez słowa przylączyła się do pracy, wieczorami zaś przesiadywała do późna, aby zapisywać słowa, które w jej księdze pozostaną na zawsze. Rankiem w dzień wigilijny Ane otrzymała podziękowanie – chyba po raz pierwszy w życiu. Ale nie tylko to; dostała również piękny prezent. Była to chustka z białego jedwabiu, na którym panna Dorota wyszyła własnoręcznie piękne, rozkwitłe róże. Tę chustkę można było tylko schować, zbyt śliczna była, aby jej używać. Nigdy jeszcze Ane nie posiadała jedwabnej materii, toteż doznawała wielkiej radości za każdym razem, kiedy jej dotykała.

Jedwab tak cicho i miękko szeleścił pod jej stwardniałą ręką.

Potem Teresa wielokrotnie przyjeżdżała do Hamarrbö, aby zasięgnąć rady Ane. Teraz zaś przybyła z ważną nowiną o nowym życiu, i ona, Ane, pierwsza się o tym dowiedziała. Przy takiej pani Ane mogła spokojnie wyczekiwać dnia, w którym jej własne życie zagaśnie. Dzieło jej nie zaginie.

Tego samego wieczoru Teresa zwierzyła się Dagowi ze swego stanu. Skinął tylko głową milcząc. Potem podszedł do niej, objął ją za szyję i przyłożył swą twarz do jej twarzy, policzek do policzka. Zaraz jednak odstąpił kilka kroków i stanął z twarzą odwróconą przed jej wzrokiem. Jak wszyscy inni z jego rodu – nie umiał zdobyć się na kilka czułych słów i w takich chwilach był zawsze bezradny i zmieszany. Ale Teresa wiedziała, że nowina, jaką mu zdradziła, poruszyła go do głębi. Może dlatego też skorzystała z okazji, aby go o coś poprosić.

Powiedziała mu, że w czasie ostatnich nocy źle się czuła – co zresztą było prawdą – i że wyświadczy jej wielką przysługę, jeżeli każe wstawić do pokoju jej własne duże łóżko, które przywiozła z domu rodziców. To, w którym teraz sypia, jest krótkie i bardzo niewygodne.

Zdziwiła się niemało, kiedy się zgodził, a nawet zapytał, czy chce je mieć jeszcze tego samego wieczoru.

Nie, nie zaraz. Najpierw musi wszystko przygotować, ale z wielką przyjemnością wyszuka tymczasem swą wykwintną bieliznę. Należy do tego łóżka. Tego dnia nie będzie jeszcze gotowa.

Następnego dnia łóżko z domu Holderów stało już w ich izbie sypialnej. Było bardzo długie i szerokie, ozdobione wieloma misternymi rzeźbami. Z baldachimu zwisały proste miękkie zasłony z wyhaftowanymi na nich scenami rodzajowymi. Wewnątrz znajdowały się napęczniałe koldry puchowe i poduszki – wszystko w poszewkach z najszlachetniejszej bieli, z koronkami i ozdobną mereżką.

Teresa uważała, że teraz dopiero ma małżeńskie łożo. Była niezmiernie zadowolona, że znowu znalazł się przed jej oczyma znajomy przedmiot z domu rodzinnego.

Tymczasem jednak miały nadejść inne, ważne i doniosłe wydarzenia.

Pewnego razu w Borgland gościł pewien kapitan. Przybył w jakiejś misji o charakterze wojskowym i siedział tak kilka dni. Nazywał się Klinge. Słyszał, jak mówiono o Björndal, jak również i o tym, że obecna tamtejsza pani pochodzi z rodziny Holderów. Ponieważ kapitan był ongiś na wielu wesołych biesiadach u Holderów, poprosił o konia, aby odwiedzić państwa na Björndal. Von Gall przyjął tę prośbę z ponurą miną, lecz żona jego w zupełności aprobowwała zamiar kapitana. Powiedziała, że kapitan z pewnością chciałby się trochę przejechać i rozejrzeć w okolicy. Spodziewała się, że przywiezie ze sobą jakieś wiadomości o tajemniczym dworze na północy. W ten sposób zaspokoi swoją ciekawość. Klinge dostał więc konia i pojechał.

Serce Teresy zabiło żywiej, gdy go zobaczyła. Przynosił jej niejako pierwsze pozdrowienia z miasta, w którym wzrosła. Dag dobrze pamiętał orli nos należący do tego młokosa, porucznika, który w czasie owej pamiętnej jazdy do kościoła ścigał się z nim niezbyt uczciwie; stąd też spoglądał z pewną nieufnością także na kapitana Klingego. Ponieważ jednak zarówno Teresa, jak i Dorota przyjęły go bardzo serdecznie, ustosunkował się do niego z należną gościowi uprzejmością.

Klinge był wesołym człowiekiem i zwiedził kawał świata. Mógł wykazać się bliznami po ranach otrzymanych na wojnie w południowych krajach i w drobnych utarczkach ze Szwedami. Wiele widział, umiał również wychylić niejedną kielich za zdrowie swoje i innych. Przepijał ciągle do Teresy i do Doroty. Wypijał przy tym jeden kielich za drugim – Dag nie widział jeszcze nikogo, kto by potrafił pić w tak szybkim tempie.

W środku jakiegoś opowiadania kapitan nagle przerwał i z ogromnym zdumieniem rozglądał się po izbie. Potem wstał, zajrzał najpierw do starej komnaty, następnie do sieni i powiedział, zwracając się do Teresy:

– Wasze piękne meble zostały, zdaje się, na swoim starym miejscu.

Teresa rzuciła okiem na Daga. Widziała, że uwaga ta była mu niemiła, jakkolwiek uśmiechał się jeszcze po ostatnim dowcipie kapitana.

– O, nie – odparła – zabrałyśmy wszystko ze sobą, ale tutaj jest i tak dosyć mebli.

– W takim razie musicie powiększyć ten dom – powiedział wesoło kapitan.

– O tym mój mąż na pewno nie będzie chciał słyszeć – odparła Teresa, rzucając mu szybko spojrzenie.

Dagowi nie podobało się to. Twarz miał ponurą.

– Nie – powiedział. – Jest całkiem dobrze tak, jak jest. Kapitan zorientował się, że poruszył niebezpieczny temat, ale równocześnie nie uszło jego uwagi, że projekt ten zainteresował Teresę.

– Tak, oczywiście – przyznał – to jest ładny, piękny dom. Jednak ludzie często dobudowują nowe skrzydła, a przy tym żona pana zapewne przykłada niemałą wagę do tego, by mieć koło siebie swoje dawne, własne rzeczy. Czyż nie można wybudować nowego domu obok starego?

Twarz Daga nic nie wyrażała. Milczał.

– Mógłbym wam zrobić projekt takiego domu, jakie dzisiaj budują. Możecie się potem zastanowić – upierał się kapitan.

Dag uśmiechnął się i powiedział, że owszem, można projektować i namyślać się.

Gość uznał, iż w ten sposób sprawa została załatwiona, i przyrzekł, że sporządzi i przyśle plany, gdy tylko czas mu na to pozwoli. Po czym wesoły kapitan wychylił ostatni kielich i odjechał.

Panna Dorota nie potrzebowała wiele miejsca dla siebie na tym świecie. W czasie pierwszej zimy nieczęsto ją widywano. Zjawiała się w porze posiłków, ale zaraz potem znikwała. Wszyscy na Björndal byli ciekawi, czym się właściwie zajmowała. Z biegiem czasu najpierw jedno, a potem drugie dzieło artystycznie wykonanych haftów znalazło się w izbach, świadcząc, jakim to zajęciem, między innymi, poświęca dni. Czasami zaś przytłumione dźwięki szpinetu dochodziły z pierwszej izby do uszu pozostałych domowników. Dziewczyny służebne opowiadały, że panna Dorota ma u siebie w pokoju jakiś instrument podobny do lutni i że grywa na nim, równocześnie sobie przyśpiewując.

Poza tym wszystko, co robiła, było okryte tajemnicą.

Gdy przybyła do Björndal, oddano do jej dyspozycji izbę na piętrze, tuż przy schodach prowadzących na górę od tylnej strony sieni.

Dotychczas była to izba gościnną, której jedyne umeblowanie stanowiły stół, łóżko i piecyk żelazny, ozdobiony figurkami aniołków i innymi szczegółami.

Dorota radziła się Teresy, czy nie mogłaby wstawić paru własnych mebli do swej izby. Teresa nie umiała odpowiedzieć: w tej sprawie powinna zwrócić się do Daga. Było to jeszcze w pierwszym tygodniu ich pobytu na Björndal.

Dag nie miał nic przeciwko temu. Przeciwnie, przysłał jej Jörna Mangfoldiga, który wykonywał w Björndal wszystkie roboty ciesielskie i stolarskie i po którego posyłano zawsze, gdy trzeba było coś zmienić lub poprawić.

Jörn pracował w izbie Doroty kilka dni, Dag bowiem polecił mu wykonać jak najstaranniej wszystko, czego sobie panna Dorota życzyła. Do jej życzeń Jörn dorzucił jeszcze swoje własne sugestie i wtedy przedsięwzięto wielkie zmiany.

Przed wszystkim chodziło o okna. Dotychczas znajdowało się tam jedno małe okno, ponieważ izba była przewidziana tylko na noclegi, a nie na użytek dzienny. Jörn uważał, że należało poszerzyć otwór w ścianie i wstawić większe szyby, aby wpuścić więcej światła do izby.

Z następnym transportem z miasta przywieziono szkło. Jörn zabrał się do roboty, a panna Dorota musiała przez kilka dni spać gdzie indziej. Kiedy potem przyszła obejrzeć pracę Jörna, nie mogła wyjść z zadziwienia. Tak, Jörn, zanim przybył do Björndal, był już tu i ówdzie, niejedno widział i wiele się nauczył.

Kiedy zabrał się do wypiłowywania ściany, zauważył, że belki podłogowe wychodziły kawałek na zewnątrz – widocznie kiedyś planowano tu balkon. Jörn wypiłował więc duży otwór i wstawił weń drzwi z szklanymi szybami.

Niebawem Dorota miała balkon, balkon wiszący na ścianie niby gniazdko. Stamtąd miała daleki i rozległy widok na osiedle aż po Hamarrbö.

Następnie Jörn wyniósł z izby stare meble i z pomocą innych wstawił wszystko to, czego sobie panna Dorota życzyła.

Najpierw wniesiono wielkie, wspaniałe łóżko z rzeźbionymi nań kwiatami i figurami i z zasłonami z aksamitu. Było niesłychanie ciężkie, ale wreszcie stanęło na swoim miejscu. Potem przyniesiono coś, co panna Dorota nazywała sekretarzykiem i co zaopatrzone było w niezliczone szufladki, skrytki i drzwiczki. Potem przyszła kolej na komodę, dwa fotele, stolik i lustro w ramie tak dużej i szerokiej, że na samo szkło zostawało już tylko bardzo mało miejsca.

Na podłodze rozłożono dywany. Zawieszono zasłony i firanki nad oknami i drzwiami balkonu. Z jaką przyjemnością wydobywała potem panna Dorota różne ozdóbki z szufladek i skrzynek, aby je porozkładać dokoła. Dziewczyna, która u niej sprzątała, opowiadała, że w pokoju Doroty było tyle pięknych rzeczy: obrazy na ścianach, srebra, puzderka, czarki, biżuteria – że po prostu bała się w nim poruszać.

Nad łóżkiem panna Dorota zawiesiła dziwny przedmiot, przywieziony jej przez ojca z jakiegoś katolickiego kraju. Był to krucyfiks.

Figura Chrystusa była rzeźbiona z kości słoniowej, krzyż ze srebra, gwoździe i litery ze szczerego złota. Jedna z dziewczyn służebnych widziała raz, jak krucyfiks jarzył się w ciemności. W izbie stale unosił się zapach kwiatów. W kuchni mówiono, że w pokoju panny Doroty pachnie jak w letni dzień w ogrodzie.

Dorota dziękowała Bogu pokornym sercem za to, że użyczył jej tak miłego miejsca dla spędzenia reszty życia. W jednym ze swych puzderek przechowywała trzy ciężkie, złote monety, które dostała od ojca po jego powrocie z jednej z zagranicznych podróży. Chciała oddać jedną z tych monet w ofierze dziękczynnej, gdy po raz pierwszy pojedą do kościoła. Dlatego to pan Diderich znalazł tak niesłychanie wartościowy pieniądz w puszcze ofiarowanej po owej pasterce.

Zimą panna Dorota siedziała przy piecu nagrzanym szczapami brzozowymi i haftowała o świece. Gdy nadeszła wiosna, a później lato, zrozumiała, jak doskonałym mistrzem był Jörn Mangfoldig. Ile to razy wczesnym rankiem lub późnym wieczorem patrzyła z balkonu, zbudowanego dla niej ręką Jörna, na pełną uroku dolinę, szczęśliwa i zadowolona. W młodości doznała ciężkiej straty, ale jakże dużo zyskała teraz – myślała sobie.

Nadeszła jesień i pierwsze podmuchy zimy.

Ane Hamarrbö przybyła do starego dworu z Björndal. Nie ze względu na zbliżające się święta, ale z powodu mającego przyjść na świat dziecka.

Mijały dni i Teresa czuła się bardzo źle. Musiała zmobilizować całą swą wolę i siły, aby wytrwać do końca.

Właśnie w tym czasie nadeszły z miasta dokumenty: plany wraz z listem od kapitana Klingego. Nie zapomniał obietnicy, pisał. Ale miał z tym dużo pracy. Dziękował jeszcze raz za dzień spędzony z Björndal i nadmienił, że jeśli dostąpi zaszczytu służenia im radą, gdy rozpocznie się budowa – oczywiście, o ile zamierzą zrealizować projekt – będzie ogromnie uszczęśliwiony.

Dag skrzywił się. Miał kapitanowi za złe, że nie zdobył się na uprzejmość niepamiętania owej rozmowy na temat budowy. Ale Teresa niemal zapomniała o swoich dolegliwościach, kiedy zabrała się do studiowania tych pięknych rysunków i planów.

Jednak po kilku dniach poczuła się jeszcze gorzej i Dag, chcąc podnieść ją na duchu, powiedział jednego wieczoru, że mogą zaprosić kapitana na przyszłe lato i zacząć coś budować. Teresa była niezmiernie wzruszona tym wspaniałomyślnym ustępstwem, które – wiedziała doskonale – kosztowało Daga wiele samozaparcia. Śmiała się i płakała ze szczęścia, nie umiając wydobyć z siebie słowa.

Kilka dni później urodził się chłopiec.

Teresa doznawała dość dziwnego uczucia, ile razy pomyślała o tym, że twarde, lodowate ręce Ane Hamarrbö miały pierwsze dotknąć tej maleńkiej, ciepłej istotki. Ale wszystko poszło szybko i sprawnie, toteż kiedy cała przeprawa skończyła się szczęśliwie, dziękowała Bogu za to, że w tej okropnej chwili miała przy sobie tak umiejętną w tych sprawach osobę.

Do kapitana wysłano list. Poza uprzejmym podziękowaniem za plany zaproponowano mu, aby – jeśli mu tylko czas pozwoli – przyjechał do Björndal.

Zaraz w pierwszych dniach lata przyjechał kapitan Klinge, a z nim rozpoczęła się nowa era na Björndal. Kapitan chciał rozebrać niektóre stare budynki, lecz Dag stanowczo się temu sprzeciwił. W rezultacie więc nie wszystko poszło tak, jak sobie kapitan uplanował.

Budowali nowy dom. Przylegał do wschodniej, szczytowej ściany starego domu. Miał otrzymać duże okna i widne pokoje. Nie miał być smołowany, ale malowany, całkiem odmiennie od pozostałych budynków.

Dag dał swoje słowo, nie zgłaszał też żadnych obiekcji, jakkolwiek bynajmniej nie podobało mu się to, co się teraz działo. Przychodzili obcy ludzie, którzy wykonywali różne prace przy budowie. W końcu zaś zjawił się człowiek, który miał malować obrazy na ścianach wielkiej sali nowego domu. Od czasu do czasu kapitan musiał wyjeżdżać. Z ostatniej podróży wrócił z malarzem i jeszcze jakimś człowiekiem, który miał umieścić wielkie lustra pomiędzy oknami i udekorować cały pokój.

Na jesieni poprawił się humor Dagowi. Nauczył się grać w karty i spędził wiele wesołych wieczorów z kapitanem i inną kobietą.

Z początkiem zimy nowy dom w Björndal był już strychów i stodół przyniesiono i ustawiono meble Holderów. W sali umieszczono szeregami krzesła obite skórą, połączone i ozdobione wzorami oraz zawieszono wieloramienne kandelabry z mnóstwem świec, których blask odbijał się w zwierciadłach. Zawieszono też portrety ojca Teresy i jej dziadka, matki, babki i innych członków rodziny, a artysta, który dekorował ściany, namalował portrety Teresy i Doroty. Nie oddawały wprawdzie dokładnego podobieństwa, ale za to miały żywe kolory i złoczone ramy.

Meble Holderów nie zapełniły wszystkich pokoi, ale Dag nie chciał wydawać pieniędzy na nowe, więc Jörn Mangfoldig musiał sam je dorobić, kopiując wykwintne krzesła i stoły. Zabrało mu to dużo czasu, bo zagraniczne meble były robione bardzo fantazyjnie. Ale jego honor i dobre imię zostały wystawione na próbę. Ponieważ trwało to już bardzo długo, ludzie zaczęli przezywać go Jörn Enfoldig⁷. Wreszcie jednak nadszedł dzień, kiedy Jörn opanował tę trudną sztukę i wtedy z rąk jego zaczęły wychodzić jedno za drugim krzesła, a potem stoły. Nie były takie same, jak owe zagraniczne, ale wszyscy podziwiali artystyczne wykonanie, i Jörn odzyskał znowu swe miano Mangfoldig⁸. Nikt nie podejrzewał, że w tych krzywych, steranych od pracy palcach mogło być tyle zręczności.

Wiosną dom był zupełnie wykończony, ale jakoś nikt nie kwapił się do przeprowadzki.

Teresa nic nie mówiła. Dag również milczał.

Pewnego dnia, udając się na posiłek, Dorota spotkała Daga w sieni. Był w doskonałym humorze, a oczy błyszczały mu przekornie jak dwa chochliki.

⁷ Niedorajda

⁸ Obrotny

– Tak, w najbliższych dniach trzeba będzie przenieść twoje rzeczy do nowego domu – odezwał się do niej.

Ach, jakże smutno spojrzała na niego Dorota. Wiedziała, że to głównie Teresa nastawiała na budowę nowego domu, cóż więc miała teraz powiedzieć?

– Przygotowaliśmy dla ciebie ładną, widną izbę – powiedział Dag, a wesołe chochliki w jego oczach zamigotały żywiej.

Panna Dorota nie mogła już dłużej wytrzymać.

– Chciałabym pozostać w swojej starej izbie. Nie pragnę żadnej innej.

– Tak sobie zaraz pomyślałem!

– Więc mogę zostać?! – zawołała, umierając z niepewności. Spędziła niejedną bezsenłą noc, modląc się o to, by mogła pozostać w swojej starej izbie.

– Jeśli tylko sobie życzysz. My chyba też jeszcze się nie przeprowadzimy.

Tak więc nowy dom stał prawie pusty i nie zamieszkanym.

Wprawdzie gotowano w nowej, obszernej kuchni, a na piętro wprowadziło się kilka kobiet i dziewczyn ze służby, ale to było wszystko. Stara kuchnia, która była podzielona na dwie części i znajdowała się między sienią a nowym domem, została całkowicie wyprzątnięta i zamieniona na izbę mieszkalną. Jörn Mangfoldig dorobił do niej nowe krzesła według starych wzorów björndalskich, ponadto ławki, szafy, kredensy, jak też stoły z klapami do wydłużania. Z dawnej kuchni zrobiła się piękna izba.

Co jakiś czas Teresa udawała się do nowego budynku, aby dopilnować czystości i porządku. Czasami siadywała tam pośród swoich starych, znajomych mebli i szyla coś. Na wiosnę i jesień kazała tam zanosić krosna i kołowrotki, bowiem dzięki dużym oknom było tam bardzo jasno. Ale nawet ona nie chciała wyprowadzić się ze swojej izby sypialnej.

Wielką słabością Teresy była miłość do Daga. Wiedziała, że wolałaby, aby wszystko było dalej tak, jak dotychczas. Czuła się naprawdę szczęśliwa, że w tym względzie mogła respektować jego życzenia, sama nie tracąc niczego.

Teresa urządziła przyjęcie dla starego wuja Holdera, jego syna, kapitana Klingego i innych miejskich gości. Zaprosiła także rodziny z Böhle i Gistad i znajomych z dalej położonych gospodarstw. Była muzyka, śmiech i zabawa w nowym domu w wielkim pokoju. Dom więc nie stał całkiem bezużytecznie. Na Björndal nie brakowało teraz pokoi i goście z miasta i okolicy nie przesadzali bynajmniej opowiadając, jak imponujący jest dom björndalski.

Roboty leśne były regulowane stosownie do ogólnych warunków ekonomicznych i sytuacji światowej; jednak wszelkie inne prace kontynuowano w osiedlu pewnie i nieprzerwanie, z widocznym efektem. Czujne oko Daga nie zaniedbywało niczego.

14

W okresie pomiędzy zaręczynami a weselem Dag starał się doprowadzić do należytego porządku dwór i folwark. Ciągłe jednak powracał myślą do Torego, zastanawiając się nad tym, co on by powiedział o tych zmianach. Dag odnosił niekiedy wrażenie, że dwór został mu tylko na przelotną chwilę wydzierzawiony. Nie mógł po prostu uwierzyć, że on jest wyłącznym właścicielem dworu björndalskiego i przynależących lasów, pól i osiedla, uświadamiał sobie bowiem równocześnie, że tylko w niewielkiej mierze przyczynił się do jego świetności.

Kiedy się ożenił i nie czuł się już więcej taki osamotniony, zdawało mu się, że stał się bardziej dojrzały. Ale wciąż jeszcze miał wrażenie, że śledzą go czujne oczy jego przodków, którzy przed nim stoczyli długą i zaciętą bitwę, aby usunąć przeszkody, a następnie doprowadzić posiadłość do obecnego stanu i wreszcie zachować to wszystko, nad czym obecnie sprawował władzę pana i gospodarza. Z tej też niewątpliwie przyczyny nie ważyłby się naruszyć starych budynków ani niczego, co się w nich znajdowało. Małżeństwo i wpływ, jaki wywarły dwie osoby, które wprowadził do swojego domu, dopomogły mu znacznie, aby dotrzymać obietnicy zrzeczenia się myśli o zemście. Ale silny charakter nie znosi sprzeciwu. Ów duch oporu, wzmocniony tradycją wieków i stanowiący dziedzictwo Daga, nie mógł być pokonany naraz, w okresie krótkiego żywota jednego człowieka. Szuka sobie ujścia jak wtedy, podczas jazdy na pasterkę, Dag poddał się Bogu, ale równocześnie żywioł starego oporu zareagował na to z większą dzikością i gwałtownością niż kiedykolwiek przedtem. Jedno ślubowanie, jedno dobre postanowienie, powzięte pewnego dnia, nie wystarczy, aby pokonać na zawsze dawną zaczepność. Toteż Dag z czasem powróciłby do dawnego życia wewnętrznego i z najdzikszą rozkoszą puściłby folgę mściwym myślom, gdyby umysł jego i zainteresowania nie znalazły innego ujścia.

Do Björndal nadeszły dokumenty dotyczące udziału spadkowego Teresy i Doroty. Przesłano je do wglądu i podpisu. Dag zajął się tą sprawą w ich imieniu.

Chodziło o ogromne sumy. Wiele pieniędzy pozostało na razie na koncie księgowym Holdera, ale nie mieli ich do bezpośredniej dyspozycji. Dag musiał zwrócić się do Adwokata, miał zakupić dla niego akcje na różnego rodzaju nieruchomości. Poza tym do skrzyni Daga znajdującej się w piwnicy napływało coraz więcej talarów. Stopniowo zaczął zdawać sobie sprawę z tego, jaka to potęga rządzi światem. Wielki trud na twardej drodze zdobywania pieniędzy stał się teraz ujściem dla jego niespokojnego ducha. Prawdopodobnie też w związku z tym wielkim bogactwem, jakie wniosły mu obie siostry, był tak pobłażliwy dla Doroty, gdy chodziło o jej izbę, i zgodził się spełnić życzenie Teresy nalegającej na wybudowanie nowego domu.

Dwie siostry natomiast nigdy by nie przypuszczały, że wniosły ze sobą do Björndal niebezpieczną truciznę – truciznę pieniądza. Owszem, Dag był już przedtem wystarczająco bogaty i miał dość pieniędzy, aby doprowadzić do doskonałości dwór i osiedle, jak również podnieść wydajność pól i lasów – to wszystko posiadało wielką wartość potencjalną. Ale pieniądze Holderów były zbytkiem i jako takie – niebezpieczeństwem.

Pierwszy syn Teresy miał już trzy lata, kiedy urodziło im się drugie dziecko. Był to znowu chłopczyk i również tym razem przyjęła go Ane Hamarrbö. Pierwszy syn nosił imię brata Daga – Tore. Drugi otrzymał imię Dag. Chrzcziny obchodzono z wielką pompą przez trzy dni. Było mnóstwo gości z różnych stron. Działo się to zimową porą, przy bardzo ponurej pogodzie. Długo jeszcze opowiadano sobie o niezliczonej liczbie świec, które wypalono wówczas w Björndal. Ludziom w osiedlu bynajmniej nie zdziwiło się patrzeć na jarzące się wciąż od świateł okna.

Niedługo po chrzcinach nadeszła z Hamarrbö wiadomość, że Ane jest chora. Prosi Teresę, aby przyjechała do niej z młodszym dzieckiem.

Teresa pojechała tam natychmiast. Skierowano ją do izdebki, której progu jeszcze dotąd nie przekroczyła. Nie było w niej żadnych okien. Na kominku palił się słaby ogień, panowała prawie zupełna ciemność. W powietrzu unosił się ostry zapach ziół.

Gdy drzwi zamknęły się za Teresą, poczuła się nieswojo. Siedziała zupełnie sama w ciemnościach. Jeszcze bardziej przestraszyła się, gdy do uszu jej doszło jak gdyby westchnienie. Usiłowała wytłumaczyć sobie, że szmer ten pochodził zapewne z rozżarzonego popiołu na kominku. Naraz o mało nie upuściła małego Daga na podłogę. Usłyszała znowu westchnienie, ale tak dziwnie głębokie, że zdawało się pochodzić gdzieś z głębi ziemi. Przerazona rozejrzała się dookoła. Oczy jej przyzwyczały się już do ciemności. Po drugiej stronie kominka dostrzegła łóżko. Starym obyczajem Ane spoczywała w pozycji siedzącej na krótkim łóżku, a oczy oświetlone łuną żaru z kominka błyszcząły w ciemności jak gorejące węgle. Gładko wyprasowana chustka opadała jej na twarz, stare, pokurczone palce jak szpony drapieżnego ptaka zacisnęły się na krawędzi łóżka. Usta wyglądały jak wąska szpara, zaszyta nitkami licznych zmarszczek. Nos sterczał niby ostrze noża, a broda wystawała do przodu twarda jak skała.

– Dzień dobry, Ane! – przywitała ją Teresa. Wstała jeszcze dość wystraszona i podeszła do łóżka. – Słyszałam, że chorujesz.

Z piersi Ane wydobyło się znowu westchnienie niby z głębi otchłani. Zacerpnęła powietrza, a potem padły ostre słowa:

– To jest śmierć!

– Ach nie, nie możesz tak mówić – odparła Teresa, a oczy jej zaszklily się łzami.

– Jeżeli ktoś już do niczego się nie nadaje, powinien odejść – brzmiała odpowiedź.

– Ale jeszcze w czasie świąt gwiazdkowych czułaś się zupełnie zdrowa – odparła Teresa.

Ane milczała. Jej rozpalone oczy wlepiły się w Daga.

– Podaj mi małego! Popraw ogień na kominie! – rozkazywała, a głos był twardy i stanowczy.

Zdziwiona i równocześnie przestraszona Teresa podała dziecko Ane, która siedziała z podciągniętymi kolanami, sterczącymi spiczasto pod baranicą. Potem dołożyła kłód sosnowych do ognia i znów zajęła miejsce przy łóżku. Ane chwyciła malca swymi kościstymi i zakrzywionymi jak szpony palcami. Siedziała jak wielki ptak-drapieżca, zapatrzona w maleńką istotkę przed sobą.

Malec nie wydawał głosu, patrzył tylko na nią swymi dużymi, niebieskimi oczami. Ogień poruszony przez Teresę palił się żywiej, rzucając czerwony blask na Ane i rysując jej cień na ścianie. Wyglądał jak cień zwierzęcia. Kolana Ane zlewały się z dzieckiem i tworzyły grzbiet i zad, ciało jej i głowa – kark i łeb zwierzęcia. Wyginało kark i podnosiło łeb za każdym razem, kiedy płomienie wybuchały wyżej. Cień na ścianie rósł i zdawał się wisieć nad nimi niby groźba nieszczęścia. Teresa nie mogła oderwać oczu od straszliwego cienia – widok ten napawał ją trwogą.

Wzdrygnęła się na dźwięk głosu Ane. Ane patrzyła teraz tylko na malca; słowa jej również przeznaczone były wyłącznie dla niego.

– Ty masz krew... inny umrze. – Głos jej był głuchy, zabrakło jej tchu. Westchnęła głęboko i mówiła dalej: – Ty będziesz żył... a potomkowie twoi... zajdą tak daleko, jak tylko ludzie zajść mogą.

Jakieś wielkie, czarne ptaki zdawały się ulatywać z jej ust i znikać w ciemnościach.

Teresa słuchała z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, pochyliwszy się mocno do przodu, aby nie stracić żadnego słowa. Wychodziły z jej ust powoli i bezgłośnie i brzmiały jak słowa jakiejś starej bajki. Za każdym razem, gdy Ane łapała oddech, następowała długa pauza.

– Król poniósł klęskę... jego rodzina musiała uciekać, wszyscy... Niektórzy udali się na okrętach do obcych krajów, stali się tam wodzami... inni pociągnęli do lasów... Na północ, do Björndal, przyszedł on... pierwszy z twoich ojców... tam się osiedlił... Ludzie z Hamarrbö podpalili mu dom... on i jeden z jego synów... zdołali ująć przez płomienie i twardą stal... uszli... do lasów... Następnego roku spaliło się Hamarrbö... doszczętnie, do gruntu... – ze wszystkimi, którzy tam mieszkali. Nowy dwór stanął na północy... stoi od tego czasu.

Teresa patrzyła na cień zwierzęcia na ścianie. Poruszał się przez cały czas. Przy ostatnich słowach zwierzę dumnie podniosło łeb, po czym opuściło go z godnością i legło bez życia. Z ust Ane nie wydobyło się już więcej żadne słowo.

Teresa spojrzała na Ane i z głośnym krzykiem zerwała się z miejsca. Staruszka siedziała jak posąg, z głową opartą o tylną ścianę łóżka, jak zawsze wyniosła i pełna godności.

Teresa oswobodziła dziecko ze sztywniejących szponów. Trzymały dziecko jeszcze po śmierci jak swoją prawowitą własność.

Teresa kazała zaciąć konie i odetchnęła z ulgą, gdy znalazła się z powrotem w domu. Wbrew wszelkim zwyczajom kazała zapalić w sieni duże świece. Potem usiadła, trzymając w ramionach małego Daga i wpatrując się w niego bez przerwy, jak gdyby w obawie, że mu się stało coś złego. Ale on patrzył jej spokojnie w oczy, jak gdyby to, że Ane przy wymawianiu ostatniego w swym życiu słowa trzymała go w swych kościstych rękach i w nim utkwiała swe śmiertelne spojrzenie, było najzwyczajszą w świecie rzeczą.

Kiedy Dag zastał ją w sieni przy świecach i zobaczył jej twarz, powiedział tylko:

– Umarła?

– Tak. I mówiła tak dziwne rzeczy, że zapomniałam dać jej lekarstwo z francuskiego koniaku, które zabrałam ze sobą.

– A jakież to dziwy opowiadała?

– Ach! Jeszcze teraz przebiegają mnie dreszcze. Mówiła coś w tym sensie, że mały Dag będzie żył, a ktoś inny umrze. Potem coś o krwi, o jakimś królu i o krewnych tego króla.

Dag zaśmiał się krótko, ale oczy jego zachowały powagę.

– O ile wiem, Ane nie powiedziała tego dotychczas jeszcze żadnej kobiecie.

– Nie, ona mówiła to do małego.

– W takim razie do samego końca pozostała sobie wierna. Zawsze była zdania, że dzisiejsze kobiety nie są godne słuchania takich rzeczy. Jakkolwiek o tobie inaczej myślała, nie chciała się sprzeniewierzyć swoim zasadom. Więc opowiadała to chłopcu, ale tak, żebyś ty mogła słyszeć jej słowa.

Teresa była dumna z tego wyróżnienia. Nigdy nie słyszała od Ane miłego słowa; nie okazała jej też, jak zresztą nikomu, że żywiła wobec niej przyjazne uczucia. Szła swoją drogą jak pozbawiona uczuć istota, a przecież w ostatnich chwilach swego życia użyczyła jej możliwie największego zaszczytu, wyróżniając ją spośród wszystkich innych kobiet.

– Czy dużo zdążyła opowiedzieć? – zapytał Dag.

Teresa zdała mu relację z wszystkiego, on zaś kiwał głową przytakująco. Był zadowolony, że nie wyjawiała więcej. Ane mogła opowiedzieć wiele niepożądanych rzeczy, gdyby jej czasu zostało.

Dag był zatem ostatnim człowiekiem, który wiedział od niej o wszystkich tych sprawach. Od niego teraz zależało, co z tej wielowiekowej tradycji, przekazywanej z pokolenia na pokolenie, miało przejść do potomności.

– Czy to, co Ane opowiadała o pierwszym człowieku na Björndal, jest prawdą? – zapytała Teresa, patrząc Dagowi prosto w oczy.

Dag zauważył tylko, że gdyby brać poważnie wszystko, co zostało przez kogoś powiedziane, ludzie utrudniliby sobie niemało życie. Ale Teresa miała własny pogląd na tę sprawę i jeszcze tego samego wieczoru zapisała wszystko, co zapamiętała ze słów wypowiedzianych przez umierającą Ane.

Nie mogła doszukać się żadnego znaczenia w tym, co Ane powiedziała najpierw: że mały Dag miał „krew” i że „będzie żył”, podczas gdy „inny umrze”. Dag jednak rozumiał, co to miało znaczyć.

Słyszał już przedtem, że Ane powiedziała to samo o nim i o jego braciach – bracia jego zmarli, nie pozostawiając po sobie potomstwa.

Może dlatego Dag siedział wieczorem tak długo przy łóżku swego starszego syna i prawdopodobnie z tego samego powodu był odtąd bardziej pobłażliwy dla Torego, pozwalając mu iść swoją własną drogą już od wczesnych lat dzieciństwa.

Widocznie Dag wierzył słowom Ane więcej, niż się do tego przyznawał.

Ane miała uroczysty pogrzeb. Na stypę, która odbyła się na Hamarrbö, przybyli nawet sami państwo z Gammel-Björndal. Ane, choć surowa i nie znająca litości, była przecież obecna przy urodzeniu prawie wszystkich ludzi w osiedlu, była ich niezawodnym lekarzem i umiała zapobiec wszelkiemu złu. Nikomu nie chciało się zmieścić w głowie, że już odeszła. Każdy miał wrażenie, że Ane jeszcze powróci. Powoli zrozumieli, że ta postać wysoka i koścista już nigdy nie pojawi się na progu domu, nawiedzonego przez chorobę i nieszczęście. Ane Hamarrbö odeszła na zawsze – i ludzi w osiedlu ogarnęło uczucie pustki i nieznanego lęku.

Teresa dużo nad tym rozmyślała i kiedy zdarzyły się wypadki, że nowo narodzone dzieci umarły przez ignorancję lub zaniedbanie, zaczęła zdawać sobie sprawę, że Ane pozostawiła jej swoje dziedzictwo. Sama miała już pewne umiejętności w pielęgnowaniu chorych, poza tym wiele nauczyła się od Ane. O sposobach leczenia chorych uczyła się dawniej z notatek swojej babki, jak też z innych źródeł.

Tak więc Teresa zaczęła odgrywać wielką rolę w życiu mieszkańców osiedla. Zjawiała się wszędzie, gdzie przychodziła choroba lub śmierć, a wśród tych, którzy cierpieli niedostatek, rozdzielala odzież i jedzenie. Przywracała ludziom spokój i poczucie bezpieczeństwa. Cieszyła się szacunkiem od pierwszych dni swego pobytu, ale nikt nie wiedział, że posiadała tak wszechstronne umiejętności, i każdy – we dworze mieszkał czy w chacie – podziwiał, jak jedna osoba mogła wiedzieć i umieć tak dużo.

Teresa była teraz ciągle zajęta albo pracą we dworze, albo podjętymi przez siebie nowymi obowiązkami. Stąd w słowie, jak i w całym zachowaniu stała się szorstka i surowa. Tylko w ten sposób mogła opanować ogrom swoich zadań. Sama pracowała bardzo dużo, wymagała też dużo od innych. – Praca powinna być rozpoczęta, zanim zdąży wydać dyspozycje – powtarzała często. Ludzie mówili, że dokoła Teresy przez cały rok panuje taki ruch, jak zwykle tylko w czasie świąt.

I tak wzrastał jej wpływ i autorytet, a imię jej wymawiano w całej okolicy z największym respektem.

Często jeździła do kościoła, lecz za każdym razem, mimo całego swojego dlań szacunku, gniewała ją powolność i niezaradność starego pastora i chętnie, jak mówiła, przejęłaby na siebie choć część obowiązków w kierownictwie spraw domu Bożego.

Mimo tej ciągłej pracy i surowego stylu życia Teresa zachowała jedną wielką słabość – miłość do męża. Czymkolwiek miała się zająć, zawsze najpierw pomyślała o nim. Zepsułaby go w krótkim czasie, gdyby miał inny charakter. Ale Dag daleki był od tego. Zachowywał się tak, jak gdyby tego w ogóle nie zauważał. Poza tym musiał załatwiać swoje własne sprawy i szedł swoimi drogami. Był jedyną osobą, która wymykała się spod jej opiekuńczego skrzydła. Mało mieli czasu na rozmowy, ale nawet gdy zdarzyła im się jakaś wspólna wolna chwila, Dag niewiele miał do powiedzenia. Stawał się z czasem coraz bardziej małowówny. Zarządzał majątkiem pewną i silną ręką, a ponadto często udawał się do lasu na nadzór wyrębów albo na polowanie i nieraz całymi dniami nie pokazywał się w domu. Poza tym jeździł też do miasta i porządkował sprawy pieniężne – swoje, Teresy i Doroty. Inwestował kapitał w różnych przedsiębiorstwach, po trochu chcąc się tym sposobem lepiej zabezpieczyć. Miał dobre wyczucie dla tego rodzaju spraw. Wprawdzie srebra mieli już w Björndal dosyć, ale gdy zdarzała się okazja, kupował nowe i często przywoził z miasta ciężkie, szczerozłote łańcuchy i bransolety dla żony i Doroty.

Cieszyły się obie z tych dowodów pamięci. Jednak Dag prawdopodobnie miał jeszcze coś innego na myśli – złoto i srebro zachowuje zawsze swą wartość i może się przydać, gdyby czasy się zmieniły. Poza tym złoto i klejnoty dodają splendoru przyjęciom – o tym Dag również mógł być pomyśleć. Zresztą chętnie widział teraz gości, którzy wnosili dużo wesela. Oni sami również bywali zapraszani w gościnę, niejednokrotnie nawet do miasta.

Z miasta sprowadzono też krawca, który kiedyś szył dla ojca Teresy. Krawiec ten szył teraz Dagowi ubrania według mody panującej wtedy w wielkich domach.

Trzy lata po śmierci Ane Teresa wracała z osiedla z wizyty u chorego i nagle poczuła się niedobrze. Od siedmiu miesięcy była już w ciąży i tego samego wieczoru urodziła dziecko. Była to dziewczynka – przyszła na świat martwa. Teresa bardzo nad tym bolała i przez osiem dni nie opuszczała łóżka. Widziała w tym karę Bożą i przyjęła komunię, aby uzyskać rozgrzeszenie. Przez pół roku Teresa była nieco bardziej pobłażliwa dla ludzi, ale później wszystko szło starym trybem. Panna Dorota była bardziej przejęta tym nieszczęściem niż Teresa. W owym wyjątkowym okresie, kiedy Teresa łagodniej obchodziła się z ludźmi, panna Dorota odważyła się nawet ostrzec siostrę. Przestrzegając ją, że gdyby kiedyś spodziewała się dziecka, powinna bardziej na siebie uważać. Cała ta nerwowa bieżanina od jednej pracy do drugiej spowoduje tylko ponowną katastrofę.

Tak, Dorotę bardzo to dręczyło. Nie wyobrażała sobie większego błogosławieństwa na ziemi nad małą dziewczynkę, którą mogłaby ubierać i stroić i przy której przeżywałyby ponownie swoje dzieciństwo.

Panna Dorota była również tą osobą, która najbardziej dbała o małych chłopców. Rozumieli już wszystko, co się do nich mówiło, a co sobota po kąpieli wolno im było przychodzić do niej na górę. Dostawali tam łakocie i słuchali bajek, czasami również piosenek. W pokoju ciotki spędzali najszcześniejsze chwile w swoim życiu.

15

Mijały lata. Na świecie zachodziły zmiany, jednak w Björndal wszystko pozostało po staremu. Dag rzadziej jeździł do lasu, za to częściej do miasta. Miał teraz do załatwiania wiele spraw pieniężnych i majątkowych, musiał pilnować swoich udziałów w różnych nieruchomościach i inwestycjach. Ludzie zaczęli mówić, że ma spryt do interesów; mówili też, że w załatwianiu swoich spraw pieniężnych jest zanadto bezwzględny. W domu rządziła gospodarstwem Teresa, bardziej teraz łaskawa i wielkoduszna. Troszczyła się o ludzi, dbała o żywność i inwentarz. Wszystko przebiegało jak za dawnych dobrych czasów. Tak upływały lata.

Pewnego dnia do dworu przybyła jakaś kobieta z dość dużą dziewczynką. Chciała się zobaczyć z Teresą. Byłaby to rzecz zupełnie normalna, gdyby nie to, że nie przychodziły z osiedla. Mąż owej kobiety, trębacz Kruse, był na komornem daleko stąd. Mieli dziesięcioro dzieci, ta zaś dziewczynka była najstarsza z rodzeństwa. W domu panowała bieda. Dzieci wczesnie musiały iść w świat. Gdyby więc najstarsza córka mogła się dostać na naukę gospodarstwa do tak nadzwyczajnej gospodyni, jaką jest Teresa, pracować sumiennie i zyskać uznanie – byłoby im łatwiej ulokować później również pozostałe dzieci. Kobieta mówiła gładko niczym pastor. Nie można powiedzieć, żeby Teresa niechętnie słuchała o poważaniu, w jakim ją mają nawet w tak odległych stronach. Nie jest też wykluczone, że z biegiem lat zorientowała się co do stosunków, jakie panowały pomiędzy mieszkańcami osiedla björndalskiego a ludźmi z sąsiedniej parafii. Teresa nie miała nic przeciwko temu, żeby ta gadatliwa kobieta opowiadała dokoła, w jakim to wspinałym domu udało się jej ulokować córkę.

W ten sposób Krystyna Kruse jako dwunastoletnia dziewczynka przybyła do Björndal, kiedy Teresa od szesnastu już lat sprawowała tam swoje rządy.

Teresa szybko orientowała się, do czego ktoś się nadawał. U Krystyny musiała zauważyć coś wyjątkowego, bo wieczorami – wbrew zwyczajom – Teresa zwalniała ją wcześniej od zajęć, a wolne godziny dziewczyna spędzała na górze w izbie panny Doroty, która uczyła ją czytania i pisania. Może Teresa myślała też o tym, że siostrze przyjemnie będzie mieć kogoś, z kim mogłaby trochę porozmawiać; bo ona sama nigdy nie miała czasu.

Krystyna uczyła się artystycznego haftu, ponadto, jak mówić przyciszonym głosem, jak chodzić, jak stać i siedzieć inaczej niż zwyczajni ludzie. Uczyła się też odczuwać i myśleć tak samo sprawiedliwie i wspaniałomyślnie, jak panna Dorota.

Między Dorotą a Krystyną zawiązała się serdeczna przyjaźń. Dorota była niezmiernie uszczęśliwiona, że wieczorami miała do towarzystwa Stine, jak nazywano Krystynę. Niewielu było ludzi, z którymi mogłaby dzielić się swoimi myślami i wrażeniami. Egzystowała poza nawiasem życia, jak większość niezamężnych kobiet w owych czasach.

Wprawdzie w Bjørndal odbywały się przyjęcia i panna Dorota uczestniczyła w nich, ale ze spraw życia codziennego była całkowicie wyłączona. Od dzieciństwa przyzwyczała się do rządów Teresy, a tutaj także nie działało się inaczej. Owszem, w czasie posiłków mogła wymienić z siostrą kilka uwag, ale to trwało zawsze bardzo krótko, a poza tym duchowo nie miały ze sobą nic wspólnego. Między nimi nigdy nie mogło dojść do prawdziwej serdeczności.

Gdy Dorota spotykała Daga, miał dla niej zawsze kilka miłych słów. Chętnie by z nim porozmawiała, bo on także rozmyślał dużo nad różnymi rzeczami. Dobrze o tym wiedziała. Ale rzadko widywała go samego, a przy tym było w nim coś nieodgadnionego: jakaś nieśmiałość, a równocześnie jakaś niedostępna wyniosłość, co utrudniało zbliżenie. Dopóki chłopcy byli mali, miała w nich miłych towarzyszy. Ale nie mogła dzielić z nimi swoich myśli. Teraz byli już na pół dorośli, jej bajki już ich nie interesowały. Lubiła ich jak zawsze i oni byli dla niej uпрzejmi i grzeczni. Sam ich widok wystarczał, aby radowało się jej serce – mieli urodę i takie żywe usposobienie. Ale, niestety, nie mogła otworzyć przed nimi swoich myśli i swego serca.

I tak upływało życie panny Doroty. Nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzać, i głównie z tego powodu Stine stała się jej tak bliska. Niejednego wieczoru nasłuchiwała z niecierpliwością jej szybkich kroków na schodach i ostrożnego pukania do drzwi. A gdy wreszcie wchodziła do izby czyściutka i rozpromieniona, rada, że praca już się skończyła, Dorotę ogarniało miłe uczucie ciepła. Stine dzieliła jej zapał do pięknych robótek. Również w wielu innych rzeczach miały te same upodobania. Rozumiały się dobrze. Stine była tak pojętna, że Dorota mogła wyklądać jej swoje poglądy i opowiadać o tym, co widziała w świecie. Szczególną przyjemność sprawiało Dorocie wysłuchiwanie wszystkiego, co Stine widziała i robiła w ciągu danego dnia. W ten sposób mogła utrzymywać pewien kontakt z codziennym życiem we dworze.

Dorota zdobyła dla Stine oddzielną izdebkę. Jörn Mangfoldig zrobił dla niej odpowiednią małą szafkę. Otrzymał za to od Doroty srebrnego talara. W owych czasach było rzeczą nie do pomyślenia, aby dziewczynka służebna posiadała swoją własną izbę. Teresa nie miała wprost słów, gdy usłyszała tę propozycję. Jednak panna Dorota poruszyła tę sprawę umyślnie w obecności Daga, oczekując od niego poparcia. Nikt z całego domu, wyjaśniła, nie będzie Teresie tak pomocny na stare lata, jak Stine. Jest nadzwyczaj inteligentna, przyswaja sobie wszystko z łatwością. Po prostu rozsądek nakazywał, aby stworzyć jej odpowiednie warunki w tym domu. Na pewno to wyróżnienie nie uderzy dziewczynie do głowy – Dorota będzie już o to dbała.

Teresa mruczała coś pod nosem. Ale Dag orzekł, że Dorota ma bezwzględnie słuszość.

– Tereso, może nadejść taki dzień, kiedy będziesz zadowolona z jej pomocy. Ona jest młoda i prędką – tłumaczył jej Dag.

Myślał zresztą i o tym, że Teresa coraz bardziej tyła i że w przyszłości nie będzie mogła poruszać się tak swobodnie jak dawniej.

Zdanie Daga przeważało. Teresa już nie oponowała. Stine otrzymała izdebkę na górze w pobliżu Doroty. Ludzie we dworze zazdrościli jej tego wywyższenia, wiedzieli jednak, że jest pod opieką Teresy, i starali się nie dać tego po sobie poznać. Dorota czuwała nad tym, aby Stine pozostała zawsze skromna i pokorna. Ale dziewczyna nigdy nie uważała swego wyróżnienia za powód do zarozumiałości. Cicho i spokojnie uwijała się między ludźmi we dworze. Puszczala też mimo uszu wszelkie uwagi i docinki, jakimi jej od czasu do czasu dogryzali.

O dwóch chłopcach z Björndal można powiedzieć, że miłość do lasu odziedziczyli we krwi, toteż ciągnęło ich tam każdej wolnej chwili. Jako malcy towarzyszyli ojcu na polowaniu i zaledwie trochę podrośli – już umieli obchodzić się ze strzelbą. Teresa sprzeciwiała się temu, Dorota – bladła ze strachu. Dag tylko uśmiechał się zadowolony. Jeżeli mają stać się prawdziwymi mężczyznami, powinni nauczyć się znosić coś więcej niż huk wystrzału. I Dag postawił na swoim.

Gdy chłopcy byli mali, Dorota wpajała im trochę wiadomości, później zaś obowiązek ten spadł na nauczyciela, który przyjeżdżał co jakiś czas. Najczęściej jednak uciekali z lekcji, jak zwykle bywa z chłopcami. Pędzili czym prędzej do lasu na łowy.

Starszy z nich, Tore, pod wieloma względami przypominał swego zmarłego stryja, którego był imiennikiem. Miał szeroką, ciężką budowę i ciemną cerę. W oczach jego pojawiły się jednak jakieś obce błyski, a także w usposobieniu było coś odmiennego. „W żyłach jego płynie krew Holderów” – myślał Dag.

Zaledwie Tore skończył piętnaście lat, zaczął oglądać się za dziewczętami na folwarku, zdążył nawet niejedną wycaulować. Teresa, dowiedziawszy się o tym, odbyła poważną rozmowę z mężem. Sprawa ta leżała jej na sercu, użyła też wielu twardych i surowych słów. Dag zareagował na to tylko chłodem i zimnym spokojem. Ani on, ani nikt z jego rodziny nie zdradzał takich skłonności. Unikali dziewcząt, dopóki nie doszli do dwudziestu, trzydziestu lat, a nawet późniejszego wieku.

Widocznie chłopiec miał coś we krwi po ojcu Teresy, który od młodu podobnie sobie poczynał. Dag był o tym przekonany. Ale zatrzymał to dla siebie. Powiedział jedynie tonem, który zamykał wszelką dyskusję:

– To da się załatwić. Muszę się zastanowić. Potem powiem mu kilka słów.

I poszedł. Przypomnił sobie słowa starej Ane Hamarrbö. Według tego, co powiedziała, chłopiec prawdopodobnie niewiele lat życia miał przed sobą. Muszą być dla niego pobłażliwi jak długo jeszcze przeznaczone mu było żyć. Bynajmniej jednak nie był rad z tego, że jego własny syn wykazuje takie cechy charakteru.

Następnego dnia wezwał go do siebie. Powiedział mu, co o nim opowiadają. Chłopiec zaczerwienił się; ze wstydu nie mógł wydobyć głosu. Ojciec był dla niego najwspanialszym człowiekiem na świecie. Że też on musiał się o tym dowiedzieć! Nie mógł sobie wyobrazić nic gorszego.

– Nie wolno ci tak postępować. Takie dziecko jeszcze! – powie dział po prostu. – Zapanuj nad sobą, inaczej źle się to skończy.

Nie wiadomo, czy Tore trzymał się odtąd w karchach, czy też robił dalej to samo po kryjomu, w każdym razie ani matka, ani ojciec już potem więcej nie słyszeli, aby ich syn brnął dalej po tej samej drodze.

W Dagu ojciec widział dokładne powtórzenie swego własnego dzieciństwa. Dostrzegał w nim tyle własnych cech, że czasami wydawało mu się to wprost niepojęte. Jego chód, postawa, ruchy i sposób bycia stanowiły wierną kopię ojca, tylko chłopiec był subtelniejszy i łagodniej usposobiony niż ojciec, który wychowywał się w bardziej surowych warunkach i otoczeniu. Ale bynajmniej nie zbywało mu na odwadze. Niejednokrotnie napędzał wszystkim strachu, gdy zapuszczał się w las lask daleko, że nie zdążył wrócić na noc do domu. Był ciałem i duszą myśliwym. Nigdy nie wracał bez jakiejś zdobyczy: czy to ptactwa, czy zwierzyny. W czternastym roku życia pozostał raz przez trzy noce w lesie. Czwartego dnia powrócił, niosąc na plecach skórę niedźwiedzia. Ojciec Dag – tak go teraz we dworze nazywano – dumny był ze swego chłopca. Z trudem powstrzymywał łzy. Był dumny, gdyż chłopiec odziedziczył nieokiełznaną krew swoich przodków.

Ojciec Dag najpierw wytłumaczył synowi, jaką lekkomyślnością jest udawać się samemu na niedźwiedzia, a potem skarcił go w ostrych słowach za jego długą nieobecność. On i matka po pierwszej nocy nie zaznali chwili spokoju.

Dag postanowił wygarbować mu porządnie skórę, jeśli tylko wróci żywy i cały, w końcu jednak do tego nie doszło. Udzieliwszy mu swego surowego upomnienia, Dag nakazał mu, aby opowiedział dokładnie, co mu się przydarzyło.

Chłopiec położył najpierw skórę, potem grzebał palcami przy strzelbie i patrzył w ziemię. Wreszcie uniósł głowę, spojrzał ojcu prosto w oczy i odezwał się w te słowa:

- Twój ojciec również sam chodził na niedźwiedzia!
- Taaak – odpowiedział mu na to ojciec Dag, ukrywając rozbawienie
- ale nie był wtedy takim dzieciaczkiem jak ty.

Potem chłopiec musiał opowiedzieć, jak to było. Uczynił to w paru prostych słowach, ale z tych kilku zwięzłych zdań wyłonił się obraz małego chłopca natrafiającego na ślady niedźwiedzia tuż przy chacie Röisla i tropiącego go jak pies myśliwski – kosztem snu, bez kęsa w ustach, prawie całą noc i cały dzień – aż do chwili oddania strzału.

Dag sam położył swojego pierwszego niedźwiedzia, gdy skończył lat szesnaście. W sumie zabił ich siedem. Mógł więc z łatwością wyobrazić sobie, jak chłopiec przeprowiał się przez zręby skał, wspinał się po stokach wzgórz i szukał przejścia w gęstym lesie. Powiedział mu tylko:

– Umyj się i idź do kuchni coś zjeść.

Dag opowiedział potem Teresie, co ich chłopiec wyczyniał. Była pełna oburzenia i trwogi, ale i dumy.

Na zakończenie całej historii chłopiec musiał złożyć przyrzeczenie, że nie będzie już więcej nocował w lesie i samotnie polował na niedźwiedzia, dopóki nie stanie się dorosłym mężczyzną.

16

Z biegiem czasu ojciec Dag coraz rzadziej udawał się do lasu, aż w końcu zaprzestał zupełnie tych wycieczek. Częściej natomiast jeździł do miasta i po okolicy. Pieniądz wiele żąda od swego właściciela – zabierze mu nawet duszę, jeśli nie będzie na siebie uważał.

Adwokat poradził kiedyś Dagowi, żeby stopniowo wycofywał pieniądze ze swego konta u Holdera i lokował je w posiadłościach na wsi, najlepiej w okolicy własnego dworu. Człowiek powinien trzymać się wartości, na których się rozumie i które może mieć stale na oku. Dag pojmował siłę tego argumentu. Gdy kuzyn Holder, który już od dawna sam prowadził interesy, zauważył, co się święci, zaopiniował, że adwokaci nie są aniołami i że należy mieć się przed nimi na baczności. Na to Dag odparł z twardym uśmiechem, że on sam także nie jest aniołem.

Ciągle jeszcze w księgach Holdera figurowały znaczne sumy Björndalów. Wiele pieniędzy umieszczono jednak na rzecz udziałów oraz z tytułu hipotek w okolicznych folwarkach, nie wyłączając ziem na nizinie. Jego jasny, a bezwzględny umysł znalazł sobie dostęp do tych spraw, toteż ze swymi zdolnościami i doświadczeniem stał się z czasem doskonałym mistrzem w pomnażaniu swoich kapitałów. Prowadząc różne sprawy u swego adwokata, doszedł do zrozumienia prostego faktu, że droga pieniądza jest drogą bezwzględności, zaś ród, z którego pochodził, nigdy nie kierował się pobłażliwością, kiedy chodziło o wyegzekwowanie tego, co uważał za swoją należność. Toteż gdy dłużnicy przychodzili do Daga z prośbą o przedłużenie im terminu, odpowiadał tylko, że prawu musi stać się zadość.

Z upływem lat znów cień zimnego strachu padł na parafię z ponurego dworu na północy. Dag nie był dla nikogo niesprawiedliwy i względem nikogo nie postępował nieuczciwie. Ale nigdy nie odstępował od swego prawa i wymuszał dla siebie do ostatka wszystko, co mu się należało, bez względu na to, w jakim położeniu był dłużnik. Prawo działało jak ślepa machina i dlatego w ciężkich, krytycznych latach jedno gospodarstwo za drugim, a nawet duże folwarki, przechodziły na własność Daga.

I znów czarne konie z północy niosły zapowiedź nieszczęścia, a na odgłos ich kopyt każdy oglądał się trwożliwie jak przed zbliżającą się burzą.

Z osiedla także szedł ku Dagowi chłód. Stał się obcy. Słowa jego były krótkie i skąpe. Starzy ludzie utrzymywali, że jest jakoś dziwnie podobny do Ane Hamarrbö. Niektórzy nawet twierdzili, że duch Anny Hamarrbö wstąpił w niego po jej śmierci.

Od wczesnej młodości Dag żywił nieufność do mieszkańców otwartej równiny i do wszystkich obcych ludzi. Uczucie to wzmocniło się potem, gdy przyszło mu załatwiać z nimi sprawy pieniężne. Gdy chodziło o pieniądze, ludzie tak prędko ujawniali swój fałsz! Płaszczyli się przed nim, starając się równocześnie go oszukać. W rezultacie nauczył się patrzeć na nich w sposób właściwy bogaczom, którzy ze swego piedestału widzą człowieka zdegradowanego moralnie, upodłonego, nie dostrzegając, że jest on niejednokrotnie tylko ofiarą gorzkiej konieczności życiowej, jeśli nawet nie gorzej: łupem ich własnej chciwości.

Na twarzy Daga wyryło się stopniowo piętno nieufności. Patrzył na wszystko z boku, podejrzliwym okiem. Ponieważ przewyższał innych wzrostem, przy rozmowie pochylał głowę w dół, jednocześnie obracając twarz na bok. Rozmówca widział jedną, bliższą siebie brew uniesioną nieco do góry, tak że patrzące spod niej oko przybierało badawcze, surowe spojrzenie, podczas gdy drugie zerkano chytrze spod zwisającej kępki włosów tworzących drugą brew. Do tego dochodziła jeszcze stara blizna na skroni oraz usta, które wykrzywiały się nieprzyjemnie, zanim padła z nich odpowiedź dla wyczekującego petenta.

Trucizna pieniądza działała na niego tak silnie, że powoli zmieniła zarówno jego charakter, jak i wygląd zewnętrzny. Rzadko znajdował dla innych dobre słowo. Nie obchodziło go nic prócz pieniędzy i tego, co kosztowało pieniądze.

Co jednak myśleli o tym jego najbliżsi? Bo ci najczęściej nie widzą tego, co jest wyraźnie widoczne dla drugich. Zmiany bowiem, zachodzące w ludziach wraz z wiekiem, zaznaczają się tak powoli, że tylko człowiek o bystrym oku potrafi dostrzec je u tych, z którymi współżyje. Być może Teresa uświadamiała sobie, że Dag był bardzo skąpy dla ludzi z osiedla, ale kochała go nadal i umiała znaleźć dlań wytłumaczenie.

Zresztą niewiele miała czasu na to, aby zastanawiać się nad takimi rzeczami. Pomagała wszędzie, gdzie jej pomoc była najbardziej potrzebna. Odpowiadało to jej czynnej naturze bardziej niż rozmyślanie nad błędami innych. W rezultacie więc, gdy ludzie z osiedla mieli coś do załatwienia, zwracali się do Teresy.

Dag obojętniał dla spraw, które zachodziły w życiu codziennym dworu i osiedla. Coraz bardziej pochłaniał go jego nowy świat.

Każdy w rodzinie obracał się w swoim własnym kręgu. Chłopcy chodzili swoimi drogami, u Teresy każda godzina dnia była dokładnie wypełniona, a Dorota przeważnie przebywała w swojej izbie.

Mimo wszystko nawet w człowieku o najbardziej zatwardziałym charakterze tkwią także inne bardziej ludzkie uczucia. Dag nie czuł się zupełnie tym szczęśliwcem, za jakiego ludzie go uważali. Czasami, gdy wieczorami siadywał w gronie rodzinnym, zdarzało się, że podnosił głowę, odrywając się od swego zajęcia, i rozglądał się dookoła stołu. Z tak podniesioną głową wydawał się niby orzeł silny, lecz osamotniony, a oczy jego jak gdyby szukały czegoś straconego. Wtedy zdarzało się, że czyjaś inna głowa podnosiła się i czyjeś oczy zwracały się ku niemu: oczy panny Doroty. Na chwilę spojrzenia ich spotykały się, a potem oboje pochylali się znowu nad swoją pracą.

Pod ścianami starych budynków od strony południowej, gdzie grunt był pochyły i staczał się w dół ku dolinie, od dawnych lat kwitły róże. Za czasów Teresy przybyło ich więcej; sprowadzała je z Holandii i z innych krajów i teraz ogród róż był piękny jak bajka. W dni bezsłoneczne były to białe róże, bladobiałe i żółte, bladożółte i czerwone, przeważnie jednak różowe; kiedy zaś słońce wyłaniało się zza chmur, były to wspaniałe, lśniącobiałe róże, złociste, różowojedwabne i czerwone jak krew. Słodki ich zapach unosił się dokoła.

Panna Dorota chętnie przechadzała się po ogrodzie różanym w wieczornym słońcu. Siadywała na ławce w końcu ogrodu. Lato rozśpiewało się tam brzęczeniem niezliczonych owadów – od cienkiej, żałośliwej nuty komarów do basowego brzęczenia trzmieli. Pewnego dnia, gdy szła przez ogród, zatrzymała się zdumiona pośrodku ścieżki. Na ławce siedział ojciec Dag. Panna Dorota nie chciała przerywać mu spokoju wypoczynku i miała zamiar cicho cofnąć się i odejść. Odwrócił się jednak i skinął ku niej głową. Musiała więc usiąść obok niego na ławce. Jak to się stało? To było niepojęte, Dag objął ją swym pewnym, silnym ramieniem. Wzrok jego szedł daleko ku siniejącym teraz na wschodzie zalesionym wzgórzom.

Róże pachną dzisiaj tak słodko – odezwał się do niej. – Odbywasz swą zwykłą, wieczorną przechadzkę?

– Tutaj jest tak spokojnie – powiedziała tylko. Głos był cichy jak szept.

– Czy często żałujesz, że przyjechałaś tutaj? Panna Dorota przymknęła oczy.

– Nie – odrzekła. Nigdy tego nie żałowała; przeciwnie, każdego dnia i każdej godziny dziękowała Bogu i im wszystkim za to, że może tutaj przebywać.

– Jesteś ostatnio taka blada, czy masz jakieś zmartwienie? Dorota zaczerwieniła się. Nie mogła już powstrzymać łez. Dag zaś, zakłopotany, trzymał ją troskliwie i myślał o tym, co też jej mogło dolegać. A przecież przyszedł tutaj, aby z nią porozmawiać.

– Nie – odpowiedziała wreszcie, głęboko wzruszona jego troskliwością – nie mam zmartwienia. Wszystko jest tutaj takie piękne. Ale może nie czuję się tak jak dawniej – dodała zaraz. – Tutaj, w piersi, w okolicy serca, odczuwam częste kłucie i ciężko mi oddychać. Gdy idę po schodach, kręci mi się w głowie.

Czy to słońce zachodziło za krawędź zachodnich wzgórz, albo może skarga Doroty rzuciła cień na twarz Daga? Bruzdy na jego czole pogłębiły się.

– Może powinnaś poleżeć w łóżku – poradził, postanawiając sobie w duchu posłać kogoś do miasta po doktora.

Słońce zaszło już, kiedy się podnieśli. Krzewy róż pograżyły się w cieniu. Gdy szli przez ogród, Dag ciągle jeszcze obejmował Dorotę i raczej ją niósł, niż prowadził.

W porze letniej drzwi do sieni były stale otwarte dla dostępu powietrza i światła. Teraz zalegał ją szary mrok letniego wieczoru. Dorota zatrzymała się przy schodach prowadzących do jej izdebki i zwróciła się do Daga:

– W ostatnim czasie często myślałam o moim ojcu... i o tobie – powiedziała łagodnie. – Ojciec także był bardzo zajęty różnymi sprawami pieniężnymi... i zmarł nagłą śmiercią.

Dag wzdrygnął się. Domyślał się, co kryło się za tymi słowami. Po raz pierwszy zdarzyło się, że ktoś odważył się powiedzieć mu coś, co brzmiało jak wyrzut. Za każdym razem, gdy spotykał się ze wzrokiem Doroty, oczy jej miały jakiś dziwny wyraz. Miał wrażenie, jak gdyby to było współczucie, lecz nie mógł sobie tego wytłumaczyć. Zaczął więc przypatrywać się pilnie jej twarzy i wtedy zauważył cierpiący wyraz jej oczu. Postanowił porozmawiać z nią w ogrodzie. Teraz zaczynał rozumieć znaczenie tego spojrzenia. Twarz jego przybrała wyraz bardziej chytry niż zwykle i na ustach pojawił się krzywy, na wpół zakłopotany uśmiech, kiedy jej odpowiadał:

– Ojciec twój nie umarł z powodu pieniędzy.

Dorota stała ze spuszczoneymi oczyma i drżała na całym ciele, jak gdyby zbyt dużo wysiłku kosztowało ją, aby powiedzieć otwarcie, co miała na myśli, i przemoc ten obezwładniający strach, jaki na równi z innymi odczuwała przed Dagiem. Niemniej z odwagą, na którą osoby o subtelnej naturze zdobywają się niekiedy wobec siły onieśmielającej innych, panna Dorota powiedziała prosto i wyraźnie:

– Tak, Dagu. Mój ojciec nie dlatego umarł, ale... śmierć może zaskoczyć każdego z nas. Należy być zawsze do tego przygotowanym i nie oddalać się ciągle myślami w przeciwnym kierunku.

– Można się do tego przygotować, naturalnie, ale i troszczyć się równocześnie o inne sprawy – głos Daga był nieco urażony.

Tak jak i przedtem Dorota stała ze spuszczoneymi oczyma, ale oddech przychodził jej z trudnością. Musiała zebrać wszystkie siły, aby powiedzieć teraz to, co sobie już przedtem tyle razy postanawiała, na co jednak nie miała sposobności albo brakowało jej odwagi. Podniosła ku niemu oczy:

– Od pieniędzy serce staje się twarde!

Ludzie, którzy stoją jakby poza nawiasem życia i nie biorą udziału w pracy i rozmowach innych, mogą stać się bardzo uczuleni na drobnostki i wyciągać wnioski lepiej niż ci, którzy znajdują się w samym centrum. Dag czuł się zawstydzony wobec tego, co powiedział. Znał ją dostatecznie dobrze i wiedział, że za tymi bojaźliwymi słowami kryło się więcej, coś, czego nie śmiała nazwać po imieniu. Widocznie dobrze go poznała, lepiej niż mógłby przypuszczać. Jego obrażony ton znikł i z widocznym wysiłkiem starał się nadać siłę swoim słowom:

– Sprawiedliwy człowiek nie może uchylać się od swoich obowiązków.

W trudnej dla siebie sytuacji szukał oparcia w przykazaniach swego ojca.

Dorota postawiła już nogę na pierwszym stopniu schodów, lecz odwróciła się ku niemu i powiedziała cicho, ale dobitnie:

– Dagu, najwyższym obowiązkiem jest miłosierdzie! Następnego ranka znaleziono pannę Dorotę w łóżku nieżywą.

Cicho, tak jak chodziła po ziemi, przeszła do krainy śmierci.

Teresa była niepokieszona. Robiła sobie wyrzuty, że zaniedbywała ją za życia. Cały dom wraz z chłopcami i służbą pogrążył się w głębokiej żałobie. Najbardziej jednak śmierć Doroty dotknęła Stine, która wciąż zalewała się gorzkimi łzami i modliła się gorąco o to, aby i ona mogła umrzeć.

Panna Dorota została przeniesiona na cmentarz, odprowadzona przez tłum ludzi, którzy zebrali się z całego osiedla. A potem znów upływał dzień za dniem – jak zwykle. Lecz gdy nadeszła jesień ze swymi cieniami, ludzie twierdzili, że widzą pannę Dorotę chodzącą po ogrodzie jak za życia lub stojącą na swym wysokim balkonie i patrzącą w dal ponad dolinę i osiedle. Inni twierdzili ponadto, że w ciche wieczory słyszą, jak gra na szpincie.

Moce ciemności działają różnie na ludzi – jednym dodają odwagi i zachęcają do zła, innych zaś napawają trwogą.

Na równinie i dalej na południu wielu ludziom śmiertelny strach spędzał sen z oczu; myśleli nieustannie o kimś tam na północy, który trzymał ich w swej mocy. Inni, którzy nie byli jeszcze na jego łasce, również spędzali bezsenne noce w rozpaczliwej obawie, że przez zmianę właściciela ich weksli z tytułu długów hipotecznych mogą znaleźć się w żelaznym uścisku jego rąk. Jeszcze nigdy, nawet w owych dawnych czasach, ich strach przed tymi z północy nie był tak wielki, jak obecnie.

Po śmierci Doroty w Dagu zbudziło się coś, co odbierało mu sen w ciągu długich nocy. Ciemności nocne nie dawały zasnąć zarówno jemu, jak i jego dłużnikom. Na ich bezsenność działała ta sama przyczyna; bo pieniądź rządzi światem, tak biednymi, którym go brak, jak i bogatymi, którzy są jego niewolnikami. Słowa Doroty stale powracały – pamięć przywołała mu przede wszystkim jedno słowo, jej ostatnie: miłosierdzie. Choć tylko szeptem wyszło z jej ust, słowo to przemawiało doń wielkim głosem. Brzmiało mu w uszach tylko wtedy, gdy był sam – w ciemności nocy. W dzień nic nie słyszał. Było to jakby uroczyste, świąteczne słowo, którego nie godzi się słuchać w zwykły, powszedni dzień; z pewnością zaś nie godziło się ono z chwilą obecną. Teraz bowiem objął w pełne posiadanie cały majątek Doroty i musiał czym prędzej uporządkować wiele spraw, do których przedtem niechętnie się zabierał, potrzebując jej podpisu.

Dotychczas trzymał pieniądze Doroty na osobnym koncie, teraz wszystko połączył: bogactwo Björndalów i duży majątek Teresy i Doroty. Stanowiło to ogromną sumę, wystarczającą dla niejednego, aby żyć w spokoju i beztrójce, ale wystarczającą też, by stępić słowa Doroty i jego własne sumienie.

17

Kapitan Klinge, ten niegdyś tak wesoły pan, zestarzał się. Podagra i stare blizny – pamiątki z czasów wojny i młodości – dawały mu się teraz we znaki. Za często zaglądał kiedyś do kieliszka i pomimo dobrych kwalifikacji niezbyt gorliwie spełniał obowiązki związane ze służbą. Nie zaszedł dalej niż do stopnia kapitana, a niebawem w ogóle zwolniono go z wojska. Jego Królewska Mość łaskawie przyznał mu kilka marnych talarów emerytury, z której, według własnego uznania, mógł żyć albo umierać.

W domu wdowy po nauczycielu, Maren Jens, wynajął sobie pokój, w którym potem całymi dniami chodził tam i z powrotem jak zwierzę w klatce.

Uważał, że na świecie było teraz bardzo cicho. Ludzie tak jakoś sposepniali i chodzili jak mruki, nie umieli się już więcej cieszyć. Inaczej działo się w czasach, kiedy on był młody. Stary kapitan nie zdawał sobie sprawy, że teraz nad nim zapadła cisza. Wielu z jego przyjaciół nie żyło, a ci, którzy pozostali, nie przyjmowali go zbyt entuzjastycznie, gdy zjawiał się, aby pożyczyć sobie talara, bez którego musiałby chyba umrzeć z głodu. Nawet Barre, ten prawdziwy rycerz, jego najlepszy kolega ze służby i kompan od kieliszka, nie zdał się teraz na nic. Dosłużył się, co prawda, rangi majora, ale na tym też się zatrzymał. Także i jego przedwcześnie zdymisjonowano, zaś za kilka talarów emerytury, którą mu łaskawie przyznano, mógł tylko umierać z głodu. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, kapitan Klinge znajdował się w większej biedzie niż kiedykolwiek. Nie miał przy duszy nawet jednej marki, aby przeżyć jakoś te święta, przy czym na domiar złego surowa gospodyni groziła mu, że jeśli w czasie świąt chce mieć dach nad głową, musi jej dać jakąś zaliczkę na komorne.

Włożywszy więc swe wytarte palto, wziął łaskę do ręki i skrzypiącymi schodami zszedł powoli na swą codzienną przechadzkę po ulicach. Rozmyślał nad swoją sytuacją. Trochę prochu i honorowa kulka to też uczciwe rozwiązanie, nie gorsze od innych.

Tak, mogło dojść nawet do tego. Ale mimo wszystkich swoich wad nie był aż tak straconą duszą i bynajmniej nie mógł pogodzić się z myślą, że musi zbiec z pola bitwy, na którym przypadło mu walczyć. Czasy mogły się zmienić, bo przecież teraz były zupełnie zwariowane! Cisza, pustka, martwota – niepodobna, aby tale na zawsze pozostało. Wdowa musi mieć tyle chrześcijańskiej litości, aby pozostawić go w mieszkaniu przez święta. Ale co będzie jadł przez cały ten czas, zanim nastąpi kolejna wypłata? Czym będzie palił w piecu? Tytoniu nie zakosztował chyba już całe wieki, a kieliszek – to było już dziecinne marzenie, to było tak dawno temu...

Mróz szczypał go w uszy, oczy łzawiły. Musiał je bezustannie wycierać. Właśnie przyciskał do oczu rękawiczkę, gdy o mało nie przewrócił go jakiś ogromny, ubrany w wilcze futro człowiek, który wyłonił się nagle zza rogu z bocznej ulicy.

Obaj stanęli przyglądając się sobie. Kapitan pamiętał owe szczęśliwe czasy, kiedy pół życia wstecz bywał w wielkich domach. Tego człowieka poznałby wśród tysięcy. Nikt tak nie nosił głowy, nikt tak nie trzymał ramion, jak on. Ale kapitan patrzył w bok. Ten człowiek na pewno nie przyzna się do takiego biedaka jak on.

– Klinge!

Olbrzymich rozmiarów rękawiczka wystrzeliła ku niemu. Klinge popatrzył szybko na twarz w wilczych skórach. Oczy ich spotkały się i ręce wymieniły uścisk.

– Nie zapiera się pan starego człowieka? – powiedział kapitan, czytając z zawstydeniem w oczach Daga Björndala, iż ten domyślił się całej prawdy jego aż nadto widocznego nędznego stanu.

– Ależ nie, dlaczego?! – odparł Dag. Surowe oczy patrzyły ku niemu przyjaznym spojrzeniem. – Miałbym zapomnieć tak wesołego kompana?

Wiał zimny, dokuczliwy wiatr. Dag obrócił się trochę, aby osłonić kapitana przed silnymi podmuchami. Myśli jego pracowały gorączkowo to spotkanie obudziło w nim wiele wspomnień. Było mu jakoś dziwnie. W czasie tych świąt miejsce panny Doroty będzie puste. Kto wie, czy nie byłoby w myśl jej życzeń, gdyby ktoś zajął jej miejsce, ktoś, kogo to by cieszyło. Od czasu odejścia panny Doroty we dworze zrobiło się smutno i pusto. Tak! Musi spróbować. Zapytał najpierw kapitana, czy się ożenił, czy też jest wciąż jeszcze tym samotnym orłem. Otrzymałszy odpowiedź, wyraził żal, że musi nazajutrz wracać rychło rano do domu, cieszyłby się bowiem, gdyby kapitan zechciał mu towarzyszyć.

– Tak, owszem – odrzekł kapitan – z przyjemnością... naprawdę z wielką przyjemnością... odwiedziłbym znowu te strony, gdzie zawsze było tak wesoło.

– A może by pan mógł uporządkować dziś prędko swoje sprawy i przygotować się na jutro rano? – zapytał Dag.

– Hm, tak, mógłbym spróbować... prawdę powiedziawszy, nie byłoby to takie niemożliwe. Właściwie, jeśli się zastanowić, nic nie stoi na przeszkodzie, absolutnie nic.

Następnego ranka sanie ciągnięte przez karego konia wyjechały ciemnymi ulicami z miasta. Kapitan Klinge opatulony w pledy i skóry siedział obok Daga.

I tak stało się, że Klinge obchodził święta gwiazdkowe w Bjørndal. W tym czasie Dag mógł wyrobić sobie należyte pojęcie o środkach materialnych kapitana i jego rozpaczliwej sytuacji.

W święto Trzech Króli siedzieli sobie wygodnie przy kominku w sieni. Kieliszki były napełnione mocnym trunkiem, z fajek dobrze się kurzyło; Dag był w wyjątkowo dobrym humorze. Kapitan odkładał swój wyjazd z dnia na dzień, dziś jednak będzie musiał powiedzieć parę słów na temat powrotu do domu, toteż dotychczasowy wesoły nastrój opuścił go.

Wreszcie przemógł się i powiedział, że nazajutrz musi się ze wszystkimi pożegnać i wyjechać.

– Hm – odpowiedział mu na to Dag – gdyby pan mógł odłożyć wszystkie swoje inne sprawy i pozostać u nas, aby dopomóc mi przy pisaniu, moglibyśmy spędzić jeszcze parę ładnych i przyjemnych lat razem...

Klinge podniósł się. Zapatrzył się w ogień na kominku. Twarz jego była bardzo poważna. Dag jeszcze nigdy go takim nie widział. Kapitan Klinge był kiedyś bardzo dumnym wojownikiem, a teraz duma ta przełamywała się w nim. W głosie jego było nieledwie że łkanie, gdy odpowiedział Dagowi, dziękując mu za szlachetną propozycję, że właściwie byłoby to o wiele za dużo, tak, o wiele, wiele za dużo, aby on, obcy człowiek, mógł ją przyjąć.

Dag nie odpowiedział zaraz, pozostawiając zarówno Klingemu, jak i sobie dość czasu do namysłu. Bo on również musiał zastanowić się nad tymi dziwnymi uczuciami, które odzywały się w nim od czasu śmierci panny Doroty. Gdy odpowiedział, kapitan mógł wyczuć w jego głosie, że myśli poważnie o tym, co mówi:

– Musi mi pan wyświadczyć tę uprzejmość, mam bowiem jeszcze wiele innych spraw do załatwienia, nie tylko prowadzenie ksiąg. Poza tym znajdzie się dla pana niejedna inna praca. Widzi pan więc, że proszę go w swoim własnym interesie.

Kapitan nie miał właściwie wyboru. Skończyło się na tym, że na razie zgodził się zostać. W ten sposób kapitan Klinge zamieszkał w Björndal.

Załatwienie tej sprawy dawało Dagowi potrójną korzyść. Po pierwsze miał już teraz jakieś usprawiedliwienie dla siebie wobec owych ostatnich słów Doroty; po wtóre zyskał potrzebnego sobie sekretarza, a wreszcie – nie każdy mógł się pochwalić, że ma w swym domu kapitana. Być może, iż poza tym zdobywanie pieniędzy stało się dla Daga już tylko nawykiem i miał już tego dość. Zresztą pragnienie władzy może występować pod rozmaitymi postaciami. Posiadać kapitana – było niemałym dowodem władzy, niechby to nawet był tylko upadły kapitan.

Lata mijały.

Pewnego wiosennego dnia, gdy po krótkotrwałej cieplejszej pogodzie przychwycił znowu mróz, Teresa poślizgnęła się na gołoledzi i całym swoim wielkim ciężarem upadła na ziemię. Od tego czasu nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Sprowadzono z miasta lekarza, ale żadne krople ani sztuki nic nie pomogły. Widocznie miała uszkodzony kręgosłup. Skończyły się ruchliwe dni Teresy. Przez pewien czas leżała w łóżku, potem jednak chciała wstać i pracować dalej. Teraz błogosławiła godzinę, w której Stine przybyła do dworu. Miała bowiem kogoś, kto mógł się nią zająć.

Jörn Mangfoldig zrobił dla niej specjalny fotel na kółkach. Dzięki temu można ją było przeprowadzać z miejsca na mi Teresa jak dziecko cieszyła się z tego wynalazku i wynagrodziła Jörna dwoma błyszczącymi talarami. Jörn był bardzo dumny i zadowolony.

Dawniej od rana do wieczora była ciągle na nogach, teraz mogła się zaledwie trochę poruszać. Najczęściej siedziała cicho w sieni. Ulokowała się przy oknie, aby widzieć każdego, kto tylko przechodził przez podwórze.

Początkowo wierzyła, że się wyleczy, ale z czasem zrozumiała, iż w tym stanie będzie musiała dożyć do końca swoich dni. Bóg pokarał ją za to, że myślała tylko o bycie doczesnym, a mało obchodziło ją, co będzie na tamtym świecie. Miała teraz czas, aby rozmyślać nad tymi sprawami, i dzięki czyniła za to, że ostrzeżenie przyszło wówczas, kiedy nie było jeszcze za późno na poprawę.

Rozmyślała tak całe dni, tygodnie, a nawet miesiące, ale potem znów zaczęła nawracać do wszystkiego, do czego przywykła: do kuchni i obory, i do innych miejsc, w których dawniej spędzała najwięcej czasu. Teraz Stine musiała być wszędzie. Cały dzień biegała na swych szybkich nogach, zanosząc dyspozycje Teresy to tu, to tam, zależnie od jej kaprysu. Później zdawała dokładnie sprawozdanie z tego, co widziała w ciągu całego dnia.

Takim sposobem niezadługo Stine patrzyła na wszystko oczami Teresy, słyszała jej uszami i robiła swe cierpkie uwagi dokładnie według manieri Teresy. A niebawem zaczęła ujawniać jakąś staroświecką surowość; była bowiem bardzo spostrzegawcza i w każdym szczególe kopiowała swoją panią.

Po zakończeniu najważniejszych prac dnia musiała dotrzymać towarzystwa Teresie, tak że nie miała ani minuty czasu dla siebie. Teresa uczyła ją wszystkiego, czego sama zdołała się nauczyć we własnym, zapełnionym ciągłą i długoletnią pracą życiu.

Początkowo służba nie mogła się przyzwyczaić do tego, aby przyjmować surowe upomnienia z młodych ust Stine. Lecz kiedy ludzie przekonali się, że uczyła się coraz więcej i że niebawem będzie umiała więcej niż oni wszyscy, przestali czynić jej wstręty.

Stine dostała po panie Dorocie wiele z jej rzeczy i mienia. Wkrótce odróżniała się od wszystkich innych dziewcząt i kobiet we dworze zajęciami, ubiorem, sposobem mówienia i ogólnymi manierami. Ponieważ nosiła suknie panny Doroty, poczęto ją nazywać panną Kruse. Początkowo były to tylko drwiny, ale tak pozostało i wkrótce nikt już inaczej nie mówił.

Lata mijały i najmłodszy potomkowie rodu Björndalów byli już dorosłymi ludźmi.

Młody Dag najczęściej przebywał w lesie. Jesienią i zimą asystował przy wyrębie i zwożeniu drzewa, latem wypuszczał się na łowy za gospodarstwa położone ponad doliną, a potem coraz dalej na zachód i na północ aż do podnóży wysokich gór. Tak jak jego przodkowie – niebawem stał się najniebezpieczniejszym zwierzęciem w lesie: ścigał i zabijał niedźwiedzie i wilki, rysie i łosie, lisy i kuny, orły i jastrzębie, i wszelkie stworzenia, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Inaczej było z Torem.

I on odziedziczył silną budowę swoich przodków i ich ogromną, a zgrabną postać. Miał jednak bardziej wesołe usposobienie i pociąg do przyjemności tego życia. Niejeden raz ojciec ostrzegał go przed zbytnią słabością do płci pięknej. Ale to nic nie pomagało. Z wiekiem namiętność ta stawała się coraz silniejsza i niebawem w całej okolicy opowiadano sobie, że jeszcze nie narodziła się taka dziewczyna, która mogłaby się oprzeć potędze jego oczu.

Pomimo że wszyscy o tym wiedzieli – a można by pomyśleć, że każda niewiasta będzie uciekać przed nim w okropnym strachu – kobiety garnęły się do niego jak ćmy do światła, gdziekolwiek się tylko pokazał.

Posłano go do miasta, żeby się nauczył czegoś więcej niż zwyczajni ludzie, a może też aby usunąć go na pewien czas z Björndal. Ale i w mieście nie działał się lepiej niż w domu. I Tore wrócił.

Mówiono potem, że z jego powodu niejedna dziewczyna wypłakiwała sobie oczy zarówno w mieście, jak i na wsi, blisko i daleko.

18

Od czasu, gdy zbudowano nową szosę do Björndal, nikt nie korzystał już ze starej drogi. Nikt już nie jeździł ani nie chodził, jak ongiś, ze strachem w sercu, nad przepastnymi głębiami Doliny Dziewicy, ale to, co sobie opowiadano o niej, urosło z latami do rozmiarów grozy. Nie było też nikogo w całej okolicy, kto by nie słyszał o starej drodze.

Po zachodniej stronie drogi poszarpane skały wznosiły się niby ponure olbrzymy wysoko ku niebu, po wschodniej zaś ziemia urywała się raptownie i spadała w ciemną otchłań przepaści. W skałach krzyczały sowy i inne tajemnicze stworzenia. Czasami głazy, które obłuźniły się wskutek mrozów i tających śniegów, ze straszliwym łoskotem leciały w dół ku przepaści. Na skraju drogi leżało niezliczone mnóstwo kamieni, dużych i małych, które spadały tam w ciągu wielu wieków. Na największych z nich wyrastały drzewa, które wznosiły się jak małe góry ponad młodym lasem rosnącym dokoła. Spomiędzy kamieni wyrastały kwiaty i zioła, przede wszystkim jednak paprocie. Żmije, ropuchy, jaszczurki – słowem wszelkiego rodzaju gady i płazy – roili się w cieniu głazów, krzaków i paproci. Jesienią zaś i na wiosnę, jak też w deszczowe dni lata, bez przerwy sączyła się tam woda.

Żadne oko ludzkie nie mogło przeniknąć przepaścistych głębi po wschodniej stronie drogi. Przesłaniały je drzewa i krzaki oraz gęste podszycie. Z przepaści zaś dochodziły dniem i nocą dziwne tony. Niektórzy uważali, że było to szemranie i bulgotanie potoku, skrytego w cieniu głębokiego jaru, ale starzy wiedzieli lepiej...

W całej okolicy mówiono o owej dolinie ze strachem. Żaden prawdziwy chrześcijanin nie śmiałby teraz tamtędy przechodzić. W dawnych czasach nieraz znaleźli się tacy przemądrzali, którzy odważyli się iść tamtą drogą o wieczornym zmierzchu. Nikt ich już potem więcej nie widział.

Tak, starzy mieli coś do powiedzenia...

Zhańbione dziewice, które same sobie lub swoim dzieciom odbierały życie, i inni nieszczęśliwi, którzy nie spoczywali w poświęconej ziemi – te wszystkie istoty zamieszkiwały przepaść Doliny Dziewicy. Dlatego to oko ludzkie nie mogło przeniknąć zalegających ją cieni, dlatego też dniem i nocą dolatywał stamtąd płacz i łkania.

Nawet w najpiękniejszą pogodę unosiły się wieczorami nad tą głębią mgły. Ale bystre oko dostrzegało zaraz, że nie były to mgły, lecz nagie dziewice, tańczące z rozpuszczonymi włosami. Wtedy dochodziły stamtąd tak urzekające tony, że żaden żywy nie mógł się im oprzeć. A gdy na spadzistych stokach wyło i grzmiało, wtedy grasowały tam czarownice, zbłąkane dusze, trolle. Kto to usłyszał, powinien zaraz uczynić znak krzyża.

Na Hovland, w dużym majątku, położonym na wschód od Borgland, po drugiej stronie szosy, strojono skrzypce na bal, na który zaproszono całą okoliczną młodzież – wszystkich, którzy coś znaczyli.

Z Björndal także ktoś przyjechał. Koń przywiózł tylko jednego gościa – Torego.

Wszyscy mu się przypatrywali. Tak przystojnego mężczyzny nie oglądało się codziennie. Wzrok jego niósł groźbę, ciało było prężne siłą i prędkością. Ale dzisiejszego wieczoru nie będzie chyba taki groźny, bo na przyjęciu ma być wiele znakomitych osobistości, nawet z Borgland. W Borgland było teraz dużo gości z miasta. Wszyscy otrzymali zaproszenie na przyjęcie do Hovland.

Nie przybyli powozami, przyszedli pieszo. Przecież to śmiesznie krótka droga! Dla młodych ludzi przejść się piechotą na przyjęcie, a później znów pieszo wrócić do domu – było po prostu zabawnym urozmaiceniem.

Aż pojaśniało od mundurów, świecących butów, połyskujących guzików i sprzączek i skrzących się wesołością oczu, gdy młodzież z Borgland przy akompaniamencie pobrzękujących u boku szabel przybyła do dworu hovlandzkiego. Na przedzie tego wspaniałego orszaku sunęła Elżbieta von Gall, pani na Borgland, ze wszystkich najpiękniejsza.

O nie, w tym świetnym towarzystwie oczy Torego Björndala nie mogły zagrozić nikomu. Byli tu oficerowie z najlepszych rodzin w kraju, synowie starych rodów, pierwsi żołnierze armii królewskiej.

Kto by tam zwrócił uwagę w takiej okoliczności na jakiegoś prowincjonalnego osobnika, ha, na jakiegoś draba z jakiejś tam leśnej wioski na północy?

Wyprostowany i milczący, ze skrzyżowanymi na piersi rękami, Tore stał niewzruszenie, gdy towarzystwo z Borgland wchodziło do środka. Wszyscy w Hovland oczekiwali ich z niecierpliwością, a to wyczekiwanie tłumilo wesołość i hamowało rozmowy. Kiedy wreszcie przybyli, wszyscy podnieśli się z krzeseł i obrócili się ku drzwiom, wszyscy oprócz Torego Björndala.

Stał odwrócony plecami do drzwi, z rękami założonymi na piersi i na powitanie przybyłych nie poruszył ani ręką, ani nogą. Zaś ci z Borgland – jak gdyby się zmówili – powitali wszystkich z daleka tylko skinieniem głowy i łaskawym uśmiechem, podając rękę jedynie gospodarzom.

Tore widział, jak przechodzili obok niego, widział ich łaskawie skinione głowy – i stał jak przedtem. Nic go nie obchodzili.

Ale czy on ich obchodził? Czy w Borgland kiedykolwiek o nim mówiono?

Spojrzenie panny Elżbiety przesunęło się po jego postaci, po czym zaraz powróciło i spoczęło na nim natarczywie, pytające. Znała go z widzenia z kościoła, jeszcze z młodszych lat. Wiedziała więc, kim był.

Czy wieści o bogactwie na Björndal dotarły do uszu panny Elżbiety? Lub to, co sobie opowiadano o magnetycznej sile jego oczu i jego niebezpiecznej władzy nad kobietami?

Drży skrzypiec, altówki i wioli śpiew, Gra klarnet z obojem i flecistów zew. Sarabanda, fandango i rytm menueta Płyną lekko i cicho po lustrze parkietu...

Tore stał ciągle jeszcze ze skrzyżowanymi rękami, gdy panna Elżbieta wyszła z rzęsiście oświetlonej sali balowej i skierowała się ku drzwiom do sieni. Czy nie spojrzała na niego w przejściu? Czy nie szła tędy dla niego?

Czy wszyscy ci kawalerowie, których tutaj przyprowadziła, tak mało dla niej znaczyli? Czy też mogła ich wodzić, gdzie zechciała, a tylko tego jednego nie? Czy dlatego ją tak intrygował?

Wyszła do sieni, zaraz jednak wróciła.

Oczy jej tryskały ogniem, kiedy spojrzała ku niemu.

– Dlaczego pan nie tańczy? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, zażądała bez ogródek: – Niech mnie pan raz poprowadzi.

Skłonił głowę, podniósł wzrok – i spotkał się z jej wzrokiem. Poczula niebezpieczeństwo w jego oczach. I ona także, Elżbieta von Gall! To, co mówiono, było więc prawdą.

Nikt nie może wymknąć się swemu przeznaczeniu.

Tore stał i przez cały czas myślał o słowach ojca, których musiał wysłuchiwać, wyjeżdżając z domu; o jego przykazaniu, aby zachował się przyzwoicie i nie uwodził panienek z dobrych rodzin. Jakaś ręka zdawała się go dziś powstrzymywać, nie pozwalając mu tańczyć. A teraz właśnie ta rezerwa stała się przyczyną wystąpienia Elżbiety, tego upartego, rasowego konia. Znudzona swymi kawalerami, i którymi świętowała i tańczyła dzień w dzień, a równocześnie zaintrygowana jego osobą, musiała koniecznie z nim zatańczyć.

Biedna Elżbieta von Gall!

Była silna jak niejeden mężczyzna i słaba jak niejedna kobieta. Miała pięknego konia, za którym przepadała i którego pieściła i całowała. Ale innymi razy biła go batem i kłuła nielitościwie ostrogami, tak że cały drżał z bólu. Miała też ślicznego psa. Tuliła go dziko do siebie i psuła ciągłymi pieszczotami. A później go biła. Jego żalosne wycie nic mu nie pomagało; z tym większą złością cięła go swoją szpicrutą.

Taka była Elżbieta von Gall, ta „zła”, jak ją nazywano, podobnie zresztą jak matkę. Mężczyźni jednak nazywali ją: „piękna”.

Lubiła zdobywać mężczyzn, doprowadzać ich do szału, a później mrozić ich jednym, jedynym spojrzeniem. Taka była.

Czy szukała czegoś w życiu? Czy szukała czegoś u mężczyzn? Owszem, nawet i ona. Ale wszyscy, nie wyłączając marsowych żołnierzy ze sprzączkami i pasami, stawali się bezwolni i słabi, gdy słowem lub spojrzeniem udawała, że jest im życzliwa.

Być może, szukała kogoś, kto miałby wolę równie silną jak jej własna, lub jeszcze silniejszą. Szukała mężczyzny, prawdziwego mężczyzny – chociażby nawet wrogo się do niej odnosił. Może właśnie dlatego, na przekór konwencji i opinii, sama podeszła do tego jednego, który tylko stał i przyglądał się tańcom?

Pamiętała, co o nim mówili, i może chciała się sama przekonać, czy mówiono prawdę o jego niebezpiecznym wzroku, i wypróbować siłę jego woli?

Tańcząc przesunęli się na salę, panna Elżbieta i Tore. Dlaczego oczy wszystkich patrzyły za nimi?

Czy dlatego, że byli piękniejsi niż wszyscy inni, lub dlatego, że tak wspaniale do siebie pasowali? O tak – powodów było dużo...

Od wielu pokoleń mieszkali obok siebie – jedno w Borgland, drugie w Björndal – ale nigdy jeszcze nie widziano, żeby się sobie choć tylko kłaniali. Zawsze rozdzielała ich nienawiść i pogarda.

A teraz tych dwoje młodych tańczyło ze sobą, tutaj, w tej sali...

Wszyscy oniemieli ze zdumienia. Przecież panna Elżbieta śmiała się głośno i rozmawiała, twarz Torego również jaśniała radością, a rzucały dziwne błyski.

Tańczyli jeden raz ze sobą, następnie zmienili partnerów, ale potem znowu wracali do siebie i tańczyli albo stali razem, wymieniając wesołe, błyskotliwe uwagi.

Gospodarz na Hovland miał córkę – dojrzałą dziewczynę, dla której właśnie zaproszono Torego. Panna ta poznała go kiedyś i zapałała ku niemu głęboką miłością. Szybko się zakręciła, gdy Tore przez chwilę był sam, podeszła do niego, a potem zaraz zatańczyli.

Panna Elżbieta nie opuściła żadnego tańca, lecz uśmiech jej znikł. Śledziła wzrokiem tylko tego jednego, który raz po raz przesuwiał się koło niej. Ilekroć spoglądała na jego partnerkę, lico jej bladeło od złości.

W przerwach między tańcami podawano napoje i przekąski. Od śmiechu i rozmów stawało się coraz gwarniej.

Panna Elżbieta odeszła jeszcze przed końcem zabawy. Powiedziała, że nie czuje się zbyt dobrze, po czym wezwała swego ostatniego partnera, aby odprowadził ją do domu. Był to lew wieczoru – porucznik Ludwik von Margas.

Swoje wyjście wymanewrowała tak, aby przechodzić obok Torego Björndala.

Rzuciła mu w twarz kilka słów. W oczach jej było wyzwanie, usta wykrzywiły się szyderczo. Towarzyszący jej porucznik zaśmiał się głośno.

Tore stał przez długi czas w milczeniu. Potem zawrócił i poszedł za nimi.

Elżbieta i porucznik skręcali właśnie w aleję prowadzącą do Borgland, gdy usłyszeli za sobą czyjeś kroki. Ktoś szedł szybko za nimi. Zatrzymali się i ze zdziwieniem obejrzeliz za siebie. Porucznik-olbrzym stanął mocną nogą między Elżbietą a Torem. Tore chciał pomówić z panną Elżbietą sam na sam, jeśli mu pozwoli. Chciał bowiem dać odpowiedź na jej ostatnią uwagę. Lecz piękności Elżbieta powiedziała już swoje ostatnie słowo i nie miała najmniejszego zamiaru powracać do rozmowy. Dumnie podniosła głowę, zmierzyła zimnym wzrokiem przybysza i weszła w cieniłą aleję.

Tore chciał pójść za nią, ale olbrzymia ręka porucznika von Margasa spoczęła na jego ramieniu, aby odepchnąć natręta na bok. Padło błyskawiczne i śmiertelnie twarde uderzenie – i porucznik jak długi rozciągnął się na chłodnej, jesiennej ziemi. Tore tymczasem wszedł w aleję. W gałęziach drzew szumiał wiatr, ścieląc u stóp jego zwiędłe liście.

Tą samą aleją, oddzielającą szosę od domu na Borgland, szła panna Elżbieta, dumna jak królowa. Tore dogonił ją, gdy była w połowie drogi.

W świetle księżycy twarz jej zbladła jak kreda, gdy zauważyła, że to nie nadchodzi silny i olbrzymi porucznik, lecz Tore Björndal, którego swym złośliwym szyderstwem śmiertelnie obraziła. Jednym spojrzeniem za siebie mogła się przekonać, że porucznika nie było w pobliżu.

– Łaskawa pani – odezwał się Tore głosem trzęsącym się od pasji – podziękowała mi pani odchodząc, a potem powiedziała, żebym czym prędzej odszedł i nadal bawił się głupiutkimi kobietami, które, według pani, darzę szczególnymi względami. Wybawiłem ją od nudów, powiedziała mi pani – Tore podszedł do niej bliżej – ale nie otrzymałem pocałunku na pożegnanie, panno von Gall!

I oto pośrodku owej pysznej alei borglandzkiej Tore objął i przycisnął do siebie Elżbietę von Gall. Z gniewu i strachu była na pół przytomna. Nie mogła wydobyć głosu.

Pomimo stawianego oporu leżała w jego potężnych ramionach jak przystrojony w jedwabie manekin i podczas gdy księżyc rzucał bladoniebieski blask, a liście jesienne szeleściły na drodze, Tore całował pannę Elżbietę, aż pękła jej warga i z ust poczęła sączyć się krew.

– Tak więc i ja dziękuję za naszą zabawę, piękna pani – powie dział Tore, po czym uklonił się z uszanowaniem i odszedł aleją ku Borgland.

Z rozwianym włosom, bez płaszcza, w eleganckim stroju wieczorowym maszerował długim krokiem w kierunku północnym, aby zejść na starą drogę do Björndal, prowadzącą nad przepaścią Doliny Dziewicy.

Po tym incydencie nie miał żadnej ochoty wracać do Hovland. Można było na drugi dzień posłać kogoś po konia.

Pośrodku drogi stała panna Elżbieta, milcząca i sztywna jak posąg. Koronkową chusteczkę przyciskała do krwawiących ust.

Może to nie tylko usta krwawiły? Twarda i butna szła zawsze swoją drogą, odnosząc się z pogardą do wszystkich i do wszystkiego, bo zawsze jej wola była prawem i rozkazem – aż do tej chwili.

Teraz otrzymała karę.

Po raz pierwszy natknęła się na kogoś, kto zlekceważył jej wolę i odpłacił pogardą za pogardę. Czy znenawidziła go za to?

Ktoś nadchodził spieszenie aleją. Elżbieta obróciła się i skierowała się wolnym krokiem do dworu. Był to porucznik, który wreszcie ocknął się po owym straszliwym uderzeniu.

– Czy uczynił pani jakąś zniewagę? – zapytał ochryłym, zrozpaczonym głosem.

– Sam się go zapytaj, dzielny rycerzu – odparła wskazując, którądy poszedł Tore.

Elżbieta udała się prosto do domu. Porucznik von Margas wyciągnął szablę i ruszył w kierunku Doliny Dziewicy. W świetle księżycyca twarz jego czerwieniła się i bladła na przemian.

Wiatr się wzmógł. Skarżył się i zawodził w gałęziach drzew, zmiatał liście na kupki i znów je rozrzucał po alei. Gdzieś daleko na równinie zawył pies, a ze skał nad doliną odezwał się przenikliwy krzyk sowy.

Porucznik wrócił. Trzymał jeszcze w ręku szablę, lecz nie lśniła już tak pięknie w księżycowym świetle. Dziki szal miotał nim tak długo – oprzytomniał teraz dopiero, gdy wszedł do alei. Wlepił przerażony wzrok w zakrwawione ostrze i chwycił się za głowę.

Na miłość boską, do jakiego to czynu dał się doprowadzić? Królewska broń w ręku oficera, użyta przeciwko bezbronnemu!

O, dzielny i odważny poruczniku von Margas!

Elżbieta, ta z piekła rodem, splamiła jego imię na zawsze, złamała mu karierę, spustoszyła jego życie. Jak we śnie zszedł z drogi i wbił szablę głęboko w ziemię. Aż po rękojeść. Wyczyścił ją i wytarł ręce o trawę. Potem przez długi czas stał nieruchomo, oparty o jedno z drzew. Raz tylko jęknął, a w tym jęku drżał ból nieopisanej męki.

Naraz ziemię jak gdyby coś uniosło do góry. Drzewo, o które się opierał, zachwiało się. Grunt zakołysał się pod jego stopami zaś stamtąd, gdzie popełnił ten ohydny czyn, dobiegł straszliwy huk, jak gdyby od uderzenia dwudziestu piorunów, a potem rozbrzmiewał długo i głucho odgłosem bezdennej otchłani. Blady jak śmierć, drżąc na całym ciele, stał oniemiały, nie mogąc dobrać tchu. Nie wierzył w żadne czary, ale chyba tej nocy wrota piekieł stanęły otworem.

Zabawa w Hovland prawdopodobnie już się skończyła; słyszał bowiem głosy osób nadchodzących z tamtej strony. Szybko skradając się w cieniu drzew, przemknął się niepostrzeżenie do dworu.

Całą noc przeleżał bezsennie, namyślając się nad tym, co należało robić następnego dnia. Czy miał powiedzieć pułkownikowi o tym, co się stało, i pozostawić mu decyzję, czy... Co, na Boga, miał zrobić?

Rano wstał bardzo wcześnie. Ręce mu się trzęsły, twarz była śmiertelnie blada.

Pierwszą osobą, z którą się zetknął, był sam pułkownik.

– Czy słyszał pan już, co się stało dzisiejszej nocy? – zapytał go von Grali.

„Czyżby już się wydało?” – pomyślał von Margas i wyschnięty język przywarł mu do podniebienia.

Ale pułkownik nie czekał na odpowiedź.

– Wierzchołek Wielkiego Młota stracił swój kształt. Blok wielki jak góra runął do Doliny Dziewicy. Dawno już tego oczekiwaliśmy; dziwne jednak, że stało się to teraz, na jesieni. Takie rzeczy dzieją się zwykle wiosną, gdy puszczają lody. Ale blok przechylał się już przez całe lato, a tej nocy wichura dokonała reszty, przyspieszając jego obsunięcie.

Pułkownik mówił dalej na ten temat; z tego, co jeszcze usłyszał, młody człowiek zorientował się, że skała stoczyła się w bardzo dogodnym dla niego miejscu, gdzie... Po wielu godzinach mógł nareszcie znowu odetchnąć!

Ale męki jego jeszcze się nie skończyły.

Nieco później tego samego dnia jakiś człowiek przybył pojazdem zaprzężonym w czarnego konia. Po raz pierwszy w dziejach dwóch rodów koń z Björndal pojawił się w tym miejscu. Koniem tym przyjechał ojciec Dag.

Pragnął pomówić z panną Elżbietą i z pewnym porucznikiem o nazwisku Margas. Sam pułkownik wyszedł do niego. Twarz jego tchnęła chłodem.

– Czego pan sobie od nich życzy?

– Chodzi mi tylko o kilka słów w bardzo ważnej sprawie.

Tak oto doszło do drugiego spotkania między Dagiem Björndalem i von Gallem.

Kiedy tamtych dwoje nadeszło, Dag zapytał ich, czy rzeczywiście syn jego poszedł za nimi z Hovland tej nocy. Mówili mu o tym ludzie z równiny.

– Tak – odparła panna Elżbieta. – Udał się potem starą drogą na północ. Tam, gdzie dzisiejszej nocy obsunęła się skała – dodała.

Dag słyszał już o obsuniętej skale. Czoło jego zmarszczyło się; poza tym twarz jego ani drgnęła.

– Czy nie macie mi nic więcej do powiedzenia? – spytał ponuro. Nie. Nie mieli nic więcej do powiedzenia.

– Czy... on nie wrócił do domu? – spytała panna Elżbieta. Na twarzy jej widać było walkę między radością i strapieniem. – Nie znalazł go pan?

Wzrok Daga długo zatrzymał się na pięknych, lecz twardych rysach twarzy panny Elżbiety, a potem na niespokojnych oczach i drżącej ręce porucznika.

Dag Björndal siadł do powozu i odjechał, kierując się na starą drogę nad przepaścią Doliny Dziewicy. Już z daleka docierał stamtąd śwąd, jaki wydzielają rozcierane o siebie kamienie. Blok skalny zrobił wielką wyrwę w drodze, prawie zupełnie ją przecinając, i stoczył się dalej na dno przepaści.

Dag wysiadł i zsunął się, jak mógł najgłębiej, po stromym zboczu jaru. Nie znalazł żadnych śladów po Torem – zresztą obsunięty blok skalny był tak wielki, że mógł pogrzebać na zawsze nawet pięćdziesięciu ludzi. Droga była już nie do przebycia, musiał więc zawrócić i jechać znowu przez Borgland.

W miejscu, gdzie droga łączyła się z aleją, stała panna Elżbieta.

– Nie znalazł go pan? – zapytała.

– Nie.

– Czy schodził pan w dół do jaru? – dopytywała, przy czym głos jej drżał; nie wiadomo: ze zgrozy czy radości?

– Tak – odparł krótko i odjechał.

Porucznik von Margas dowiedział się od panny Elżbiety, że nie natrafiono na żadne ślady.

Widziała, jak na jego umęczonej twarzy zaraz pojawił się wyraz ulgi, i powiedziała:

– Przebił go pan zniecka, od tyłu, przypuszczam?

Zrobił się szary jak popiół na całej twarzy, obrócił się i odszedł bez słowa.

Czy widziała, jak wrócił i jak wycierał szpadę przed obsunięciem skalnego bloku? Tego się von Margas nigdy nie dowiedział. Ale następnego dnia wyjechał i więcej już do Borgland nie powrócił.

Warga panny Elżbiety nie chciała się zagoić. Na zimnym powietrzu znowu pękała i krwawiła. Czasami krwawiła z zupełnie niewiadomego powodu. A może panna Elżbieta sama dbała o to, aby się nie zagoiła – na pamiątkę po tym jedynym prawdziwym mężczyźnie, jakiego spotkała?

Odtąd ludzie w sąsiednich parafiach kiwali tajemniczo głowami, ile razy rozmowa schodziła na temat śmierci Torego Björndala. Było zupełnie jasne, że został zabrany przez istoty zamieszkujące Dolinę Dziewicy. Pomyślcie tylko, jak on traktował niewinne dziewczyny, póki żył na tym świecie! A na domiar wszystkiego poszedł tam sobie w noc księżycową! Nikt by nie uwierzył, że człowiek może posunąć się aż do takiego zuchwalstwa – i proszę, czym się to skończyło.

W Björndal śmierć Torego pozostawiła głębokie ślady.

Najspokojniej zniósł ten dotkliwy cios ojciec Dag. W każdym razie nie dał nic po sobie poznać. Zapowiedź Ane Hamarrbö sprawdziła się. Oczekiwał tego i był na to przygotowany. Ale ze strapieniem myślał o tym, że chłopiec jego nie spoczywa w poświęconej ziemi.

Młody Dag był niepokieszony i odtąd stale przebywał w lesie. Był teraz rzadkim gościem w domu.

Najbardziej cios ten dotknął Teresę. Zdrowie jej doznało nowego wstrząsu i siły tej zawsze wytrzymałej kobiety poczęły poważnie zanikać.

Pewnego wieczoru pod koniec zimy panna Kruse spokojnie jak zwykle weszła do sieni, gdzie Dag rozmawiał z kapitanem. Poprosiła go, aby udał się do Teresy. Podniósł się szybko i pospieszył do jej izby. Teresa siedziała w swoim fotelu. Zobaczywszy go, wyciągnęła ku niemu obie ręce. Oczy jego były dziwnie wilgotne, gdy się do niej zbliżył.

– Moja godzina już przyszła – powiedziała. – Tak mi zimno w plecach. Życie uchodzi z mego ciała.

Dag przyniósł sobie krzesło i usiadł naprzeciw niej. Ujęła go za ręce i pochyliła głowę zmęczona i bezradna.

– Dziękuję ci, Dagu – powiedziała – dziękuję za wszystkie te szczęśliwe dni, które przeżyliśmy razem. I niech Bóg przebaczy mi wszystko, co źle czyniłam i spełniałam.

Dag trzymał jej ręce ostrożnie, delikatnie, jak gdyby to były malutkie pisklęta. Głowa jego pochylała się i opadała coraz niżej, przygniatana straszliwym ciężarem. Głos mu się załamał, ledwie wykrztusił słowa:

– To ja powinienem podziękować tobie za wszystkie trudy, które przez całe te lata ponosiłaś dla mnie i dla dzieci.

Panna Kruse obawiała się już od kilku dni, że coś się stanie, i wysłała kogoś do lasu, aby sprowadził młodego Daga. Ojciec Dag kończył właśnie dopowiadać te słowa, kiedy otworzyły się drzwi. Cichutko jak duch młodzieniec wsunął się do izby i przyklęknął przy fotelu matki. Pędził z lasu tak szybko, że o mało serce nie wyskoczyło mu z piersi. Teresa widziała go jak przez mgłę – bo już pierwsze cienie śmierci przesłaniały jej oczy.

– Czy to ty, mój chłopcze? – powiedziała cicho, kładąc mu drżącą rękę na głowie. – Niech cię Bóg błogosławi za to, że przyszedłeś...

Teresa Björndal wyrzekła swe ostatnie słowa.

Młody Dag płakał po raz pierwszy od czasu, kiedy dorósł. Długo nie mógł się uspokoić, długo oplakiwał matkę. Miał jej teraz tyle do powiedzenia, tysiące dobrych i kochanych słów, które nie wyszły z jego ust. Teraz było już za późno.

Jego silna, wielkoduszna matka odeszła na zawsze.

Takiego pogrzebu, jaki miała Teresa Björndal, jeszcze w tych okolicach nie widziano. Mimo bezwładu prawie całego ciała, który od kilku lat zmuszał ją do bezczynności, ludzie przychodzili do niej, szukając rady i pomocy w swej niedoli i troskach. Aż do ostatniego dnia dzielnie opanowywała swe własne cierpienia i dbała o ludzi z całego osiedla, niosąc ulgę i pomoc każdemu, kto jej potrzebował.

Ci, którzy mieli konie, jechali, zaś ci, którym nie udało się uczepić jakiegoś wozu, szli pieszo – wielcy i mali, starzy i młodzi – szli całą drogę do kościoła.

Tak, nawet ludzie z otwartej równiny przybywali i dołączali się do pochodu.

A potem, kiedy było po wszystkim, śmiertelna cisza zapanowała dokoła. Cisza w osiedlu i cisza we dworze. Ludzie poruszali się w milczeniu i oglądali się nieśmiało za siebie...

Młody Dag ruszył znowu w lasy. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewał. Panna Kruse chodziła cicho jak duch, wykonując swoje zwykłe czynności, zaś stary kapitan siedział pilnie nad księgami i dokumentami, tak jak i przedtem.

A ojciec Dag? On, który ostatnie słowa Doroty i wszelką pamięć o niej zagłuszał brzękiem pieniędzy. On, który zajechał przed dwór w Borgland i stanął oko w oko z tym wielkim panem von Gall. On, który zszedł bez wahania niemal na same dno osławionej przepaści, nie tkniętej jeszcze stopą ludzką – czyż taki człowiek nie umiałby sobie poradzić z czymś, co jest wspomnieniem po żonie?

Czyżby nie chodził już tak pewnie po ziemi? Czyż nie jeździł z tą dawną bezwzględnością po różnych drogach, aby tratować szczęście ludzkie?

Ale człowiek, który prawie przez trzydzieści lat chorował na najbardziej nieuleczalną chorobę tego życia, nie może być uleczony w ciągu jednego dnia.

Nie. Przy śmierci Teresy Björndal nie stał się żaden cud, jak to ongiś zdarzało się przy grobach świętych. Również w rocznicę jej śmierci nie został uzdrowiony żaden chory i cierpiący. Ale dobrzy ludzie są silni; jakże często pomagają życzliwym słowem i czynem, a nade wszystko – sercem.

Po zgonie Teresy ojciec Dag doświadczył tego samego uczucia, co kiedyś w młodości, gdy musiał przeżywać nagłą śmierć brata. Teresa przez długi czas była złożona niemocą i śmierć jej nie nadeszła nieoczekiwanie. Ale stary Dag był stale tak zajęty, że nie zauważył żadnych oznak pogorszenia. Stąd śmierć żony była dla niego ciosem, na który absolutnie się nie przygotował. W godzinę jej śmierci i w czasie dni, które po niej nastąpiły, odezwały się w nim dawno zapomniane uczucia. Głęboko, gdzieś bardzo głęboko poruszyło się w nim coś, co kiedyś było uczuciem, lecz zostało sparaliżowane na twardej drodze pieniądza.

Po śmierci Teresy jego tryb życia stał się bardziej spokojny. Odczuwał ciszę, która nastała, i bolał na swój sposób. Bolał nad swym własnym, wątpliwej wartości zmartwieniem, nad czymś, co nie istniało. Bolał nad tym, że nie odczuwał żalu nad stratą takiego człowieka, jakim była Teresa. Kiedy tak się nad tym zastanawiał, stała się przedziwna rzecz: doszedł do odkrycia swojej własnej choroby.

Dobrzy ludzie posiadają moc. Nie tylko w życiu, nie, nawet i po śmierci. Teresa powracała na ten świat w myślach Daga, w czasie jego samotnych, nocnych godzin.

CZEŚĆ DRUGA

19

W dolinie znowu zapanowała wiosna. Brzozy i inne drzewa, porastające stoki wzgórz, pokryły się świeżą zielenią; jaskółki wesoło fruwały w powietrzu; kwiaty z uśmiechem kiwały główkami w trawie tak jak każdej wiosny. Nie potrzebowały się lękać, śmierć im nie groziła.

Młody Dag szedł pogrążony w ponurych myślach. Ale oczy jego były otwarte i widziały wszystko tak jak dawniej. Widziały, jak pierwsze kaczeńce wyrastały na przydrożach i jak malowany błękitem zawilec wychylał się spod topniejących śniegów w zacisznym lesie. Jego szeroka pierś chłoneła zapachy wiosny i jej ożywcze tchnienie, a w młodym ciele krążyła i pulsowała krew. Tak to jest z życiem!

Klinge, ten stary wojak, przez całą zimę wygrzewał swoją podagrę przy nigdy nie wygasającym ogniu kominka i piekł się w łóżku pod futrzanymi skórami. A kiedy wiosenne słońce ozłociło znowu drogi i wzgórza, wyprostował grzbiet i pomaszerował bez laski.

Przez pierwsze tygodnie po śmierci Teresy ojciec Dag spał bardzo źle. Leżał i rozmyślał o różnych rzeczach. Czas, który upłynął od chwili przybycia Teresy do Björndal aż do jej śmierci, wydawał mu się nieprawdopodobnie krótki. A jednak było to już trzydzieści długich lat! Zdawało mu się, że nie zdążył z nią nawet porozmawiać, tak szybko uleciał czas. Niekiedy miał wrażenie, że jej dobrze nie znał, dopóki nie umarła. I wtedy paliło go uczucie wstydu, dręczącego wstydu. Było ciepłe jak krew i nie mógł się zeń otrząsnąć. Zupełnie tak, jakby zaciągnął dług, którego już nigdy nie będzie mógł spłacić, ponieważ wierzyciel odszedł na zawsze.

On, który nie znał litości dla swych dłużników, obecnie sam dźwigał na sobie dług. Nie uświadamiał sobie, na czym właściwie polegało to zobowiązanie, ani czy w ogóle konkretnie istniało. A jednak coś go dręczyło, coś w głębi jego jestestwa – tam szarpał go jakiś tępy, nieokreślony ból. Jakby wyrzut sumienia. Wstyd... Dług...

Jeździł tak jak dawniej do miasta i po okolicy. I tak jak dawniej spadał na ludzi jak chciwy łupu jastrzęb. Czarne konie niosły ze sobą złowieszczy stuk kopyt, siejąc trwogę i postrach, gdzie tylko się zjawiały, i pozostawiając za sobą rozpacz i beznadziejność. Tak jak zwykle. Teraz jednak udawał się w drogę raczej z przyzwyczajenia i już go to wcale nie cieszyło. Jeździł więc potem coraz rzadziej, a z biegiem czasu zdarzało się, że czarny koń z Björndal nie zjawiał się nawet wtedy, kiedy był oczekiwany.

Pewnego dnia do Björndal przyszedł jakiś stary człowiek. Chciał zatrzymać się przez chwilę we dworze, aby wypocząć. Panna Kruse nie wiedziała, jak to zrobić, aby się go pozbyć. Starzec nie miał domu i prosił tak bardzo, że w końcu, choć było to nie do pomyślenia, musiała powtórzyć jego prośbę Dagowi. Początkowo ojciec Dag obrzucił ją zimnym wzrokiem. Potem zapulsowało w starej bliźnie na skroni, zęby zacisnęły się, głowa podniosła się powoli i oczy zapatrzyły się w dal. Wreszcie padła odpowiedź:

– Zrób tak, jak się to zwykle robić za czasów Teresy.

Panna Kruse zarządziła więc tak, jak bywało za rządów Teresy: starzec otrzymał dach nad głową, a potem przyjmowano także innych. Na folwarku, w osiedlu i w całej okolicy zapanowało powszechne zdumienie.

Ojciec Dag zaczął wychodzić poza obręb podwórza. Tylko parę kroków, ale już od kilku lat nie zdarzało się, aby gdziekolwiek wychodził. Czasami przystawał, zakładał ręce do tyłu, zaciskając je silnie jedną na drugiej, i pochylał głowę, jak gdyby czegoś nasłuchiwał – najczęściej wtedy, kiedy wiatr niósł ku niemu głuche poszumy lasu.

Pewnego dnia wczesną wiosną Dag wydał pannie Kruse niezwykle polecenie. Miała przygotować prowiant dla dwóch osób na jeden dzień i wyszukać dla niego i dla kapitana jakieś stare ubrania i buty ze skóry łosiowej. Ludzie ledwie wierzyli swoim oczom, gdy następnego ranka zobaczyli, jak ojciec Dag założył na ramiona plecak i pomaszerował swoim zwykłym długim krokiem w kierunku odległych łąk, tak jak za dawnych czasów. Klinge dreptał za nim.

Dla starego kapitana było to bardzo uciążliwe; często też musiał przystawać. Jeszcze nigdy nie widział człowieka, który by stawiał tak długie kroki, jak ojciec Dag.

Słońce stało już wysoko, kiedy doszli do jakiegoś wielkiego jeziora. Nazywa się Røisla, Dag objaśnił kapitana. Na północnym brzegu stała mała chata. Z komina wydobywał się słaby dym. Przyspieszyli kroku i weszli do chaty. Zastali tam młodego Daga. Właśnie smażył ryby na żarze między kamieniami paleniska. Szybko wstał i uśmiechnął się do nich zaskoczony. Ojciec i syn nie patrzyli na siebie, byli nieco zażenowani... Tak, dziwne to było spotkanie. Jak gdyby władcy lasu – stary i nowy – po raz pierwszy ujrzeli siebie. Z pewnością jednemu i drugiemu ta sama myśl przemknęła przez głowę; jak to już dawno temu, kiedy razem chodzili po lasach. Dag był wtedy jeszcze małym chłopcem, a tymczasem te lasy stały się jego własnością, wszystkie, jak długie i szerokie.

A teraz zjawił się tutaj stary Dag, on, który może w swych młodych latach działał i panował w tych lasach bardziej niż ktokolwiek przed nim. Młody człowiek stał onieśmielony, nie wiedząc, co począć ze sobą, a wszechwładny pan licznych włości i lasów, rozporządzający ludźmi na przestrzeni wielu parafii, stał teraz, jak gdyby pytał skromnie o pozwolenie, czy może usiąść w swej własnej starej chacie.

Młody Dag znalazł wyjście z tej kłopotliwej sytuacji. Miał jeszcze gdzieś więcej ryb i cieciorkę, którą należało oskubać. Najlepiej znaleźć coś do roboty. To pomaga i ułatwia wszystko. Klinge usiadł i zdjął buty. Miał obtarte nogi. Ojciec Dag także zajął miejsce. Jakiś czas trzymał głowę nisko pochyloną, lecz potem oczy jego zaczęły oglądać wszystko dokoła, a nozdrza zaczęły mu się podnosić jak u psa na tropie. Widział, jak syn jego wybierał się do lasu wczoraj po południu, i domyślał się, że zapewne zostanie tutaj przez jeden dzień, aby łowić ryby. Ale czego właściwie chciał od tego młodego człowieka? I po co ciągnął za sobą biednego kapitana?

Nie wiedział dokładnie, o co mu chodziło. Pamiętał tylko, że w młodości, kiedy coś wyprowadzało go z równowagi, szedł do lasu. Zaś dzisiaj różne myśli chodziły mu po głowie i nie mógł się od nich opędzić. Może coś ciągnęło go do syna – do jego i Teresy syna. Wziął kapitana ze sobą, aby nie znaleźć się sam na sam z chłopakiem. Gdyż stary i młody, ojciec i syn, byli sobie obcy. Tak obcy, jak to się zdarza u ludzi twardych i zamkniętych w sobie. Ojciec Dag coraz częściej rozmyślał o tym młodym, który dorastał pod jego boki. Pewnego dnia ożeni się, a wtedy – zgodnie z tradycją – stanie się mu równy. Dla starego nie była to miła perspektywa. Był zbyt samowładny i przyzwyczajony do absolutnego posłuchu, aby dopuścić kogokolwiek do równości na swoim własnym terenie. To prawda, chciał zanieść swe myśli do lasu, głównie jednak przyszedł tu po to, aby znaleźć się blisko tego młodego człowieka, zrodzonego z jego własnej krwi, i aby się przekonać, czy w ten sposób umniejszą w pewnej mierze tę wielką i dotkliwą samotność, w jakiej był pogrążony od tylu lat.

Młody Dag starał się zwalczyć w sobie to nieznosne uczucie obcości. Wyczyścił ryby, obłożył je gliną i zręcznie wsunął do żaru. Równocześnie na rożnie z sykiem piekły się ptaki. Jego giętka postać to podnosiła się na wysokich jak u łosia nogach, to opadała sprawnym ruchem zwinnego zwierzęcia. Przez ciągłe przebywanie w lesie wyrobił sobie prężne, elastyczne ruchy. Kapitan wypoczywał utrudzony i tęsknym okiem śledził młode ruchy chłopca. Stary Dag wyciągnął tymczasem z plecaka chleb i masło, wydobyl pogięte czarki ze srebra i cyny i manierkę z wódką. Tej przyjemnej godzinki, jaką potem spędzili, nikt z całej trójki nie zapomni.

Kapitan jadł ryby, ptaki i chleb, przy czym łykał wódkę, tak że ryby pluskały, a ptaki podskakiwały – jak mówił. Młody Dag poruszał się zręcznie i szybko i pomimo że sam dużo jadł, miał jeszcze czas nakładać starym ryby i mięso. Powoli podniosła się głowa ojca, rysy jego twarzy wygładziły się, dobrotliwy humor rozpogodził mu oczy.

Ojciec i syn nie odezwali się do siebie ani razu. To, co mieli do powiedzenia, opowiadali kapitanowi, który mówił za jednego i drugiego.

Od tego dnia ojciec Dag regularnie odbywał małe wycieczki do lasu. Nigdy nie zapuszczał się daleko, szedł tylko kawałek drogi, po czym wyszukiwał sobie miejsce, gdzie mógł usiąść i skąd mógł mieć daleki widok na okolicę. Rozkoszował się chłodnym tchnieniem wielkich lasów, przynoszących ze sobą zapach sosnowych drzew i echo dalekich poszumów, a z nimi wspomnienia czasów, kiedy był jeszcze młody.

Szukał czegoś w sobie samym, czegoś, co już dawno zatracił, a co miał nadzieję – może odnajdzie tutaj, w lesie. Kiedyś, owych dawnych dni zawsze tak silnie odczuwał radość i strapienie, gniew, nienawiść i wstyd, i wszystkie więzy łączące go z rodziną, dworem i osiedlem. Tak, tego w sobie szukał – szukał człowieka. Ale szukał daremnie. Może wspomnienia owych dawnych leśnych wędrówek dopomogą mu trochę i sprawią, że te wyschnięte korzenie prawdziwego życia zakiełkują w nim na nowo. W rzeczy samej miał już uczucie, jak gdyby coś się w nim rodziło, co może nabrać sił i życia, jeśli tylko będzie powracał do owego świeżego i życiodajnego świata swej młodości.

Teresa strzegła go po swojej śmierci. Kiedyś, gdy żyła, czuwała u łóża tyłu chorych. Teraz, gdy umarła, czuł, że ciągle pozostawała przy nim.

Już po owej pierwszej wycieczce do lasu twarz Daga zmieniła wygląd – nie była już tak skrzywiona, a wyraz chytrłości stracił na ekspresji. Najbardziej ożywał się wszakże, gdy syn był w domu. Jeśli wiedział, że go nikt nie obserwuje, przypatrywał mu się długo i ciekawie, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie naprawdę sprawę z tego, że ma syna.

20

Nadeszło lato, potem jesień i zima. Wreszcie znowu wiosna i znowu lato zapanowało w lasach i dolinach. Przez całe najgorętsze miesiące w Borgland byli goście. Jedni przyjeżdżali, drudzy wyjeżdżali. A kiedy lato miało się już ku końcowi, przybył do Borgland major Barre wraz z córką Adelajdą. Major był kolegą pułkownika. W młodości spędzili razem wiele poważnych i wesołych chwil. Obecnie jednak żyli w odrębnych warunkach. Podczas gdy pułkownik von Gall był dumnym panem na Borgland, major Barre borykał się w mieście z biedą i długami.

Lato doszło swego kresu i mgły jesienne snuły się nad drogami i polami. Niezadługo major wraz z córką mieli wracać do miasta, ale nie śpieszyło im się. Ani major, ani jego córka nie mieli żadnych ważnych spraw do załatwienia.

Panna Adelajda i panna Elżbieta spacerowały po ogrodzie i po drogach, ale nie zawiązała się między nimi nić przyjaźni. Bo tak jednej, jak i drugiej obce były wszelkie cieplejsze uczucia serca. Panna Elżbieta przeżyła kiedyś ciężkie zmartwienie. Jedyne człowiek, którego przypadło jej pokochać, umarł w momencie, kiedy rozbudził w niej wielką miłość ku sobie. Od tego czasu warga jej jakoś dziwnie krwawiła. Ocierała wtedy usta koronkową chusteczką i długo przyglądała się krwawym plamom.

Panna Adelajda, córka majora, miała za sobą życie dość urozmaicone. W latach dzieciństwa mieszkała na wsi. Ojciec był wtedy porucznikiem dragonów, później kapitanem i kiedy był w domu, Adelajda wszędzie mu towarzyszyła. Nauczyła się powozić, jeździć konno – jak mężczyzna. Wszystkie zwierzęta były jej przyjaciółmi, dzieci stale gromadziły się dookoła niej. Wnosiła ruch i życie do całego otoczenia.

Gdy miała dziesięć lat, matka zabrała ją do babki, wdowy po biskupie. Odtąd Adelajda nie widziała już więcej swojego ojca, przynajmniej dopóki żyły matka i babka. I tak upłynęło wiele lat. Z pochwyconych urywków rozmów pomiędzy matką i babką domyśliła się, że ojciec zszedł na manowce – mówiono o jakiejś aferze miłosnej i roztrwonionych pieniądzech jej matki.

Po szczęśliwym i swobodnym życiu u ojca dostała się pod surową opiekę babki. Babka była wytworną, ale bezwzględną i nie znośącą sprzeciwu osobą. Żyła wspomnieniem lat, kiedy rodzina jej zaliczała się do najpierwszych w kraju. Do tego stopnia wczuwała się w ową świetną przeszłość, że wydawała się niby duch tych odległych czasów. Surowo przestrzegała form towarzyskich – wszyscy drżeli przed bezlitosnym, krytycznym spojrzeniem tej niedostępnej, wielkiej pani.

Teraz wszystkie trzy miały się utrzymywać z majątku babki; a kto posiada środki, zwykle posiada władzę rozkazywania. Adelajda została wychowana w duchu starych zasad swojej babki. Codziennie wpajano w nią przestarzałe poglądy o różnicy stanowisk społecznych, aż wreszcie młody jej umysł wchłonął i przyjął cały sposób myślenia despotycznej babki. W tym sztywnym otoczeniu wspomnienia o szczęśliwym dzieciństwie zacierały się coraz bardziej i być może zatarły się na zawsze.

Adelajda musiała się nauczyć również wielu innych rzeczy: muzyki i ręcznych robót, francuskiego i niemieckiego, powinna była nawet coś niecoś wiedzieć o łacinie i grece. Tak uważała babka, która posiadała ogólne wykształcenie, obowiązujące w owych surowych czasach wszystkie szlacheckie córki. W domu było wiele książek pozostawionych przez zmarłego biskupa i Adelajda nie miała nawet tyle czasu, aby marzyć o dzieciństwie i szczęśliwszych dniach.

Zarówno matka, jak i babka przeżyły gorzkie rozczarowania i młoda dziewczyna często musiała wysłuchiwać, że miłość i tym podobne sprawy nie są niczym innym, jak kłamstwem. Mężczyźni – tłumaczyła jej matka – to bezwzględni oszuści; dlatego też należy trzymać się od nich z daleka.

Gdy Adelajda skończyła dwadzieścia lat, umarła jej matka, wkrótce po niej babka. Nie miała wyboru, musiała zamieszkać z ojcem, dla którego czuła pogardę zaszczipioną jej przez matkę. Właśnie w tym czasie major otrzymał dymisję. W konsekwencji skończyły się też i pieniądze. Major był więc w nie najlepszym nastroju, gdy przyjechała Adelajda. Nie cieszyła go bynajmniej perspektywa współżycia z osobą, która śledziła każdy jego ruch krytycznym i potępiającym spojrzeniem i była jeszcze bardziej cierpka niż jego zmarła żona. Jednak major musiał mieć jakieś zalety, gdyż mimo niepowodzenia, liczne grono jego przyjaciół i znajomych nie zmniejszyło się. Jeden z dalszych jego krewnych dopomagał mu różnymi sposobami, i powoli wszystko stało się łatwiejsze do zniesienia, zarówno dymisja, jak i powrót córki. Ta okoliczność przywróciła mu też jego dawny dobry humor.

Otrzymywał tak jak i dawniej wiele zaproszeń, ale teraz już wraz z córką. Czy dzięki swej świeżości, czy też dlatego, że zetknęła się z weselszą stroną życia, Adelajda zaczęła rozkwitać. Gdy zmieniła krój sukien i sposób uczesania i gdy równocześnie jej sposób bycia stał się mniej wymuszony, major odkrył jednego dnia, że miał u siebie w domu – piękność! Odtąd patrzył na córkę z prawdziwym respektem, bo piękność to było coś, co zawsze znajdowało u niego uznanie i poważanie. Dopiero teraz zauważył, że miała w sobie wytworność swojej babki i coś z owego dumnego spojrzenia i ruchów jego samego, kiedy był młody. Major zaczął jeszcze bardziej ograniczać własne wydatki, aby córka miała jak najwięcej na udoskonalenie swojej garderoby. Tak rozpoczął się tryumfalny pochód Adelajdy. Szły za nią spojrzenia wszystkich, wszędzie, ale... Tak, było jedno „ale”. Zmieniły się czasy. Pieniądze i majątek zyskały bardzo na znaczeniu. Tego zaś Adelajda nie posiadała. A co gorsza, przez swą odrębną indywidualność była niejako odgradzona od otoczenia niby niedostępnym murem. W połączeniu z posiadanymi wiadomościami, a nade wszystko z chłodnym, krytycznym spojrzeniem – odstraszało to wszystkich, z którymi się spotykała.

Początkowo major miał jakieś nadzieje co do jej przyszłości, ale nie znajdował dla niej żadnej dobrej partii spośród licznych wielbicieli, którzy przyciągnięci, mimo wszystko, jej niezwykłą pięknnością, gromadzili się dokoła niej.

Tak przeszło prawie siedem lat, kiedy tuż przed ich wyjazdem do Borgland pannę Adelajdę spotkało przeznaczenie – poznała pewnego aptekarza. Co prawda młodość miał już za sobą, jednak uchodził za zamożnego. Nowy konkurent stał się przyczyną ostrego starcia między ojcem a córką. Nie chciała słyszeć o aptekarzu, w ogóle nie chciała wychodzić za mąż. Major wściekał się i dawał jej do zrozumienia, że w takich czasach, jak obecne, należy kierować się rozsądkiem. Tak, powiedział jej nawet, że aż po uszy tkwi w długach i że nie widzi już wyjścia z sytuacji. Adelajda była głęboko wstrząśnięta, kiedy zrozumiała, że ojciec uważał jej piękność za źródło utrzymania. Pomimo całej swojej dumy zdążyła zauważyć w ciągu lat przeżytych w mieście, że życie nie składa się wyłącznie ze starych konwenansów i grzecznych manier towarzyskich; tak, zauważyła również, że we współczesnym życiu szlachta i ludzie na stanowiskach odgrywają znacznie mniejszą rolę niż dawniej i że w ogóle wszystko się jakoś zmieniło. Zresztą bieda też zostawiła na niej swój ślad. Ale ten aptekarz – nie! Tupnęła nogą; zawsze tupała nogą, ilekroć o nim pomyślała.

Tak przedstawiało się życie Adelajdy Barre, gdy w rozkwicie młodości, ale zimna i zgorzkniała, spacerowała z Elżbietą von Gall. Nie były sobie bliskie, nie, ale miały sobie wiele do opowiadania. Adelajda dużo bywała w towarzystwie miejskim, zaś temat ten bardzo interesował Elżbietę.

Zdarzało się, że raz po raz, kiedy się zgadały, albo zamyśliły, przechodziły całą aleję do końca i wychodziły na główny trakt. Tutaj musiały czasami odskoczyć na bok przed końmi pędzącymi z północy. Konie były czarne jak kruki i przelatywały jak wiatr, zaś ci, którzy nimi powozili, nie kłaniali się nikomu. Wszyscy inni w okolicy pozdrawiali pannę Elżbietę z najgłębszym szacunkiem, tamci natomiast pędzili naprzód, jak gdyby piekło otworzyło się za nimi.

Już nieraz panna Adelajda dopytywała się, skąd pochodzą te czarne konie. Ale zawsze otrzymywała lakoniczną odpowiedź: – Z północy. – Niewiele mogła się z tego dowiedzieć i podniecało to tylko jej ciekawość.

Aż pewnego dnia spotkała w ogrodzie na rannym spacerze brata Lorenca. Nikt nie nazywał inaczej tego człowieka. W rzeczy samej był to rodzony brat pułkownika, ale dziwak i zabroniono mu pokazywać się, gdy byli goście. Dlatego spacerował po ogrodzie zawsze bardzo wczesną porą, dopóki inni nie zaczynali wychodzić z domu.

Jakoś dziwnie trzymał głowę, jak gdyby ciągle nasłuchiwał i miał się przed czymś na baczności. Zresztą wszystkiego się bał, a straszono go jeszcze więcej, aby tym pewniej ukryć go przed ludźmi. Był bowiem na pół obłąkany i nieraz zaskakiwał dziwnymi uwagami. Opowiadał, że kiedyś był bogaty i posiadał dużo pieniędzy – złoto, srebro, papiery wartościowe – ale że wszystko to stracił. Mówił jeszcze wiele innych dziwnych rzeczy.

Pułkownik musiał mieć swoje powody, aby trzymać go w ukryciu przed ludźmi.

Adelajda wiedziała o jego dziwactwach i nie zlekła się, gdy nagle spotkała go na jednej z ogrodowych ścieżek. A może właśnie wyszła tak wcześniej do ogrodu, aby spotkać brata Lorenca? Może nieraz już zamierzała u niego zaspokoić swą ciekawość, kiedy inni nie chcieli mówić.

Pozdrowiła nieszczęśliwca uprzejmie kilku zdawkowymi słowami o zimnej pogodzie i nadchodzącej zimie. Brat Lorenc niespokojnie mrugał powiekami, jak gdyby raziło go słońce, i powiedział, że według niego Adelajda jest o wiele ładniejsza od Elżbiety. Nie tylko imię jej jest ładniejsze. I dodał:

– Elżbieta to zła istota. Żeby diabli żywcem porwali ją do piekła!

Adelajdzie zrobiło się trochę nieprzyjemnie, ale bynajmniej nie odniosła wrażenia, żeby był takim beznadziejnym wariatem. Zniżyła głos i szeptała. Wiedziała, że trzeba szeptać, żeby wzbudzić jego zaufanie i uwagę, bo inaczej myśli jego uciekają gdzie indziej. Powiedziała mu, że widziała jakieś okropne czarne konie, przelatujące w szalonym pędzie po drodze i zapytała jak gdyby w wielkim strachu, skąd one mogły pochodzić.

Lorenc słuchał z otwartymi ustami i odpowiedział najcichszym szeptem, jak gdyby powierzał jej największą tajemnicę, że konie są z dworu Björndal, lam na północy, na górze pod lasem. I aby nadać sprawie jeszcze większej tajemniczości, opowiedział o czymś, co mu z pewnością wmawiano, by go tylko więcej nastraszyć.

– Oni mają tam jakiegoś kapitana – szeptał – który nazywa się Klinge. Trzymają go w zamknięciu zimnym i ciemnym. Nigdy mu nie opalają pokoju i nigdy nie dają mu światła. Elżbieta mi to opowiadała. Mnie także chcą tam posłać, jeżeli po nocach będę głośno mówić w mojej izbie.

Adelajda dowiedziała się więcej, niż oczekiwała. O tej historii z kapitanem musi opowiedzieć ojcu, który wszędzie poszukiwał swojego starego przyjaciela. Podziękowała bratu Lorencowi i pozwoliła mu pocałować się w rękę – ta galanteria dla dam pozostała mu z dawnych czasów. Odszedł teraz swoją drogą z podniesioną głową, dumny jak orzeł.

Adelajda rozmyślała o starym kapitanie. Jak on się tutaj znalazł? Tak czy owak, coś z nim było nie w porządku. Prawdopodobnie pił. Żle się z nim obeszli, za surowo – mówił ojciec – był zawsze takim dobrym kolegą, ten kapitan Klinge. Ale dlaczego ten biedny człowiek, nie mający grosza przy duszy, miał siedzieć w zamknięciu w ponurym dworze na północy?

Gdy tylko nadarzyła się po temu okazja, Adelajda wzięła ojca na bok i powtórzyła mu rozmowę z bratem Lorencem. Usłyszana wiadomość wywarła na nim piorunujące wrażenie. Major Barre nie posiadał się z oburzenia. Jego stary, serdeczny przyjaciel – jeśli jeszcze żyje – jest trzymany w zamknięciu niedaleko stąd? Natychmiast musi się tam udać.

Adelajda nie mogła opowiedzieć ojcu o tej sprawie wcześniej niż dopiero przed samym obiadem. Pułkownik von Gall miał duże zastrzeżenia co do wyjazdu majora w odwiedzinach do przyjaciela właśnie tam na północ, i to o tak późnej porze. Major musiał przedtem obiecać córce, że nie zdradzi brata Lorenca, gdyż ten mógłby mieć nieprzyjemności. Dlatego też w ogóle nie wspominał, że wie coś więcej o kapitanie. Napomknął jedynie, iż pragnie go przed wyjazdem do miasta odwiedzić, słyszał bowiem o jego pobycie w Björndal. Nie zauważył, jak twarz pułkownika spochmurniała, gdy zaanonsował swój plan podróży.

Major przynaglał i dano mu konia i powóz. Ku ogólnemu zdziwieniu i niezadowoleniu Elżbiety, Adelajda także przygotowała się do jazdy. Elżbieta dała jej do zrozumienia tonem gorzkiego wyrzutu, że nie wypada jechać do takiego miejsca. Ale Adelajda nie dała się przekonać.

Takim sposobem po raz drugi powóz dumnych panów z Borgland pojechał na północ do Björndal. Major, zresztą jak każdy obcy, zatrzymał się w Hamarrbö, aby uzyskać informacje o dworze björndalskim i kapitanie Klingem jeszcze przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Aleja prowadząca do dworu była bardzo stroma, toteż nieprzyzwyczajony do niej koń z wielkim trudem wspinał się pod górę. Posuwali się bardzo powoli. Mieli za to czas, by oglądać stare, o powykęcanych konarach drzewa i mchem porośłe kamienie, ułożone w mur ciągnący się od pnia do pnia. Przez ogromne wrota, zbudowane z potężnych drzew, wjechali na podwórze i zatrzymali się na zajeździe. Wszystko było utrzymane w największym porządku, a pokryty delikatną trawką gazon robił wrażenie czyściutko zamiecionej podłogi. Dąb o trzech olbrzymich konarach wznosił się jak gigant pośrodku.

Panna Kruse, czujna jak zwykle, wyszła na ganek. Patrzyła na przyjezdnych z rezerwą, ponieważ powóz był z Borgland, ale gdy zapytano o kapitana Klingego, skłoniła głowę już bardziej łaskawie. W sieni panowała zawsze ciemność, gdyż nie było tam okna. Wchodzącym z zewnątrz przed zapadnięciem zmierzchu ogień na kominku wydawał się tylko słabym światełkiem. Toteż nowo przybyli nie mogli od razu przyzwyczać oczu do ciemności, dostrzegli jednak ogromną postać mężczyzny, podnoszącą się z ławy przy kominku. Mężczyzna ten mocno uściśnął im ręce. Jednocześnie z tyłu po schodach zstępował Klinge. Ponieważ blask z kominka padał prosto na przybyłych, kapitan mógł ich widzieć zupełnie wyraźnie. Ze zdumienia musiał uchwycić się poręczy.

– Nie, co moje oczy widzą! – zawołał. – Drogi, kochany Barre, to naprawdę ty, stary korsarzu!? I piękna panna Adelajda!

Major i kapitan stali, trzymając się mocno za ramiona. Barre przypatrywał się dokładnie przyjacielowi, aby z twarzy wyczytać, czy rzeczywiście był trzymany w zamknięciu. Ale oblicze jego było ogorzałe od słońca i wiatru i w ogóle wyglądał tak świeżo jak w owych czasach, kiedy był jeszcze młodym żołnierzem. Tak. Cała ta historia z zamknięciem to bajki wyssane z palca. Adelajda trzymała się w pobliżu drzwi, jak gdyby gotowała się do ucieczki. Tymczasem panna Kruse powróciła, niosąc dwie zapalone świece. Postawiła je na gzymsie kominka.

Na próżno major i Adelajda przekonywali gospodarza, że powinni natychmiast wracać. Musieli zdjąć wierzchnią odzież i usiąść. Nie chcieli jednak wejść do izby, trzeba było bowiem wracać, zanim zapadną ciemności. Ale z Björndal niełatwo było się wydostać, jak o tym się niebawem major przekonał, gdyż wkrótce na stole pojawiły się kieliszki, fajki i tytoń.

Major podniósł brwi do góry i zrobił wielkie oczy, skosztowawszy pierwszego kieliszka. Co, u licha, miał na swoim wrażliwym języku? Skosztował drugi raz i to wystarczyło. Jakże to było możliwe? Wyjechać gdzieś daleko na wieś, nie, do lasów, i znaleźć stary, wyszukany koniak francuski! Skosztował jeszcze raz i przełykał powoli. Zdziwiony spojrzał na ojca Daga, ale ten spokojnie palił swą fajkę i patrzył w ogień kominka.

W Borgland nigdy ani słowem nie wspomniano o Björndal i jego mieszkańcach. Dlatego też major nie miał pojęcia, że w tutejszych piwnicach było tyle szlachetnych trunków z piwnic Holdera. Wiele z nich było już starych, bardzo starych, kiedy je tutaj przywieziono, zaś przez dalsze przechowywanie bynajmniej nie stały się młodsze! Panna Kruse nauczyła się od swojej surowej pani dobrze je pielęgnować, a ponieważ mieli dzisiaj takich wytwornych gości, przyniosła od razu to, co miała najlepszego.

Kiedy w kieliszkach znajduje się błyszczący płyn, rozwiązują się języki. Wkrótce też nastąpiła ożywiona wymiana słów. Major otrząsnął się ze swego zdumienia nad niepojętą zagadką koniaku i oczarował wszystkich swym świątynym darem rozmowy. Nawet Dag się ożywił, a kapitan czuł się jak w raj.

Nieco z tyłu za kominkiem stało krzesło z wysokim oparciem i szerokimi poręczami. Było wykonane dość prymitywnie, ale za to bogato wyłożone skórą i poduszkami. Na nim siedła panna Adelajda – nieco z dala od mężczyźni, schowana w cieniu. Poczęstowano ją dużą szklanką słodkiego wina, którą postawiła sobie na poręczy krzesła. Nie wiadomo, czy się teraz nudziła, czy też swym bystrym wzrokiem śledziła rozmawiających mężczyzn. Siedziała dziwnie cicho.

O nie, panna Adelajda nie należała do istot, które się nudzą, kiedy nikt się nimi nie zajmuje. Siedziała sobie samotnie w cieniu, pełna cichego zadowolenia. Tylko na poręczy szklanka z winem odbijała czerwonym refleksiem światło kominka. Nie była taką znawczynią trunków, jak jej ojciec. Ale wiedziała, że wino, którego jej nalano, nadawało się do wyjątkowych okoliczności. Myślała o tym przez chwilę; zdawało jej się, że to kosztowne wino pasuje do otoczenia. Wszystko było tutaj takie dostojne, jakkolwiek odmienne od tego, co już знаła. Być może, ten starszy człowiek przyczynił się do tego, że odnosiła takie wrażenie, albo też sama się. Oczywiście rozpoznawały już teraz przedmioty. Na ścianie wisiała makata. Stara, ale tkana niezwykle umiejętną ręką – lekkie postacie i łagodne kolory czyniły z niej prawdziwie piękną całość. Również drzwi, którymi weszli, nie były zwyczajną robotą ciesielską. Masywne i pomysłowo rzeźbione, miały artystycznie kute zawiasy. Tak, wiele tu było do zobaczenia, a panna Adelajda miała spostrzegawcze oczy.

Na dworze podniósł się wiatr. Słyszała jego szum. Niósł z sobą jakąś przytłumioną melodię. To na pewno śpiewały lasy. Słuchała i czuła w sobie napływ czegoś nowego, co pochodziło z otaczających ją ścian i przedmiotów, i ze śpiewnego poszum wiatru. Tutaj wszystko było takie inne od tego, co znała od dawna, a co się jej już sprzykrzyło. Jakaś cicha, napawająca spokojem moc roztaczała się tu wszędzie. Czuła się jakby bliżej samego życia, a życie było inne, niż je sobie wyobrażała, i większe.

Przy stole nie próżnowano – nalewano sobie gorliwie. Major wesoło rozprawiał, a stary Klinge przysłuchiwał się uszczęśliwiony opowiadaniom, które przypominały mu dawne, dobre czasy.

Nagle na ganku rozległy się kroki. Otworzyły się drzwi i w ciemnościach zarysowała się postać mężczyzny. Drzwi się zamknęły, mężczyzna zaś stał ze strzelbą w rękę, mrużąc oczy przed światłem. Wyglądał dziwnie: odzież podarta, włosy zwichrzone.

Był to młody Dag. Powracał z lasu. Skłonił głowę w stronę stołu, gdzie zwykle wieczorami siadywał jego ojciec lub kapitan. Ale dzisiaj siedziało tam trzech mężczyzn. Musiał więc podejść, aby się przywitać i dowiedzieć, kim był ten trzeci. Kapitan wyjaśnił majorowi, że nowo przybyły to syn pana domu. Następnie zwrócono młodzieńcowi uwagę, że na krześle przy kominku siedzi córka majora. Pochyliła się nieco naprzód i skinęła konwencjonalnie głową. Młody Dag odpowiedział jej podobnym ukłonem.

Adelajda nigdy jeszcze nie widziała kogoś tak dziwnego. Doznała najpierw uczucia strachu, o mało nawet nie krzyknęła. Gdy jednak przywitał się z panami i uśmiechnął się, robił zupełnie inne wrażenie. Uważała, że uśmiech był miły. Kiedy przypatrzyła mu się dokładniej i dostrzegła jego silne, śmiałe rysy twarzy, zaszyła się znów w cień, aby dalej go obserwować, sama nie będąc widziana.

Dag wziął stołek i usiadł tuż przed kominkiem. Pocierał sobie ręce i ścierał ramiona, jak gdyby naprawdę rozkoszował się ciepłem. Panowie zaproponowali mu, aby wypił z nimi kieliszek. Wychylił jeden, ale więcej nie chciał. Stary pies, który leżał u nóg kapitana, podbiegł do niego z radosnym skomleniem, poszczekując ze szczęścia. Potem położył się przed nim, węsząc leśne zapachy i liżąc głaskającą go rękę.

Adelajda siedziała schowana w cieniu. Nikt nie widział, że nie mogła wprost oderwać swych pięknych oczu od młodego człowieka. Przeraziła się początkowo na widok jego podartej odzieży i zwichrzonych włosów. Nigdy jeszcze nie widziała, aby ktoś pokazywał się w takim stanie między ludźmi. Strzelba wskazywała jednak, że wracał prosto z lasu. Kurtka i bryczesy były wytarte, nawet wystrzępione, w wielu miejscach wyświecone; lewa nogawka rozerwana aż do kolana. Na nogach miał stare, znoszone sztylpy skórzane; doskonale harmonizowały z całym jego wyglądem. Wśród tych łachmanów dostrzegła rożek koszuli. Była rażąco biała i odcinała się ostro od opalonej szyi. Spojrzała niżej na mankiety i wzdrygnęła się – lewa ręka od przegubu prawie aż po łokieć była owinięta bandażem, rękaw kurtki zawinięty do góry. Bandaż pewnie był biały, ale teraz przesiąknął krwią. Przyglądała mu się, gdy bawił się z psem. Twarz ogorzała, nacechowana silną wolą, równocześnie jednak tchnąca młodzieńczym humorem. Cała postać była aż przerażająca napiętą w niej siłą. Ruchy jego miały w sobie lekkość i giętkość zwierzęcia. Czegoś podobnego jeszcze nigdy nie widziała.

Oczy jej mimo woli pobiegły znów do bandaża. Zrazu nie miała śmiałości zadawać mu pytań, ale gdy wciąż uśmiechał się i mówił do psa, dostrzegła w jego twarzy coś tak prostego i chłopięcego, że w końcu zdobyła się na odwagę.

– Zranił się pan w rękę w lesie?

– Ach, to... to jest tylko draśnięcie. Przez orła – dodał.

Przez orła! Otworzyła szeroko oczy. Słyszała o orłach, czytała o nich, widziała na obrazach, ale w jej wyobrażeniu żyły one w jakimś innym świecie, daleko stąd, a teraz ten człowiek siedział tutaj i mówił o orle, jak o najzwyczajszej w świecie rzeczy.

– Czy walczył pan z orłem? – zapytała z zapartym tchem.

– Nie walczyłem, ale strzelałem do niego. I wtedy spadł. Nie mogłem poruszać skrzydłami, ale kiedy do niego podszedłem, zaatakował mnie.

– I wówczas go pan zabił – powiedziała. Przeszył ją zimny dreszcz.

– Tak – odpowiedział spokojnie.

Major podchwycił ostatnie słowa i obrócił się do młodych.

– Orzeł – odezwał się – pan widział orła?

– Zabił orła – wyjaśniła Adelajda.

Major widział już świetny temat do opowiadań, gdy powróci do miasta.

– Czy macie go tutaj? – pytał zaciekawiony. Tak, Dag przyniósł go ze sobą.

Major chciał koniecznie zobaczyć orła i domagał się szczegółowej relacji, jakkolwiek Dag nie kwapił się z opowiadaniem. Nic szczególnego, najzwyczajniejsza, codzienna drobnostka.

Panna Kruse weszła na chwilę, aby sprawdzić, czy niczego nie brakuje, i Klinge szepnął jej do ucha, że major chce zobaczyć orła, którego Dag przyniósł ze sobą. Skinęła głową i wyszła.

Panna Adelajda nie mogła oderwać oczu od zabandażowanej ręki – sama nie wiedziała dlaczego. Może pragnęła zająć się opatrunkiem? Znała się trochę na tym. Ale siedziała dalej cichutko na krześle ukryta w cieniu. Przeżywała teraz zupełnie nowe wrażenia; miała uczucie, jak gdyby czegoś jej brakowało; odczuwała głód prawdziwego, nowego życia. Tutaj, czuła to, życie mogło być prawdziwe!

Jakże dalekie od tego prawdziwego życia były jej własna egzystencja i jej otoczenie! Przed oczyma jej duszy przesunęły się obrazy ludzi, których spotykała: uśmiechnięte twarze, rozmawiające z nią poufnym szeptem kobiety, które w następnej chwili obmawiały ją za jej plecami, szepcząc i szepcząc; mężczyźni, – którzy pochylali się przed nią w ukłonach, całowali jej dłoń, schlebiali grzecznymi słówkami, a potem śmiali się między sobą z ubogiej a dumnej panny. Znała ich wszystkich i ich fałszywe, puste życie.

Zapukano mocno do drzwi. Jakaś dziwaczna istota wsunęła się do wnętrza. Czy człowiek, czy zwierzę, czy karzeł – trudno było rozpoznać. W każdym razie stworzenie zamknęło za sobą drzwi. Był to Mistrz. Jak w swoim czasie Jörn Mangfoldig robił i naprawiał wszystko, co było do wykonania z drzewa, tak Mistrz działał w swojej dziedzinie i robił wszystko, co należało, przy wyprawianiu zwierząt i skór. Dano mu więc orła, przy czym wszyscy byli ciekawi, co z nim zrobi, bo czasami miewał dziwaczne pomysły. Gdy zaś panna Kruse dała mu znać, że w sieni są goście, którzy pragną zobaczyć orła, zaraz go przyniósł.

Mistrz był niewielkim człowiekiem, natomiast orzeł ogromnym, niezwykle okazem. Opuszczone skrzydła obijały się niosącemu o nogi. Człowieczek podreptał cicho na środek izby i podniósł olbrzymiego ptaka za oba skrzydła do góry. Mistrz cieszył się zawsze wielkim zaufaniem i nikt nie podejrzewałby go o jakieś sztuczki kuglarskie; nie bez powodu jednak nazywano go mistrzem. Być może, przygotował ptaka specjalnie na pokaz. Przeciągnął mu przez szyję żelazny pręt aż do samego dzioba. Teraz stanął i trzymając koniec pręta między zębami, z lekka nim poruszył. Z szeroko rozpostartymi skrzydłami orzeł sunął z wolna w stronę kominka, podnosząc dziko łeb i dziobiąc swym ostrym i okrutnym dziobem. Wywierał straszliwe wrażenie, jak przystało zresztą władcy przestworzy.

Mistrz złożył orła i wyniósł go z izby. Gdy wychodził, z ciemności od zewnątrz wtargnął do sieni zimny wiew. Młody Dag siedział na wprost kominka, odwrócony plecami do tego widowiska, i rozmawiał z psem. Zmarszczył niechętnie brwi, gdy odbywał się pokaz, ale się nie odwrócił. Nie był to jego pierwszy orzeł. Podczas gdy major rozprawiał o orłach i rozmowa znów się ożywiła, panna Adelajda siedziała, nie odzywając się żadnym słowem, i patrzyła na zwichrzone włosy Daga.

Panna Kruse zameldowała o podaniu wieczerzy, ale to przypomniało tylko majorowi i jego córce, że powinni natychmiast odjechać, gdyż zrobiło się już późno.

Płomienie na kominku buchały wysoko i świece na gzymsie rzucały jasne światło na postać Adelajdy, kiedy żegnała się przy drzwiach. Młody Dag długo się jej przyglądał, a i stary Dag, przez tyle już lat nie dostrzegający wielu rzeczy, też z zainteresowaniem przypatrywał się ładnej postaci gościa, który przez cały czas trwania wizyty trzymał się na uboczu, w cieniu za kominkiem.

Nadeszła w swojej kolei pora krótkich dni i długich nocy. Zima objęła ziemię, jeziora i moczary zawieruchą, śniegiem i lodem. Ludzie pociągnęli z siekierami do lasu; wieczorami niebieski dym unosił się nad chatami, skrytymi w leśnej ciszy. Mężczyźni-siłacze wyrąbywali drzewa, a konie wyciągały pnie. Spokojnie i pewnie upływało życie tam, gdzie rządził baczny na wszystko stary Dag. Konie biegły do miasta jak przez wszystkie inne lata.

21

Zegar wydzwonił godzinę. Wieczór przechodził powoli w noc. W pokoju majora Barrego siedziała samotnie Adelajda. Jakaś rozpoczęta robótka leżała przed nią. Ręce wypuściły igłę z nitką i spoczywały bezwładnie na stole. Oparła się plecami o krzesło. Była jakaś inna, odmieniona. Lekko pochylona głowa nadawała jej niezwykle łagodnego wyglądu. A przecież zawsze była wyniosła i chłodna – przynajmniej wobec ludzi. Może za tą dumą i obojętnością kryły się jakieś inne uczucia? Jej piękne oczy przysłoniły się do połowy powiekami i zapatrzyły w przestrzeń rozmarzone.

Nagle drgnęła. Popatrzyła na wskazówki zegara i szybko zgarnęła robótkę. Znów skończył się jeden dzień. Szyja wyprostowała się prawie niepostrzeżenie; miękka łagodność zniknęła w jednej chwili. Podniosła się i szybko podeszła do lustra. W pokoju panował półmrok, paliła się tylko jedna cienka świeca. Śliczna twarz dziewczyny i pewnie zarysowana szyja wylaniały się niby świetlany portret z ciemnego tła lustra. Pod czystą linią brwi oczy jej świeciły spokojnie i cicho jak gwiazdy. Łagodnie wykrojone usta miały stanowczy wyraz. Stała długi czas w tej niemej rozmowie ze sobą...

Znów skończył się dzień, jeszcze jeden dzień najpiękniejszego wieku młodości. Na ustach i oczach legł cień zmęczenia, ale przemknął i znikł w jednej chwili.

Myśli jej szły znowu tam, gdzie błąkały się każdej godziny dnia i każdej bezsennej nocy już od tygodni, ba, nawet od miesięcy. Czy miał ją spotkać ten sam los, co i matkę? Los wszystkich kobiet w jej rodzinie, los, który i jej przepowiadano? Czy ową „ziemię obiecaną” miała tylko oglądać, ale nie mieć do niej nigdy dostępu?

Los jej matki.

Wstrząsnęła się, jak gdyby lód nagle tknął jej żyły. Los jej matki – dlaczego nie? Matka jej była córką biskupa, wielkiego dostojnika; była taka ładna, a chociaż nie bogata, to przecież dość zamożna. Mimo to umierała jako zapomniana żona biednego oficera. Adelajda ze strachem wspomniała ostatni uścisk matczynej ręki, jej ostatnie bolesne słowa: „Niech Bóg ma cię w swojej opiece, moja córko, i niech zaoszczędzi tobie podobnego losu”. A jakimż prawem ona, Adelajda, oczekiwała lepszego losu? Jej matka miała posag i pochodziła z domu, który cieszył się poważaniem w całym kraju, gdy tymczasem ona była tylko córką zadłużonego oficera. Śmiech i szyderstwo! Jak wszystkie kobiety w jej rodzinie, tak i Adelajda wmawiała sobie, że jest osobą nieprzeciętną, że jest piękniejsza, mądrzejsza, dojrzała niż inne – a przecież myślała tak samo jak każda naiwna kobieta. Nie dość tego – myślała wciąż o czymś, co było niedościgłym marzeniem.

Była tylko jeden raz w tym wielkim dworze pod lasem, ale to jej wystarczyło, by podsycać w swym próżnym sercu złudną nadzieję, by odrzucając wszelki rozsądek, roić wielkie sny niby młoda, niemądra dziewczyna. Ale dlaczego miała się ich wyrzec?

Dlaczego las śpiewał tę urzekającą melodię, gdy siedziała wówczas w sieni? Dlaczego czuła w sobie wtedy ów dziwny przypływ ciepła i życia, jakiego przedtem nigdy nie zaznała? Dlaczego w sercu jej zrodziło się pragnienie, by wstać i zdjąć zakrwawiony bandaż i opatrzyć mu ranę? Dlaczego pamiętała to obszerne podwórze dworskie i głęboki cień dębu lepiej i wyraźniej niż zajazd przed dworem borglandzkim, gdzie spędziła tyle dni? Dlaczego pamiętała każdy, nawet najdrobniejszy szczegół – płomienie buchające z palących się polan sosnowych i trzeszczenie belek w ścianach, gdy zerwał się wiatr?

Naraz lustro gdzieś znikło. Coś dziwnego działo się z jej oczami; coś wilgotnego i ciepłego spływało po policzkach. Odwróciła się raptownie od lustra i wyjęła chusteczkę. Krótkie wycieranie i już nie było ani łez, ani myśli. Panna Adelajda wyprostowała swój dumny kark i była znowu sobą.

Ale dzisiaj nie mogła się opanować. Kark ciągle miękł i głowa pochylała się pod nieprzewyciężonym naporem myśli. Wszystko, co w niej było z uczucia, z serca i z kobiety, trzymało się kurczowo tego jednego marzenia.

To, co dotąd słyszała o złych stronach małżeństwa, o kłamstwie miłości, nosiła codziennie jako pancierz przeciwko wszelkim cieplejszym uczuciom. Zimno i spokojnie myślała o miłości. Towarzysze z komnat balowych i wycieczek na śniegu przeciągali przed jej oczami. Wszelkie hołdy i zaloty uważała za czczą komedię, zaś wszystkich młodzików ze swojej sfery miała jedynie za pionki w grze, która jej nie interesowała.

Mając dwadzieścia lat, dała swego pierwszego kosza. Wyśmiewała konkurenta głośno i bezlitośnie. Jego święte zapewnienia i prośby były dla niej bez znaczenia. Potem przyszli inni – ze strachem o tym myślała – w końcu zaś ten aptekarz, stary, wyżyty, ale bogaty. Jej własny ojciec zasypywał ją gradem przykrych słów, dając do zrozumienia, że świat i życie to przede wszystkim pieniądze, a nie duma i sny serca. Pienią się niemal z wściekłości, gdy kazała aptekarzowi odejść. Ale aptekarz ciągle powracał: czaił się i czekał, aż bieda złamie jej dumę i ugnie jej sztywny kark. Zresztą... kiedyś będzie musiała wyjść za mąż. Woląa raczej to, niż znosić smutny los ciotki Eleonory.

Zawsze tak wtedy myślała. A i teraz myślała tak samo, kiedy tylko dopuściła do głosu rozsądek. Jej serce, które trzymała w okowach zimnej obojętności przez wszystkie lata swego dojrzałego życia, odezwało się teraz tylko jeden, jedyny raz, lecz tak silnie, że jeszcze wciąż drżała na całym ciele.

Obudziło się owego wieczoru, kiedy siedziała opodal kominka, schowana w cieniu wielkiej sieni. Wówczas po raz pierwszy poczuła nieodpartą moc życia. Poczuła w sobie, gdzieś głęboko w sobie, pragnienie, aby uchwycić zranioną rękę, pochylić się nad nią i poczuć na sobie spojrzenie władczych oczu. Po raz pierwszy odczuwała potrzebę, aby być dobrą i zakosztować ciepła wdzięczności.

Gdy tak o tym myślała, pojęła wreszcie, na czym polegała jej omyłka. Szydliła z tego szumnie brzmiącego słowa „miłość”, ponieważ obiecywało tak dużo, a potem – wiedziała przecież od swoich najbliższych i od innych – przynosiło przykre rozczarowanie. To, co teraz czuła, niewiele miało wspólnego z nadzieją uzyskania czegoś. Czyż mogła oczekiwać czegokolwiek od człowieka, który miał tak twardy wyraz twarzy, jak tamten młody przed kominkiem? Nie! Odczuwała tylko niewypowiedzianą potrzebę dawania, serdeczną potrzebę świadczenia. To na pewno była miłość.

Tak myślała Adelajda Barre i być może uważała, że i w tym jest mądrzejsza od innych, że miała szerszy i bardziej szlachetny pogląd na tę sprawę, zapominając zapewne spytać siebie, co wzbudziło w niej ową chęć dawania. Czyż nie pragnęła, aby te mocne i zniewalające oczy patrzyły ku niej z uczuciem wdzięczności? Czyż nie widziała wówczas uśmiechu, który jak złoty promyk przemknął po jego twarzy, uśmiechu, który właśnie na tych surowych rysach robił takie jasne wrażenie? Czy nie życzyła sobie, żeby ten uśmiech raz, nie, wiele razy, był przeznaczony dla niej? Czyż nie widziała, jak dwoje silnych rąk bawiło się z psem, i czy nie słyszała pieszczotliwych słów? I czy nie dostrzegła, z jaką wiernością i przywiązaniem stare, poczciwe psisko wpatrywało się w swojego pana?

Biedna Adelajda Barre! Spotkała brata człowieka, którego spojrzenie szturmem zdobywało kobiety. A przecież ten był jeszcze bardziej niebezpieczny, bo równocześnie wzbudzał zaufanie swą prawością, czego brakowało jego bratu.

Adelajda walczyła ze swymi myślami, usiłując – jak niejedna inna kobieta – zrozumieć siebie samą. Jak dużo z tej jednej wieczornej sceny utkwіło jej w pamięci!

W pojęciu surowej babki Adelajdy ubierać się nie dość godnie w stosunku do stanowiska i majątku było grzechem nie do wybaczenia. Obojętność w tym względzie świadczyła o najgorszym spodleniu. Adelajda przez całe życie stosowała się do wpojonych jej zasad i w ciągu ostatnich lat ubóstwa i niedostatku męczyła się nieraz dniami i nocami, aby odzież jej i ojca była zawsze bez zarzutu. A przecież tam w Björndal syn wrócił do domu w podartym ubraniu i ze zwichrzonymi włosami, jak gdyby na przekór wszelkim konwenansom. Pomimo to zdawało jej się, że właśnie w tym człowieku znalazła coś, co poruszyło jej serce. Nie umiała tego określić, ale po długich rozmyślaniach doszła do wniosku, że był on o tyle szczerzy, o ile inni byli fałszywi; był więc takim, jakim winien być mężczyzna. Adelajda wyczuwała to instynktownie.

Często spotykała się ze zdaniem, że jest nieodrodną córką rodziny swojej matki. Wiedziała, co ludzie przy tym sobie szeptali. O kobietach z jej rodu mówiono, że były wysokie, piękne, reprezentacyjne, że posiadały wszechstronne zdolności i wielką inteligencję. Ale poza tym, mówiono, były to kobiety o zimnych sercach i nieugiętej dumie, które mężom swoim przynosiły nieszczęście. To było okropne. Pamiętała, co kiedyś powiedziała jej ciotka Eleonora, coś, co właśnie teraz napełniało ją przerażeniem – że kobiety w ich rodzinie są, co prawda, dumne, ale nie mają zimnego serca, bo ich duma pochodzi z serca; że jeśli kiedy pokochały, to tylko raz i już nigdy potem nie mogły zapomnieć swojej miłości; a jeśli później wychodziły za mąż za kogoś innego, to nigdy z miłości i potem zawsze wynikało z tego nieszczęście. Dlatego to ciotka Eleonora nigdy nie wyszła za mąż – jak to sama stwierdziła, Adelajda zaś, zdaniem jej, również powinna pozostać niezamężna. Bowiem wszystkie prześladował ten sam los – nigdy nie dostawały za męża człowieka, którego pokochały. Widocznie, jak twierdziła ciotka, jedna z kobiet z ich rodu musiała kiedyś ciężko zgrzeszyć przeciw Bogu i za to na ród ich spadła wieczna kara.

Głowa Adelajdy ciężko spoczywała na złożonych dłoniach. Więc i jej było przeznaczone pokochać kogoś, kto pozostanie dla niej nieosiągalny i kogo nigdy nie zapomni. Przeznaczenie kazało jej jechać do Björndal tylko po to, aby rozpoczęło się strapienie. Tak, to się już stało. Zresztą dlaczego właśnie ona, uboga panna, miałyby być pierwszym wyjątkiem i wyzwolić się spod przekleństwa? Inne kobiety z ich rodu, o ile wiedziała, nie sięgały wyżej, niż im przystało według stanu i majątku. A ona sama? „Chłopa chce sobie wziąć!” – krzyczano by w jej otoczeniu ze zgrozą, załamywano by ręce i czyniono znak krzyża, a w skrytości radowano by się jej upadkiem.

– Ty kłamiesz, Adelajdo! – słowa te zabrzmiały tak głośno i wyraźnie, że aż się zerwała. Wyszły z jej własnych ust. Nasunęła jej własna jej uczciwość. Wyprostowała się i rozejrzała po pokoju, jak gdyby nie była już sama.

– Tak – powtórzyła ciszej – ty kłamiesz! Sama przed sobą chcesz coś ukryć. Udajesz, że myśli twoje krążą tylko dokoła miłości i przeznaczenia, a zupełnie pomijasz rzeczy doczesne i materialne. Udajesz, że żyjesz jeszcze w czasach twojej babki, i sama sobie wmawiasz, że w twojej sferze wytykano by ci „chłopa”, gdyby rzeczywiście doszło do tego, o czym teraz ciągle myślisz...

– Nie, moja kochana Adelajdo! – znów mówiła głośno. Miała wrażenie, że był to głos jej babki. Przerazona ścisnęła w rękach robótkę. – Wiesz doskonale, że czasy się zmieniły i że wiele osób z twojej sfery popadło w biedę. Wiesz, że szlachectwo i pochodzenie nie mają już takiego znaczenia, jak dawniej. Wiesz aż nadto dobrze, że niejedna panienka z dobrej rodziny poczytałaby sobie za wielkie szczęście, gdyby mogła założyć dom w jednym z tych starych dworów wiejskich. Wiesz także z różnego rodzaju aluzji i uwag wypowiedzianych w Borgland, jak też i z tego, co twój ojciec słyszał w mieście, że Björndal to zamożny dom. O co się więc targujesz, o swoją dumę czy o ten tak mile widziany majątek? Życzysz tym wszystkim, którzy w twoim mniemaniu są twoimi nieprzyjaciółmi, aby dożyli tego dnia, kiedy z biednej staniesz się bogatą. Życzysz im też, aby cierpieli niedostatek, kiedy w kraju nastaną przepowiadane od lat złe czasy, podczas gdy ty sama będziesz dobrze zabezpieczona.

Podniosła się uroczyście jak w kościele, złożyła powoli ręce i szeptała słowa modlitwy:

– Wiem, że sięgam za wysoko. Wiem, że Björndal jest wielkim i bogatym dworem, ale nic o tym nie wiedziałam, ani też o tym nie myślałam, gdy poczułam pragnienie być czymś dla niego, dla tego chłopca. Ty wiesz, o Panie, że to jest prawda. Wypróbuj mnie, dopomóż mi w tym, abym oddaliła się od wszystkiego, co czyni mnie złą i nikczemną. Pozwól, abym go znowu zobaczyła, pozwól, abym należała do niego. Pozwól mi pokazać, że jestem gotowa być jego żoną w doli i niedoli, i ukarż mnie, jeśli zawiodę...

Osunęła się na fotel, ukryła twarz w robótkę i kurczowym ruchem wyciągnęła przed siebie ramiona. Szeptała jeszcze inne słowa gorącej, namiętnej modlitwy.

Piękna, uczciwa Adelajda zasnęła nad stołem, a piętno dumy jak gdyby znikło z jej twarzy na zawsze.

Zegar, sprowadzony ongiś z Anglii, głośno tykał. Na jego tarczy wypisane były dwa słowa: *Memento mori*. Pamiętaj o śmierci. Ale dla Adelajdy oznaczały już od dawna: Bądź uczciwa. Życie, jakie w swoich warunkach prowadziła, bynajmniej nie usposabiało do szczerości; było to zatem dla niej najsurowsze przykazanie, jakie myśl o śmierci mogła jej przypomnieć.

A zegar tykał i tykał, i wybijał godzinę za godziną.

Właśnie wybił drugą, gdy w zamku drzwi wejściowych obrócił się klucz. Major Barre wszedł do środka. Był u swoich dobrych przyjaciół i wrócił z lekka podniecony alkoholem. Stróż nocny ukłonił mu się w przejściu z wielkim uszanowaniem – wszystko na świecie było tak, jak należało, poza tym jednym, że w oknach jego pokoju błyszczało światło. To coś wręcz niezwykłego! Potraktował to jako zły omen.

Śpiewał sobie właśnie jedną ze starych niemieckich piosenek, których nauczył się w czasie swoich kampanii wojennych w Niemczech, gdy zauważył światło, i to jeszcze w pokoju, w którym stało jego łóżko. Gdyby światło paliło się w pokoju Adelajdy, nie dziwiłby się w ostatnim czasie była taka dziwna. Ostrożnie otworzył i zamknął drzwi. Nie chciał robić niepotrzebnego hałasu. Aha, więc to tak, usnęła nad szyciem. Nabrała pewnie rozsądku w sprawie aptekarza i zaczęła poważnie myśleć o swojej wyprawie.

Major zawsze umiał łatwo wytłumaczyć sobie wszystko na korzyść. Nie był dobrym znawcą duszy ludzkiej, ale posiadał również tę zaletę, że nie zrażały go błędy i przywary ludzi – u każdego umiał znaleźć coś, co mu się podobało. Może miał powód ku temu, by odkrywać zalety u drugich, sam bowiem z siebie nie był zadowolony. Zbliżało się już Boże Narodzenie, szylingów było coraz mniej, czasy złe. Nikt z jego przyjaciół nie napisał do niego nawet słowa, nikt nie kwapił się, by zaprosić go wraz z córką na święta. Bał się tych świąt szczególnie teraz, kiedy Adelajda znajdowała się w takim dziwnym nastroju, a zanosilo się na to, że będą musieli spędzić je razem w domu – w biedzie i opuszczeniu.

Zatrzymał wzrok na córce i może odczuwał dla niej politowanie, ale u majora Barrego takie stany uczuciowe nie trwały długo.

Na stole leżał list. Czekał na niego. Major często otrzymywał listy, gdyż załatwiał różne sprawy dla oficerów, którzy mieszkali na wsi. Czerpał z tego małe dochody. Rozerwał list, czytał i twarz jego stawała się coraz bardziej zamyślona.

– Adelajdo! – powiedział głośno.

Wzdrygnęła się, spojrzała na wpeł przytomnie dokoła. Wzrok jej padł na zegar. Było pół do trzeciej. Jak każda prawdziwa kobieta nie czekała, aż ojciec wygłosi jej kazanie za to, że zasnęła i niepotrzebnie paliła światło, ale odezwała się pierwsza:

– Jak późno wracasz!

– Głos córki, słowa matki – odparł major z humorem. Adelajda przesunęła ręką po oczach i wpatrywała się w jego zadowoloną twarz. Śniło jej się właśnie, że rozmawiała z ojcem o tym, czy nie można by spędzić świąt u von Gallów, bo przecież ich zapraszali, gdy byli u nich latem; nawet jeżeli czynili to tylko z uprzejmości, mogliby ostatecznie tam pojechać, wszak nie mieli na razie innego zaproszenia. Gdy zobaczyła zadowoloną twarz ojca, uważała, że można mówić o tym nawet zaraz.

Ale tymczasem major chrząknął głośno i powiedział jej, że otrzymał list.

Wiem o tym przecież – odrzekła Adelajda.

– Ale zgadnij, od kogo?

Z tonu jego głosu domyśliła się, że nie był to zwykły list handlowy, ale chociaż przebiegła w myślach wszystkie osoby, które wchodziłyby w rachubę, nie mogła na nikogo natrafić.

– Nie możesz zgadnąć? – pytał zadowolony.

– Nie – odpowiedziała. Ale w tej samej chwili przeszył ją strach, zimny strach.

– Czy on jest... z... Borgland? – wykrztusiła.

– Całkiem nieźle – odparł major.

Adelajda zamknęła oczy i wzniosła swe myśli ku niebu. Czyż nie prosiła dzisiaj wieczorem Boga o to? Czy to prawda, że szczerze modlitwy zostają wysłuchane? Ale z tych refleksji szybko została wytrącona, ojciec bowiem powiedział jej z rozbawieniem, że musi dalej zgadywać.

Nie. Adelajda nie miała już po co zgadywać. Opuściła głowę zmęczonym ruchem. Obojętne, skąd list przyszedł, skoro nie jest z Borgland. Major nie mógł wiedzieć, co było powodem tej nagłej zmiany – najpierw takie ożywienie, a teraz taka obojętność. Uznał jednak, że prawdopodobnie sprawa ta nie interesuje jej w takim stopniu, jak jego samego. Może w ogóle nie będzie chciała słuchać o tym; co on ma zrobić? Jeżeli odpowie mu po prostu: nie – na wszystko, co tam jest napisane?

Zwiesił głowę, ręka machinalnie zmięła list. Gdyby się przynajmniej rozniewała, wtedy miałby pretekst, aby wystąpić bezwzględnie i stanowczo – on tak chce i basta! Opary z wypitych kieliszków i wzywy z wypalonych fajek zamąciły mu wzrok. Nie mógł widzieć zupełnie wyraźnie, ale zdawało mu się, że Adelajda, ta dumna pani, wygląda teraz jak cień.

– Hm! – zauważył. – Jest już pół do trzeciej; skoro nie chcesz dalej zgadywać, będę ci musiał powiedzieć. To pisał tylko Klinge, stare biedaczysko.

Major zwrócił wzrok na list, by odszukać najważniejsze miejsca, i przez to stracił możliwość zobaczenia czegoś przerażającego.

Adelajda z cienia przemieniła się nagle w lwicę. Zapomniała o rozsądku, względach, pochyliła się całym ciałem do przodu, trzymając się kurczowo poręczy fotela.

– Klinge? – wyszeptała.

Tak odpowiedział major, wciąż jeszcze szukając w liście odnośnych miejsc. – Wiem, że będziesz rozczarowana, ale trzeba się z tym pogodzić. Ostatecznie jest to mój dobry, stary przyjaciel i towarzysz broni, no i zresztą tym razem nie mamy wyboru. Ciężkie czasy. Mało pieniędzy. Słabe nadzieje. Musimy być radzi z tego, co nam się nadarza.

Adelajda opanowała się; cicho i spokojnie przechyliła się do tyłu na oparcie fotela. Siedziała z głową wysoko podniesioną, choć ręce zaciskały się tak silnie, że kłykcie były zupełnie białe.

Major czytał jej teraz list. Było to zaproszenie do Björndal na okres świąt. Na zakończenie Klinge pouczał, jak najlepiej urządzić się w podróży, gdyż było bardzo zimno. Gdyby woleli, mogliby dostać konia z Björndal na całą drogę, ale wówczas musieliby robić długie i męczące postoje. Najlepiej więc brać świeże konie od postoju do postoju, a na ostatnim przesiąść się do czekających już sań z Björndal. Może zechcą oddać list z odpowiedzią u kupca Holdera. Odbierze go ktokolwiek z Björndal, kto przyjedzie do miasta.

Adelajda nie przygotowywała się jeszcze do świąt i dlatego miała teraz bardzo dużo pracy z praniem, naprawianiem, prasowaniem i maglowaniem zarówno dobrze już podniszczonych rzeczy majora, jak i swojej własnej garderoby. Dawniej zawsze ogarniało ją przerażenie, ilekroć miała zabrać się do tej pracy – teraz przyszło jej to wszystko lekko i łatwo. Ostatnie dni przed świątami były pełne radosnego podniecenia i emocji – przeżywała je tak samo, jak w najpiękniejszych latach swego dzieciństwa.

Dzwonki u sań w owych latach miały zawsze taki radosny ton, który towarzyszył w gościnnej podróży na święta Bożego Narodzenia. Dla Adelajdy jeszcze nigdy nie dźwięczały tak cudownie, jak tego ranka, gdy koń wyruszył w długą drogę do Björndal.

Nad Björndal była już noc. Przedostatnia noc przed wigilią. Panna Kruse cicho zamknęła drzwi do kuchni. Nareszcie mogła odpocząć. Przez cały miesiąc nie miała niemal chwili spokoju. Żaden zwykły człowiek nie był zdolny opanować ogromu prac związanych z przygotowaniami świątecznymi w Björndal, i panna Kruse dziękowała Stwórcy, że nie była zwykłym człowiekiem. Gdy nadchodził wieczór, wszyscy dokoła niej zasypiali ze znużenia. Ona jedna zachowała siły. Dzień i noc, w świętek i piątek, była na nogach. Wszyscy potrzebowali jej pomocy i wszystkiego musiała dopilnować. Sprawowała przecież nieograniczoną władzę w kuchni, na terenie magazynu piwnicznego, jak też w oborze i spichrzu.

Weszła do sieni, podniosła do góry latarnię i badawczo rozejrzała się dokoła. Wszystko było zamiecione i posprzątane. Jutro wyłożą podłogi jałowcem. Jałowiec odświeża powietrze. Pogrzebaczem rozgarnęła popiół, aby sprawdzić, czy żar na spodzie nie wygaśnie. Wzięła latarnię do ręki i poszła po cichu na górę.

Przygotowania świąteczne nie były chyba jeszcze nigdy tak żmudne, jak w tym roku. Wszystko musiało być zrobione tak samo, jak za życia Teresy i za czasów Ane Hamarrbö. Panna Kruse słyszała wiele o Ane, bo ludzie we dworze i w osiedlu żywo ją jeszcze pamiętali.

Tak więc wszystko było już zrobione. Pozostały jeszcze tylko drobnostki, które załatwi się następnego dnia, a potem, gdy nadejdzie wieczór wigilijny, trzeba będzie napalić w łaźni i przygotować kąpiel. I to będzie już koniec.

Utrudzone nogi ledwie nosiły ją po schodach. Była bardzo zmęczona, ale też bardzo zadowolona. Wszystko się tego roku udało, nawet piwo słodowe. Mięso w galarecie i rolady trzymały się doskonale i można je było krajać w cienkie plastry jak ser. A ciasto – to prawdziwa radość dla oka i podniebienia.

Zaś flatbröd⁹ były cieniutkie i kruche jak zeschnięte liście. A to było najtrudniejsze ze wszystkiego. Ale też nie spuściła ani na chwilę oczu z piekarki Marty, żeby ta znów nie zasnęła przy pieczeniu, tak jak ostatnim razem.

Tak, tym razem miały to być szczególne święta. Choćby nie wiem jak była zmęczona, nie położy się wcześniej do łóżka, aż podziękuje Bogu za wszystką Jego dobroć. Na pewno Bóg pozwolił, aby wszystko się tak dobrze udało, ponieważ wiedział, jakich gości będą przyjmowali. Panna Kruse stale tylko o tych gościach myślała.

Niemalą wytwornych ludzi widziała w swoim życiu, ale nigdy jeszcze takiej osoby, jak córka majora Barrego. Żeby osoba tak nieprawdopodobnie piękna i dystygowana pokazała się tutaj za sprawą tego biednego kapitana – w tym musiała być ręka Opatrzności. A oto teraz miała zjawić się ponownie. Oczekiwana wizyta nasuwała jej zresztą różne myśli. Młody Dag dawno był w tym wieku, żeby się ożenić, ale w mniemaniu panny Kruse żadna kobieta nie była jego godna.

Chyba przecież przyjadą – major i córka? Wprawdzie w swoim liście odpowiedzieli tylko połowicznie na otrzymane zaproszenie, ale kapitan twierdził, że przyjadą, chociaż bardzo pewny tego nie był.

⁹ rodzaj ciastek

Wzdrygnęła się na myśl, jak przykre byłyby te święta, gdyby goście zawiedli. Kapitan siedziałby przygnębiony, ponieważ wyrzucałby sobie, że nie umiał ściągnąć nawet dwu osób, zaś stary Dag, który wieczorami chętnie grywał w karty, również odczuwałby brak majora jako partnera. Tak, jeżeli się zastanowi, również i dla niej cała uroczystość świąteczna zależała właściwie od przyjazdu panny Barre. Gdyby nie przyjechała, nie miałyby prawie żadnej satysfakcji ze swego tak dobrze udanego dzieła.

Panna Kruse pragnęła owych gości, jakkolwiek zdawała sobie sprawę z tego, że przybycie damy do Björndal może położyć kres jej własnemu panowaniu.

Przyjrzała się dobrze córce majora i zauważyła, w jaki sposób podnosiła głowę. Tak, tego rodzaju ludzie nie pozwalają z sobą żartować. Panny Adelajdy nie można było lekceważyć.

Panna Dorota uczyła ją, że nie należy nigdy myśleć o sobie. Niech Bóg błogosławi jej pamięć. Jednak niełatwo było stosować się do tych nauk. Bo panna Kruse także była człowiekiem, chociaż nikt o tym nie myślał. I ona miała swą miłość, niech jej Bóg przebaczy, nawet dwie! Jedną miłością było dla niej stanowisko, które zajmowała w Björndal; a to znaczyło niemało, skoro stary Dag powierzył jej nadzór nad całym gospodarstwem domowym. Tak, to było coś. Nie lada zaszczyt, którym jej gadatliwa matka i ojciec-pijak z dalekiej równiny nie omieszkali się chwalić, ilekroć znaleźli się między ludźmi. Przecież i na nich spadło coś w rodzaju zaszczytu. Drugą jej miłością był młody Dag. Nigdy ani słowem, ani gestem nie uczynił nic takiego, co mogłoby jej dać jakąś nadzieję. Ale niejednokrotnie dziękował jej za to lub tamto; te słowa podziękowań karmiły jej miłość. Przychodził do niej regularnie po prowiant na wyprawy leśne i po czyste koszule. Pod tym względem był bardzo wymagający. Gdyby tylko wiedział, z jaką cierpliwością szyła mu koszule i jak starannie bielila je na słońcu!

Jedną i drugą miłość panny Kruse mógł odebrać przyjazd panny Barre. Ciężko było być człowiekiem według przykazań panny Doroty, ciężko kochać bliźniego swego.

Panna Kruse szła schodami na górę, po czym zatrzymała się przed drzwiami swojej izby. Stała tam przez chwilę pogrążona w myślach, potem zawróciła i udała się korytarzem aż do pokoju panińskiego. Weszła i zamknęła drzwi za sobą. W ostatnich dniach zachodziła tutaj wiele razy, ale chciała sprawdzić jeszcze raz, czy wszystko było w porządku. Nie zaszkodzi bynajmniej zwrócić na wszystko uwagę, jeśli wizyta ma przynieść w rezultacie to, czego oczekiwała. Przejrzała starannie cały pokój. Nie był obszerny, ale pokoje gościnne w nowym budynku wydawały się panie Kruse mało przytulne. Pokój paniński jest najpiękniejszy na świecie, gdyż tutaj mieszkała panna Dorota. Tyle jej miała do zawdzięczenia. Takiej duszy chyba nie spotyka się nigdy na świecie. Panna Dorota pozostawiła list, w którym napisała, że Krystyna Kruse ma po jej śmierci otrzymać jej zegarek. Zegarek był z kosztownego złota i taki piękny, że każdemu, kto go widział, przypominał jakąś świetność. Został przywieziony z Holandii.

Panna Kruse rozejrzała się jeszcze raz po pokoju. Chyba niczego nie brakowało. Łóżko było zasłane do spania. Wspaniałe, niebiańskie wprost łóżko. Na bokach były wyrzeźbione delikatne figurki, zaś na słupach i stropie kwiaty i arabeski, nadzwyczaj artystycznie wykonane. Piękniejszej rzeczy nie zobaczyłoby się nawet w kościele. Nowe zasłony tkano tutaj, we dworze, koronki i wstawki wyhaftowała sama panna Dorota. W poduszkach i kołdrach był kaczycy puch, lekki i miękki jak powietrze; powleczenia na poduszkach i prześcieradła ze śnieżnobiałego płótna – włókno wyhodowano na polach björndalskich, a we dworze przyrządzono je, uprzedzono i wreszcie utkano; gotowe płótno wybielono na osłonecznionych stokach wzgórz otaczających dwór. Przed łóżkiem leżała skóra rysia, najcieplejszy i najbardziej miękki dywanik, jakiego można życzyć stopie ludzkiej.

Na ścianach wisiały obrazy i różne drobnostki, nad komodą – piękne lustro. Pod nim panna Kruse umocowała wianek z nieśmiertelników i trawy drżączki. Kazała splatać takie wieńce latem, aby rozweselały izby w ciemne, zimowe dni.

Panna Kruse wdychała powietrze w izbie. Opalała ją już od trzech dni. Do pieca kładziono świeże gałęzie świerkowe, aby usunąć z izby stęchłe zapachy. Tak, panna Barre mogła teraz przyjechać. Niech się przekona, że w Bjørndal można mieszkać zupełnie przyzwoicie, chociaż jest przyzwyczajona do wytwornego życia.

Nazajutrz o brzasku, kiedy niebo nad lasami od wschodu nie zdążyło jeszcze przyblednąć, zatrzeszczały drzwi od izby czeladnej. Niesiona przez kogoś latarnia przesuwiała się chybotając przez ciemne podwórze, aby w końcu zniknąć za wrotami stajni. To sam starszy stajenny, Syver Bakpaa, rozpoczął swój dzień.

Tym razem chodziło o wielką, uroczystą jazdę, i sam Syver będzie musiał powozić – powiedział stary Dag. Ma przywieźć pewnego majora i jego córkę; major był na wojnie w wielu obcych krajach; to major dragonów, bardzo srogi pan; wszystko musi być w idealnym porządku, i koń, i sanie – panna Kruse pouczała Syvera. Musi wziąć tego dużego ogiera, nawet gdyby koń był w swoim najgorszym humorze. Major dragonów może jechać tylko prędko, to jasne jak słońce.

Tak, musi wziąć Bamsena. Ten ma najszersze piersi z całej stajni i pędzi jak wichur. Ale jedna wielka szkoda: trolle tak opadły tego konia, że żaden chrześcijanin nie może się już prawie do niego zbliżyć. Toteż nikt nie miał odwagi nim jeździć. Ogier stojąc beczynn timerósł, a równocześnie zdziczał do tego stopnia, że nawet Syver musiał się czasami zastanawiać, czy w ogóle warto mu się z nim zadawać.

Syver człapał po stajni. Słysząc było stuk kopyt o ziemię i szcęk łańcuchów. Ze wszystkich stron dobiegało parskanie i rzenie koni. Ponad przegrodą jednego ze środkowych boksów Bamsen podniósł swój łeb i parsknął na niego. Nozdrza miał rozszerzone, dokoła ślepiów białawe obwódki. Aha! Więc tej nocy miał znów gości. Syver ostrożnie wśliznął się do boksu i zajrzał do koryta. Naturalnie, zostało w nim jeszcze trochę siana. Trolle dały mu go tak dużo, że nie mógł podolać. Spojrzał na niego z boku. Grzywa i ogon, jeszcze wczoraj tak pięknie wyczesane, były zwichrzone i splątane. Musiały grzebać w nich i przeplatać tam i z powrotem przez całą noc – to było całkiem jasne.

Syver przeszedł do boksu Borki. Rżała – widać było, że jest wygłodzona i niespokojna. Jej koryto było puste i wylizane. Biedna Borka. Widocznie karzełki nie lubiły gnιάdych koni. Zabrały Borce całą paszę i zaniósły Bamsenowi, który codziennie przybierał na wadze, a Borka w tym samym czasie coraz bardziej chudła. Co one wyprawiały z tym Bamsenem – to było po prostu okropne. A jak czysto utrzymywały jego boks. U każdego innego konia przez noc gromadziło się w przedziale siano i gnój, ale u Bamsena było zupełnie czysto. Jeśli tylko coś spadło na ziemię, zaraz mu to wymiatały i wynosiły na środek stajni. W boksie Bamsena było zawsze jak wylizane.

Syver nagle podskoczył. Czy ktoś nie chichotał? Zupełnie tak, jak delikatne miauczenie kota. Przerażony, odmówił czym prędzej *Ojczy nasz*. Szeptem. Wiedział, że po takiej modlitwie trolle były bezsilne aż do następnej nocy. Napoił i nakarmił Bamsena. Gdy jednak chciał wyczesać mu grzywę, zwierzę wykręciło nagle łeb i kłapnęło szczękami, aż się rozległo; z pyska wyszczerzyły się na niego błyszczące zęby. Nieźle. Tym razem trolle porządnie go rozdrażniły. Syver wymyślał im teraz do woli, wiedząc, że po zmówieniu *Ojczy nasz* nie mogły go już usłyszeć.

Gdy Syver skończył obchód stajni, napełnił worek owsem potrzebnym na drogę i sprawdził jeszcze raz uprząż i dzwonki. I znów w stajni zapanowała ciemność i cisza. Słyszał tylko monotony szmer poruszających się końskich szczęk, jak rozcierały siano; od czasu do czasu stuknęło kopyto, przerywając ciszę. Latarnia trzymana przez Syvera kołysała się znowu w czarnej ciemności podwórza, posuwając się w stronę kuchni. Syver zawsze z przyjemnością myślał o śniadaniu, które dostawał przed podróżą; a przecież dziś była już prawie gwiazdka – tym razem będą nie lada kąski do zjedzenia!

Dopiero świtało, gdy Syver wyciągał sanie, szerokie sanie, używane do dalekich podróży. Tutaj miał już pomocników, choć raczej tylko dla pozorów. Tam gdzie pracowały potężne ręce Syvera, inni niewiele mieli do roboty.

W końcu nadeszła chwila, kiedy trzeba było wyprowadzić Bamsena ze stajni. Teraz dopiero rozpoczęła się zabawa! Koń bez przerwy miotał się, gryzł i kopał – można się było do niego zbliżyć tylko z narażeniem życia. Ale Syver dostał od panny Kruse uczciwą szklanekę mocnego grogu świątecznego, więc wszelkie wybiegi Bamsena nie zdały się na nic. Wprawdzie tańczył wciąż na śniegu jak szalony, wzniesając dokoła tumany, ale Syver chwycił go za grzywę i trzymał go olbrzymimi rękami jak w kleszczach. Na swoich sprężystych nogach mógł teraz tańczyć z nim razem. Nie puści go, chociażby się nie wiem jak wykręcał i obracał. Ho ho, stary Syver umiał sobie z takimi poradzić. Przecież całe życie miał do czynienia z końmi. W czasie najgwałtowniejszego szamotania między szczękami Bamsena znalazło się wędzidło i zanim koń zdołał ochłonąć, już uprząż ze świstem spadła mu na grzbiet. Dopiero teraz trochę się uspokoił. Czuł się jak gdyby dumny z całej tej błyszczącej skóry i świecących sprzączek. Lecz gdy przyszło do zaprzęgania, taniec rozpoczął się od nowa. Rzucił łbem w dół, stawał dęba i wierzgał na wszystkie strony, aż śnieg fruwał dokoła. Ale kiedy już raz uprząż była założona, Syver był panem sytuacji. Koń musiał iść pomiędzy dyszle.

Syver sprawdził już poprzedniego dnia, czy sanie są w należyтым porządku, teraz zaś dziewczyny, pod okiem panny Kruse, przyniosły wszystko, co potrzebne na taki mróz, a więc derki i futra. Były one zawsze przechowywane w starym magazynie, do którego myszy nie mogły się dostać i gdzie wszystko było dobrze zabezpieczone zamkami. Otwierały je tylko klucze z wielkiego pęczka, który panna Kruse stale nosiła przy sobie. Syver wciągnął na nogi buty z cholewami i włożył na siebie futro z wilczych skór, po czym wspiął się na kozioł. Był to teraz prawdziwy Bakpaa¹⁰, jak nazywano go w całym osiedlu i na równinie. W ręku trzymał lejce i bat, zaś pomiędzy dyszlami – parszającego czarnego konia.

Panna Kruse patrzyła za nim i kiwała głową. Przez chwilę zdawało się, że koń chce wzlecieć prosto do nieba, ale potem przejechali przez podwórze, minęli wrota i pomknęli w dal. Panna Kruse uśmiechnęła się i zamknęła drzwi. Tak, major i panienska będą mieli nie lada jazdę!

W miarę jak dzień upływał, do dworu na Björndal zaczął wkradać się niepokój. Początek dał stary Dag. Co chwila wychodził poza zabudowania dworskie i badał pilnie stoki wzgórz Hamarrbö widoczne za osiedlem.

– Czy sądzi pan, że zaryzykują tę daleką jazdę w takim mrozie? – pytał kapitana.

Stary kapitan był już całkowicie zarażony tym samym niepokojem, ale wyprostował się zaraz i chociaż założone do tyłu ręce mocno mu drżały, miał minę pełną godności.

– O tak – odpowiedział. – Żeby odstraszyć Barrego, trzeba czegoś innego niż tylko mrozu i długiej drogi. Jeśli w ogóle ma zamiar przyjechać – dodał ostrożnie.

¹⁰ Siedzący na kozle

Stary Dag ściągnął brwi na oczy. Twierdził, że chodziło mu głównie o to, że mógłby grać w karty. Ale sprawa była znacznie poważniejsza. Z największą bowiem obawą myślał o możliwości spędzenia świąt bez gości. Przykre by to było świętowanie. Boże Narodzenie przyniosło ze sobą wiele wspomnień, zaś z tego rodzaju refleksjami, w jakie popadał w czasie ostatnich dni i nocy, byłoby naprawdę ciężko przeżyć w samotności cały ten długi okres spokoju i bezruchu. A przy tym bynajmniej nieprzyjemna to perspektywa jechać do kościoła bez chociażby jednego gościa. Z majorem i jego córką można się było pokazać. Dlatego to, a może i z innych powodów stary Dag nie chciał widzieć Syvera powracającego z pustymi saniami. Po niepewnej odpowiedzi majora zaczął się zastanawiać, a wątpliwości jego spotęgowały się jeszcze, gdy przyszedł mróz. Śnieg aż piszczął pod nogami i śpiewał niedwuznacznie pod płozami sań. Powietrze wprost stężało od mrozu, słońce wisiało na niebie jak wielka czerwona plama.

Na stacji pocztowej w Korsvoll Syver Bakpaa został przyjęty z wielkimi honorami, jak zresztą przyjmowano tam każdego, kto przyjeżdżał z Bjørndal. Syver rozsiadł się w wielkim krześle za stołem, jak gdyby był co najmniej pastorem lub pisarzem. Podano mu jedzenie i coś do wypicia. Wielkie to były dla niego dni, gdy mógł jechać przez okolicę. Stary Dag dał mu pieniądze, żeby mógł za siebie zapłacić. Wcale przyzwoitą sumkę. Właściwie mógłby coś z tego zatrzymać dla siebie, ale Syver był uczciwym człowiekiem; zresztą lubił zawsze zajeżdzać z całą okazałością, jak i z potrzebnym do takich okazji wypchanym trzosem pieniędzy przy sobie. Owszem, wielka maniera bardzo mu odpowiadała.

Zgodnie ze swoim zwyczajem jadł długo i dobrze, po czym położył się w izbie sypialnej na spoczynek. Mieli go obudzić, skoro tylko przybędą oczekiwani goście z miasta.

Czas upływał bez zmian. Zbliżał się wieczór. Poczmiistrz-oberżysta stale podchodził do południowego okna, ale na drodze ani śladu. Ani znaku życia. Mróz nakładał na szyby grube kwiaty, tak że trzeba było chuchać i zdrapywać je paznokciem, by widzieć jednym okiem, co się dzieje na zewnątrz. Może ci ludzie z miasta, którzy mieli jechać do Björndal, zawrócili z powodu silnego mrozu? Jeżeli teraz nie zajadą, musi obudzić Syvera, bo może będzie wolał wrócić do domu, póki noc nie zapadnie. Jeszcze raz podszedł do okna i chuchał, i drapał. Coraz trudniej było zdrapywać lód z szyby.

Ale zaraz! Co to za cień na zamrażającej szybie? Czy to nie koń wlokący się z trudem na zakręcie drogi? Tak, to koń, teraz widział już wyraźnie.

Sanie były wąskie i wywrotne, kołysały się i przechylały; zaś stara chabeta człapała powoli, chwilami tylko podbiegając truchcikiem. Był to najbardziej rozklekotany ekwipaż, jakim dysponowała stacja Rödmyr.

Major Barre i panna Adelajda weszli do poczekalni na stacji w Korsvoll. Major zżymał się, bo dojechać na miejsce był już najwyższy czas. Ledwie mógł mówić ze zburzenia. Oboje prawie umierali z głodu, a od mrozu niemal całkiem zeszywnieli. Major przez całą drogę wymyślał na konie i na sanie, na stangreta i na całą podróż. Jego córka była błąda i wyczerpana. Ich ubiór nie nadawał się do długiej drogi w takim mrozie. Mieli wprowadzić w domu cieplejsze rzeczy, ale niestety były w takim stanie, że nie nadawały się do podróży z wizytą. Sanie były zaopatrzone w dery bardzo skąpo, tak że o mało nie zamrzli na śmierć po drodze. Najbardziej cierpiały nogi, już w ogóle ich się nie czuło.

Major złościł się i wymyślał.

– Czy nie było tutaj kogoś z Björndal? – dopytywał się niecierpliwie. Jednak niezadowolenie jego ustąpiło nieco, gdy się dowiedział, że koń czeka już od wielu godzin, że jest dobrze wypoczęty i że może zaraz wyruszyć, o ile tylko major zechce.

– Jak sądzisz? – pytał, patrząc na córkę. – Może by najlepiej jechać zaraz dalej? Niedługo już będzie noc.

Dobrze, zgadza się na wszystko. Oberżysta wybiegł i zaraz w izbie sypialnej i w stajni zrobił się wielki ruch. Podróżni włożyli z powrotem swoje płaszcze i wyszli na zajazd.

Na dworze już się ściemniało, ale major zdołał jeszcze zobaczyć tyle, aby powstrzymać się od dalszych uwag i wyrzeknięć. Co przede wszystkim przykuło jego wzrok i zmusiło do milczenia? Ogromny koń z wysoko podniesionym łbem, ognisty, pełen energii i siły. Ani chwili nie mógł ustać spokojnie. Uprząż połyskiwała na nim jak na koniu z bajki: ułożone w dwóch rzędach dzwonki pobrzękiwały melodyjnie przy każdym jego poruszeniu. Chłopak stajenny trzymał konia z całych sił za łeb, ale zwierzę biło kopytami w ziemię i wyrывało mu się to do tyłu, to do przodu, to znowu na bok; ani chwili nie stało spokojnie.

Syver krzątał się koło sań. Wykładał dery, futra i baranice. Wysoki, barczysty, o potężnych ramionach, w swych wysokich butach, futrzanej czapce i futrze z wilczych skór wyłaniał się z mrocznej szarzyny niby jakiś olbrzym.

Może te ciepłe skarpety dla pani? Może pan major chciałby te wysokie futrzane buty? Z kolei włożono na nich futra tak ciężkie, że panna o mało nie uklękła na śniegu pod ciężarem swojego. W saniach były jeszcze worki z podwójnie złożonych skór futrzanych do otulenia nóg. Kiedy usiedli, położono na nich trzy warstwy skór, najpierw baranicę, potem skóry wilcze, a na koniec olbrzymią skórę niedźwiedzia. A jak starannie Syver pozakładał wszystko i pozapinał!

– Teraz to już chyba będzie tego dosyć – powiedział major. Ale pieczołowitość, z jaką ich otulano, bardzo mu pochlebiała.

– Będziemy jechać szybko – odparł Syver – a w nocy na drogach północnych jest bardzo ostry mróz.

Gdy Syver z miną wyrażającą pewność siebie wziął do rąk lejce i bat, a następnie zajął swoje miejsce z tyłu, major czuł w kościach, że zobaczą nie byle jaką jazdę. W tejże chwili chłopak puścił łeb konia i Bamsen zerwał się z miejsca jak huragan. Przelecieli tamującym oddech pędem przez zajazd tylko na jednej płozie, zjechali błyskawicznie po zaspie i już byli na głównej drodze. Ciężkie, szerokie sanie sunęły równo i pewnie. Poprzednie sanie wytrzęsły ich niemiłosiernie, ale za to ta jazda dawała im prawdziwy odpoczynek. Major Barre zaraz odzyskał dobry humor. Oswobodził się nieco z futer i derek, aby spojrzeć na córkę, podczas gdy ona wygrzebywała się spod swoich, by popatrzeć na ojca.

– Wspaniale! – powiedział. Skinęła tylko głową, a oczy jej błyszczały. Major wsunął się z powrotem pod warstwę futer i zadowolony mruknął jeszcze raz: – Wspaniale...

Serce Adelajdy rozpierała radość na myśl o tym, że jechała do Björndal Teraz jednak zaczęła się zastanawiać, o ile gorzej to będzie dla niej, jeśli przyjedzie i zobaczy, a potem wszystko to straci. Jakież miała prawo przypuszczać, że Dag się w niej zakocha? To wszystko było tylko niezszywalnym snem, który rozwieje się w próżni, gdy już tam przybędą. Może on wcale nie był taki, jakim widziała go w swoich snach, może bynajmniej nie był tym, którego szukało jej serce?

Tak argumentował mózg, ale nowe uczucie, które się w niej obudziło i rozpierało jej pierś aż do bólu, nie szło za tokiem tych myśli, lecz podążało swoją własną drogą, ciepło, tkliwie, w cichości – i parło prosto naprzód jak ten ogromny koń przed saniami.

Jakiś czas jechali spokojnie. Dzwonki śpiewały rytmicznie niby strumyk przemykający się przez skutą lodem ziemię, zaś sanie sunęły na płozach przy akompaniamencie skrzypiącego śniegu. Nagle koń przyspieszył i poderwał sanie. Dzwonki zabrzmiały kaskadą głośnych tonów i wyrwały podróżnych z uśpienia. Bamsen parł do przodu, tak że sanie zdawały się lecieć w powietrzu. Panna Adelajda wytknęła głowę i rozejrzała się dokoła. Było ciemno, ale światła rozsianych daleko gospodarstw zorientowały ją, gdzie się znajduje. Znała tę okolicę – była to otwarta równina. Wiatr hulał nad polami niepowstrzymany i ciął ją po twarzy. Zagrzebała się z powrotem w futrach. Mijali zamożne dwory na równinie, mijali wielkie połacie śniegu i tylko tu i tam napotykali gołe, poczerńiałe od mrozów drzewa, wystające wzdłuż brzegów strumieni wśród tej białej monotonii. W zafałdowaniach ciemniały jak plamy budynki gospodarstw świecące w noc żółtymi oczami okien. Odsunięte od dróg, wydawały się dalekie.

Lodowaty wiatr szalał zamiecią pośród otwartych przestrzeni. Minęli kościół i plebanię. Teraz droga raz szła pod górę, raz na dół. Nadeszła chwila, kiedy z oddali zamigotały przed nimi światła Borgland. Patrzyli w tę stronę oboje, ale nie padło żadne słowo, zaś panna Adelajda schowała się znowu w swoich futrach, kiedy tamtędy przejeżdżali. Czuła gwałtowne bicie serca. Teraz jechali wielkiej przygodzie naprzeciw, na życie lub śmierć, ku szczęściu lub ku wiecznemu żalowi. Ale cokolwiek ich czekało, ta podróż do krainy przeznaczenia była pełna wspaniałości i uroku.

Bamsen otrząsnął się. Dzwonki zakrzyczały szalonym chórem, posyłając ostatnie pozdrowienie szerokiej równinie. Sanie zniknęły w lesie bjoerndalskim.

Nad Björndal zapadła noc.

Kapitan Klinge chodził po sieni tam i z powrotem, wciąż podciągając założone na plecach, trzęsące się ręce. Na swoim krześle przed kominkiem siedział ojciec Dag zapatrzony w ogień. Był samotny na świecie. Nikt z tych wszystkich ludzi, którzy podlegali jego władzy – czy to we dworze, czy w osiedlu, czy też i w dalszych okolicach – nie szukał z nim zbliżenia. Los wielu ludzi spoczywał w jego rękach, a oto teraz tęsknił do ludzi, tęsknił do tego, aby byli blisko niego, naokoło niego. Lecz coś go od nich oddalało. Tak bardzo liczył na to, że zaproszeni goście pozwolą mu uniknąć samotności, choćby na okres świąt. A oni nie przyjechali.

Panna Kruse przyniosła piwo, aby im skrócić czas wyczekiwania, ale piwo stało na stole nie tknięte. Kapitan całymi godzinami wysiadywał w nowym budynku przy oknie i wypatrywał jak sęp w stronę Hamararbö, dopóki ciemność nie skryła wszystkiego; zaś Dag przez cały dzień wychodził i wracał, tam i z powrotem. Już przez wiele godzin nie wymieniono żadnego słowa.

W pewnej chwili weszła panna Kruse. Zdawało jej się, że od strony drogi usłyszała dzwonki. Wyszła zaraz z powrotem, ledwie dopowiedziawszy swych słów. Kapitan patrzył na nią z rozwartymi ustami. Dag nawet się nie poruszył. Zauważył tylko ze skrzywioną miną, że Syver nie mógł przecież zostać w Korsvoll na zawsze. Kiedyś przecież musiał wrócić. Nic w tym dziwnego. Dag był rozgoryczony – głos zdradzał to wyraźnie.

Naraz i oni usłyszeli dźwięk dzwonek Bamsena. Nie brzmiały głucho jak po daremnej podróży, ale tętniły żywą kaskadą radości. Syver nie jechałby tak dla własnego widzimisię. Dzwonki były coraz głośniejsze, coraz bliższe. Nawet Dag odwrócił głowę i nasłuchiwał z naprężoną uwagą, jak gdyby ich dźwięk mógł mu oznajmić oczekiwanych gości. Wydawało się, że w istocie niosą jakieś ważne wieści – tak głośno rozlegały się po podwórzu. Nasłuchiwali znowu. Poznali głos Syvera, słyszeli, jak panna Kruse coś mówiła, i wówczas kapitan opuścił z pleców ręce i wyprężył się do przodu. Komenderujący ton głosu majora doszedł jego uszu. Również Dag podniósł się zaraz. Podeszli obaj do drzwi i otworzyli je. Wionęło ostre, mroźne powietrze. Ale oni na to nie zważali. Major w swoim pełnym rynsztunku podróżnym wchodził pod okap wejściowego ganku.

Jeszcze nigdy panna Adelajda nie była tak bezradna, jak teraz. Wygrzebywała się z futer, worków i der, ale szło to bardzo wolno.

Jak gdyby chciała się bronić i odsunąć jak najdalej moment przebudzenia z przepięknego snu. Być może chciała zyskać trochę na czasie, aby jeszcze raz uporządkować swe myśli, zanim przestąpi próg tego domu. Przez całą drogę nie mogła zwalczyć w sobie lęku przed tym spotkaniem, które tak niepodzielnie zajmowało wszystkie jej myśli i sny. Gdy wjeżdżali na podwórze, księżyc wychylił się zza obłoków. Wszystko było takie dziwne i wielkie, tak jak przedstawiała to sobie w swych snach – budynki, podwórze, długie, sine cienie. Ale najcięższe jeszcze ją czekało – spotkanie z tymi, którzy byli wewnątrz.

Ciemne futro matki, które przerobiła stosownie do swojej figury, przylegało przyjemnie do jej smukłego ciała. Ale że było jej gorąco od tych wszystkich ciepłych rzeczy, jak też i z podniecenia, i prawdopodobnie także z innych powodów – rozpięła płaszcz na piersi, odsłaniając biało-żółty, koronkowy szal, który układał się bogato dokoła jej mocnej, pięknej szyi.

Powoli weszła na ganek; uroczyście – jak przystało komuś, kto idzie na śmierć lub ku życiu – wkroczyła do sieni. Może spodziewała się znaleźć tam kogoś, bo wzrok jej błędził bezradnie dokoła. Jego nie było. Powitał ją stary Dag i kapitan. Poza tym stali tam ojciec i panna Kruse. Nie było młodego Daga... Oczy jej zaszklily się łzami i cała izba jak gdyby zatonała w ciemnościach. Potem otworzyły się drzwi i mroźny wiew zimy wtargnął znowu do izby. Drzwi zamknęły się. Powoli odwróciła głowę i oczy jej spotkały się z oczami młodego Daga.

Mieszkał przeważnie w starym budynku, wysuniętym na podwórze od strony dawnej izby mieszkalnej, do której przylegał ścianą. Nazywano go „domem”; mówiono też, że był to najstarszy budynek na obszarze dworu björndalskiego. Na środku izby stał kominek, ale ściany nie miały okien, jedynym otworem był dymnik. Już jako chłopiec wybrał sobie „dom” na mieszkanie i odtąd najchętniej w nim przebywał, bo właśnie tam, wśród swoich nart, broni, ekwipunku do łowienia ryb i ze swymi psami czuł się zawsze najlepiej. Wyszedł, usłyszawszy dzwonki nadjeżdżających sań, a potem obce głosy. Oczy jego potrafiły wypatrywać najmniejszy znak życia w lesie, toteż musiały zauważyć wszystko, co malowało się na twarzy panny Barre – na tej bladej twarzy, która zarumieniła się tak gwałtownie; te duże piękne oczy, które zrazu zwilżyły się uczuciem zawodu, a naraz zaświeciły życiem; tę szyję i te koronki, i tę smukłą postać. Czy zauważył to wszystko? Pochylił głowę witając się, ale gdy ją uniósł, zobaczył w jej oczach jeszcze ten sam wyraz, jaki miały przedtem. Czy dobrze widział? Ale właśnie w tej chwili zbliżyła się do niej panna Kruse, ofiarowując jej cichym głosem swoje usługi. Panna Barre musiała udać się za nią na górę.

Cóż na świecie da się porównać z uczuciem, jakiego się doznaje, gdy po długiej, męczącej podróży wśród mrozu i wichrów wchodzi się do domu pełnego ciepła i ciszy? Serce majora Barrego wezbrało aż do bólu, gdy witano go z taką serdecznością, z jaką, o ile tylko pamięta, jeszcze się w życiu nie spotkał. Stary Dag ścisnął mu rękę, że aż kości trzeszczały; młodemu także nie brakowało krzepy w dłoni, zaś Klinge trzymał jego ręce w swoim drżącym uścisku tak mocno, jak tylko mógł, a potem dreptał wciąż za nim, gdziekolwiek tylko szedł, albo stawał przy nim i klepał go po ramieniu powtarzając, jak diabelnie się cieszy, że go widzi.

Major słyszał w mieście, że dwór w Bjørndal rozporządza niezmiernym bogactwem, spodziewał się więc, że zastanie tutaj wiele innych gości. Sądził przecież, że zaproszono go z córką tylko jako ubogich znajomych, i to aby zrobić przyjemność kapitanowi, temu biedakowi wśród bogaczy. Tymczasem witano go tu jako honorowego gościa, a stary Dag, o którym opowiadano, że jest człowiekiem twardego serca i traktuje wszystkich jak pełen pychy despota, witał go najbardziej serdecznie i słowem, i spojrzeniem, i mocnym uściskiem ręki. Major z miejsca uznał wszystko, co o nim mówiono, za oszczerstwo.

Panna Adelajda upadała niemal ze zmęczenia po tej długiej i ciężkiej podróży, jak też z rozczarowania, że po wejściu do sieni nie zastała tego, którego spodziewała się ujrzeć. Gdy przyszedł i gdy zobaczyła jego twarz taką, jaką widziała w swych snach, ba, nawet mocniejszą – najchętniej padłaby mu prosto w ramiona.

Tak, serce nakłaniało ją do tego, ale wola i rozsądek wzięły górę. Zapanowała nad sobą. Zrazu nie miała tyle siły, by oderwać oczy od jego twarzy, tak jak to wypadało uczynić; ale potem całkowicie się opanowała. Szybkim krokiem szła po schodach do izby, do której prowadziła ją panna Kruse.

Panna Adelajda gościła już w niejednym dużym domu, gdzie przyjmowano ją jak najlepiej, z wielkimi grzecznościami. Jednak pokój paniński, do którego ją teraz wprowadzono, był niepodobny do żadnego z tych, jakie dotychczas widziała. Surowa matka uczyła ją, że nie należy nigdy zdradzać się ze swymi myślami i uczuciami przed służbą. Ale panna Kruse nie wyglądała na służącą, a pannie Adelajdzie trudno było tego wieczoru zatrzymać w sobie swe myśli i uczucia. Owszem, odwróciła się, aby tamta nie widziała, że oczy jej świecą od napływających łez, ale nie mogła powstrzymać słów, które dyktowało serce.

– To ten prześliczny pokój ma być dla mnie? – zauważyła. W głosie jej można było wyczuć, jak głębokie znaczenie przywiązuje do swych słów.

– Jeśli pani łaskawie zechce – odrzekła panna Kruse. Adelajda Barre uśmiechnęła się swoim ślicznym uśmiechem i skierowała wilgotne oczy na pannę Kruse.

– Kto nie byłby zadowolony z takiego pokoju, zasługiwałby na to, aby w ogóle nie miał dachu nad głową – odpowiedziała.

Słowa te panna Kruse zachowała dobrze w swoim sercu.

23

Panna Barre była teraz sama. Jedna ze służebnych przyszła już przedtem na górę, przynosząc jej dzbanek ciepłej wody do umycia rąk i miseczkę gorącego bulionu. Adelajda zamknęła za nią drzwi na klucz; mogła siedzieć spokojnie. Świeca na komodzie paliła się wysokim i spokojnym płomieniem. W piecu huczał ogień, trzeszczały brzoźowe polana. Delikatna woń jak gdyby gałązek świerkowych mieszała się z wonią brzoźowego drzewa. A poprzez ten aromat przenikał jakiś lekki, ledwie uchwytny zapach – co to właściwie było? Tak, przypomniała sobie – w szafach i w szufladach u jej babki tak samo pachniało.

Usiadła na dużym, głębokim krześle i oparła głowę na oślepiająco białej kapie. Jeszcze nigdy w życiu nie zaznała, co to jest prawdziwa przytulność i wygoda. Matka jej była surowa i niedostępna; dookoła niej stale był jakiś zimny cień, którym mroziła życie własne i innych. Nie potrafiła udzielać swemu otoczeniu spokoju i pociechy; źródło cichych i pogodnych uczuć wyschło w niej, zanim Adelajda przyszła na świat. Adelajda zaś szła uparcie swoją drogą i myślała zawsze tylko o sobie. Siedząc teraz w tej izbie, uświadamiała sobie czyjeś łagodne, delikatne istnienie i podziwiała pieczołowitą rękę panny Kruse.

Ach, żeby święta Bożego Narodzenia trwały tym razem długo, dłużej niż kiedykolwiek przedtem.

Podniosła się, podeszła do komody i stanęła przed lustrem. Przemawiała do tego lustra, dotykała drobnych przedmiotów ozdobnych, rozłożonych na komodzie, gładziła palcami haft serwety. Potem umyła się, uporządkowała przed lustrem loki i koronkę przy szyi; zaraz potem zaskrzypiały schody i ktoś zapukał do drzwi. Panna Kruse przysła powiedzieć pannie Barre, że jeżeli zechce zejść na dół, będzie mogła trochę się posilić. Panna Kruse szła pierwsza, aby pokazać gościowi drogę przez sień do pierwszej izby.

Panna Adelajda jeszcze nigdy w życiu nie przeżywała tak brzemiennej chwili. Spotkanie w sieni ograniczyło się prawie do sekundy, ale teraz będzie siedziała z nim przy stole. Będzie dość czasu, aby mu się dokładnie przyjrzeć, ona sama także pokaże im się teraz w pełnym świetle. Była uszczęśliwiona, ale zarazem bała się.

Gdy wchodziła, widziała wszystkich jak przez mgłę. Stopniowo wszakże odzyskała jasność wzroku. Nie szukała wcale ani ojca, ani kapitana; w umyśle jej trwał obraz starego i młodego Daga. Zdawało jej się, że byli obaj inni, niż początkowo przypuszczała, i że są bardziej podobni do ludzi z jej własnego świata, aniżeli tego oczekiwała – przynajmniej z wyglądu zewnętrznego. Adelajda nie mogła wiedzieć, że ubrania szył im krawiec sprowadzony z miasta, więc tylko dziwiła się, jakim sposobem mogli być tak wytwornie odziani. Młody mężczyzna czuł się jakoś nieswojo w tym odświętnym stroju, ale żaden strój nie potrafiliby zmienić jego figury i postawy. Był dokładnie taki sam, jakim go pamiętała, niepodobny do innych. Stary Dag, który z pewnością wiele podróżował i wiele widział, a przy tym posiadał taki ogromny majątek, zachowywał, stosownie do stanu, zimny spokój. Postać jego tchnęła siłą. Oczy, głębokie i niezbadane, zdawały się patrzeć na każdego z pewną wyższością. Jeszcze przy nikim nie czuła się taka mała i nic nie znacząca, jak przy tym człowieku. Robił wrażenie człowieka, który przemyślał i ocenił wszystkie problemy życiowe, i patrzył teraz na nią i na wszystkich z ostrożną i badawczą nieufnością.

Usiedli przy stole bez wybierania miejsc, na chybił trafił. Adelajda znalazła się obok swego ojca, naprzeciw młodego Daga. Naprzeciw jej ojca siedział kapitan Klinge, a stary Dag przy końcu stołu. Nie tronował na wysokim krześle z baldachimem, o jakich czyta się w starych książkach, jednakże to, na którym siedział, było większe niż jakiegokolwiek krzesło, które dotychczas widziała. Zdobiły je liczne rzeźbione figury. Wyobrażała sobie zasiadających w ten sposób dawnych wodzów, gdy przewodniczyli swojej radzie. Pozostałe krzesła były również bardzo masywne, tak że ojciec musiał sam przysunąć jej jedno, aby mogła usiąść.

Wszystko w tym pokoju było wielkie, stare i takie dziwne, jak gdyby przynależne do odległych, dawno minionych epok, w których żyli inni ludzie. Tylko szpinet stojący pod ścianą należał do jej czasów. Czuła jakiś przygniatający lęk zarówno przed tymi ludźmi, jak też ich otoczeniem, ale kiedy otrząsnęła się z tych myśli i spojrzała na stół, była naprawdę zdumiona.

Żaden nawet najbardziej wystawny obiad nie mógł się równać z tym, co tu podano. Nakryto odświętnie stół w pierwszej izbie, tak jak za czasów Ane Hamarrbö z pewnymi tylko dodatkowymi zmianami, wprowadzonymi przez Teresę. Właściwie należało go nakryć dopiero w pierwszy dzień świąt, ale święta zaczynały się tutaj z chwilą, gdy przybywali goście. W pierwszy wieczór bytności trzeba dać im godne przywitanie.

Być może, że w owych czasach dochowywano tego zwyczaju po to, aby pokazać, ile to żywności znajdowało się w domu. Każdy wtedy mógł jeść bez skrupowania i wybierać to, co najwięcej lubił. Tak, bo na stół świąteczny w Björndal podawano – i dawniej, i teraz – taką obfitość jedzenia, że starczyłoby dla stu ludzi. Ze spiżarni, kuchni i z piwnicy szły na stół całe szynki, pieczenie ogromnych rozmiarów, wszystko, co tylko mógł dać las, woda i majątek – z wieprza i wołu, cielęcina, barana i jagnięcia, gęsi oraz dziczyzny: zająca, kuropatwy i cietrzewia, których młody Dag nie mało upolował w znanym sobie miejscu, gdzie karłowate brzozy rosną tuż u podnóża wzgórz. Prócz tego suszone mięso z łososia, wędzone mięso z niedźwiedzia i różnego gatunku ryby ze strumieni i jeziora, wszelkiego rodzaju pieczywo, sery i masło oraz miód i konfitury. A do picia mocne piwo i wódka.

Ciężka skrzynia, którą Teresa kiedyś kazała wstawić do izby sypialnej, stała tam nadal, a stary Dag miał klucze od niej. W czasie wielkich uroczystości panna Kruse mogła z niej wyjmować wszystko, co jej było potrzebne: kosztowne obrusy, srebro stołowe przywiezione z mieszkania Teresy z miasta. Obecnie spoczywało w tej skrzyni także i srebro dziedziczne Björndalów. Dzisiaj widać było, że panna Kruse sięgała do skrzyni: ciężkie srebro leżało obok półmisków, wspaniałe obrusy lśniły bielą odświętnie.

Adelajda nigdy nie czuła się tak onieśmielona, jak podczas owych pierwszych chwil przy stole. Odetchnęła też z prawdziwą ulgą, gdy stary Dag przerwał milczenie. Dziękował gościom za to, że nie ulękli się tak długiej podróży, aby spędzić święta w obcym dla siebie domu. Potem witał wszystkich w serdecznych słowach, życząc każdemu z okazji świąt pokoju i wesela. Wychylono pierwszy uroczysty kieliszek i niebawem rozwiązały się języki.

Adelajda była bardzo głodna po podróży i jedzenie smakowało jej nadzwyczajnie.

Wódka również była dobra, piwo świeże i mocne, a major był serdecznie spragniony po tylu suchych dniach w mieście. Twarz jego zaczerwieniła się, z oczu wojaka zaczęły tryskać iskry. Głos jego brzmiał coraz donośniej, a gdy się śmiał, to na całe gardło. Stary Dag należał do ludzi, którzy zawsze zachowują spokój i godność, ale teraz i w jego oczach migotały wesołe błyski. Po tak długim oczekiwaniu i dręczących chwilach niepewności radował się swymi gośćmi i nie pozwolił majorowi wychylić samemu ani jednego kieliszka. Najślabszy w tym gronie był kapitan, ale ostatecznie tylko raz do roku jest Boże Narodzenie – biedak starał się, jak mógł najlepiej. I tak stało się, że w izbie zapanowała wesołość, słychać było wybuchy śmiechu i głośne rozmowy.

Również i młodzi rozochocili się nieco wobec ogólnego dobrego nastroju, zresztą też nie bez wpływu jedzenia i napojów. Policzki panny Adelajdy zarumieniły się, oczy błyszcząły jak gwiazdy. Oczy młodego Daga stały się bardzo ciemne i głębokie, pociemniała również jego opalona skóra. Raz po raz rzucał jej szybkie spojrzenie, ona zaś ostrożnie podniosła oczy ponad stół, kierując ku niemu błyszczący wzrok. Aż wreszcie oczy ich spotkały się i zatrzymały na sobie na przeciąg jednego wolnego oddechu. Po twarzach ich przesunął się uśmiech. Młody Dag wzniosł ku niej swój kieliszek.

To jest mocne – odezwała się, żeby tylko coś powiedzieć.

– O tak – przyznał – to jest mocne. – Nieśmiało odwrócił oczy i pochylił głowę.

To było wszystko, co powiedzieli sobie tego wieczoru.

Zaraz po jedzeniu udano się na spoczynek. Po tak długiej podróży goście musieli odpocząć. Major Barre, mruczając z zadowolenia, położył się w starej izbie na górze, w zgodzie z całym światem. Ale gdzieś, na ciemnej ścianie od strony doliny, widać było światło. Czyżby to świeciło się w pokoju panieńskim? Tak, panna Barre jeszcze nie spała. Chciała uporządkować swoje rzeczy w komodzie zaraz pierwszego wieczoru, żeby móc w pełni wykorzystać każdy dzień, który miała tu jeszcze spędzić. Musiała uczesać się na noc i włożyć czepeczek. Wypoczynek może poczekać, aż będzie na to czas. No i ten pokój – nic dziwnego, że nie chciało się jej spać. Tyle ślicznych w nim rzeczy – prawdziwa bajka! Ale teraz trzeba już zgasić światło. Wzrok musi odpocząć. Pod żadnym warunkiem nie może mieć jutro zmęczonych, matowych oczu. Bosymi nogami stanęła na miękkiej, rysiej skórze – jakie tu wszystko było miłe i wygodne! – i zajrzała do pogrążonego w cichym cieniu łóżka. Tu więc miała spać? Córka biednego majora w łóżku księżniczki?

Cofnęła się przestraszona. Na ścianie coś tak się dziwnie świeciło. Wpatrywała się w to szeroko rozwartymi oczami. Tak, teraz poznała. Coś takiego można zobaczyć w kościele. Zbawca na krzyżu. Ale dlaczego to tak dziwnie lśniło? Stała jak zaczarowana, aż wreszcie zrozumiała. Cienka smuga światła przecisnęła się przez szparkę między zasłonami i dotarła aż tam. A przecież pierwsze wrażenie jak gdyby jakiegoś nadnaturalnego światła nie chciało tak łatwo ustąpić, toteż z przejęciem wpatrywała się w poźólką kość słoniową i złote litery.

Przez całe życie z przyzwyczajenia odmawiała pacierz każdego wieczoru; mały, dziecinny pacierz. Modliła się do Boga, który był tak jakoś obcy i niedostępny, nieskończenie daleki. Lecz teraz odczuła tak wielką potrzebę modlitwy, że ręce jej same się złożyły, a usta gorąco szeptały do Boga na niebie, choć może więcej do znajdującej się bliżej figury na ścianie. Na pewno nie była to pierwsza gorąca modlitwa, którą spowodował krucyfiks wiszący tutaj na ścianie.

Ostatnie światło pośród ciemnych ścian dworu björndalskiego zagasło. Noc spowiła czernią niebo i świat ludzi.

24

W pokoju panińskim na dużym krześle przy oknie siedziała Adelajda z robótką w ręku, wykonując ścieg za ściegiem. Zbliżał się wieczór wigilijny. Igła migiała w jej ręku, ale myśli biegły jeszcze szybciej. Myślała o Dagu. Nie pokazał się przez cały dzień, nikt o nim nic nie mówił. Nie śmiała pytać. Gdzież on mógł być, i to właśnie w dzień wigilijny.

Prawdopodobnie wyszedł, by kogoś odwiedzić – teraz wpadło jej to na myśl – kogoś, z kim chciał się zobaczyć. Na pewno upodobał sobie jakąś dziewczynę. Był przecież już w tym wieku. Z bladą twarzą podniosła się i zwróciła oczy na oszklone drzwi. Na dworze zapadał już zmierzch. Tak, więc był ktoś, kogo on odwiedzał, kogo kochał...

Tego dnia o świtaniu ktoś na nartach wyruszał z zajazdu w kierunku północno-zachodnim, w stronę lasu. Młody Dag, po kiepskim wypoczynku i niespokojnych snach, zatęsknił do lasu. Jeszcze nigdy te porośnięte wzgórza nie były dlań tak upragnione jak dziś i nigdy myśli jego nie były tak niesforne jak ostatniej nocy.

Stanął nieruchomo na Wzgórzu Łosi i patrzył wstecz na dwór i osiedle leżące daleko w dole. Pierwszy blask słońca stał się jak krew na wzgórzach od wschodu.

Teraz był dorosły. Więcej niż dorosły, jeśli chodzi o siłę. W barach i plecach był krzepki jak niedźwiedź, na nogach pewny jak koń, zwinny jak leśne zwierzę. Wiedział, co sądzić o życiu, przy czym swoje pojęcia o wszystkim uważał za pewne i niewzruszone. Tymczasem tej nocy myśli zupełnie mu się zbuntowały.

Miał nadzieję, że tutaj, na wolnej przestrzeni, gdzie wszystko pozostało po starym, dojdzie ze sobą do ładu. Las szumił przeciągle, wiatr niósł swoją pieśń ponad śniegami na zachodnich stokach w stronę Utheim. Omylił się jednak sądząc, że tutaj łatwiej mu będzie rozprawić się z myślami. Te najzupełniej nowe uczucia jeszcze pasowały do niego tutaj, w jego dawnym świecie chłopięcym, niż w domu.

Już raz tak się z nim działo. Dziwne, jak dobrze potem twarz jej utkwiała mu w pamięci. Nie sprzeciwiał się wcale, kiedy mu powiedzieli, że ona ma znowu przyjechać, na święta. Nie była bynajmniej pierwszą kobietą, której się przyglądał. Często bywał w mieście na przyjęciach u Holderów i w innych domach. A kiedy żyła jeszcze jego matka, i u nich często przyjmowano gości.

Niektóre kobiety uśmiechały się do niego i chciały mu się przypodobać, ale nic go nie obchodziły. A potem ta tragiczna śmierć brata – było to jak gdyby ostrzeżenie. Co prawda, coraz częściej chodził do Utheim.

Był powód ku temu, nie można było zaprzeczyć. Borghild, córka gospodarującego tam chłopca, miała takie duże, łagodne oczy i takie czerwone, miękkie usta. Oddech jej był gorący i krótki. Piersi jej podnosiły się i opadały niespokojnie, kiedy rozmawiał z nią przy stole. Borghild poruszała się po izbie kołyszącym ruchem bioder i pewnym krokiem silnych nóg. Jeszcze nie doszło do tego, żeby ją obejmował lub żeby jej coś powiedział, ale zaczął już poważnie o tym myśleć.

Z córką tego majora była zupełnie inna sprawa. Czyż można było myśleć o niej podobnie? Nigdy, przenigdy. A jednak – czy nie słabł z wielkiej radości, gdy była w pobliżu? Dlaczego ogarniała go taka błogość, gdy czuł na sobie jej wzrok? Czy to miało znaczyć, że nosił ją w swym sercu, jak gdyby należała do niego?

On i panna Barre – co się z nim dzieje?! Owszem, mógł ją wziąć za rękę. Każdemu podawała rękę. Ale pomyśleć sobie, że można by ją chwycić za przegub ręki – niemożliwe. Wysunęłaby się i znikła jak cień. Borghild z Utheim należała do tych, które można było dotykać. Ale panna Barre? Z taką szyją i z takimi oczami – nie, jej nie można było dotykać rękami. A przecież oczy jej nie były zimne. Poprzez zasłonę dumy wyglądało z nich spojrzenie pełne żaru i życzliwości. Zdawały się wszystko rozumieć i niczemu się nie dziwić.

Kiedy on to wszystko u niej zauważył? Dotychczas przecież nie zdobył się na odwagę, by się jej dobrze przypatrzeć. Ale dzisiejszego wieczoru będzie ją oglądał w pełnym świetle; nie będzie też siedział jak niemowa. Wprawdzie tak jak i wczoraj nie wiedział, o czym by miał z nią rozmawiać, ale musi znaleźć jakiś temat, żeby mógł znowu słuchać jej głosu, tego ciepłego, miękkiego głosu.

Podrapał się w głowę. Tak, to było niezłe pomyślane; żeby tylko wykonał, co sobie postanowił, i nie zaciął się w milczeniu jeszcze bardziej niż wczoraj. A może lepiej przez święta zostać w lesie? I nie wrócić, dopóki ona nie wyjedzie?

Wyjedzie? Dag uświadomił sobie z przygnębieniem, że taka chwila nadejdzie; pewnego dnia ona wyjedzie.

Wyprostował się. W co się tu wikłał? Naturalnie, ona wyjedzie, kiedy miną święta. To było jasne. Ale równocześnie... Tak, nie mógłby znieść myśli o tym, że wyjedzie, a potem uda się gdzie indziej, do innych domów, prawdopodobnie będzie chodziła na bale i na przyjęcia; że będzie spotykała innych, że będzie tańczyła i że byle kto będzie ją obejmował. Później wyjdzie, oczywiście, za mąż za jakiegoś oficera lub pastora – za kogoś ze swego świata.

Spojrzał na swoje ręce. Nosiły ślady lasu, siekiery, piły, żywicy, oparzeń i sadzy od ognisk rozpalanych w chatach leśnych. Tak, oprawiał nimi ryby i zwierzyinę, plamił je krwią wnętrzości małych i dużych zwierząt. Miał ręce silne i szorstkie, opalone i stwardniałe od powietrza. Pomyślał o rękach pastora, kapitana, majora i tylu innych, które widział. Jakże były białe i czyste!

Hm. Podniósł znowu głowę i objął pewnym wzrokiem las i osadę. Nie był wcale gorszy od pastora, kapitana czy majora i w ogóle od nikogo – nie! Wiedział o tym dobrze, a jednak istniała duża i wyraźna różnica.

Ale po co te wszystkie ciężkie rozmyślenia? Z nią nie można się było ożenić i niczyje ręce nie mogły jej dotykać. Ona nie była dla nikogo na całym świecie.

Dag zdawał sobie sprawę z tego, że warunki, w jakich wzrastała jego matka, różniły się bardzo od tych, które kształtowały psychikę członków jego rodu. I wiedział, że wychowanie matki, jak również subtelność ciotki Doroty wywarły wpływ na jego charakter. Lecz w żyłach jego płynęła krew ojca i tak jak ojciec i jego przodkowie – był przede wszystkim człowiekiem lasu i myśliwym. O ile rozumiał doskonale ludzi z własnego osiedla, o tyle zupełnie nie znał się na ludziach innego pokroju. Jak dziko żyjące stworzenie unikał wszystkiego, co obce.

Ale oczu Adelajdy Barre nie można było zapomnieć. Nie wolno było dopuścić do tego, aby odjechała.

A zatem o co mu jeszcze chodziło?

Skierował narty ku zachodniej krawędzi wzgórz. Tutaj zbocza spadały stromo w dół; niżej przepływał strumień. Nieco dalej za porośniętymi drzewami wzniesieniem leżało Utheim.

Niebieski dym unosił się nad zrębami głównego grzbietu gór, a wiatr przynosił jego zapach aż do niego. Zajrzy do Utheim, zobaczy się z Borghild, a potem het do wielkich lasów! Co prawda, nie miał zwyczaju oddalać się poza dom na czas świąt, ale gdy wszystko szło na opak, nie będzie kłopotał się o zwyczaje. Dzikim pędem zjechał w dół i znikł w tumanach śniegu u podnóża góry. Przejechał przez strumień, potem stromym zboczem wspiął się w górę i niebawem znalazł się po drugiej stronie.

W Utheim musiał coś zjeść, bo tego ranka zapomniał zupełnie o żywności. Borghild przyniosła mu jedzenie, jak zresztą tyle razy przedtem. Stary też zasiadł do stołu i opowiadał o prostych i codziennych sprawach. Siedzieć i patrzeć, jak wszystko idzie swoim starym torem, było dla niego prawdziwym wypoczynkiem. Borghild była taka sama jak zawsze. Jasne, świeżo umyte włosy wiły się dokoła jej głowy; oczy błyszczały szczęściem, duże, łagodne, niebieskie.

Tak, tutaj w Utheim u starego Gundera i Borghild – tutaj we wszystkim był sens. Tutaj nie było niczego, co mogło mącić myśli. Znali go od dawna, gdyż folwark znajdował się w obrębie jego własnego królestwa. On tu był wodzem. Nikt nie zabierał mu mocy i nie czynił go małym i niepewnym.

A jednak i tutaj nie było już dziś tak samo jak zawsze. Oczy panny Barre szły wszędzie za nim, nawet tu.

Salę w Bjórndal stanowiła ogromna komnata, znajdująca się w „nowym” domu, jak go ciągle jeszcze nazywano, mimo że zbudowano go o całe pokolenie wstecz.

Pannę Adelajdę mógł naprawdę ogarnąć wielki podziw, gdy zaprowadzono ją tam na wieczerzę wigilijną. A może tylko spostrzegła, że to była wielka sala, bo myśli jej mogły być gdzie indziej, a oczy szukały zapewne tylko ludzi. Patrzyła na zgromadzoną tu licznie służbę dworską. Jedni szeptali coś między sobą, inni stali w poważnym milczeniu. Naraz dojrzała chyba coś, co uradowało jej serce, gdyż oczy jej zabłyły i stały się duże, promienne.

Czyżby młody Dag wrócił jednak na wieczerzę wigilijną do domu?

Tak, wrócił. Zapуścił się daleko w lasy, ale w miarę, jak upływały godziny, zaczął odczuwać przemożne, nieodparte pragnienie – pragnienie, aby znaleźć się w domu na uroczystości wigilijnej i aby być blisko tej, do której rwało się jego serce. Więc pędził szybko z powrotem. Nawet teraz, kiedy już był umyty i miał na sobie swoje najlepsze ubranie, na twarzy były jeszcze rumieńce, a oczy skrzyły się od zawrotnej jazdy.

Zbliżyli się do siebie, gdy podchodzili do stołu. Przez cały ten długi dzień Adelajda przyrzekała sobie, że stawi czoło swemu przeznaczeniu i jeśli młody Dag przyjdzie na wieczerzę, podejdzie do niego z uśmiechem i przyjemnym słowem. Jak łatwo sobie przyrzekać, a jak trudno wykonać taką rzecz komuś, w kogo bez przerwy wpajano, by szedł przez życie z dumnie podniesioną głową i odnosił się do wszystkich z rezerwą. A przy tym młody Dag również ostudził jej szczerze zamiary swym poważnym spojrzeniem i imponującą, wysoką postacią. Był taki inny niż wszyscy. Gdy się spotkali przy stole, spojrzał jej prosto w oczy. We wzroku jego było coś, co przypominało spojrzenie jego ojca, gdy przyglądał się jej wczoraj, pytające spojrzenie, ale o co jego oczy pytały, tego nie mogła odgadnąć.

Dagowi bynajmniej nie powiodło się lepiej. Wracając do domu, życzył sobie niemal, aby przyjęła go w taki sposób, że mógłby uwolnić się od wszelkiej myśli o niej na zawsze. Gdyby choć trochę była wyniosła, jaką najprawdopodobniej była w rzeczywistości, i zmierzyła go zimnym spojrzeniem, na pewno zniknęłaby z jego myśli. Stało się jednak inaczej.

Szła wyprostowana jak królowa. Zimna, niemal arogancko dumna, gdy przechodziła przez salę – ale gdy spotkali się przy stole, jej długie rzęsy zatrzepotały z lekka, i wtedy – weszło słońce. Boże, jakie piękne miała oczy! A uśmiech jej stał się dziwnie słodki, gdy spojrzała na niego.

W Björndal – według starego zwyczaju – wszyscy ludzie z obszaru dworskiego przychodzili do dworu na wspólną wieczerzę wigilijną. Dawniej wystarczała stara komnata, ale z biegiem czasu, przez ciągły napływ nowych ludzi, stała się ciasna. Już od dwudziestu lat jadano wieczerzę wigilijną w wielkiej sali. Zbudowano ją specjalnie na uroczyste przyjęcia jeszcze w czasach, kiedy styl rokoko kwitł i tryumfował w krajach północnych. W wysoko sklepionej sali było zwykle widno dzięki licznym, ogromnym oknom; ściany ozdabiały figury, obrazy oraz zwierciadła.

Krzeseł wystarczyło dla wszystkich. Większość ich była naprawdę pięknej roboty. Niektóre pochodziły podobno z Holandii, niektóre z Anglii, inne zaś były zrobione w Norwegii część wykonał w Björndal sam Jörn Mangfoldig. Nie wszystkie były jednakowe, gdyż pochodziły z różnych czasów. Najpiękniejsze z nich miały wysokie oparcia i były wykładane skórą, zdobną w połączane wzory. Takich krzeseł było osiemnaście.

Dawniej w tej sali odbywały się przyjęcia z muzyką i tańcami. Adelajda pomyślała, że musiało to być już bardzo dawno temu, gdyż obecnie sala robiła takie uroczyste wrażenie.

Świeczniki pod sufitem nie paliły się. Ściany, okna i kąty były nie oświetlone. Dziś blask bił od stołu, od świątecznych świec wigilijnych. Ustawione w prostych, równych szeregach, stały w srebrnych, żelaznych i mosiężnych lichtarzach. Pośrodku stołu stała świeca Trzech Króli w ciężkim, srebrnym lichtarzu, przed nią leżała Biblia. Po obu jej stronach wysokie, woskowe świece – zupełnie tak jak w kościele.

Adelajda nie uświadomiła sobie wszystkich szczegółów, ale odczuła wagę uroczystej chwili. W sali było zupełnie cicho mimo obecności tak wielu ludzi.

Do szklanek i kielichów stojących przy każdym nakryciu nalano piwa i wódki. Podano jedzenie.

Wówczas stary Dag odczytał z Biblii tekst o narodzinach Dziecięcia; jak każdego roku. Ręce złożyły się, głowy pochyliły. Major Barre, ten stary wojak i zawadiaka, położył najpierw lewą rękę na prawą, potem prawą na lewą, ale w końcu także złożył je razem. Adelajda spoglądała ukradkiem na młodego Daga, siedzącego obok niej. Ręce jego były mocno zaciśnięte jak żelazo w żelazie. Był pochylony nieco nad stołem, głowę miał opuszczoną, jak gdyby nasłuchiwał czegoś z dalekiej, bardzo dalekiej strony.

Głos starego Daga niósł słowa *Pisma świętego* mocno i uroczyście w głąb sali. Słyszać było jeszcze tylko, jak syczały świece, zapalające się większym płomieniem. Powietrze było nasycone zapachem żywności, świec, świeżo wykąpanych ludzi i uroczystością ceremonii. Adelajda uświadomiła sobie to wszystko, siedząc właśnie obok tego, którego pragnęła. Jak jeszcze nigdy przedtem udzielił jej się ów szczęśliwy, z dziecięcych wspomnień wywołany nastrój wigilijno-świąteczny. Obrazy biblijne – pasterze, gwiazda betlejemska, stajenka i żłobek oraz Królowie ze Wschodu przechodzili przed oczyma jej duszy, jak kiedyś w latach szczęśliwego dzieciństwa.

Z obecnych przy stole wszyscy ci, którzy mieszkali w Björndal od szeregu lat a było ich wielu, patrzyli ze zdumieniem na starego Daga. Głos jego był dziś jak gdyby bardziej uroczysty i słowa bardziej brzemiennie w treści niż kiedykolwiek w latach poprzednich. Zamknął Biblię powolnym gestem pełnym godności i wyrzekł słowo: amen. Teraz nastąpiło odprężenie. Zaskrzypiały krzesła, zrobiło się gwarno. Przystąpiono do spożywania wieczerzy.

Potrawy były takie same, jak każdej innej wigilii. Najpierw więc tradycyjne płatki owsiane, potem wszelkiego rodzaju mięsiwo. Jedzono, ile tylko kto zmieścił: wódka była dobra, piwo nie potrzebowało być mocniejsze. Zarówno w mieście, jak i na wsi w tym roku skromniej obchodzono święta, bo w kraju nastały ciężkie czasy. Ale w Björndal wszystko było po staremu. Ojciec Dag umiał tak gospodarować, że choć na świecie panowała drożyzna i niedostatek, jego królestwo nie odczuło tego.

Tak, wieczerza wigilijna w Björndal to była wielka uroczystość.

Gdy każdy zaspokoił pierwszy głód, stary Dag ujął swój kielich i spojrzął dokoła.

– Wieczór ten przypomina nam tak wiele – zaczął – tak wiele dobrego z tego roku, który minął. Każdy winien być zatem wdzięczny Temu, który prowadzi nas wszystkich – mówił dalej. On sam czynił Bogu dzięki za to, że mu pozwolił zachować zdrowie i jeszcze raz widzieć ich wszystkich, zebranych dookoła niego. Następnie wznosił prośbę o pokój boży dla domu i dla każdego. Był to równocześnie znak, że wolno już było chwycić za kieliszki.

Rozpoczęła się ogólna rozmowa, wprawdzie nieco nieśmiała i przyciszona, lecz wystarczyło to, aby wnieść trochę życia do tej wielkiej sali. Na ścianach poruszały się cienie siedzących, a pośród ludzi i cieni stał na stole świetlisty rząd jarzących się świec. Niejedno oko zaszkliło się łzami, a tam, gdzie siedziały kobiety, pokazywały się chusteczki; kto zaś nie miał żadnej, ręką ocierał oczy... a może także nos.

Adelajda spoglądała ukradkiem spod swoich długich rzęs na wszystko dookoła i starała się utrwalić w pamięci obraz tego, co widziała. Nie przyszło jej nigdy na myśl, by mogła kiedykolwiek zasiadać do biesiady w tak różnorodnym gronie ludzi. Gdyby to się stało dawniej i gdzie indziej, odrzuciłaby głowę do tyłu i kręciłaby nosem. Ale obecnie wkraczała w prawdziwe życie, które ukazywało się jej oto w jednej ze swych rozlicznych form.

Najbliżej drzwi siedzieli przeważnie bezdomni, wędrowni nędzarze, niektórzy zupełnie osiwiali; niejeden z nich trząsł się od starczej słabości. Jedni siedzieli z pochylonymi głowami, chowając zastrachane oczy, drudzy rzucali chytre, pożądliwe spojrzenia na jedzenie i jedli, jak gdyby nigdy potem nie mieli włożyć kęsa do ust. „Życie obeszło się z nimi źle i rzadko trafiały im się dobre kąski” – pomyślała sobie Adelajda. Patrzyła na każdego z życzliwym współczuciem.

Tak, w Björndal było w owym czasie wielu różnych ludzi i każdy miał swoje miejsce przy stole. Byli tam Hans Brzydal i Espe Łachmaniarz, i Piotr Zawadiaka, i Długi Ola, i Jens Niemowa, i Anetta Nędzarka – ci i wielu innych, którzy nie nadawali się już do żadnej pracy i na których nikt nie zwracał uwagi. Byli jednak i tacy, których praca mogła się jeszcze na coś przydać, jak na przykład Jörn Mangfoldig, ten tak zręczny kiedyś cieśla. Pomimo słabych oczu i drżących rąk uważał, że może jeszcze pracować przy różnych naprawach; miał w Björndal pewne schronienie aż do końca swoich dni. Pośród innych i on otrzymywał odzież, którą stary Dag rozdzielał, stąd na tę uroczystość był nader porządnie ubrany. Następnie był tam również Mistrz, który znał się na wielu rzeczach i który utrzymywał, że stale jest do czegoś potrzebny.

Tu i tam na różnych miejscach dokoła stołu siedzieli młodzi i starsi jeszcze w pełni sił. Wśród nich znajdował się Syver i inni z izby czeladnej; nie zabrakło też między nimi tych młodszych, którzy lubią swawolić, lecz którzy tutaj trzymali się w karchach. Robotnicy z lasu także tu byli, również sam Marcin Hogger¹¹, najpotężniejszy w lesie władacz siekierą. Z kwitnącej zdrowiem twarzy były moc i siła wiatrów, kołysały się szerokie i ufne w siebie bary. Był tu też kowal i dojarki, kobiety folwarczne i wielu innych ludzi.

Krzesła odsuwały się z hałasem i słycać było tupot wielu nóg, gdy wszyscy powstawali od stołu. Potem każdy po kolei, według starszeństwa, przechodził przed starym Dagiem i podawał mu rękę, dziękując za jedzenie i składając mu życzenia szczęśliwych świąt. Tego roku stary Dag jakoś szczególnie mocno i serdecznie ścisnął każdemu dłoń. Następnie ustawiono krzesła pod ścianami, niektóre wyniesiono do drugiego pokoju. Sprzątnięto ze stołu i wszyscy udali się do swoich siedzib.

Major z kapitanem, ojciec Dag i syn udali się do starej komnaty. Adelajda poszła z nimi. Ani major, ani Adelajda jeszcze tam nie byli; prawdopodobnie dziwili się nieco, gdy ją zobaczyli. Nie wszędzie był taki zwyczaj, by budować nowy dom, nie zmieniając niczego w starym. W dawnym, bardzo dawnym urzędzeniu komnaty nic się nie zmieniło: stały tam te same ławy, stoły, krzesła, szafy, na ścianach wisiały te same makaty; kominek był czarny od dymu, okna matowe, ołowiane; stara broń zawieszona u pułapu, na stołach kamienne i cynowe dzbany; drewniane naczynia i żelazne lichtarze.

Panna Kruse osobiście podała na srebrnej tacy kawę i ciastka. Zajęli miejsca przy stole przed kominkiem. Panna Kruse nalewała kawę, a kapitan przyniósł tytoń i fajki. Po kawie panna Kruse podała dzban mocnego ponczu, a dla panny Barre przyniosła wina.

Major domyślał się, że stary Dag wolałby, aby tego świętego wieczoru zachowali powściągliwość. Nie mówił więc głośno, ale nie potrafił powstrzymać się, by nie mówić wiele. Rozgadał się o sali i o tych, którzy się tam zebraли. Zapytywał o różnych ludzi i o różne rzeczy, a Dag chętnie udzielał mu wyjaśnień, opowiadając ciekawe rzeczy o wszystkim, co interesowało majora.

Młody Dag kroczył u boku Adelajdy, kiedy przechodzili z sali do starej komnaty, ale dzisiejszego wieczoru znowu brakowało mu słów. Panna Barre próbowała sama nawiązać z nim rozmowę, czyniąc uwagę, jak uroczyście nastrój panował w sali podczas wieczery.

Odpowiedział jej, co prawda, ale tylko skąpym „tak, owszem”. Jego małomówność paraliżowała jej język.

Czy stary Dag zauważył milczenie młodych, czy też myślał o czymś innym – nie wiadomo; w każdym razie zwrócił się do syna:

– Gdyby ciotka Dorota jeszcze żyła, zagrałaby nam kolędy na szpinecie.

Młody Dag podniósł głowę i spojrzał pustym wzrokiem, jak gdyby wytrącony z całkiem innych myśli. Ojciec był dziś taki dziwny.

– Ciotka Dorota – odparł, a w oczach jego zamigotały ciepłe błyski.
– Tak, ona by zagrała.

Czy panna Adelajda nie przelękała się czegoś? Nie, chyba nie. Nieruchomo jak posąg siedziała na swoim miejscu.

Ale co było z kapitanem? Wzrok jego pobiegł szybko od Adelajdy do majora i z powrotem do Adelajdy. Wreszcie Klinge zwrócił się do Barrego zapytaniem, czy jego córka nie odziedziczyła po matce talentu do muzyki. Adelajda broniła się lekceważącym ruchem ręki, ale major już wpadł w nastrój.

Owszem, nie może powiedzieć, by Adelajda nie znała się na muzyce.

Ojciec Dag spojrzał na nią mocnym, ale wyrażającym prośbę spojrzeniem.

Adelajda zaczerwieniła się i spojrzała na niego błagalnie. Wreszcie jednak podniosła się i poszła do pierwszej izby.

W starej komnacie zapanowała teraz cisza. Wiatr tłukł się z jękiem o ściany, ogień na kominku migotał i płomieniał. Ojciec Dag słuchał z napięciem, jak Adelajda ustawiała sobie krzesło i otwierała wieko szpinetu. Młody Dag siedział pochylony do przodu, wsparł łokcie na kolanach, wtulił głowę w dłonie i patrzył w ogień.

Szpinet panny Doroty wydawał niezmiernie delikatne dźwięki. Adelajda próbowała wydobyć jego ton, biorąc najpierw kilka akordów poprzez całą klawiaturę. Potem dźwięki przeszły w melodię i zabrzmiały nutą pieśni, ulubionych, dawnych pieśni, które umarły wraz z Dorotą. W cichy wieczór unosiły się jak dobrze znajome obrazy.

Dla niektórych były one czymś więcej niż obrazami. Młodemu Dagowi przywodziły najpiękniejsze wspomnienia z jego życia – o tym aniele, co chodził po ziemi. Zaś dla starego Daga musiały być nie mniej drogie, bo oczy jego miały wyraz dziwnej bezradności.

Te tony nie rozbrzmiewały już więcej w tych ścianach od czasu śmierci Doroty, od śmierci Teresy. Obie żyły jeszcze, gdy na szpincie grano po raz ostatni.

Młody Dag wciągnął powietrze pełną piersią; być może, zapomniał przedtem oddechu. Odwrócił się na krześle i mógł teraz oglądać pannę Adelajdę; widział ją tylko z profilu – ale jakż to był obraz!

Panna Kruse zapaliła świece, które zawsze stały na szpincie. Jasno oświetlały twarz Adelajdy. Jej włosy połyskiwały jak ciemne złoto, a ręce, te delikatne, dobre ręce, przesuwwały się wdzięcznym ruchem po klawiszach.

Twarcz młodego człowieka ciemna była jak noc. Więc panna Adelajda i to także umiała? Tak jak i ciotka Dorota – umiała grać melodie wielu pieśni, nawet w większym wyborze. W jego myślach przewyższała coraz bardziej inne kobiety i coraz bardziej oddalała się od jego własnego świata.

Głos majora zabrzmiał donośnie, niemal jak rozkaz:

– Adelajdo, zaśpiewasz nam chyba coś na zakończenie? Młody Dag nie mógł oderwać oczu od owej zjawy w drugiej izbie.

Widział, jak usłyszawszy słowa ojca, spuściła głowę z zawstyżeniem i jak zaraz się wyprostowała i podniosła czoło. Ręce wyczarowywały nowe tony. Zaczęła śpiewać. Głos był piękny, modulowała go w czystej, miękkiej wymowie. Słowa i tony drgały nutą smutku. Zaśpiewała tylko jedną pieśń, po czym przymknęła wieko szpinetu. Podniosła się i cicho wróciła na swoje miejsce przy stole.

Ojciec Dag wstał i bez słowa wyszedł do pierwszej izby, stamtąd zaś przeszedł nie do sieni, ale do izby sypialnej. Wziął swoje klucze i otworzył ciężką skrzynię Teresy. Szukał przez chwilę czegoś w małych puzderkach, po czym zamknął skrzynię i powrócił do starej komnaty. Usiadł z powrotem na swoim miejscu, ale obrócił się teraz twarzą do Adelajdy.

Młody Dag zawsze żywił dla ojca wielki szacunek, ale dzisiaj patrzył na niego wprost jak urzeczony. On sam, młody człowiek, siedział nie odzywając się słowem, nie mając nawet odwagi podnieść wzroku na panną Barre, podczas gdy jego ojciec nie tylko na nią patrzył, ale mówił do niej jak do zwykłego człowieka, bez mała tak, jakby była jego dzieckiem!

– Mógłbym pani wiele powiedzieć, panno Barre, ale jestem już stary i damy temu pokój. Przeżyłem już wiele świąt Bożego Narodzenia. Przez wiele lat towarzyszyły mi te drogie osoby, które potem jedną po drugiej straciłem. Gdy pani grała na szpinecie, widziałem je znowu koło siebie w tej izbie. Jest pani młoda i piękna. Z pewnością dużo wielkich domów otworzyłyby przed panią swe podwoje. Ze swoimi zaletami może pani zbierać podziękowania i wnosić radość wszędzie, gdziekolwiek się pani pojawi. A jednak przyjechała pani do Björndal. Ten dom może się pani wydawać ponury, ale – niech mi pani wierzy – dzięki jej grze i śpiewowi ten wieczór wigilijny pozostanie dla mnie na zawsze pięknym i jasnym wspomnieniem. Niech panią Bóg za to błogo śławi. Mam tu w podarunku taką małą drobnostkę – oczywiście, jeśli zechce ją pani przyjąć – na pamiątkę pobytu w Björndal. Może kiedyś wspomni pani ten wieczór z czasów swojej młodości.

Coś złotego błysnęło w twardej dłoni Daga, gdy wyciągnęła się ku białej ręce Adelajdy; była to broszka o niezwykle oryginalnym kształcie i cała ze szczerego złota. Pochodziła z Holandii. Stary Dag ofiarował ją w młodości pannie Teresie Holder. Od czasu jej śmierci broszka spoczywała w skrzyni, ale przypominał ją sobie, słuchając melodii panny Adelajdy, które zbudziły w nim tyle żywych obrazów przeszłości.

Zdumiona Adelajda wyszeptwała kilka bezładnych słów podziękii, wzbraniając się jednak ją przyjąć. Ale równocześnie napotkała wzrok starego Daga – wiedziała, że nie może odmówić przyjęcia.

Cóż to się stało? Dlaczego zbladła tak mocno, dlaczego podniosła się i wyszła, i udała się zaraz do swego pokoju?

Adelajda była silna w nieszczęściu, w zmartwieniu i przeciwnościach. Dla takich powodów nigdy nie wylewała łez; ale dobre słowo... Nie przykładała nigdy najmniejszej wagi do bezsensownych pochlebstw partnerów z sali balowej – ale dobre słowo z serca płynące... Kiedyż je słyszała? Teraz, kiedy ogarnął ją taki smutny nastrój, ojciec Dag powiedział jej wiele dobrych słów w ten wieczór, który znaczył tak dużo dla nich wszystkich. Straciła panowanie nad sobą i wypłakała na łóżku w pokoju panieńskim swój bezmierny żal, żal minionych lat, które przeszły obok niej bez radości i bez treści serca. Od czasu, gdy dorosła, pierwszą osobą, która przemówiła do niej życzliwymi słowami, był człowiek o najsurowszej twarzy, jaką kiedykolwiek widziała. Jakże dziwny był ten świat, jak dziwni ludzie...

A wszystko tylko dlatego, że zagrała kilka melodii, jak to czyniła wiele razy przedtem, i zaśpiewała jedną skromniutką piosenkę. Nie przyszłoby jej nigdy na myśl, że właśnie smutek nadał takiej mocy grze i tyle żaru jej śpiewaniu. Nie przypuszczała, że pod niskim pułapem starej komnaty dźwięki mogły wywołać inny efekt.

Powiedział, że dużo wielkich domów otworzyłyby przed nią swe podwoje. Wielkie domy, tak, w których oczerniano ją wśród złośliwych szeptów. Czy sądził, że nie znała tego rodzaju miejsc, jakim był jego dom? Dużo się zmieniło w ciągu ostatnich lat. Wielu z tych, którzy należeli do wielkich, obecnie prawie nic nie znaczyło. Bogactwo obróciło się w nędzę i w mięście, i na wsi. Wielkie domy! Znała takie domy, których wielkość była tylko powierzchowna, a które od wewnątrz zżerała nędza, lak że w ciągu niewielu lat rozpadną się w proch i w pył. Niejedno już słyszała, co sobie ludzie na ten temat szeptali. Tutaj bogactwo nie krzyczało głośno ze wszystkich stron. Lecz z każdym dniem, z każdą godziną dom ten stawał się w jej oczach coraz bardziej wspaniały. Gdyby dawniej wiedziała to wszystko, co teraz poznała, nie pozwoliłaby sobie na takie marzenia, jakim oddawała się jesienią i w czasie tej podróży. Dzisiejszego wieczoru w tych ludziach wypełniających salę oraz w bogato wyposażonych izbach mogła dostrzec tę wielkość, która otacza prawdziwie wielkich ludzi.

Ręką jej ścisnęła kosztowną broszkę, która miała przypominać jej o gościnie na Björndal z czasów młodości – jak powiedział ten starszy pan. Tak, zapewne tak będzie – ta broszka stanie się dla niej drogą pamiątką również i tych czasów, gdy serce jej było zimne i nieczułe.

W starej komnacie jak gdyby nikt nie zauważył, że zaszło coś niezwykłego. Gdy Adelajda wyszła, młody Dag spojrzął ze zdumieniem na ojca, ale spotkawszy jego wzrok zrozumiał, że w tym drobnym incydencie nie należy dopatrywać się żadnego dziwu. Wzrok kapitana poszedł w tym samym kierunku i dowiedział się tego samego. Na Björndal był tylko jeden pan, a gdy stało się coś niezwykłego, z czym sobie nie umiano poradzić, zwracano oczy na niego: jak on to przyjmie? A skoro teraz stary Dag siedział i patrzył spokojnie przed siebie, tak jakby się nic nie stało, no to po prostu nic się nie stało. Co prawda major spoglądał na tamtych trochę powątpiewająco i złorzeczył w duchu kaprysom wszystkich kobiet, ale i on wyczuł, że należało milczeć.

Nikt nawet nie spojrział, gdy panna Adelajda weszła znowu do komnaty – wysoka i cicha.

Podeszła do starego Daga i wyciągnęła ku niemu rękę.

– Jakże mam panu podziękować za tak kosztowny dar? – powiedziała.

Ujął jej rękę i spojrzął jej w twarz. Nic więcej – ale oczy jego były wymowne i tak pełne wyrazu, że Adelajda czuła, iż szczerze użycza jej tego prezentu i wiele innego... Dobrze, gdy nie wie się wszystkiego. Gdyby Adelajda odgadła, że osoba, która dla starego Daga była najdroższa i najukochańsza na świecie, nosiła tę broszkę przez czterdzieści lat jako swą najpiękniejszą ozdobę, może by przywiązywała zbyt wiele znaczenia do tego daru.

Po deszczu zawsze świeci słońce. Teraz dla Adelajdy w starej, zamierzchłej komnacie zaświeciło słońce. Lekkim krokiem podeszła do ojca i pokazała mu broszkę, którą przypięła już do sukni. Major uniósł brwi do góry, oczy zaokrągliły się ze zdumienia na myśl o tym, ile talarów musiała kosztować. Kapitan na pewno zauważył, co to była za broszka – oczy jego patrzyły niemal z przestrachem.

Stary Dag przerwał ciszę. Chyba wszyscy pojedą z nimi jutro rano na mszę? Chociaż major nie zaliczał się do tych, którzy chodzą do kościoła, jednak był żołnierzem starej daty i miał jakie takie poszanowanie dla trzech rzeczy: Boga, króla i ojczyzny. Kapitan prawdopodobnie dał mu już uprzednio do zrozumienia, że jedynym jego obowiązkiem w czasie pobytu świątecznego będzie pojechać z innymi do kościoła w pierwsze święto rano. Major Barre więc opowiedział się za zachowaniem starego zwyczaju, na co ojciec Dag odrzekł, że pragnąłby mieć zaszczyt jechać z nim razem w pierwszych saniach; młodzi – zaproponował, patrząc na Adelajdę i młodego Daga – mogą jechać razem w drugich, kapitana zaś i pannę Kruse powiezie Syver Bakpaa w trzecich saniach.

Adelajdzie zapłonęły policzki. Zamknęła oczy i oparła się plecami o grzbiet krzesła. Więc stary Dag i to umiał urządzić...

Stary Dag podniósł się. Uważał, że jeśli jutro rano mają być wcześniej na nogach, byłby czas, aby się położyć. Wszyscy życzyli więc sobie dobrej nocy i zgaszono światło.

Ostatni udał się na spoczynek stary Dag. Jak było jego zwyczajem, wyszedł do sieni, aby zamknąć drzwi wejściowe. Umilkły już wszystkie kroki w domu, dokoła zaległa cisza. Nagle drgnął. Czy dobrze słyszał? Czy to wiatr tak dziwnie śpiewał na dworze, czy rzeczywiście był to jęk dzwonek? Tak, brzmiały coraz głośniejsze, coraz bliżej, aż zadzwoniły na podwórzu i zamilkły przed samymi drzwiami.

Któż, w imię Boże, mógł przyjeżdżać tu tak późno w noc wigilijną? Słysząc było stłumiony śniegiem odgłos kroków – ktoś wchodził po stopniach i dalej gankiem, a potem z trzaskiem otworzyły się drzwi.

Dag nie ruszył ani ręką, ani nogą. Nigdy jeszcze nie zaznał uczucia strachu. Wlepił oczy w ciemny otwór, przez który wiatr i śnieg wdzierały się do środka. Ale nikt nie wchodził. Podszedł i wyjrzał na zewnątrz. Księżyc świecił pomiędzy pędzącymi szybko chmurami, tak że mógł się nieco rozeznac w ciemnościach. Nie było widać żadnych sań, ani jakiegokolwiek śladu konia czy człowieka na śniegu.

Wyszedł na ganek i nasłuchiwał. Gwałtowny wicher przeciągnął nad odległymi lasami. Śpiew ich dochodził z oddali poprzez najbliższe położone pola. Pomyślał sobie: „Wszyscy ci, którzy zmarli, a nie mogą się wyzwolić, są tej nocy wolni”. Tak mawiała Ane Hamarrbö. Ale ona wierzyła, że w noc wigilijną dzieją się różne dziwne rzeczy: że zwierzęta rozmawiają ze sobą w swych przegrodach, że trolle robią zamęt w stajni i oborze i że wszystkie dusze potępione wychodzą na świat, czyniąc dużo hałasu na ziemi i pod ziemią.

Wszedł z powrotem; zamknął i zarygłował drzwi. Nagle znieruchomiał. Przecież to samo podobno zdarzyło się już kiedyś w czasie świąt, dokładnie o tej samej porze. Opowiadała mu o tym panna Kruse. Wtedy nie zwracał najmniejszej uwagi na takie rzeczy, dziś jednak myślał inaczej.

Miał syna, który spoczywał przygnieciony wielkim odłamek skały w czeluściach Doliny Dziewicy. Nie pogrzebano go dotąd w poświęconej ziemi. Czyżby to on nawiedzał w taki sposób swój dom rodzinny? A może chciał czegoś?

Dag długo nasłuchiwał – ale teraz była to już tylko burza szalejąca na dworze. Myśl jego pracowała usilnie, czoło poorano się głębokimi zmarszczkami. Wreszcie wyprostował się – tak, teraz to robi. Każę kowalowi wykuć żelazny krzyż, zabierze go do kościoła do pastora i każe poświęcić. Sam zejdzie na dół do przepaści – na pewno nikt inny się nie odważy – wyłobi dziurę w skale i postawi krzyż. Może jego biedny chłopiec będzie wtedy miał spokój wieczysty.

Zgarnął popiół w kominku, zgasił świece, które paliły się na szpincie w pierwszej izbie i udał się do swej izby sypialnej. Dlaczego przystanął w ciemnościach? Czy miał jeszcze coś do obmyślenia, że zamiast się zaraz położyć, wrócił do starej komnaty? Może przeżywał jeszcze raz wspomnienia zbudzone grą panny Barre? Może myślał o Dorocie i Teresie? O ich ciepłych, ludzkich uczuciach? O tym, co dały wszystkim dookoła siebie – i jemu także. A może o tym, jak mało dał im w zamian, jak mało się im udzielał? Jak zatracił swoje najlepsze lata, stwarzając sobie i najbliższym życie samotne i bez radości, zaślepiony na wszystko w zapamiętałej gonitwie za pieniędzmi?

Dobrzy ludzie mają moc. Mogą żyć jeszcze po śmierci w niejednym wspomnieniu, nawet w tonach zwykłego szpinetu.

Od owego wieczoru wigilijnego w Björndal straszyc.

Byli tacy, którzy przez całą noc słyszeli jakieś ciche kroki w starej komnacie i w pierwszej izbie. Jakaś kobieta zaklinała się na wszystkie świętości, że kiedy przechodziła gankiem po drodze do nowego domu, zobaczyła w oknie pierwszej izby w świetle księżyca jakąś bladą, zrozpaczoną twarz o zapadniętych oczach i że mogłaby przysiąc, iż była to twarz Ane Hamarrbö. Inni słyszeli o północy dziki krzyk, a kobieta, której ukazała się twarz Ane, zaprzeczała, jakoby to miał być jej własny krzyk. W każdym razie nie przypominała sobie, żeby krzyczała.

Odtąd więc w starym dworze straszło. W izbach słychać było ciche kroki, za oknami ukazywały się blade twarze, niesamowite krzyki rozlegały się o północy...

26

Ranek rozpoczął się od kieliszka wódki wypitego na czczo, lekkiej przekąski i ciepłego napoju podanego do łóżka. Następnie ubrano się i w ciemnościach zajęto miejsca w saniach. W stallach zajmowanych przez państwo z Borgland z ciekawości aż wykręcano sobie szyje, gdy major z Adelajdą zjawili się w towarzystwie Björndalów. Bystre oko panny Kruse dostrzegło, że twarz Elżbiety zbladła jak płótno, gdy zobaczyła Adelajdę u boku młodego Daga. Cóż to mogło znaczyć?

Zanim odjechano z kościoła, major i jego córka musieli, naturalnie, przywitać swoich starych znajomych i zamienić z nimi kilka słów. Tak chłodnego powitania jeszcze nigdy nie doznali. Adelajda zauważyła przy tym, że ci z Borgland i Björndalowie starali się wzajemnie nie widzieć.

Gdy powracano do domu, w pierwszej izbie oczekiwał stół tak samo obficie zastawiony jak pierwszego wieczoru.

Najbardziej uroczyste są godziny wigilii i pasterki. Bezpośrednio po nich zapanował wesoły, świąteczny nastrój.

Na dworze było jeszcze na wpeł ciemno i na stole paliły się liczne świece. Major jeszcze nigdy w swoim życiu nie przeżywał tak wesołych chwil o tak wczesnej porze dnia. Już teraz cieszył się, ile to będzie miał do opowiadania po powrocie do miasta. Był dotąd przekonany, że on i jego kompani w mieście wiedzą, co to znaczy zjeść i wypić, i że znają sztukę picia wódki, a tymczasem teraz na Björndal dawano mu dopiero prawdziwą lekcję w tych sprawach. Dzisiejszego ranka jeszcze nie zdążył dobrze otworzyć oczu ani wygrzebać się z łóżka, a już dostał coś na wzmocnienie serca oraz solidną porcyjkę peklowanego mięsa i dobry łyk mocnego piwa. A potem ta rześka jazda w pysznej paradzie sań z płonącymi i grającymi dzwoneczkami; z kolei uroczyste nabożeństwo w kościele, a potem, kiedy inni nie zdążyli jeszcze przetrzeć sobie zaspanych oczu, u nich było już głośno i wesoło od dobrego jedzenia i mocnego napoju. Takie życie odpowiadało majorowi – powiedział to otwarcie. Wielu już ludzi spotkał w Norwegii i w obcych krajach, lecz tak pod każdym względem solidnego człowieka, jak stary Dag, jeszcze nigdzie nie spotkał. A teraz jego wytworny przyjaciel na Borgland może iść razem ze swym sztywnym ukłonem do diabła!

Niejedną walkę stoczył już major, zarówno z bronią w ręku, jak i z kieliszkiem. Ale ta walka tutaj przy stole była ciężkim zadaniem nawet dla niego. Zjadł tyle, że musiał się porozpinać, zaś stary Dag przepijał do niego nieustannie, tak że już ledwie mógł dotrzymać mu kroku. Ale właśnie wtedy stary Dag wstał i powiedział, że wybiera się na krótką drzemkę; goście mogą iść za jego przykładem, jeśli tylko mają ochotę.

– Panna Kruse już nas obudzi, kiedy znów będziemy potrzebowali jedzenia! – dodał na koniec.

Ręka w rękę major z kapitanem udali się na górę, choć chwiali się nieco na nogach.

Stary Dag poszedł do swej izby sypialnej. Szedł wcale pewnym krokiem, choć przy stole nie miał najlepszego nastoju i wyglądał na bardzo zmęczonego, gdy wstawał z krzesła. Może nie spał dobrze w nocy.

Młody Dag pił umiarkowanie, Adelajda miała aż nadto dosyć po pierwszym kieliszku. Ale i oni poszli do siebie. Nie mieli sobie nic do powiedzenia i prawdopodobnie byli także zmęczeni wczesną jazdą do kościoła.

Czas upływał mile i przyjemnie. Adelajda z ciężkim sercem liczyła mijające dni. Dag zabierał swoje narty i jeździł do lasu, kiedy nie mógł już znieść dręczących go myśli. Czasami pozostawał tam nawet przez cały dzień. Zdawało się, że przepaść pomiędzy nim a Adelajdą staje się coraz większa. Teraz wyszło na jaw, że umiała lepiej grać na szpincie i jeszcze piękniej szyć niż panna Dorota. Kapitan zaś wspomniął przy sposobności, że owszem, Adelajda umie też posługiwać się językami, którymi rozmawiają w Niemczech i we Francji.

Adelajda z ciężkim sercem żegnała każdy dzień, który mijał. Że też nie mogła sama kierować swoim przeznaczeniem! Może był ktoś na świecie, kto potrafiłby je odmienić? Zdarzały się przecież różne jeszcze dziwniejsze rzeczy.

Na dwór björndalski zajechał jakiś człowiek. Chciał rozmawiać ze starym Dagiem. Był z Borgland. Panna Kruse weszła do izby i cichym głosem powiedziała o tym staremu Dagowi, który zaraz wyszedł do sieni. Posłaniec miał przekazać państwu na Björndal zaproszenie na bal gwiazdkowy do Borgland. Kazano mu powiedzieć, że państwo na Björndal będą bardzo mile widziani. Gdyby nie wszyscy mogli przybyć, spodziewano się, że przynajmniej panna Barre i młody pan przyjmą zaproszenie, gdyż miała to być zabawa dla młodych. Panna Kruse, która właśnie w tym momencie wchodziła do sieni, niosąc coś do zjedzenia i wypicia dla posłańca, omal nie wypuściła tacy z rąk. Jeśli dochodziło do takich rzeczy, to chyba niezadługo nastąpi koniec świata!

A stary Dag – czyż nie otworzył szeroko oczu i nie kazał sobie powtórzyć zaproszenia? O nie! Zbyt dużo przeżył i zbyt dobrze znał świat i drogi, jakimi ludzie szli w życiu. Posłaniec nie mógł przecież opowiadać potem w domu, że stary na Björndal miał zdziwioną minę! Nie. Obrócił się więc tylko nieco do kominka, a gdy po chwili zbliżył się znowu do posłańca, ten otrzymał odpowiedź, że jutro dadzą znać, czy ktoś będzie mógł przyjechać. Na razie dziękuje za zaproszenie.

Posłaniec i panna Kruse wyszli z sieni. Stary Dag usiadł przed kominkiem. Za młodych swych lat nie potrzebowałby się zastanawiać cały dzień nad odpowiedzią, gdy chodziło o tych z Borgland. Bez chwili wahania odpowiedziałby „nie”, ale od tego czasu tyle się na świecie zmieniło. Ponadto teraz w domu byli goście, z nimi przede wszystkim należało się liczyć. Major i jego córka mieli wszelkie prawo pojechać na ten bal, a jeżeli życzyli sobie towarzystwa, nie wypadało powiedzieć im „nie!” Ale poza tym całkiem inne myśli przychodziły mu do głowy.

Tak. Zdążył poznać drogi życia ludzkiego, może nawet lepiej, niż sądzono. Miał w mieście adwokata, który sporządzał dokumenty i załatwiał sprawy pożyczek i hipotek dla niego i dla innych. Możliwe, iż Dag dowiedział się za jego pośrednictwem, że ciężkie czasy dotknęły już także i tych na Borgland. Od czasu do czasu brali pożyczki pod zastaw kogoś ze swoich folwarków. Może Dag nawet sam z drugiej ręki kupował ziemię należącą dawniej do von Gallów.

Zamyślił się głęboko; oczy tkwiące pod zmarszczonym czołem zwięzły się i przybrały wyraz chytryści. Czy coś w tym wszystkim nie przypominało mu takiego czy innego dnia z młodości, gdy tropił w lasach ślady lisa lub rysia? Oczy jego robiły wrażenie, jak gdyby nawet w tej chwili tropili jakieś przebiegłe, nieuchwytnie zwierzę.

Wielu ludzi z innych osiedli i majątków odwiedzało go w czasie ostatnich lat. Niektórych znał od dawna, inni byli obcy – jeszcze ich nigdy przedtem nie widział. Przychodzili pod różnymi pretekstami, ale w końcu zawsze wychodziło na to, że potrzebowali pieniędzy.

A dzisiaj przybył ktoś z Borgland – z zaproszeniem na bal...

Wstał i chwilę pochodził po izbie. Potężne mięśnie nóg pęczniały pod opinającymi je pończochami. Klamry u butów połyskiwały odbłaskiem starego srebra. Kurtka dobrze leżała na ogromnych ramionach i przylegała ściśle do talii. Na piersi i na przegubach rąk jaśniała czysto biała kryza, odcinając się od ciemnej, ogorzałej skóry. Srebrne włosy wiły się swawolnymi lokami dookoła głowy. Przystanął i wyprostował się. Plecy zeszywniały mu z biegiem lat, lecz teraz z tej wyprostowanej postaci tchnęło młodzieńczą wprost siłą.

Natura ludzka jest zmienna, niestała i trudno ją oswoić – tak jak dziko żyjące stworzenia.

Przez trzydzieści lat Dag pracował usilnie nad tym, aby zdusić w sobie instynkt zemsty, a w ciągu ostatniego roku starał się o to, by w sercu jego zakiełkowały nowe, dobre uczucia. Podczas świąt miał przed oczami kobietę, która przypominała mu Dorotę i Teresę, kobietę o łagodnej dobroci jednej i silnej naturze drugiej. Swoją grą wywołała wspomnienia, które wzbudziły w nim uczucie szczerego żalu, tak że wiedział dokładnie, na czym polegała jego wina i jakie były jego zobowiązania wobec tych, którzy odeszli. Tak, był już na najlepszej drodze.

Aż naraz przybył ten posłaniec i nazwa Borgland wtargnęła z hałasem do jego duszy. Uparty duch zemsty podniósł się znowu ze swej zepchniętej pozycji, przypuścił gwałtowny szturm i obrócił w niwecz to tak dobrze rozpoczęte dzieło odrodzenia. Cóż znaczy trzydzieści lat surowej dyscypliny, co znaczy jeden rok nawracania się i kilka szlachetnych, pokojem bożym natchnionych myśli – wobec tej pierwotnej siły rasy i rodu?

Nie kończące się szeregi leśnych ludzi o obliczach posepnych i twardych wtargnęły do izby. Okrążyli zewsząd starego Daga, nakazując mu, aby patrzył tak jak i oni i aby szedł tą samą drogą, którą oni szli przez setki lat. Przed oczyma zjawily mu się obrazy ze starych opowiadań, jego własne wspomnienia o zaciętej walce, jaką toczyć musiał jego ród, aby ratować życie wobec licznych przeciwności i podłych intryg ludzi z otwartej równiny. Borgland było ostoją i twierdzą wrogiego dlań kraju. Pamiętał, jak był tam tylko jeden raz i z jak lodowatą pogardą przyjął go pułkownik.

Oczy Daga wpatrzyły się mocno i zdecydowanie w tę samą wizję, która przyświecała jego przodkom – tym, co byli przed nim i co byli w nim: za krzywdy zemsta, cios za cios. Nareszcie!

Zaciskając założone do tyłu ręce, chodził tam i z powrotem po izbie. Dziś zatem przyszedł posłaniec z Borgland...

Czy im chodziło o majora i jego córkę? Chyba nie. W każdym razie zaproszenie brzmiało: przynajmniej panna Barre i młody pan. Oczy jego widziały wszystko. Widziały w kościele twarz, która zbladła – twarz złej panny Elżbiety. A teraz to zaproszenie młodych na bal...

Stary Dag ściągnął groźnie brwi, ze zmrużonych oczu były zimne, stalowe błyski. Czy dostrzegł tropionego rysia, to przebiegłe, chciwe krwi zwierzę? Raz już napadło i zabrało mu kogoś z jego własnego ciała i krwi. Czy zwierzę znów gotowało się do skoku, aby zadać cios? Czy tym razem chodziło o życie, czy o pieniądze? Jeśli chodzi o pieniądze, miał już do czynienia także z owymi szlachetnie urodzonymi. Zawsze się im zdawało, że mogą się do niego zwracać tylko z wielką łaskawością i ładnymi słówkami. To, co opowiadała Ane Hamarbö, pomogło mu zachować swą dumę. Nie, on nie potrzebował, aby się ktokolwiek do niego zniżał. Jego egzystencja tkwiła głębszymi korzeniami w norweskiej ziemi aniżeli takich jak oni. Ludzie z jego rodu mogli poszczycić się dobrymi sprawami, które były o całe pięćset lat starsze niż szlachecka świetność tamtych.

Podszedł ciężkim krokiem do kominka, pochylił głowę. Podniosły się barki niemal potwornie wielkie. Jeśli ryś teraz przyjdzie – napotka tu łosia samca o szeroko rozłożonych rogach.

Wyprostował się, pokiwał nieznacznie głową. Więc pułkownik nie sprzeciwiał się, aby posłano kogoś do Björndal z zaprosinami. Pozbywał się ziemi, która była ich prastarą własnością. Tak, ten pułkownik, obnoszący się z pięknym pasem, sprzedawał ją partiami już od wielu lat, może nawet dłużej, niż wiedział o tym stary Dag. Wyprostowany, wyszedł spokojnie do drugiej izby. W oczach były błyski – wesole, ale zarazem niebezpieczne.

W starej komnacie siedzieli przy kuflu piwa major z kapitanem. Przy wschodnim oknie Adelajda przewracała kartki jakiejś książki. Ojciec Dag siadł na krześle, pociągnął łyk piwa, po czym spojrzał ku niej.

– Czy nie miałyby pani ochoty trochę potańczyć, panno Barre? – zapytał.

Adelajda poruszyła się i spojrzała na niego zdziwiona. Co miał na myśli? Czy chciał tutaj wydać świąteczny bal? Miała ze sobą suknię, w której by się chętnie pokazała – tak, jednej osobie. Nie była to wprawdzie nowa suknia, ale śliczna, z pięknymi haftami, które sama wyszyła, i tak dobrze na niej leżała. Przede wszystkim więc myślała o sukni i o tym, jak korzystnie w niej będzie wyglądała, gdy odpowiedziała, że owszem, bardzo chętnie potańczy.

– Nadeszło zaproszenie – wyjaśnił, zwracając się do majora. – Ja jestem za stary i najlepiej się czuję, gdy jestem u siebie w domu, ale jak by to było z wami, wojakami?

Major wystawił brzuch i wysunął dolną wargę. Cieszył się, że może spędzić tutaj spokojnie święta, a teraz ma się nadwierać, żeby grać rolę bawidamka na jakimś balu, a przy tym spijać jakiegoś mizernego cienkusa, zamiast łykać porządny koniak, i paplać z kobietami i różnymi typami o ciężkich czasach, kiedy tymczasem może siedzieć sobie wygodnie na miejscu, jeść, ile wlezie, i pić prawdziwy, męski trunek, ech, i zapomnieć o wszelkich troskach tego życia.

– Melduję się posłusznie do służby dotrzymywania wam towarzystwa – odpowiedział major – i nie dam się stąd ruszyć, chyba przemocą. – W oczach Daga dostrzegł błysk zadowolenia.

Kapitan oświadczył, że taki zreumatyzmowany, stary niedołęga, jak on, nie będzie nikomu na balu potrzebny i zameldował się do tej samej służby, co major.

– Więc będzie pani musiała zadowolić się Dagiem jako swoim kawalerem – powiedział stary Dag, patrząc przez ramię na pannę Adelajdę.

A gdzie ten bal ma się odbyć? – zapytała z twarzą odwróconą ku oknu.

W Borgland odpowiedział sucho stary Dag.

Nadszedł dzień, w którym miał odbyć się bal, a potem wieczór tego dnia. Syver Bakpaa zmagał się z Bamsenem, aż pot lał mu się z czoła, aby utrzymać go w spokoju, gdy panna Adelajda i Dag zajmowali miejsca w saniach. Kiedy młody Dag wybierał się raz w drogę, musiał mieć konia z ogniem we krwi. Sam ojciec Dag i panna Kruse przynieśli im worki do nóg, futra i dery, jak gdyby mieli jechać w daleką podróż. Młodzi ludzie otrzymali po dużym kieliszku dobrego francuskiego koniaku, żeby im było ciepło i... dla dobrego nastroju. Jechali przecież tańczyć – powiedział stary Dag nie bez ukrytej myśli. Adelajda zostawiła kołnierz nieco rozchylony, tak że widać było jedwabny szalik i silną, białą szyję. Usta były uśmiechnięte, duże oczy promieniowały życzliwością. Młody Dag spoglądał na nią i odwracał oczy, potem patrzył znowu – koniak dodawał mu odwagi. Teraz na mrozie ogniste krople alkoholu przedostawały się do jego krwi. Niech się ma na baczności, gdy posyła mu tak ciepłe spojrzenia. I on był tylko człowiekiem; mógł się do niej przysunąć i przycisnąć trochę do siebie – w drodze.

Ale Adelajda Barre nie miała tego szczęścia.

Musnęła go wzrokiem, gdy pochylił się do przodu, aby chwycić lejce. Twarz jego wyrażała siłę i pewność siebie. Bamsen ruszył z kopyta – podwórze, drzewa, słupy bramy mignęły za nimi, śnieg wzbijał się po bokach jak spienione fale morza. Adelajda spojrzała na Daga z boku. Jeszcze nigdy nie widziała go w takiej sytuacji, a właśnie gdy człowiek jest w akcji, natura jego uwydatnia się najwyraźniej. Futrzana czapka była zsunięta na tył głowy, kołnierz rozpięty, zacięta twarz tchnęła mocą i siłą. Opuściła ją ostatnia wątpliwość – czy tylko osoba, czy też niezwykle otoczenie, w jakim się znalazła, pociągało ją ku niemu. Teraz wiedziała na pewno – to był tylko on, on ponad wszystko. Wszystko inne nie było niczym więcej, jak wielkim, śpiewnym szumem dookoła jego osoby.

Rozważania Daga szły ciągle tym samym torem. Zrobiło mu się zarazem zimno i gorąco, gdy zobaczył ją stojącą w sieni. Żeby choć pomyślał... ale nie, nie był aż tak naiwny! Jedynie o tym tylko, żeby została tutaj na długi, długi czas. Ale teraz, tak, widział to: była tylko zjawiskiem, które lada chwila uleci z jego ociężałego świata. Jej oczy... ach! to nie były oczy, to były... nie, nie mógł nawet pomyśleć! A jej policzki, szyja, ten podbródek i usta – to wszystko teraz dopiero widział. Usta właściwie nie były zamknięte; jej miękkie wargi dochodziły tylko do siebie w łagodnym... nie, w szczęśliwym uśmiechu.

Gdzież on był? O czym myślał? Czy w ogóle myślał? Nie, jechał, trzymał lejce. Byli już za osiedlem. Wszystko szło samo, gdzieś za nim, gdzieś poza nim.

Na podwórzu w Borgland stały szeregiem sanie. Wszędzie migotały światła, chłopcy stojący trzymali latarnie. Wyciągnęły się pomocne ręce, szybko i sprawnie załatwiły się z koniem i saniami. Odziane w futra postacie wsunęły się w wielkie drzwi wejściowe. Panie kierowano na górę, panowie zdejmowali podróżne futra w hallu na dole.

Ludzie przechodzili wciąż koło Daga, gdy stał i czekał, aż panna Barre zejdzie na dół. Mijali go oficerowie w mundurach, panie w powiewnych sukniach, ale dla niego były to tylko cienie; oddalił się zupełnie od rzeczywistości; znalazł się w jakimś obcym świecie, do którego nie należał i w którym czuł się jak intruz.

Dag Björndal stał w hallu wiejskiego dworu w Borgland. Czego tu szukał? Pośród owej nieustającej wrogości, z jaką ród jego spotykał się na przestrzeni wieków, Borgland było tym miejscem, skąd doznawali zawsze największej pogardy – bo młody Dag również już coś o tym wiedział. A teraz był tutaj jako gość, w swoim odświętnym ubraniu, uszytym na miarę przez krawca z miasta na jesieni. Ubranie opinało go tak ciasno, że ledwie mógł się ruszać. Ten podły kołnierz i chustka na szyi uwierały go jak postronek. Jutro wybierze się na daleką wyprawę do lasu, aby odetchnąć w swym obszernym ubraniu myśliwskim. W tych wytwornych szatach czuł się sztywny jak kij.

Dzisiaj wszystko wydawało mu się nieprawdziwe. Już samo to, że był tutaj, i to ubranie, i to, że czekał na nią. Co miał właściwie z nią wspólnego? Jej miejsce było tutaj pomiędzy tymi oficerami i zwiewnymi jak mgiełka paniami, do których z takimi rękami jak jego nie wolno się było przybliżać.

Wszyscy, którzy go mijali, przyglądali mu się ciekawie. Panie oglądały się za nim, a nawet panowie nieraz ukradkiem zerkali ku niemu. Szeptano między sobą – kim też mógł być ten okazały człowiek? Wśród gości jednakże znajdowali się ludzie z sąsiedztwa, którzy go znali i którzy po cichu opowiadali drugim, że jest to przybysz z północy i dziedzic wielkiej fortuny. Dag nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Oczy jego patrzyły na broń, na obrazy, na wykonane z wielką sztuką świeczniki na ścianach i wszystkie inne wspaniałości, ale niczego z tych rzeczy nie widział, nic nie docierało do jego świadomości. Świat zewnętrzny nie miał do niego dostępu. Czego więc tutaj chciał?

Lecz wówczas coś się stało. Do hallu z jednego z dalszych pokoi weszła jakaś pani, witając gości po drodze... Dumna, piękna pani. Była to gospodyni balu, Elżbieta von Gall na Borgland. Widywała już nieraz Daga w kościele, ostatnio zaś znowu na pasterce, ale zawsze z daleka i zawsze wtedy, kiedy zakrywało go futro zimowe. A przy tym panna Elżbieta miała nieco krótki wzrok. Teraz podeszła do niego z uśmiechem i po raz pierwszy spojrzała nań zupełnie z bliska.

Dlaczego oczy jej rozszerzyły się od zgrozy, dlaczego twarz jej pokryła się trupią bladością? Dlaczego zachwiała się jak drzewo miotane burzą, zanim zdążyła się chwycić poręczy krzesła? Wreszcie jednak zaczerpnęła oddechu, na twarz powracały kolory. Ale zanim przyszła całkowicie do siebie, upłynęło kilka długich jak wieczność sekund.

Panna Elżbieta zobaczyła upiora z krainy umarłych. Ktoś, kogo posłała na śmierć, powrócił. Większy i piękniejszy aniżeli podówczas. Z biegiem lat uświadomiła sobie z całą pewnością, że ten jedyny mężczyzna, który wzbudził w niej płomienną miłość, zginął w przepaści Doliny Dziewicy. A teraz powrócił bardziej dojrzały i patrzył na nią władczym wzrokiem.

Zimny dreszcz przeniknął ją całą, gdy podeszła do Daga i powitała go podaniem ręki.

– Przywiózł pan Adelajdę ze sobą? – zapytała głosem przyciszonym i suchym.

– Tak, panna Barre jest na górze – odparł Dag.

Czy zauważył, co się przed chwilą rozegrało przed jego oczami? Chyba nie, ale widział, jak Elżbieta zbliżała się do niego. Wiedział, że nazywają ją „złą” i że miała coś wspólnego ze zniknięciem jego brata owej fatalnej nocy. Stąd też oczy jego patrzyły bacznie i mocno, gdy spotkały się ze wzrokiem panny Elżbiety.

Na schodach dały się słyszeć lekkie kroki i Adelajda ze swym cienkim, jedwabnym szalem, zarzuconym na gołe ramiona, pochłonęła całą jego uwagę. Elżbieta przywitała przyjaciółkę uprzejmie, lecz bez cienia ciepła. Razem z innymi osobami udali się do gościnnych pokoi.

Dag był zupełnie odurzony. Widział już przedtem Adelajdę w wieczorowym stroju. Wszyscy uważali, że była po prostu stworzona do takich wystąpień. Była zawsze czarująco piękna, ale teraz aż dech zapierało, gdy patrzyło się na nią. Oczy jej promieniały zwycięsko, policzki były lekko zaróżowione, usta jak pocałunek. Jednak dookoła tej ponętnej piękności roztaczał się spokój dumnej godności, która trzymała ludzi na odpowiedni dystans. Szyja, piersi, ramiona i suknia, która tak miękko przylegała do całej postaci – to wszystko Dag teraz widział i patrzył jak oślepiiony.

Nie wolno jej odjeżdżać z Björndal, nigdy!

Jak nierealne obrazy z innego świata, cały blask tych świetnie przystrojonych pokoi balowych przechodził przed oczyma Daga nie zauważony. Kandelabry zawieszane u sufitów, świeczniki uświetniające ściany, lustra, wspaniale wystrojone postacie gości – wszystko rozpływało się i znikało w oddali. Ale niebawem napotkali gości, którzy znali Adelajdę z innych, wcześniejszych spotkań w mieście lub w Borgland. Następowaly ukłony, uściski rąk i rozmowy. Dag musiał teraz zstąpić do tego świata, do którego sprowadzała go okoliczność. On musiał również oddawać ukłony i odpowiadać, gdy został zagadnięty, jak wszyscy inni. Wkrótce natknęli się na wysokiego, starszego pana, ubranego w błyszczący mundur. Był to sam pułkownik, wielmożny pan na Borgland. Powitał bardzo serdecznie Adelajdę i znalazł też kilka niezwykle uprzejmych słów dla Daga. Tak, a gdy podano powitalny poncz, usiadł razem z nimi przy jednym z licznych stolików. Zapytywał o majora Barrego, czy dobrze mu się wiedzie – mówił tak układnie, najpierw z panną Adelajdą, a potem zwrócił się do Daga:

– Wy na północy zapewne nie odczuwacie tak dotkliwie tych ciężkich czasów?

– Ciężkich czasów? – odpowiedział Dag zdziwiony. – Nie, czy teraz są ciężkie czasy?

Pułkownik podniósł głowę i przymrużył oczy. Czy ten młody człowiek drwił sobie z niego? Ale twarz Daga była poważna, więc wydawało się to nieprawdopodobne. Pułkownik wyjął chustkę i wytarł sobie drżącą ręką czoło i brodę. Tak jakoś przykro ścisnęło go dzisiaj gardło. Znów zwrócił się do Daga:

Ojciec zapewne cieszy się dobrym zdrowiem. Czy sam zajmuje się jeszcze wszystkim?

Dag przypatrywał się mu przez chwilę. Nigdy jeszcze nie przyszło mu na myśl, że w stanie zdrowia jego ojca mogłaby nastąpić zmiana i że mógłby nie dać sobie sam rady ze wszystkim.

– Tak, ojciec cieszy się dobrym zdrowiem – odpowiedział.

Pułkownik pokiwał głową, przepił jeszcze raz do nich uprzejmie, powiedział coś o obowiązkach wobec pozostałych gości i że będzie musiał ich teraz opuścić.

Panna Adelajda patrzyła zdziwiona. Sądziła, że między tymi dwoma wielkimi dworami istniała wrogość i że dlatego von Gallowie potraktowali ją i ojca tak chłodno w kościele. A teraz pułkownik sam podszedł i przywitał Daga jako jednego z pierwszych. Nie mogła tego zrozumieć. Dag wypił kieliszek za jej zdrowie i musnęła wzrokiem jej krągłe ramiona, opromienione ślicznym uśmiechem usta i rozjaśnione oczy.

Oczy Adelajdy Barre! Niebieskawe białka, jak przeźroczysta porcelana, tajemnicze cienie długich rzęs, a spod tych cieni błyszczą gwiazdy z nieba.

Dag mrugał oczami jak oślepiiony słońcem. Nigdy nie wolno jej będzie opuścić Bjørndal.

Z daleka rozbrzmiały tony muzyki. Rozległy się oklaski, bo teraz miały się rozpocząć tańce. Dag wraz z falą ludzką przechodził przez pokoje; wyszli do hallu i stamtąd schodami na górę. Gestem i słowem odpowiadał na powitania osób, które znały Adelajdę. Gromadził się gwarny tłum ludzi, którzy go nic nie obchodzili. Wymieniano nazwiska, ale nie zapamiętał ani jednego. Muzyka ściągała wszystkich do wielkiej sali. Sala w Borgland była szeroko znana jako najwspanialsza w całej okolicy. Po jednej stronie znajdował się ogromnych rozmiarów kominek przyozdobiony olbrzymimi, kamiennymi figurami. Nad kominkiem wisiało lustro, po obu stronach lustra stały zbroje rycerskie, które, jak mówiono, nosili przodkowie von Gallów w bardzo dawnych, odległych czasach.

Mnogość luster i broni zalegała ściany; nie brakowało też tarcz herbowych; był tam własny herb von Gallów oraz herby rodów skoligaconych, zarówno duńskich, jak i niemieckich. Wisiały też portrety, jeden młodego pułkownika, jeden jego żony, tej „złej”; poza tym szereg innych, datujących się daleko wstecz.

Muzyka grała. Zabawa nabrała pełnego rozmachu. Adelajda i Dag zostali rozdzieleni przez tłum bawiących się. Kiedy Dag dojrzał ją po pewnym czasie, tańczyła z jakimś oficerem. Tak się spodziewał! Wprawdzie nie wierzył w to, aby on sam miał z nią tańczyć, jednak jakoś dziwnie go bolało, że tańczyła z innymi.

Z sali liczne drzwi prowadziły do mniejszych pokoi, w których starsi siedzieli przy kieliszkach. Młodzi także wpadali tutaj od czasu do czasu, aby wypić coś pomiędzy tańcami. Dag wyszukał sobie miejsce w jednym z ostatnich pokoi i otrzymał, tak jak i inni, szklanekę słodkiego ponczu. Ludzie, którzy nie mieli nikogo do towarzystwa, przepijali do niego. Poza tym niczego nie widział ani nie słyszał, prócz niewyraźnego szmeru muzyki, dochodzącego z sali.

Nieco później wieczorem zastawiono stoły w pokojach na dole. Dag poszedł wraz z innymi. Położył sobie dla pozorów coś na talerz, chociaż nie mógł niczego przełknąć. Przez cały czas Adelajda nie pokazywała się nigdzie w pobliżu. Prawdopodobnie miała miejsce w jednym z dalszych pokoi, podczas gdy on jako jeden z tych, którzy zeszli najpóźniej, otrzymał miejsce w pierwszym pokoju. Siedział pomiędzy ludźmi zaproszonymi tylko z uprzejmości lub ze względu na stosunki sąsiedzkie. Wkrótce też wstał od stołu i wrócił do przedpokoju na górze. Jak daleki szum słyszał głosy i kroki na schodach, gdy goście powracali na salę. Zagrały instrumenty i tańce rozpoczęły się od nowa.

Stał obrócony plecami do drzwi i nalewał sobie właśnie do kieliszka, gdy czyjaś ręka dotknęła jego ramienia. Odwrócił głowę i zobaczył przed sobą piękną twarz Elżbiety von Gall. Uśmiechnęła się do niego czarująco i odezwała się tymi samymi słowami, z jakimi kiedyś zwróciła się do jego brata:

– Zatańczy pan raz ze mną?

Ogarniał go taki nastrój, że było mu najzupełniej obojętne, co się dalej będzie działo. Myśli jego krążyły wciąż wokół tego samego przedmiotu i tak go zamęczały, że czuł się na pół ogłuszony. Teraz to już wszystko jedno, czy będzie tańczył, czy nie, albo z kim. Więc wszedł na salę z panną Elżbietą u boku.

Od owego ranka w kościele Elżbieta przeżyła wiele ciężkich dni. Nienawidziła teraz swej dawnej przyjaciółki z całego serca. Jakże się to stało, że Adelajda była w Björndal i że spędziła tam święta Bożego Narodzenia? Słyszała, że tam świętowano długo – niebezpiecznie długo, jeśli ten młody człowiek będzie miał Adelajdę dzień w dzień przed oczyma. Nigdy nie dopuści, by Adelajda Barre stała się panią na Björndal.

Co stanie się z tą zaporą na pół zapomnianych przesądów i tradycji, która odgradzała tych z północy od reszty świata, gdy już raz kobieta o reputacji i stanowisku Adelajdy zasiądzie tam jako pani na Björndal? Czyż nie usunie tej zapory swą inteligencją i taktem? Czy wobec jej rozległych stosunków wielkie domy nie otworzą przed nią szeroko swoich podwoi, jeśli tylko zechce prowadzić życie towarzyskie? Na pewno zechce, gdy bieda, z którą obecnie się boryka, zostanie na zawsze pogrzebana pod dostatkami i bogactwem Björndalów. Co wówczas stanie się z zaporą? Rozpadnie się w proch pod delikatnym dotknięciem ręki Adelajdy. Potęga i chwała dworu björndalskiego staną się głośnie daleko i szeroko, a może nawet zepchną w cień Borgland, jej Borgland. I to ma się stać za jej życia? Czy może miała to być kara za jej zarozumiałość i za... za wszystko zło, które czyniła na świecie?

Nie, nigdy! Ale jak temu zapobiec?

Wówczas to Elżbieta udała się do ojca z propozycją, aby ze względu na majora Barrego i Adelajdę zaprosił Björndalów wraz z gośćmi na bal świąteczny. Początkowo pułkownik wielce się tym zdumiał, ale potem zgodził się nader skwapliwie. Panna Elżbieta nie wiedziała jeszcze, co i jak ma zrobić, ale gdy nadejdzie pora, znajdzie się jakaś rada.

Oto był ten wieczór taneczny, ale wszystko ułożyło się jakoś inaczej, niż panna Elżbieta oczekiwała. Przede wszystkim ten niemal śmiertelny wstrząs, jakiego doznała wobec uderzającego podobieństwa Daga do jego brata. Był podobny do brata pod wieloma względami. Tylko że Dag wydawał się jej bardziej przystojny, miał postać olbrzyma, a przy tym był taki dojrzały i poważny, czego brakowało jego bratu. Chowając się przed jego wzrokiem, śledziła go wszędzie zapamiętała, aż w końcu złożyła go z obrazem jego brata, po którym nosi... w sobie ciężki ból. Nie była dzisiaj panią siebie. Zapomniała o ciężących na niej obowiązkach gospodarza. Ci, którzy się do niej zwracali, otrzymywali dziwne odpowiedzi. Przez cały wieczór myśli jej pracowały gorączkowo, obracając się wciąż dokoła tej samej osoby.

Widziała, że nie tańczy, ale jego brat również nie tańczył przez większą część owego wieczoru. Może nie chcieli, on i Adelajda, pokazywać się publicznie zbyt często razem? Na pewno byli w sobie oboje zakochani. To przeświadczenie dodało jej odwagi, której bardzo potrzebowała, gdyż sama chciała prosić go do tańca. Była przecież gospodarzem tego przyjęcia i miała prawo z nim zatańczyć; a później zobaczy...

Panna Adelajda ubrała się na ten bal bardzo starannie, aby być ową Adelajdą Barre na przyjęciu, ściągającą ku sobie wszystkie spojrzenia, tak jak w każdym wielkim domu, w którym bywała. A tym razem – dla jednej osoby – chciała jeszcze więcej zabłysnąć. Sprawdziła swój wygląd w lustrze garderoby damskiej i po raz pierwszy podczas tych świąt odczuła swą dawną moc, moc, której była pewna, ale którą z braku właściwego obiektu jeszcze się nigdy świadomie nie posługiwała. Gdy później zobaczyła Daga w hallu, również w galowym stroju, opuściła ją odwaga, jak zawsze wtedy, kiedy znalazła się u jego boku. Z jaką przyjemnością myślała o tym, że chociaż w ten jeden wieczór zawładnie jego spojrzeniami, a tymczasem on stał się przedmiotem jej spojrzeń i usidlił ją mocniej, aniżeli kiedykolwiek przedtem.

Pierwszy taniec wydawał się jej męką. Jakże daleka była od tańca i uśmiechów! A Dag – gdzie on się podziewał? Nie mogła go nigdzie dojrzeć. Ach nie, cóż dla niego znaczyły tańce? Raz po razie musiała wchodzić na salę, wszyscy starzy i nowi znajomi chcieli koniecznie z nią tańczyć. Gdy później Dag był ciągle jeszcze niewidoczny, serce jej przygniatał coraz większy ból. Ciepło w jego oczach? Wówczas ten jeden raz? To chyba było urojenie? Nie, była niczym dla niego.

Po kolacji, gdy tańce rozpoczęły się od nowa, Adelajdę ogarnął jakiś desperacki nastrój. Wśród całej tej wesołej wrzawy chodziła z czarną rozpacą w sercu. Dla niej ten wieczór był pożegnaniem, pożegnaniem radości, życia, wszystkiego – jej ostatni, jej nieodwołalnie ostatni bal! Już nigdy nie będzie stroić się z taką radością – dziś uczyniła to po raz ostatni. I właśnie dlatego oczy jej zabłyśły na nowo: jeśli to miało być jej pożegnaniem, dobrze, niech będzie, ale niech przyjmie je z uśmiechem na ustach. Niech nikt nie widzi, że chodzi z opuszczoną głową. I popłynęła dalej w taneczny rytm pośród uśmiechów i pełnych podziwu spojrzeń – królowa balu po raz ostatni.

Adelajda tańczyła, ale myśli jej błądziły gdzie indziej; bo dla niej nie było już radości. Naraz do uszu jej doszło echo jakiejś niezwyklej wrzawy, a razem z nim wróciła zdolność postrzegania. Czy zauważyły coś na sali...

Dag tańczył, a z nim Elżbieta z niebezpiecznym blaskiem w oczach.

Był jakby stworzony do tańca: lekki i swobodny, gibki w ruchach jak zwierzę. Myśli Adelajdy zapłonęły ogniem. To było z wszystkiego najokropniejsze – straciła nawet tę ostatnią, nikłą pociechę, że przynajmniej nie będzie tańczył z nikim innym.

Słyszała dookoła siebie szepty i widziała odwracające się głowy. To o nim szeptano, to on ściągał na siebie spojrzenia wszystkich.

Więc to na nią czekał, na tę, którą kochał, na Elżbietę... Jakże mogła być ślepa! Jak mogła nie pomyśleć o tym wcześniej?! Przecież przez całe życie mieszkali obok siebie jako sąsiedzi. Dlatego to Elżbieta powitała ją tak chłodno wówczas w kościele, sądząc, że ona staje jej na drodze.

Nastąpiła pauza pomiędzy tańcami. Podawano grzane wino, ciasto i inne specjały na wzmocnienie. Adelajdę odprowadzono na miejsce, kawalerowie podawali jej usłużnie wszystko, czego zapagnęła. Oparła się w krzesło; wypoczynek i wzmacniający trunki podziały jak tchnienie życia na jej udręczony umysł. Różne myśli i postanowienia przewijały się jej przez głowę. Pełna odwagi przybyła na Björndal, gotowa walczyć, stanąć przeciwko całemu światu, tylko nie przeciw niemu. Przy nim i pod jego okiem stałaby się dobrą i uległą kobietą. Przyrzekła sobie użyć wszelkiej broni. Tymczasem ten wieczór dobiegał już prawie końca, a ona nie uczyniła nic, absolutnie nic, aby zmienić bieg swego przeznaczenia.

Odezwały się dźwięki muzyki, zrazu pojedyncze tony i piski, aż rozbrzmiały znowu pełną falą. Adelajda tańczyła bez przerwy. Nie darowano jej ani jednego tańca. Musiała patrzeć, jak Dag obracał się od tańca do tańca z Elżbietą w swoich ramionach. Jak we mgle widziała ją uśmiechającą mu się prosto w twarz swoim najniebezpieczniejszym uśmiechem, widziała ją raz po razie, widziała, jak szepce mu grzeczne i pochlebne słowa, i widziała, jak Dag uśmiecha się do niej w odpowiedzi w całym rozbłysku swoich białych zębów.

Nastąpił taniec ze szpadami.

Wszyscy oficerowie – od starego pułkownika aż do najmłodszego porucznika – wyciągnęli szpady i uformowali się w dwa szeregi, stojąc parami naprzeciwko siebie i krzyżując nad sobą długie ostrza.

Światło z kandelabrow załamywało się z błyskiem na zimnej stali i odbijało się od Lśniących jedwabiem sukien pań, które sposobiły się do spektaklu.

Pierwsza – któraż miała być pierwsza z najpiękniejszych? Która królową balu? Wywoływano imiona, jedno, drugie, jeszcze jedno, wywołano także imię panny Elżbiety, ale coraz liczniejsze głosy, a potem wszystkie wołały: – Adelajda Barre!

Błada jak śnieg wystąpiła naprzód – kroczyła z dumą i godnością jako pierwsza pod sklepieniem szpad. Pierwsza na czele wszystkich – po raz ostatni.

Potem utworzono krąg i posuwając się w nim dokoła, śpiewano stare pieśni w wielkiej sali borglandzkiej.

Muzykanci odpoczywali przed ostatnim tańcem. Potem słychać było znowu brzdąkania i piski – to po raz ostatni strojono instrumenty.

Czoło Adelajdy było na przemian zimne i gorące. W głowie ciężko kłębiły się myśli. Porucznik u jej boku był podniecony trunkami. Szeptał jej te same gorące słówka, co i wszyscy przed nim. Już tyle razy tańczył dziś z królową balu, że czuł się pewny swego. Nie prosił już nawet o ostatni taniec – dzisiejszego wieczoru należała do niego...

W przedpokoju, w samym kącie, Dag Björndal siedział tak jak przedtem. Dzień dzisiejszy był najbardziej ponurym dniem w jego życiu. Ale rozgrzał się od tańca, a przy tym wypił więcej niż kiedykolwiek. Wzbierała w nim teraz odwaga. Tańczyła każdy taniec, nigdy z nim, zawsze obok niego. Jeden mężczyzna za drugim obejmował ją swym ramieniem i tańczył z nią. Powinien był wiedzieć, co go czekało. Ani razu nie zbliżyła się do niego. Tylko oficerowie – przez cały czas! Elżbieta von Gall była dla niego uprzejma, tak, mówiła nawet dziwne rzeczy. Co miał o tym sądzić?

Niech idzie sobie na Blocksberg¹² razem ze swoimi pięknymi słówkami! Precz z wszystkimi oficerami! Teraz on im pokaże, jak się tańczy!

– Ostatni taniec! – wołano ze wszystkich stron, w momencie gdy wchodził. Szybko jak drapieżne zwierzę wypatrzył swój łup i już długim krokiem przemierzał rozjarzoną salę.

¹² Blocksberg albo Brocken, najwyższy szczyt w górach Harzu (1142 m); według niemieckich podań ludowych – miejsce spotkania czarownic w czasie tzw. nocy Walpurgii.

Porucznik asystujący Adelajdzie poprawił sobie pas i zwrócił się do swojej damy. Westchnęła głęboko i cicho i wysunęła nogę, aby się podnieść. Zadźwięczały pierwsze tony muzyki. Naraz zabrzmiał czyjś stanowczy głos:

– Panno Barre! Drgnęła i obejrzała się.

– Czy mogę tańczyć z panią ten jeden raz, ten ostatni taniec? Był to Dag.

Adelajda nie wiedziała już nic o żadnym poruczniku. Jak w fantastycznym śnie powstała ze swego miejsca. Pierś jej podnosiła się i opadała drżącym oddechem i jakieś ciepłe, jasne oszołomienie ogarnęło całą jej istotę. Ostrożnie, jak gdyby była piórkiem, Dag ujął jej rękę, a równocześnie drugim ramieniem, krzepkim jak żelazo, delikatnie otoczył jej kibić.

Jak radosnymi tonami brzmiała muzyka, jak jasno i promiennie jarzyły się światła na ten ostatni taniec!

Bamsen biegł klusem dumny jak nigdy. Sanie ze śpiewem sunęły po śnieżnej drodze. Minęli już szeroką równinę, jechali przez las.

Oczy Adelajdy były szeroko otwarte. Świerki uciekały za nimi, gwiazdy na niebie płynęły wspólnie, a ona niby we śnie wciąż jeszcze tańczyła ten jedyny taniec – może swój ostatni na ziemi.

A potem wszystko zebrało się naraz: cała męka i ból, jaki przeżywała w ciągu wieczoru, wreszcie ten ostatni taniec na zakończenie. Gdy las przerzedził się na zakręcie drogi idącej wzdłuż kamiennego muru i zobaczyła światła w izbach dworu na Björndal – między innymi i w swojej – a sanie zjeżdżały szybko na dół, wtedy nastąpiło załamanie. Skuliła się i wcisnęła w szorstkie wilcze futra Daga, wybuchając rozpaczliwym płaczem.

Spokojnie, jak gdyby nic się nie stało, Dag przełożył lejce do lewej ręki – była dość silna – i prawym ramieniem przytulił ją do siebie. Spoglądał na nią z pewnym zdziwieniem, ale na takich sprawach się nie znał. Przyciągnął tylko mocniej derkę, którą była przykryta. Inny mężczyzna zapytałby może, co się jej stało. Ale Dag nie był taki. W tego rodzaju wypadkach nie należy zadawać pytań. Gdy sam miał jakieś zmartwienie, wtedy odczuwał to w sobie tak gwałtownie i tak głęboko, że żadne słowa nie mogłyby temu zaradzić. Więc po co pytać, gdy nie można oczekiwać odpowiedzi? Starał się po prostu być dla niej dobry, otulił ją ramieniem i derką, aby okazać, że pomaga jej tak, jak może najlepiej.

Sanie jechały dalej. Adelajda przestała płakać. Ale nadal tuliła się do niego, jak gdyby było jej zimno. Dumna panna Adelajda, która nigdy nie wylewała łez, nawet gdy świat potraktował ją brutalnie, w czasie tych świąt płakała po raz drugi.

Gdy przejeżdżali przez osiedle, oczy jej były jeszcze wilgotne, ale już nie od łez gorzkiego żalu, nie. Siedzieć z nim razem, tak blisko niego, to było jak bajka, gdy równocześnie sanie sunęły śpiewnie po drodze, a gwiazdy iskrzyły się ponad lasami.

Gdy kopyta Bamsena zadudniły na moście, skąd rozpoczynała się aleja wiodąca bezpośrednio do dworu, szybkim ruchem usiadła znowu prosto, wycisnąwszy najpierw lękliwy pocałunek na szorstkim futrze z wilków. O tym nie powinna wiedzieć żadna istota na świecie.

Poprzedniego razu, gdy jeden młody człowiek z Björndal udał się na tańce do Borgland, już nigdy nie powrócił. Może dlatego ojciec Dag czuł jeszcze w oświetlonym domu, nie chcąc się położyć, póki nie przekona się na własne oczy, że drugi młody człowiek wrócił bezpiecznie do domu. A może miał inne powody, może spodziewał się, że usłyszy jakieś nowiny?

Major i kapitan nie powinni nic przez to stracić, że nie pojechali na bal. W zamian za to panna Kruse urządziła im prawdziwie męską biesiadę. Mieli najbardziej wyszukane potrawy, wino, jak też wódkę i piwo. Potem przy kartach i mocnym trunku nie myśleli zupełnie o spaniu.

– Taki wieczór to rozumiem, to właśnie coś dla starego żołnierza – powiedział major.

Słyszeli, jak młodzi wracali, i wyszli im naprzeciw do sieni. Rozmawiano o balu i o znajomych, których Adelajda tam spotkała. Następnie pogaszono światła i we dworze zapanowała noc.

Ale tam na wielkim Borgland pewna dumna panna płakała słonymi, gorzkimi łzami.

Dni świąteczne zbliżały się ku końcowi. Mijał już dwudziesty dzień. Tego wieczoru przy kolacji major wzniosł kielich i wzruszonym głosem dziękował za wszystko dobre, za tak przyjemnie spędzone dni; ale teraz pora już wracać do domu.

Stary Dag odrzekł na to, jak to się w takich wypadkach zwykle odpowiada, że święta trwają dopóty, dopóki starczy jedzenia, i że nie widzi potrzeby takiego pośpiechu. Ale major był stanowczy – jutro muszą odjeżdżać.

Podano wino, gdyż miał to być wieczór pożegnalny, i nastąpiła wielka uczta. Trzej starzy żartowali i śmiali się, i pili. Dla młodych były to jednak ciężkie godziny.

Później wszyscy siedzieli przy kominku w starej komnacie. Oczy Adelajdy bacznie krążyły dokoła. Ale młody Dag siedział sztywno i bez słowa. W ciągu tych dni nie dał poznać po sobie ani razu, czy żywi wobec niej jakieś uczucia. Owszem, szanował ją, a nawet lubił na swój ciężki i poważny sposób. Ale miłość – to była pieśń, której nie znał. A może tu już była Elżbieta...? Tak, teraz kiedy Adelajda musi znowu wrócić do miasta, do szarych, smutnych dni, ci dwoje na pewno się spotkają.

Z bólu przymknęła oczy; z trudem powstrzymywała łzy. Musi dzielnie stawić czoło temu, co jej czas przyniesie, nie wolno jej się załamywać, nie wolno zdradzić się ze swym strapieniem. Musi pozostać dla innych tajemne i nieodgadnione, otoczone przez nią czcią świętości, a z nim razem wszystkie te radosne wspomnienia, które zabierze ze sobą. Tak więc spełni się jej przeznaczenie, tak samo jak wszystkich innych kobiet w jej rodzinie. Wobec świata dumnie zniesie swój ból.

Ponure ciemności otoczyły Daga. Spadły na niego ze słowami majora o odjeździe. Od tej chwili urywały się jego myśli, język był sparaliżowany, oczy patrzyły tępo przed siebie, nie widząc. Nigdy nie wolno jej stąd wyjeżdżać. Tak myślał aż do balu w Borgland, do chwili, gdy zobaczył, do jakiego to wspaniałego świata należy, z jaką dumą i godnością kroczyła na czele wszystkich w tańcu ze szpadami. Od tej chwili wiedział, że ona nigdy nie zostanie w Björndal. Mimo to pierwotna myśl nieustannie powracała i wola krzyczała niemal głośno, że Adelajda powinna, że musi zostać! Ale wciąż go dręczyła uporczywa wątpliwość. Bo i z jakiej racji miałyby zostać? Również i dzisiaj, gdy siedział tak przed kominkiem, myśli jego nie posunęły się ani o krok naprzód i najprawdopodobniej nigdy nie posuną się dalej.

Było u niego rzeczą niezwykłą, że na dobranoc podał rękę majorowi i Adelajdzie. Stał przed nią jak chłopiec, trzymając niezgrabnie rękę i zwiesiwszy głowę. Tej nocy dwoje ludzi nie zmrzyło oka. Adelajdzie myśli nie pozwalały zasnąć ani na chwilę, zaś Dag przesiedział całą noc przed kominkiem swojej bezokiennej izby. Nad ranem przebrał się w ubiór myśliwego, przypiął narty i puścił się szlakiem lasu. Gdy przed południem major i panna Adelajda odjeżdżali z Björndal, Dag nie wrócił jeszcze z lasu.

Zima mijąca w Björndal jak zwykle. Były ciche, słoneczne dni lub burze śnieżne i kłujące mrozem wiatry. Konie biegły do miasta i wracały. Przywoziły listy, papiery, dokumenty – dotyczące spraw pieniężnych i innych – jak zwykle. Raz sam stary Dag udał się do miasta, gdzie zatrzymał się na kilka dni; następnie jeździł po okolicznych parafiach i znowu udał się do miasta. Tym razem zatrzymał się w mieście dłużej czas.

Młody Dag rzadko przebywał w domu. Tkwił głęboko w lasach w pobliżu wysokich gór. Całe stopy skór wilczych, lisich, kunich i wszelkiego innego rodzaju dzikich stworzeń przywozili do dworu robotnicy, którzy zwozili drzewo z lasu. Dag im je przynosił – mówili. Sam przychodził bardzo rzadko, a jeśli się pokazywał, to zwykle krwawił od jakiejś rany, zadanej mu kłami wilczej paszczy lub spowodowanej upadkiem na stromych urwiskach skalnych. Tak nieustraszonemu myśliwym nie był nawet jego ojciec. Prawdopodobnie w tym silnym ciele coś szalało – jakieś wspomnienie, które pragnął zagłuszyć.

Teraz już nigdy nie jeździł do Utheim.

W Borgland nastąpiły ponure czasy. Panna Elżbieta miotała się wściekła i na ludzi, i na zwierzęta bardziej niż kiedykolwiek, a usta jej często tej zimy krwawiły. Godzinami siadywała przy oknie i spoglądała na las, który przesłaniał widok na północ. Za każdym razem, gdy na drodze pokazał się czarny koń, wypatrzyłaby bez mała swoje krótkowzroczne oczy, aby rozpoznać, kto jechał saniami.

Pułkownik także przeżywał niemiłe chwile. Chodził niespokojnie po pokojach i po drogach za dworem. Nieraz całymi nocami, aż do świtu w pokoju jego paliło się światło.

Pewnego dnia włożył na siebie futro podróżne. Chłopak stajenny oczekiwał go na dworze.

– Dokąd jedziesz? – spytała ostro Elżbieta.

– Na północ, kawałek stąd – odparł pułkownik oschle, acz spokojnie.

– Na północ? Do Björndal?

– Tak – odpowiedział pułkownik po prostu.

– Na miłość boską, czego ty tam szukasz? – Głos odmawiał jej ze strachu posłuszeństwa.

– Sądzę, że potrafisz to zgadnąć – odparł krótko.

– Nie, tego nie zgadnę. Chyba nie chcesz... nie...

– Możesz powiedzieć. Bo właśnie tego chcę. Spróbować, czy nie ma na świecie jeszcze jednego miejsca, gdzie by mi pożyczono parę talarów...

– Ależ, ojczu, tyś chyba postradał zmysły?

– O, to możliwe. Powinienem się raz nareszcie wyspać. Już od dawna nie mam należytego odpoczynku. Powiem tobie, panienko, dokładnie, jaka jest nasza obecna sytuacja. Ulrich von Wendt wypowiedział mi już dawno prawo wykupu głównej hipoteki, którą ma na Borgland. Stracił prawie cały swój majątek i pieniądze są mu bezwzględnie potrzebne, rozumiesz? Pisał do mnie list za listem, ostatni na miesiąc przed Bożym Narodzeniem. Pisał wtedy, że jeżeli w przeciągu tygodnia nie postaram się o pieniądze, będzie zmuszony sprzedać hipotekę, jakkolwiek szczerze nad tym ubolewa. Lada dzień mogą sobie tutaj wejść obcy ludzie i bezceremonialnie nas wyrzucić, i mnie, i ciebie.

Dumnej pannie Elżbiecie zdawało się, że ziemia usuwa się jej spod nóg i przygniata ją całym swoim ciężarem. To było nie do pojęcia! Błada i drżąca trzymała się kurczowo krawędzi stołu i patrzyła osłupiała po hallu, w którym stali. Widziała, że sprawy miały się źle, ale nigdy by nie przypuszczała, że może dojść do takiej sytuacji.

Pułkownik zapiął futro i zwrócił się ku drzwiom. Jak kot doskoczyła do niego.

– Nigdy, nigdy nie pojedziesz, rozumiesz?! – krzyczała.

– Głupstwa pleciesz – powiedział i odsunął ją od siebie.

– Umrę ze wstydu – dyszała natychmiast odbiorę sobie życie.

Cierpliwość pułkownika skończyła się. Rozejrzał się szybko dokoła.

Nie było nikogo, kto by ich mógł słyszeć.

– A więc tak, wstyd ci przed tymi na górze! W takim razie powinnaś była już dawno umrzeć ze wstydu. Chyba tak?

Jego stara, pomarszczona wiekiem twarz była blada, głos ostry i przenikliwy. Gniew długich lat, ba, całego życia, i męka długich, nieskończonych nocy wezbrały w nim nagle i znalazły sobie upust.

– Elżbieto, jesteś zupełnie taka sama, jak twoja matka. Nazywano ją złą, ty zdobyłaś sobie to samo miano. Czy przeżyłem przy was choć jeden radosny dzień? Nigdy. To was nie obchodziło. Gdy twoja matka przybyła tutaj, nazywała mnie zagrodnikiem, ponieważ mój dom nie był tak wspانياły jak dom jej ojca. Dopiero później, kiedy potrzebowała mojego podpisu do ratowania swojej rodziny od nędzy, pozwoliła mi łaskawie uważać się za pana. Wtedy to poniosłem pierwsze większe straty. Potem nastąpiły dalsze, a ty i twoja matka wydawałyście pieniądze pełnymi garściami. Było wam wszystkiego mało. Nie dość wam było tych ciągłych przyjęć i balów, a ja, głupiec, ulegałem wam we wszystkim. Nadeszły lata nieurodzaju, a z nimi ciężkie czasy. Ci, którzy winni mi są pieniądze, nie mogą zdobyć nawet talara, a inni, którzy ucztowali tutaj w owych latach obfitości, odwrócili się ode mnie; zresztą sami mają teraz dość własnych kłopotów. Łamałem sobie głowę dniami i nocami, ale niczego nie mogłem wymyślić. Jest jeszcze tylko jeden człowiek, do którego mogę się zwrócić – stary Björndal na północy. Tak, to ostatni człowiek, do którego bym się w ogóle zwracał, ale niestety, on jedyny ma jeszcze pieniądze na takie rzeczy. Zna nasz majątek, może nie będzie obawiał się lokować w nim kapitału w tych niepewnych czasach. Wprawdzie nie łudzę się wiele z uwagi na nasze dotychczasowe stosunki, lecz nie mam już innego wyjścia, muszę chociaż spróbować.

Panna Elżbieta zasłoniła twarz rękami i stała chwiejąc się jak trzcina. Żeby kara mogła być aż tak druzgocąca! Uprzymomniła sobie teraz wiele rzeczy i chyba tylko dzięki własnemu cierpieniu zrozumiała nareszcie, jak bardzo złość jej musiała zaciążyć na życiu innych.

Teraz Wszechmocny zrządził, że właśnie ten człowiek, który najbardziej ucierpiał z powodu jej niegodziwości, stał się jedynym człowiekiem na świecie, mogącym wyratować ją od hańbiącego poniżenia. Niby przez mgłę widziała, jak ojciec wyszedł i zamknął za sobą drzwi. W uszach miała szum wodospadu, czuła się bliska omdlenia. Ale duma była w niej tak zatwardziała i uparta, że zdołała jeszcze zawlec się do swojego pokoju i zamknąć za sobą drzwi, zanim upadła zemdlona. Nikt nie powinien widzieć jej słabości – było jej ostatnią myślą.

Jak zazwyczaj, i tym razem panna Kruse wyszła przed dom, aby powitać gościa. Znała pułkownika z widzenia; widywała go w kościele i w różnych innych okolicznościach. Jednakże od czasu balu świątecznego przestała się już dziwić temu, co ludzie robili. Wszystko mogło się zdarzyć, teraz nic nie było niemożliwe.

– Starszego pana nie ma w domu – powiedziała – wyszedł na przechadzkę, ale powinien lada chwila wrócić. Może pan pułkownik zechce tymczasem wejść do domu.

Zdjął w sieni futro i wysokie buty. Podszedł do kominka i usiadł. Panna Kruse postawiła światło na gzymsie i wyszła, by wrócić zaraz z napojem wzmacniającym, jak czyniła to zawsze, gdy przybywali goście. Wprawdzie pułkownik podziękował, wzbraniając się pić, ale gdy panna Kruse odeszła, wziął ostrożnie butelkę do ręki, nalał sobie nieco do szklanki i posmakował.

Następnie przechylił się na oparcie krzesła i rozejrzał się dookoła. Wybierając się tutaj, zamierzał wystąpić jako ten, kim był – jako człowiek światowy – i rozmawiać swobodnie i płynnie, aż dojdzie do spraw, które go tu sprowadziły. Liczył bardzo na wyszukany sposób mowy, jakiego użyje, bo przecież człowiek, do którego chciał się zwrócić, był mimo swojego bogactwa tylko niewykształconym chłopem. Ale gdy stare jego oczy przyzwyczyły się do półmroku i zaczęły przyjmować wrażenia, jakie narzucało otoczenie, ogarnął go niepokój. Przypatrzył się ogromnemu stołowi i krzesłom, a przede wszystkim drzwiom. Rzeźbione słupowe odrzwia i zawiasy z artystycznie giętymi okuciami pochodziły z innych, dawno minionych lat. Czas zatrzymał się tutaj chyba przed wiekami. Prastara duma i godność wyzierały ku niemu z zimnym spokojem, nie, spoglądały nań z góry.

Sztuczna pewność siebie powoli go opuszczała. Uczucie pogardy dla wszystkich na północy, w duchu której był wychowany, naraz straciło swą podstawę. To, co tutaj widział, nie mogło być kupione w mieście, z kramarskich, dorobkiewiczowskich pieniędzy. Nie, to było za stare, za dobre, za pewne. Solidna prawda wielkiego dzieła życia, pracy i umiejętności.

Tu nie można było wystąpić ze sztucznymi wyrażeniami i wytwornymi zwrotami. Opanował go jakiś nerwowy niepokój, nastrój ogarniający każdego, kto naraz natknie się na życie w jego najprostszej, nienaruszonej formie. Tutaj będzie zrozumiany tylko wtedy, gdy będzie przemawiał prostymi wyraźnymi słowami.

Takie myśli i refleksje chodziły mu po głowie, gdy na zewnątrz dały się słyszeć kroki i otworzyły się drzwi. Pułkownik podniósł się i wyciągnął rękę na powitanie. Ciężka ręka starego Daga spoczęła w jego dłoni. Razem z Dagiem przyszedł również kapitan Klinge. Znał pułkownika z dawniejszych lat, gdy w młodości bawił raz w gościnie w Borgland.

Pułkownik próbował uderzyć w żartobliwy ton. Skoro oni nie przyjechali do niego na bal, musi sam do nich przyjechać i przynieść swoje pozdrowienia. Stary Dag dopomógł mu, czyniąc uwagę, że było to uprzejmie pomyślane. Doprawdy przyjemnie jest w tych nudnych czasach, gdy przyjeżdżają goście.

– Pozwoliłem sobie skosztować coś niecoś, żeby się trochę rozgrzać – powiedział pułkownik, wskazując butelkę. – To naprawdę doskonały trunk.

– Tak – zgodził się Dag – ten koniak jest nie najgorszy. Była pora jedzenia i panna Kruse ukazała się meldując, że podano obiad. Pułkownik nie chciał słyszeć o jedzeniu, ale ostatecznie musiał sięść z innymi do stołu. Jest bardzo prawdopodobne, że nawet jego wydelikacjonemu podniebieniu odpowiadało to, co umiała podać panna Kruse. Wino i koniak rozproszyły jego ponury nastrój, tak że na chwilę nawet zapomniał o rozpaczliwej sprawie, która go tutaj przywiodła.

Po obiedzie kapitan przeprosił i poszedł do siebie, aby odpocząć. W ostatnim czasie jakoś niedomagał. Dag Björndal i pułkownik von Gall udali się do starej komnaty. Było to ich trzecie spotkanie.

Na kominku palił się ogień, a przez matowe szyby sączył się do wnętrza przyjemny półmrok. Pułkownik mówił najpierw o złych czasach i o ogólnej biedzie. Później o tym, że przez całe życie mieszkali w tej samej okolicy i że teraz się zestarli. Dag nie odzywał się ani słowem, pociągał tylko spokojnie fajkę, długą, glinianą, i pykał z niej od czasu do czasu.

Pułkownikowi drżały nieco ręce; przez pomarszczoną, sinoczerwoną twarz przebiegały drgawki. Lecz oczy zachowały zwykłe, władcze spojrzenie, na ustach trwał wyraz zdecydowania. Nie przychodził jako żebrak. Był jeszcze panem na Borgland.

Dag domyślał się, o co chodzi. Siedział prosto na krześle i przyglądał się z boku pułkownikowi. Na twarzy jego pojawił się częściowo ów wyraz skrzywienia, jaki nosił za życia Teresy. Jedno oko, to bliższe, było szeroko otwarte, drugie, to dalsze, było chytrze zmrużone.

Po długich, okrężnych wybiegach pułkownik nareszcie doszedł do jądra sprawy. Czasy są złe, tak złe, że nie można już dostać pożyczki nawet pod zastaw najbardziej pewnych papierów wartościowych. Pomyślał więc sobie, że może Dag, który przecież mieszka tak blisko i zna dobrze Borgland, zechciałby pożyczyć mu nieco pieniędzy pod zastaw majątku, aż miną najgorsze czasy.

Dag odparł, że nie ma w zapasie zbyt wielu talarów, w obecnych zaś czasach spieniężyć hipoteki czy inne udziały w majątku nieruchomym to rzecz po prostu niemożliwa. Najpierw jednak musi wiedzieć, o jaką sumę chodzi, to wtedy można by zobaczyć.

Pułkownik obawiał się, że usłyszy zupełnie inną odpowiedź, toteż robiło się mu na przemian zimno i gorąco z radości, gdy zobaczył, jak spokojnie Dag przyjął całą sprawę. Znaczyło to prawie tyle, co połowa obietnicy. Czy naprawdę było do pomyślenia, aby ten człowiek, siedzący tutaj w swej nisko sklepionej izbie, chciał i mógł pożyczyć mu w tych rozpaczliwie ciężkich czasach to, czego potrzebował? Nie, to przechodziłoby najśmielsze nadzieje. Zbyt wiele rozczarowań doznał w ostatnim roku. Może on tylko sobie z niego drwi? Przecież syn tego człowieka również był taki dziwny, gdy wówczas na balu starał się go nieco wysondować. Widocznie ci ludzie tutaj byli inni, nie tacy jak wszyscy. Inna natura i inny sposób rozumowania. A może jedynie przez ciekawość zapytywał o wysokość sumy? Ale teraz nie było już czasu na żadne wybiegi, musi podać konkretne cyfry. Pułkownik na pół obrócił się w stronę Daga i wymienił sumę. Była to wielka suma. Natychmiast też spojrzął na Daga, aby zobaczyć, jakie wywarła wrażenie.

Dag siedział bez ruchu. Nawet najlżejszym drgnięciem twarz jego nie zdradziła, jakie za nią kryją się myśli.

– Zobaczymy – powiedział tylko. Wstał i wyszedł z izby. Wielka i potężna postać.

Pułkownik patrzył za nim zdziwiony.

Dokąd on poszedł? Czyżby miał tak dużo gotowych talarów w tych czasach, kiedy inni już prawie od roku nie widzieli, jak wyglądają pieniądze? Jak nieprzenikniona była jego twarz, gdy wymienił sumę. Pułkownik miał już w swym życiu z wieloma ludźmi do czynienia, lecz ten człowiek był dla niego zagadką.

Stary Dag długo nie wracał. Był teraz w piwnicy i wyjmował z podłogi kamienie. Tutaj bowiem, głęboko w ziemi, w bezpiecznym od ognia miejscu, przechowywał żelazną szkatułkę, zawierającą dokumenty. Gdy wreszcie powrócił do starej komnaty, trzymał w ręku jakiś papier. Pułkownik sądził, że teraz będzie musiał coś podpisać, jednak nie chciało mu się wierzyć, aby cel jego wizyty miał się tak łatwo spełnić.

Dag usiadł spokojnie na swoim miejscu i rozłożył papier, po czym nie drgnąwszy nawet powiekami, podał go pułkownikowi.

– Może to tutaj pana tak niepokoi? – zapytał.

Ręka pułkownika drżała tak, że papier szeleścił w jego palcach. Twarz powlokła się purpurą. Oto ten człowiek siedzi sobie na Björndal i ma w swoim posiadaniu list zastawny, który Ulrich von Wendt otrzymał tytułem hipoteki na cały majątek Borgland. Znał dzień i datę wykupu, której niedotrzymanie pociągało za sobą przepadek mienia na rzecz posiadacza listu, i wiedział, że bogactwa Borgland były pustym frazesem. Pułkownik von Gall naraz jakby się bardziej zestarzał i skurczył. Ale umiał się opanować, a przy tym zahartowały go już nieszczęście i niepowodzenie. Wyprostował się powoli i pogładził ręką rzadkie włosy na głowie, jak gdyby chciał w ten sposób odegnać przykre myśli.

– Tak – odpowiedział z godnością – to jest ten papier. – Spojrzył na Daga. – Co pan zamierza z tym zrobić?

– O, to zupełnie to samo, co pieniądze – odparł Dag.

– Tak, wykupię go kiedyś na pewno – oświadczył pułkownik, ale głos dziwnie mu się przy tym załamywał.

Stary Dag pochylił głowę. Zdawało mu się, że znów jest człowiekiem chciwym łupu jak ryś. Opuścił głowę jak łoś samiec, który zniża rogi, aby zadać śmiertelny cios przeciwnikowi.

– Nie wykupi go pan, jak długo żyć będzie pana córka – powie dział Dag lodowatym tonem.

Pułkownik patrzył przedtem na niego, a teraz spojrzął znowu. Lepiej, żeby tego był nie zrobił, gdyż oczy Daga wpatrywały się w niego przenikliwie i paląco niby dwa niebieskie płomienie. Pułkownik czuł, że czytają w jego twarzy jak w książce. Zdradził się teraz z tym, że rozumiał, czego Dag domyślał się w stosunku do jego córki, i że on sam dobrze wiedział, iż główny udział w śmierci Torego obciążał Elżbietę. Skoro już raz ta myśl powstała w głowie Daga, ich dni w Borgland były policzone. Pułkownik czuł, jak czoło jego staje się śmiertelnie zimne, a jednocześnie jak strach kłuje go niby rozpalonymi szpilkami po całym ciele. Spuścił oczy i wpatrywał się tępy i martwym wzrokiem w podłogę.

Brwi Daga ściągnęły się groźnie. Skóra na twarzy naprężyła się aż wystąpiły kości, rysy przybrały wyraz nadający mu podobieństwo do jakiegoś pierwotnego przodka sprzed wielu setek lat. Była to twarz człowieka, który podniósł broń, aby zadać śmiertelny cios nieprzyjacielowi.

Już w zaproszeniu na bal świąteczny Dag dopatrzył się zapowiedzi takiej wizyty.

Wkrótce po świętach otrzymał od swojego adwokata wiadomość o liście zastawnym. Chodziło o bardzo wielką sumę; dotychczas nie odważył się jeszcze lokować tylu pieniędzy na jednym dokumencie gwarancyjnym. Ale adwokat, który występował w jego imieniu, uzyskał dokument za bardzo umiarkowaną kwotę. Dag zażądał bezwzględnie zapłaty swoich należności od Holdera i innych dłużników i zebrał potrzebną sumę. Sięgnął nawet do skrzyni z talarami, schowanej w piwnicy, żeby tylko osiąść ten dokument.

Owego dnia, kiedy z papierem w kieszeni jechał po szerokiej równinie, spoglądał też łaskawym okiem na kościół. Były tam stalle, które od niepamiętnych czasów należały do Borgland i które w oczach ludzkich stanowiły honorowy, szlachecki tron. Teraz stalle miały zmienić posiadacza. Okiem właściciela patrzył na Borgland, gdy przejeżdżał obok, a w pamięci zjawił mu się obraz pogardliwej twarzy pułkownika i złej, zarozumiałej twarzy tej panny. Niedługo odwiedzi tych dwoje i podziękuje im za to, co dostał ostatnio – myślał sobie.

Zajechawszy do domu, siadł nad dokumentem i studiował go długo i gruntownie. Oczywiście zatrzymywały się na dwóch wyrazach: Borgland i von Gall. Od najwcześniejszego dzieciństwa pamiętał je niemal jako wszechpotężne, ale teraz mógł je sobie położyć na stole, a na nich swą pięść, gdyż tu, na tym papierze były jak uwięzione. Myśli o zemście, które, zdawało mu się, już dawno od niego odeszły, powróciły teraz z naporem gwałtownej burzy. Zemsta za wszystkie krzywdy doznawane od niepamiętnych czasów, zemsta za syna, za Torego! Odplaci się von Gallom, zabierając im ziemię, a przez to wszystkim ludziom na szerokiej równinie, poplecznikom panów na Borgland. Chciwość, która w ostatnim czasie znacznie w nim złagodniała, odezwała się teraz ze wznowioną siłą. Gdy czasy się zmieniają, i w Borgland, tudzież w jego ogromnych posiadłościach nastaną – pod jego gospodarną ręką bardziej pomyślne lata, wtedy dochody zwrócą mu wielokrotnie to, co go dzisiaj kosztował ten list zastawny. Żądza władzy, którą rozwijał w sobie podświadomie w owych latach obfitości, dzisiaj miała swój dzień tryumfu. Jego władza nie miała już granic. Wyroki boskie i ostrzeżenia, nad którymi zastanawiał się tak głęboko w młodości, a do których ostatnio coraz częściej powracał w swoich myślach, zbladły teraz wobec szczęścia powodzenia, które zdawało się nie mieć granic. W duszy jego rodziły się i wzrastały upór i wyzwanie – jak gdyby ze świadomości doznanych krzywd. Jeżeli przez bogactwo zatracił inne wartości, jakie ono daje – aż do ciemnej śmierci! Wiele rozmyślał i układał, w jakich to słowach i frazesach adwokat lub kapitan Klinge mają za niego napisać do Borgland, aby podać do wiadomości jego wolę i jego żądanie. Tak, do tego stopnia przejął się formą tego listu, że ćwiczył się nawet w podpisywaniu się szczególnie wielkimi literami i zakrętasami. Uważał, że powinien dobrać podpis stosownie do ważności dokumentu.

Tymczasem pułkownik sam oto przybywał, zanim zdążył wysłać list. Jednakże Dag sądził, że pułkownik dowiedział się o losie dokumentu hipotecznego i przybywał tylko po to, by jak wielu innych, wyjednać sobie ładnymi słówkami jakąś łaskę. Dlatego też nastawił się do tego spotkania podobnie jak w innych tego rodzaju sytuacjach i przygotował gościowi chłodne przyjęcie i twarde słowa.

Pułkownik stracił resztki dumy i opanowania. Ciągła walka, udręka dni i nocy, znoszone od wielu lat, wyczerpały go do ostatka. Dotychczas zawsze się jakoś podnosił i walczył dalej, ale ten ostatni cios spadł na niego jak grom z jasnego nieba. Siedział teraz jak sparaliżowany.

Stary Dag trwał na swoim miejscu ciężki i ogromny. Rysy twarzy straciły nieco ze swego chytrego wyglądu, ale szerokie czoło błyszczało jak najtwardszy kamień, podczas gdy białe włosy sterczały z tyłu jak piana. Skóra na nosie tak się naciągnęła, że widać było wyraźnie ostre zarysy kości. Nozdrza drgały groźnie, usta mocno zaciskały się. Tępa broda wysunęła się do przodu, w oczach połyskiwała zimna stal. Teraz twarz jego miała orle rysy Ane Hamarrbö – rysy rodu.

W starej komnacie panowała śmiertelna cisza. Na kominku cicho paliło się zeszłoroczne brzozowe drzewo. Płomienie wzbijały się w górę, a w przewiewie kominka słychać je było zaledwie jak przytłumiony szmer oddechu.

Dag siedział nieporuszony jak głaz. Ale pod działaniem dalszych myśli zacięta jego twarz zaczęła się z wolna odprężyć. Uprzytomnił sobie, iż pułkownik przyjeżdżając tutaj, nie wiedział chyba o tym, kto obecnie był posiadaczem listu zastawnego. Nie, przyjechał ze swej wielkopańskiej siedziby w Borgland drogą na północ do Björndal po prostu po to, aby zaciągnąć pożyczkę. „Hm – Dag pomyślał zaraz – mimo wszystko mogłeś jednak wiedzieć, gdzie ten dokument się znajduje, i może myślałeś, że to będzie dobrze wyglądało, jeśli zjawisz się tutaj pod pozorem szczerości i zaufania”. Jego podejrzliwość nie znała granic.

Niemniej ściągnięte brwi zaczęły się powoli wygładzać, wyraz zaciętości na ustach stopniowo znikał. Zaproszenie na bal przyszło przecież dużo wcześniej, zanim Dag dowiedział się o istnieniu listu zastawnego. Więc już wtedy pułkownik zamierzał z nim pomówić i przygotowywał grunt do tej wizyty. A zatem powody, którymi tłumaczył swoją wizytę, nie były żadnym wymysłem. Przybyć z taką sprawą nie było dla pułkownika drobnostką. Państwo na Borgland reprezentowali najbardziej wielmożnych panów zarówno w jego świecie, jak też i w świecie jego przodków. A mimo to pułkownik przyjechał tutaj z własnej, nieprzymuszonej woli, aby szukać u niego pomocy przeciwko niebezpieczeństwu grożącemu z zewnątrz. Z pewnością więc był przekonany, że Dag jest na tyle zamożny, aby dysponować takimi sumami, a równocześnie na tyle wspańiałomyślny, aby nie odmawiać mu pomocy mimo wszystko, co przedtem zaszło między nimi.

Chciwość i żądza władzy są często tak sobie bliskie, że trudno je rozdzielić. A z wiekiem żądza władzy wzrasta. Było rzeczą zupełnie bezcelową prawić Dagowi pochlebstwa na temat jego wielkiej władzy. Był na to zbyt sceptyczny; nie zaślepiał się też czczą gadaniną. Ale tutaj zachodziły fakty, które wiązały się ściśle z jego poczuciem władzy. Wszyscy przychodzili do niego, i pułkownik między innymi, aby prosić go, jako możniejszego od siebie, o pomoc przeciwko grożącemu im z zewnątrz niebezpieczeństwu. Czyż nie była to satysfakcja dla całego rodu? Oczy jego błędziły bez celu po izbie, lecz naraz coś przyciągnęło jego wzrok. Był to tylko tkwiący w belce topór; myśli jego pobiegły zupełnie innym torem.

Bóg! Tak, obiecywał kiedyś, że Bogu pozostawi zemstę! Od tego czasu zaszło na świecie tyle wielkich spraw. Często o tym myślał. We Francji zabito króla i wielu innych ludzi, wyrzeczono się Boga i nazwano to wszystko rewolucją. Tu, w jego własnej ojczyźnie, w wielkich domach stało się modne nie mieć Boga. Prosty lud nie doszedł jeszcze do tego, lecz Dag nie mógł uchodzić za przeciętnego, prostego człowieka z ludu.

Dzięki swemu bogactwu zetknął się z różnymi ludźmi, wzrok zaś miał bystry i spostrzegawczy. To prawda, ludzie żyli bez Boga, ale gdy przychodzili do niego, by potargować się o niższe odsetki czy o odroczenie terminu płatności, mieli zawsze imię i słowo Boże na ustach – ci sami, którzy skądinąd drwili z Boga i świętości.

Taki stosunek ludzi do Boga nie wpłynął na Daga w tym stopniu, by stał się bezbożnikiem, niemniej jednak z biegiem lat wiara jego straciła na sile i żarliwości. Pan na niebiosach niebawem stał się dla niego tylko Bogiem od święta, którego lepiej nie mieszać do spraw i myśli dnia powszedniego. Tym sposobem mógł występować na co dzień jako bezwzględny człowiek pieniądza, równocześnie jednak jak gdyby sankcjonując to układem zawartym z Panem Bogiem. Bowiem w głębi duszy zachował ten sam atawistyczny szacunek dla Boga i dla tego wszystkiego, co jego ojciec i przodkowie mieli zawsze w czci i poważaniu.

Zbudziły się w nim teraz wspomnienia wielu zdarzeń, wspomnienia z owych przełomowych chwil: gdy wbił w belkę topór, snuł refleksje o karze boskiej i dźwigał ciężar posepnych, ponurych dni. Ale naraz znowu podniósł głowę, zmienił tok swoich myśli, po czym wpatrywał się hardo w ogień kominka. Z jednej strony widział, jak wszyscy, którzy przeciwstawiali się jego rodowi, muszą twardo za to płacić, widział, jak pomnaża się jego bogactwo i jak rośnie jego bezgraniczna niemal potęga. Z drugiej strony stawał mu przed oczyma wyszydzany Bóg i kilka przestarzałych tekstów z Biblii.

Zupełnie tak, jak gdyby działały się czary. Oczy jego jak zamagnetyzowane wpatrywały się w tkwiący pod pułapem topór. Jego grzbiet, wąski i poczerwiał, wystawał z belki. Przez z górą trzydzieści lat wilgoć sączyła się po ostrzu i spływała w dół po rozszczepionym słupie dębowym długą, wąską strugą zebranej rdzy i sadzy, pozostawiając ślad jak gdyby starej, wżartej w drzewo krwi. Przypomnił sobie ten dzień, kiedy wziął topór do ręki i wypróbował na nim swoje siły, przypomnił sobie, jak rozprawiał wtedy z Bogiem, wierząc niezachwianie w Jego wszechmoc. Teraz, w tej najtwardszej walce swego życia miał uczucie, jak gdyby znowu został postawiony przed oblicze Boga; zdawało mu się, że mają do załatwienia pomiędzy sobą jakieś stare porachunki – zaraz, w tej chwili. Dag zamknął oczy i zastanowił się nad samym sobą, nad tym, co czynił przez wszystkie te minione lata. Śmierć brata była dla niego ciężką karą, tak, ale wtedy On przyjął zemstę na sobie. Jeszcze raz próbował wsączyć trochę wątpliwości w swoją wiarę w Boga, usiłował zatrzeć ją szyderstwem i niewiarą, z jaką się stale spotykał, ale nadaremnie.

Był tak pochłonięty tym rozpamiętywaniem, że zdziwił się niemal, gdy naraz zobaczył przed sobą pułkownika i list zastawny, leżący na stole. Pułkownik jeszcze jest tutaj? Zdawało mu się, że lata minęły od czasu, gdy widział go na tym miejscu. Ale czy miał teraz przed sobą tego samego człowieka? Dotychczas Dag patrzył na niego wyłącznie wzrokiem nienawiści i dlatego dopatrywał się w nim tylko pychy i zarozumiałości. Zmiażdżyłby go z największą lubością. Teraz patrzył na niego innymi oczami i widział go takim, jakim był: złamanego, z postarzałą, śmiertelnie zrozpaczoną twarzą.

W ostatnim czasie Dag wychodził często do lasu i innych zakątków – do tajemnej i cichej krainy, w której świat zaczął mu się znowu wydawać taki, jakim go widział w dawnych, dobrych latach. W tym świecie Borgland również miało swoje miejsce.

Owe różne myśli, które nurtowały go od niedawnego czasu, wydawały mu się teraz niepojęte. Czy naprawdę poważnie o tym myślał? Zagarnąć Borgland dla siebie i wypędzić stamtąd wszelkie życie? Czy dążył do tego, by ogołocić z blasku swój własny świat i świat swoich przodków? Czy zamierzał stanąć przed obliczem Pana jako uzurpator czyjegoś miejsca w kościele?

Dag przyjrzał się dokładnie pułkownikowi i przypomniał sobie jedno słowo, wyrzeczone przez Dorotę, jedno z najpotężniejszych słów na świecie: miłosierdzie. Dotychczas nie rozumiał tego słowa; dopiero teraz pojął w pełni jego znaczenie. Uczuł się nagle tak bliski Doroty, jak gdyby słowo to było wyłącznie jej własnością. Odczuwał prawdziwą, serdeczną radość, bo wiedział, że teraz zbliżył się do niej bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Mógł uważać, że dokument został kupiony właśnie za jej pieniądze; niech zatem dzieje się jej wola.

Ale naraz coś dziwnego przyszło mu do głowy. Teresa napomknęła mu kiedyś, że kapitan Klinge dokładnie opowiedział, iż pewien oficer, pochodzący z Borgland, zламаł życie Doroty. Na twarzy jego pojawił się znowu wyraz zaciętości i znowu myśli jego opanowała logika zemsty; taki człowiek, jak Dorota, nie może leżeć w grobie nie pomszczony...

Gdyby w belce starej komnaty nie tkwił topór, dziwna rzecz, ale mogłoby dojść do tego, że Dag – w szczytowym momencie swej odmiany wewnętrznej i mimo najlepszych intencji – prawdopodobnie uległby odwiecznemu, niemal niezwalczonemu instynktowi, który żądał zemsty krwi. Pamięć Doroty była mu prawie tak samo droga jak wspomnienie ojca. Był tak intensywnie zaabsorbowany tymi myślami, że tylko przypadkowo wzrok jego padł na topór, i to mu przypomniało, że zemsta należy do Boga. Opuścił głowę i zamyślił się.

Również i tym razem twarz jego wygładziła się, twarde rysy pokryły się jak gdyby cieniem łagodnego smutku. Podniósł głowę i przypatrywał się skurczonej postaci pułkownika. Bóg wymierzał karę pewnie i gruntownie – można Mu było powierzyć zemstę. Oto sprawił teraz, że talary wzgardzonej Doroty miały uratować od zguby siedzibę pańskiego rodu, który kiedyś uważał ją za osobę niegodną ich dostojności. A czy łaskawy chleb, na którym teraz będą żyli, nie będzie miał specjalnego posmaku dla tej złej Elżbiety, skoro otrzymywać go będzie z ręki człowieka, którego syna przyprowadziła o śmierć?

Twarz Daga nie pałała radością tryumfu, była dziwnie smutna. Słowa Boże, nakazujące płacić dobrem za zło – bo tak w końcu postąpi w sprawie Borgland – dominowały w jego umyśle. Myśli jego szły dalej tym torem, aż trafiły na przykazanie, że należy kochać swoich wrogów. Dotychczas było to dla niego najbardziej niepojęte przykazanie Boże – a jednak czyż nie odczuwał w tej chwili litości dla swego najzawziętszego wroga? Czyż go prawie nie miłował?

Niech inni myślą sobie o Bogu, co im się podoba; nikt i nic nie zachwieje jego wiary. Należy zaufać słowom, które tak cudownie działają w życiu; należy ich też przestrzegać.

Krzesło Daga głośno zatrzeszczało, kiedy się obrócił. Nagły hałas po długiej ciszy poderwał pułkownika jak uderzenie w policzek. Drgnął i utkwiał przerażony wzrok w twarzy Daga. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się widzieć tak krańcowej zmiany w czyjejsz twarzy. Niedawno przecież Dag rzucił mu spojrzenie przypominające aż nadto wyraźnie inne, jakie widział w walkach na śmierć i życie podczas kampanii wojennych. A teraz oto darzył go życzliwym spojrzeniem przyjaciela.

Dag przemówił, a słowa jego znaczyły, że pułkownik może całe życie przesiedzieć spokojnie w Borgland. Ten nagły zwrot był dla pułkownika wprost niepojęty. Zaniemówił. Przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa. Wreszcie złożył dokument i podsunął go Dagowi.

– Nie wiem, czy dobrze pana zrozumiałem – odezwał się – ale jeżeli chciał pan powiedzieć, że zatrzymuje list zastawny i żąda tylko procentów od hipoteki, winienem panu ogromną i głęboką wdzięczność, głębszą, niż mógłbym to wyrazić słowami.

– Z tymi procentami również się tak bardzo nie spieszy – zauważył stary Dag.

Pułkownik wyszedł pierwszy. W sieni Dag zaproponował, by siedli i czegoś się napili, ale pułkownik uważał, że i tak już za dużo od niego przyjął, i nie chciał się dłużej zatrzymywać. Wychodząc, chwycił rękę Daga i dziękował mu jeszcze raz. Jednak nie mógł mu spojrzeć w oczy.

Dobro za zło niełatwo przyjmować...

29

Noc nad lasami Björndal, noc szarzejąca u świtu dnia, a pośród jej ciszy tysiące nasłuchujących zwierząt, przemykających na pastwiska lub skradających się ku upatrzonej zdobyczy. Szara noc nad lasami i nad starym dworem...

Na kominku paliły się jasnym płomieniem gałęzie sosnowe, paliły się przez całą noc. Przy stole siedziały dwie osoby i piły. Panna Kruse wciąż donosiła ponczu, przekąsek i piwa. Musiała spełniać swoje obowiązki, jak długo jeszcze ktoś przesiadywał – taka była służba każdej gospodyni w owych czasach. Ale coś takiego jak dziś jeszcze się nigdy przedtem nie zdarzyło. Stary Dag siedział z kapitanem w noc po wizycie pułkownika.

Kapitan Klinge nie miał szczęścia w życiu.

Nie potrafił nigdy odmówić kieliszka i to doprowadziło go do zguby – twierdzili ci, którym się zdawało, że wiedzą. Ale rzadko się zdarza, aby jedno tylko nieszczęście mogło złamać człowieka. Prawdopodobnie więc spotkały go jeszcze inne niepowodzenia.

W młodości podchodził do ludzi z gorącym uczuciem przyjaźni, ale w zamian – podle go oszukano, pozbawiono go podstępnie i pieniędzy, i ukochanej. To przyjaciele, których wspomagał, tak mu się przysłużyli. Toteż stracił wiarę w ludzi i szukał pocieszenia w kieliszku. Tak twierdził major Barre.

Później otrzymał dymisję; tego rodzaju sprawy pozostawiają po sobie trwale ślady. Był zupełnie załamany. Gdy Dag zabrał go ze sobą do Björndal, od lat nie miał kontaktu z życiem i należałoby przypuszczać, że obecnie miał wszelkie powody po temu, aby czuć się zadowolonym, bo przecież znowu był użytecznym człowiekiem. Ale ludzie rzadko bywają zadowoleni. Klinge pochodził ze starej oficerskiej rodziny, która już niejednego dobrego żołnierza dostarczyła armii królewskiej. Mając dobrą głowę i taką rodzinę za sobą, na pewno kiedyś żywił lepsze nadzieje. Wątpliwy to zaszczyt dla niego być pisarzem w jakimś zagubionym dworze.

Po dymisji szukał ucieczki w rozmyślaniach, aby przeżyć jakoś te szare dni, które nastąpiły. Stał się filozofem na swój mały sposób – zgorzkniałym, analizującym wszystko myślicielem. Najwięcej zastanawiał się nad biedą, swoją i cudzą. Od momentu zamieszkania w Björndal przychodziły mu do głowy różne myśli, kiedy to sporządzał bezwzględne pisma do dłużników i wpisywał ogromne sumy do ksiąg.

Wszystko na świecie przychodzi tak, jak być powinno; niektórzy nazywają to wolą Bożą.

Gdy po zdarzeniach tego dnia Dag odczuł potrzebę porozmawiania z kimś, nie miał innego wyboru – mógł rozmawiać tylko z kapitanem. A może rzeczywiście chciał właśnie rozmawiać z kapitanem? Być może, bystre jego oko spostrzegło, że Klinge nie zawsze szczerze przytakiwał poczynaniom swego dobroczyńcy. Kapitan zdziwił się niemało, gdy Dag poprosił go o pozostanie z nim dzisiejszego wieczoru na dole. A kiedy panna Kruse otrzymała polecenie przygotowania dzbana ponczu, był naprawdę przestraszony, bo wykraczało to wyraźnie poza zwykły porządek rzeczy. Przypomniawszy sobie, jak skromnie pułkownik zajeżdżał do dworu i jaki był później złamany, gdy wyjeżdżał. Musiały się rozegrać jakieś doniosłe sprawy i widocznie Dag chciał, żeby zaprotokołować je w księgach jeszcze tego samego wieczoru.

Godziny upływały na rozmowie o pogodzie i o wietrze i napoczęli już trzeci dzban, gdy wreszcie Dag skierował rozmowę na inne tory. Klinge wzniósł oczy, kiedy Dag zaczął mówić o Bogu i o obowiązkach, które życie nakłada na człowieka, tak jak gdyby chciał otworzyć dyskusję na ten temat.

Klinge odpowiadał wymijająco. Nigdy nie odważyłby się głosić opinii, sprzecznych z poglądami człowieka, którego chleb jadł, a który w tej chwili umiłał mu wieczór zimowy hojnie szafowanym trunkiem. Zawsze pojednawczo usposobiony, nie miał zamiaru ryzykować i psuć dobrego nastroju wieczoru przez przeciwianie się swemu chlebobdawcy.

Ale dzisiaj Dagowi najwyraźniej zależało na tym, by usłyszeć jego prawdziwe zdanie, gdyż zapytał go wprost, jakie mogły być zamiary Boga, jeśli kazał im żyć na tym świecie. Kapitanowi przyszło na myśl stare dowodzenie, że najwięksi grzesznicy idą na starość do klasztoru, i sądził początkowo, że właśnie starość i sumienie dokuczają teraz Dagowi. Uprzytomnił sobie jednak, że Dag był przecież jeszcze pełen sił życiowych, zaniechał więc zaraz tej myśli. Dag zawsze był człowiekiem poważnym, życie widział z jego złej i dobrej strony. Obecnej, szczegółowej dyspozycji nie można więc było przypisywać starczej obsesji.

Nie czekając na odpowiedź, Dag mówił dalej, że częstokroć się nad tym zastanawiał, ale wiele spraw nasuwało mu tyle wątpliwości i tyle jest rzeczy na świecie dlań niezrozumiałych, że trudno było znaleźć podstawę, na której można by się oprzeć.

Klinge miał w swym życiu dużo czasu do rozmyślań i już tysiącrotnie zastanawiał się nad tym samym problemem. Nie doszedł do żadnego konkretnego wniosku, tak jak większość ludzi, ale posiadał niezwykłą umiejętność uchylania się od tego rodzaju trudności. Dlatego odpowiedział, że może w sprawach dotyczących Boga człowiek nie potrzebuje czuć się taki pewny. Być może zadaniem człowieka na ziemi jest przebijać się cierpliwie przez wszystkie niezrozumiałe sprawy i nigdy nie zwątpić. W taki sposób każdy osiąga stopień dojrzałości odpowiadający jego siłom i zdolnościom, a osiągnięta dojrzałość jest rezultatem życia każdego człowieka. Jeden zachodzi daleko, drugi nie, ale istotą rzeczy jest to, czy każdy zrobił w tym względzie wszystko, co było w jego mocy. Człowiek stworzony jest na podobieństwo Boga, ma więc pozostawioną sobie pewną swobodę, aby mógł kształtować siebie wedle własnego wyboru. Może dlatego nie mamy wytkniętej drogi. Tak, Bóg z pewnością urządzał świat z jakimś planem i celem.

Tak to stary Klinge siedział i wypowiadał myśli, którymi się jeszcze nigdy z nikim przedtem nie podzielił. A byli dopiero przy trzecim dzbanie.

Dag zastanawiał się dłuży czas nad tym, co usłyszał. Owszem, odpowiedziom kapitana nie brakowało pomysłowości. Jednak, o ile był to pogląd, którego można było się trzymać w braku lepszego, jemu samemu nie wystarczał. On potrzebował czegoś bardziej konkretnego, czegoś pewnego i niewzruszonego, tak aby w końcu mógł dojść do jakiegoś wyraźnego wniosku. Tego wymagał jego zdecydowany charakter.

Wprawdzie – czuł to – nie grzeszył przeciw prawu i przykazaniom, ale dla rozwiązania trudniejszych, niejasnych problemów potrzebował oparcia. Szukał go też po omacku w tej spokojnej wymianie zdań z kapitanem. A noc upływała, godzina za godziną. Jedli niewiele, za to obaj bardzo dużo pili; dokładali do ognia na kominku i zapomnieli o czasie.

Klinge zorientował się, że Dag niebawem wyczerpie swój zasób słów i frazesów, którymi omijał to, co go najbardziej dręczyło; coś, czego ani jeden, ani drugi nie potrafiliby sprecyzować, czego jednak nie będzie można pominąć w ciągu tej nocy: odpowiedzialność z tytułu posiadanych bogactw. Mówili obaj z długimi przerwami, okrążając sedno sprawy, gdy tymczasem las, osiedle i dwór wracały stopniowo do życia w odgłosie wolno szumiącego wiatru, który zwiastował nowy dzień. Wtedy Dag odwrócił głowę od kominka, spojrzął mocnym wzrokiem na kapitana i powiedział dziwnie cichym głosem:

– Jakie są obowiązki człowieka w sprawach pieniężnych? Czy ma postępować według normy i litery prawa, czy też... według jakiejś innej racji?

Klinge nie miał tych sił, co kiedyś, a poza tym w zimowej porze był mniej wytrzymały. Stąd też mocny trunek, wypijany bez miary w ciągu tej długiej nocy, podziałał na niego tak, że już się z niczym nie liczył. Był zupełnie oszołomiony – a może wydawało mu się, że Dag chciał usłyszeć jego prawdziwe, szczerze poglądy? Przez tyle lat jako biedak musiał nosić na ustach poglądy innych ludzi. To przygięło mu kark i zastraszyło oczy. Ale teraz powoli podniósł głowę wysoko, dumnie i omijając wzrok Daga, patrzył w ogień. Dag zapytywał teraz o coś, co kapitan znał lepiej niż cokolwiek innego w życiu, o coś, co przemyślał gruntownie i wszechstronnie.

Głos jego brzmiał teraz echem owych czasów, kiedy był jeszcze kapitanem wojsk królewskich:

Wiele biedy i zmartwień na świecie dałoby się załagodzić, gdyby ci, którzy posiadają władzę pieniądza, domieszali trochę litości do swoich norm i praw.

Obaj zamilkli. Po dłuższym czasie Dag odezwał się znowu tym samym cichym tonem, co poprzednio:

– Jak dziwnie się to słyszy, gdy ktoś szczerze mówi to, co myśli. Klinge zmarszczył czoło. Na twarzy malowała się duma i wzniosłość.

– Tym, którzy cierpią biedę, nie tak łatwo mówić szczerze – odparł. Głos był zgorzkniały. – Za pieniądze można kupić wszystko: ludzi, duszę, tak, nawet starego kapitana, ale nie można kupić za nie szczerych i uczciwych słów. Szczerość ucieka przed pieniędzmi.

Z kolei Dag był poruszony. Podniósł głowę i patrzył na kapitana.

– Więc nie podobało się panu tutaj? – zapytał.

– Owszem – odpowiedział kapitan ustępliwie – bardziej beztroskich dni nie mógłbym sobie życzyć; ale skoro już pan o to pyta, nie mogę powiedzieć, aby mi się wszystko podobało. Hm, obawiam się, że teraz byłem za szczerzy i rano będę tego żałował.

– Nie będzie pan tego żałował – przerwał mu szybko Dag. – Proszę mi tylko powiedzieć, co się panu nie podoba. Czy uważa pan, że jestem za... surowy?

– Hm, pieniądze są czymś realnym. Moje myśli idą innymi drogami i nie nadają się tutaj.

– Sam o tym zadecyduję, czy się nadają, czy nie. Chcę słyszeć pańskie zdanie.

– Więc dobrze. Jeśli pan chce słyszeć prawdę, powiem, że niejednokrotnie postępował pan z ludźmi okrutnie twardo.

– Ależ czyż nie jest obowiązkiem człowieka bronić swego mienia ustawą i prawem? Czy uważa pan, że powinienem roztrwonić swój majątek i oddać go jakimś utracjuszom?

Klinge zastanawiał się. Dag zawsze osadzał drugiego argumentem gołej rzeczywistości, tak że człowiek żyjący w świecie oderwanym niełatwo mógł mu sprostać; Klinge musiał stwierdzić, jak tylu innych, że o wiele łatwiej jest powiedzieć, jak być nie powinno, niż jak powinno być. Ale przecież dawniej tyle o tych sprawach rozmyślał, że gdyby tylko mógł teraz sprecyzować wnioski, do których doszedł, to...

Głośno myślał dalej:

– Nie. Gdy daje się coś ludziom bezwartościowym, po pi wyrzuca się pieniądze. Innym zaś pieniądz zbyt łatwo zdobyty może przewrócić w głowie. Należy kierować się rozsądkiem: dopomagać tam, gdzie ma się podstawy do przypuszczenia, że pomoc zrobi wiele dobrego. Trzeba być względnym, wyrozumiałym...

Dag oparł głowę o ścianę i początkowo przyglądał się mu z uwagą, ale w miarę jak Klinge wypowiadał swoje myśli, twarz jego twardniała wyrazem chłodu niemal szyderczego.

– Człowiek musiałby mieć rozum samego Boga, aby robić wszystko, jak należy – powiedział, a w głosie jego brzmiała drwiąca nuta.

Twarz kapitana zdradzała, jak bardzo go to zmieszało. Nie, to są zbyt skomplikowane problemy, aby można było tak łatwo sobie z nimi poradzić.

Prawdopodobnie na skutek działania alkoholu Klinge miał odwagę dalej wygłaszać swoje obserwacje. Zastanowił się przez chwilę, aby uporządkować trochę myśli, po czym zaczął je wypowiadać głośno, tak jak mu się nasuwały na język. Widocznie jednak nie miał do nich zaufania, gdyż wypowiadał je niepewnie, z wahaniem.

– O, tak, trzeba by mieć rozum boski... Ale należy jak najpełniej posługiwać się swoim własnym. Kto zaś posiada zdolności i rozum i zna ludzi, tak że może dorobić się bogactw, umiejętnie nimi gospodarować i stale je pomnażać, taki człowiek powinien wykorzystać te same... te same zdolności, aby dysponować nimi na rzecz bliźnich... Pomagać takim, którzy dobrze spożytkują otrzymane wsparcie... Postępować z umiarem i wyrozumiałością wedle najlepszych chęci i możliwości. Czasami zdarza się, że pomoc idzie na marne, ale na to nie ma rady... Należy okazać jak najlepsze chęci... Niech każdy czyni to, co w jego mocy. Tak, jeśli do gromadzenia pieniędzy potrzebne są pewne zdolności, to tych samych zdolności potrzeba, aby je z kolei mądrze roz... rozdzielić... Być surowym w wypadkach, gdzie to wydaje się słuszne, a łagodnym, kiedy się uważa, że tak będzie najlepiej. Okazać dobrą wolę... nie tłumaczyć się trudnościami...

Kapitan wiercił się i gestykułował, zachowywał się jak człowiek, który sobie dobrze podpił. No tak, nie można powiedzieć, aby stary Klinge był zupełnie trzeźwy.

Dag, czujny na każde słowo, słuchał kapitana z dziwnym, prawie bolesnym uśmiechem. Kiedy kapitan skończył, siedział nieporuszony z tym samym wyrazem smutku na twarzy. Myślał o pewnym słowie, które wciąż chodziło mu po głowie i którym się kierował w czasie rozmowy z pułkownikiem. Ale zbyt uroczyste i ważne to było słowo, aby je głośno wobec kogoś wypowiadać, nawet w takim niezwykłym momencie. Znalazł zamiast tego inne dogodniejsze słowo. Powiedział: – Mówi pan jak z Biblii, Klinge. Chciał pan po prostu powiedzieć, że należy mieć litość dla drugich.

Zanim udali się na spoczynek, kapitan dowiedział się jeszcze, co zaszło między Dagiem a pułkownikiem. Na podstawie tego faktu, jak też odbytej właśnie rozmowy kapitan stworzył sobie zupełnie inne wyobrażenie o Dagu. Tak, wstydził się nawet w tej chwili własnej próżności, boć przecie lubił nieraz zaimponować komuś wyższością swoich poglądów. Tymczasem Dag pośród dóbr doczesnych ciągle myślał i rozważał nad głębszymi sprawami, dążył do poprawy, choć jeszcze nie umiał sobie jasno sprecyzować celu. Wcielał swe plany w życie kosztem własnych interesów. Chociażby sprawa z pułkownikiem... Przecież wobec niego miał prawo postąpić bez skrupułów, były po temu dostateczne powody.

Dag również patrzył teraz z większym szacunkiem na kapitana. Od każdego można się było czegoś nauczyć, w każdym człowieku można odkryć wiele rzeczy, których się w życiu codziennym prawie nie dostrzega.

W izbie sypialnej Dag ułożył się wygodnie na swym szerokim łożu. Wbrew swoim zwyczajom zaciągnął zasłony u łóżka, żeby nie przeszkadzało mu światło bliskiego poranka. Było to bardzo, bardzo dawno temu, kiedy kładł się na spoczynek z uczuciem takiego zadowolenia jak dzisiaj, po tym długim dniu. Rozmowa z pułkownikiem kosztowała go bardzo dużo wysiłku, ale niczego nie żałował. Uczynił krok we właściwym kierunku.

Świtało. Poranny wiatr niósł poszumy lasów ponad starym dworem, na podwórzu ludzie zaczęli się krzątać i przygotowywać do nowego dnia. W izbie sypialnej spoczywał władca tych szumiących lasów i pan tych krzątających się ludzi, zapatrzony w ciemny cień zasłon i starający się powiązać ze sobą w logiczną całość kilka słów, aby otrzymać jasne i proste sformułowanie swojej nowej zasady życiowej. Ale ująć to wszystko, co powiedział kapitan Klinge, jednym zdaniem – nie było takie łatwe, jak mu się zdawało.

Wreszcie znalazł to, czego szukał. Przypomniały mu się pewne słowa kapitana: tym, którzy cierpią biedę, niełatwo mówić prawdę.

Zastanawiał się już nad tym dawniej, ale całkiem jasno zrozumiał wszystko dopiero na żywym przykładzie kapitana. Dla Daga zaś, który nie mógł sobie absolutnie wyobrazić, aby miał się wypowiadać wobec kogoś nieszczerze i z bojaźnią, przykład ten stanowił ilustrację strasznego ciężaru, jaki bieda nakłada na człowieka. Bieda bowiem pozbawia człowieka swobody nie tylko w życiu doczesnym, ale i w innych jeszcze ważniejszych sprawach. Dag myślał o tych wszystkich zadłużonych, pozbawionych wolności ludziach, z którymi stykał się w interesach i dla których był tak surowy, gdy próbowali się wyklamywać. Odtąd postanowił obchodzić się z nimi łagodniej. Pośród tych myśli uprzytomnił sobie pierwsze przykazanie swego ojca: „Należy się starać o to, aby być niezależnym” – przestrzegał go ojciec, który dążył do tego celu przez całe życie. Być niezależnym, znaczyło być wolnym nie tylko od samych długów. Teraz wiedział. Stosownie więc do poglądów ojca obowiązkiem męskim było stać się człowiekiem wolnym. Sam popełnił błędy pod tym względem: stał się niewolnikiem pieniądza i trzymał na sobie to jarzmo w ciągu najlepszych swoich lat. Miał możliwość okazywania życzliwości, możliwość uprzyjemniania bytu tym dobrym ludziom, których Bóg wprowadził do jego domu, ale tego wszystkiego zaniedbał. Dlatego to został skazany na samotność; a przecież przykro jest żyć samotnie.

Praca dzienna była już w pełnym biegu, gdy Dag nareszcie zasnął. Ale postanowił sobie jako swój obowiązek życiowy: stać się człowiekiem wolnym, o ile możliwości zaś na tyle niezależnym, aby móc okazywać innym dobroć serca i dopomagać im – niech się staną także wolnymi ludźmi, o ile będą tego godni.

Nie dało się ukryć, że Dag trzymał teraz Borgland w swoich rękach. Szeptane cichaczem pogłoski rozchodziły się po sąsiednich parafiach, doszły nawet do miasta. Dotarły też do uszu majora Barrego i jego córki.

Minęła zima i minęła wiosna, a w okolicy poczęły krążyć inne pogłoski: Dag okazywał teraz niezwykłą łagodność wobec ludzi. Nakazywał każdemu, aby zachował milczenie, ale tego właśnie ludzie nie potrafili. Te nowiny, jak też skutki ciężkich czasów, sprowadziły niejednego do Björndal, zaś Dag, który dawniej udzielał jedynie krótkich, ostrych odpowiedzi, pozwalał teraz każdemu wypowiedzieć się ze swoich kłopotów – wiele niezwykłych opowieści o życiu i losach ludzkich słyszały ściany starych izb Björndal.

Dag wszystkiego cierpliwie wysłuchiwał, a każde zwierzenie rozszerzało jego wiedzę o życiu ludzkim. Przystawał na wiele rozsądnych propozycji, niejednego ciężko dotkniętego losem odchodził od niego pocieszony.

– Staraj się o to, abyś stał się wolnym człowiekiem – zwykł mawiać – ale nigdy do tego nie doprowadzisz, jeśli będziesz gospodarował tak jak dotychczas. Mógłbym, naturalnie, zapłacić twoje długi, ale ty zaraz zaciągnąłbyś nowe. Pożyczę ci trochę i dopomogę ci znów stanąć na nogach. Ale przyjdę sprawdzić, czy polepszyłeś swoją gospodarkę.

Dopomagał tym, których złamały bieda i nieszczęścia. Pomagał im podnieść się z nędzy pieniędzmi, dobrym słowem i stanowczymi przykazaniami. Ci jednak, którym się zdawało, że ładnymi słówkami uda im się pokryć lenistwo lub niedołęstwo i wyłudzić pieniądze na dalsze nieróbstwo, człapali z powrotem z nosem zwieszonym na kwintę. Dag szybko się orientował, z jakiego pokroju ludźmi miał do czynienia, stąd też zaczęto opowiadać, że potrafił przejrzeć na wskroś każdego człowieka.

Teraz zatem wiatry z lasów na północy nie przynosiły ze sobą tylko zimnego strachu, ani też czarne konie nie napawały trwogą każdego, kogo napotykały. Coraz więcej ludzi wymieniało nazwisko Daga ze szczerą wdzięcznością, niejedni zaś z prawdziwym szacunkiem. Wprawdzie w zakątkach otwartej równiny trzymały się jeszcze gniazda dawnych plotek o ludziach lasu, bo zastarzała złość nieprędko umiera, ale nikt nie ośmieliłby się wymieniać nazwiska Daga z pogardą lub nienawiścią. W oczach wszystkich był teraz wielkim człowiekiem.

Nie samo miłosierdzie wynosiło go w ich oczach. Świat nie dopatruje się wielkości w takich rzeczach. Raczej to, że postępował inaczej niż różni bogacze, i to metodą, którą sam sobie obrał, czyniło go kimś tajemniczym. Bo w oczach ludzi wielkie jest wszystko, czego nie pojmują. Nieliczni, którzy rozumieli wspaniałomyślność Daga, uważali to za dowód starości, za oznakę słabnięcia starego pnia rodu. Tak świat sądzi ludzi. Kiedy był młody, poczuli na sobie jego twardą pięść, później zaś, gdy zajął się sprawami pieniężnymi, nie miał dla nikogo litości. Ludzie potrafią takie rzeczy zrozumieć i niewątpliwie to właśnie zapewniło mu dotychczasowy respekt, który jego obecna wspaniałomyślność podniosła do rangi wielkości.

Dag niewiele sobie robił z tego, co świat o nim sądził. Wystarczyło mu jego własne zdanie. Był teraz na drodze ku nowemu celowi; z twardej drogi pieniądza przechodził do najcięższego w świecie zadania: troski o ludzi.

Tak, czasy się zmieniły. Gdy stary Dag pędził teraz dawnym zwyczajem wzdłuż szosy, wielu kłaniało mu się z szacunkiem; w końcu kłaniali mu się wszyscy, przystawali i długo patrzyli za nim.

30

Na gruntach björndalskich zazieleniło się; ptaki lata fruwały nad łąkami. Ale w murach starego dworu leżał ktoś, kogo otaczały już jesienne cienie. Był to stary kapitan Klinge. Sprowadzono doktora z miasta, robiono próby z proszkami i kroplami, lecz lekarz odjeżdżając, powiedział do starego Daga: – Niezadługo będziecie mieli tutaj stypę.

W mieście można było zobaczyć niejaką Adelajdę Barre. Chodziła tymi samymi ulicami do tych samych miejsc, co inni. Były jasne i gorące dni słonecznego lata. Kłaniała się z uśmiechem znajomym – jak zwykle. Może nawet uśmiechała się więcej niż dawniej, bo tego wymagała od niej duma i poczucie własnej godności.

Pewien stary aptekarz przychodził do niej do domu, domu majora. Bywał teraz częściej – tylko dla niej. Był podstarzały, uśmiechał się zaślinionymi wargami.

Adelajda spędziła święta Bożego Narodzenia w pewnym majątku zwanym Björndal. Los kazał jej tam się udać, aby z niej zadrwić. Nie otrzymała nawet słowa pożegnania od tego, którego kochała. Spełniło się teraz i jej przeznaczenie, tak jak matki i innych kobiet ich rodu. Spotkała na swej drodze tego, kogo pożądało jej serce – i wszystko było skończone.

Aptekarz, który ją odwiedzał, miał pieniądze, ona zaś była tylko ubogą dziewczyną. Więc nie kazała mu odejść. Dla dobra ojca i dla zabezpieczenia swojej własnej starości zgodziła się na to, by przychodził. A on, owszem asystował... Jak wolno upływały teraz dni! Miał już swą zdobycz w sieci, toteż nie spieszyło mu się. Lubił swe starokawalerskie życie i chciał je jak najbardziej przedłużyć.

Serce jej długo ścisnął ból, aż potem stopniowo się uspokoiła. Zaczęła uśmiechać się do ludzi sztucznym, wyćwiczonym uśmiechem, a świat śmiał się za jej plecami.

Ojciec jej był już stary i biedny, ale zawsze wesół w gronie swoich przyjaciół. Bywał w najwytworniejszych domach i chętnie opowiadał o swoich przygodach. Stąd też wiedziano, gdzie spędził wraz z córką święta; dowiedziano się nawet więcej, niż się faktycznie zdarzyło, gdyż major niekiedy co nieco dodawał do swoich opowiadań. Słowa jego wędrowały od domu do domu wyolbrzymiane i zmieniane. Kobiety opowiadały sobie o młodym człowieku, każda z ukrytymi, chytrymi myślami. Więc to dlatego panna Adelajda była tak roztargniona na przyjęciach w czasie ostatniej zimy i dawała takie dziwne odpowiedzi na zadawane jej pytania. Zachciało jej się daleko sięgać, tej niemądrej pannie Adelajdzie, ale sięgnęła zbyt wysoko. W takich starych, bogatych dworach na wsi nie żeniono się przecież z biednymi pannami z miasta. Używano sobie na jej temat w każdym domu po kolei – bo tacy są ludzie, a wyjątków jest mało.

Adelajda wyszła z domu, aby jak co dzień kupić coś taniego na obiad. Lato zawitało do miasta, młode, tętniące radością pośród rozkwitłych ogrodów i drzew i pośród śpiewu ptaków bujających w obłokach. Wspominała czasy, gdy lato przynosiło jej radość i szczęśliwe chwile. Tak, wspominała z cichym smutkiem swoje młode i promienne lata.

Wracała do domu po brukowanej, kamiennej ulicy. Gdzieniedzie pomiędzy kamieniami zieleniły się trawa i mech, ogród sąsiadów był pełen kwiatów. Oczy jej widziały to wszystko, lecz umysł niczego nie przyjmował. Za nią stąpał stary krzywonogi urzędnik z przewieszoną przez ramię torbą. W ręku trzymał list; był na służbie poczty królewskiej. Doszedłszy do bramy, Adelajda obróciła nieco głowę, aby zobaczyć, kto stąpa za nią tak ciężko na podkutych obcasach.

List dla ojca.

Długo stała w pokoju przy oknie, trzymając w ręku list. Wyj na zewnątrz spoza firanek i dopiero teraz zauważyła, jak pogodny jest błękit nieba i jak dużo kwiatów rośnie w ogrodzie sąsiada. List – bo to nie był jeden z tych zwyczajnych listów z nadrukowaną wojskową pieczęcią. Przypomniała sobie pewien list, który nadszedł przed Bożym Narodzeniem. Od tego czasu przeżyła cały wiek radości i smutku, sześć długich, nieskończenie długich miesięcy. Tamten list adresowany był wyrobionym pismem kapitana Klingego, zaś na kopercie tego listu litery były nieomal drukowane z wieloma wymyślnymi zakrętami. Pochodził z pewnością od kogoś, kto rzadko pisywał i kogo nie znała. Dlaczego jednak przypomniał jej się list kapitana?

Wyrzała znowu spoza firanki. Uświadomiła sobie, że słońce świeci tak pięknie na dom i ogród sąsiada. Ale ojciec wróci niebawem, a miała jeszcze tyle do zrobienia.

Zanim major wrócił do domu, jeszcze wiele razy brała list do ręki i obracała go na wszystkie strony. Dlaczego jednak nakryła najpierw do stołu, nie mówiąc mu nic o liście? Czy w sercu jej tliło się coś jeszcze, czy obawiała się, aby nie wygasła ta ostatnia iskierka? Przecież w końcu tak czy owak musi mu powiedzieć. Podała ojcu list.

Obracał go, macał, oglądał, potem chrząknął – przypomniał sobie zapewne o kilku długach, o które ktoś się może dopominał. Nie spieszyło mu się do takiej nowiny. Adelajda dziobała widelcem po talerzu, nie jedząc jednak ani kęska. Nareszcie major rozciął list nożem. Był dalekowidzem i aby go przeczytać, musiał trzymać papier daleko przed sobą. Twarz jego spoważniała; chrząknął i otworzył szeroko oczy.

– Musimy jechać – powiedział. – Stary Klinge jest umierający. Adelajda pochyliła twarz nad talerzem. Pochylała się coraz bar dziej. Czy to nie łyzy spływały jej po twarzy?

– Konie będą nas oczekiwały w tym samym miejscu, co i wtedy. – Słyszała głos ojca jak gdyby z oddali. Trzymała się kurczowo stołu, aż skóra zbielała jej na palcach. Serce jej zastygło na lód i mroziło żyły. Musiała zacisnąć zęby, aby nie szczękały. Było jej zimno aż do szpiku kości. Jeszcze jeden ostatni raz zobaczy te ukochane okolice; potem kapitan umrze i wszystkie drogi zostaną zamknięte.

Przyjechali do Björndal przy zapadającym zmroku. Słońce schowało się już za lasami. Nad wszystkim unosiła się cisza letniego wieczoru i zapachy kwiatów.

Przybycie majora było zbyt wielkim przeżyciem dla skąpych się kapitana; zmarł zaraz pierwszego wieczoru. Na dwór legły cienie śmierci, wszyscy chodzili cicho i w milczeniu. Młody Dag był jeszcze w domu owego wieczoru, ale potem znikł i zjawił się dopiero na pogrzebie kapitana.

Przyjechało kilku dalekich krewnych kapitana. W wielkiej sali odbyła się ceremonialna stypa. Pośród siedzących przy ogromnym stole były wielkie luki. Pastor był też obecny. Ojciec Dag, major i pastor poświęcili kilka dobrych słów pamięci kapitana. Głos starego Daga był ochrypły, major potykał się co chwila, nie mogąc przemóc wzruszenia.

Zaprzęgnięto wszystkie powozy, jakie znajdowały się w Björndal, aby zawieźć gości do kościoła. Poza tym przybyły jeszcze powozy z Hamarrbö i z osiedla. Długi był pochód tych, którzy odprowadzali starego kapitana, by oddać mu ostatnie honory. Następnego dnia major Barre oświadczył, że będą musieli wyjechać razem z krewnymi kapitana.

– Gdyby pan zechciał wyświadczyć tę grzeczność i zostać, aby towarzyszyć mi przez pierwsze dni samotności, nie zapomniałbym wam tego, majorze – zaręczał stary Dag.

Major nie mógłby życzyć sobie niczego lepszego od takiej propozycji. Dzięki temu bowiem spędziłby z Adelajdą parę dni na wsi również i tego lata, przy czym zaoszczędziłby kilka trudnych do zdobycia talarów, które przecież musieliby wydać na utrzymanie. Dla przyzwoitości wszakże zastanawiał się chwilę, po czym podziękował Dagowi i powiedział, że postara się to jakoś urządzić. Napisał do miasta, prosząc jednego ze swoich kolegów, aby go czasowo zastąpił w załatwianiu drobnych bieżących spraw.

Następnie przeciągnął się całą siłą swych potężnych ramion, aż kości zatrzeszczały w stawach, i – ciesz się, stary, póki okazja! Chodził ze starym Dagiem na spacer po drogach, pastwiskach i polach. Wędrowali na dalej położone łąki, a nawet do lasu. Mieli wiele do obejrzenia i nie brakło im tematów do rozmowy, czy to chodziło o ludzi, czy o zwierzęta i ich wzajemne bytowanie. Na stole było codziennie dobre jedzenie, nigdy też nie zbrakło piwa z chłodnej piwnicy. Zaś w sobotnie wieczory mógł sobie zawsze podpić, co prawda nie za wiele, ale wystarczająco, by zyskać na humorze. Piękniejszych wywczasów major nie mógłby sobie wyobrazić.

Natomiast z córką było trochę inaczej. Chodziła po prostu jak we śnie. Głowę nosiła wprawdzie wysoko i dumnie jak zwykle i uśmiechała się do każdego swym konwencjonalnym, acz pięknym uśmiechem, ale była cicha i blada. Gdy młody Dag przychodził czasami z lasu i jadł z nimi wieczerzę, drżała jak z zimna, ilekroć na nią spojrzął.

Znalazła sobie kilka miejsc, do których mogła chodzić. Wydawały jej się najbardziej uroczymi zakątkami na świecie: ogród róż, ciągnący się wzdłuż błękitniejących pól lnu, i łąki graniczące z lasem. Był tam taki zakątek, który wyglądał jak letnia świątynia. Liście brzoźowych drzew przesłaniały niby welon białe, jedwabiste pnie, na ziemi zaś trawa i różnorodne kwiaty. Przesiadywała tutaj całymi godzinami i zadumany wzrokiem patrzyła daleko poza osiedle, marząc o największym szczęściu, jakiego mogłaby dostać na ziemi: o poźyciu u boku ukochanego, w beztróskim dostatku po długich latach biedy i wyrzeczeń, jako pani wielkich włości, otoczonych nimbem potęgi, o której mówiono by wszędzie, gdziekolwiek by się udała, daleko i blisko, nawet w wielkich domach w mieście.

„Chłop!” – usiłowałiby szemrać, gdyby zobaczyli młodego Daga; ale gdyby się wyprostował, wielki i wyniosły, i spojrzął na nich z góry swym przenikliwym, władcym wzrokiem – wszelkie zawistne szemrania ustałyby natychmiast. Zobaczyliby wtedy, że nie sprzedała się za pieniądze, że mogła być zakochana, nie, że musiała go sobie wziąć z miłości, ponieważ żadna kobieta nie potrafiłaby się oprzeć jego oczom. Marzyła o tym, jaka dobra i życzliwa byłaby dla każdego, jak nigdy nie próbowałaby nad kimś tryumfować lub komenderować.

Taka bowiem była Adelajda mimo swego jasnego umysłu. Tęskniła za tym, co uczyniłoby zadość jej dumie, wmawiając sobie równocześnie, że wciąż jest tylko skromna i potulna. Ale gdy tylko opuszczała miejsce swoich marzeń, wszystkie wizje ulatywały w nicość. W tym długim jak wieczność czasie, który minął od Bożego Narodzenia, poddała się swemu losowi. Wiedziała, że Bóg skierował ją do Björndal, aby pokazać tę krainę, która odpowiadała jej dumnym marzeniom, po to tylko, żeby ją potem tym bardziej upokorzyć. Jako żona aptekarza, kupiona za pieniądze i zapłacona, poniży się w oczach wszystkich. Za własną swą pychę, za pychę swojej matki i wszystkich innych kobiet swojej rodziny – stała teraz przed sądem Bożym.

Tak kształtował się jej los w ciągu lata; przyjmowała to jako pokutę swoją i za swoich krewnych. Mogła żyć już tylko wspomnieniami, dni życia miną i prędzej czy później skończy się wszystko.

Młody Dag prawie bezustannie przebywał w lesie, rzadko zjawiał się we dworze. Od czasu Bożego Narodzenia nosił w sercu obraz Adelajdy, gdziekolwiek by się znajdował. Pełne dzięki swobody życie w lesie nie przynosiło mu upragnionego spokoju. Jak długo trwał wysiłek i podniecenie polowaniem, zapominał o wszystkim, gdy jednak zmęczony i wyczerpany chował się wieczorem do jakiejś chaty lub skalnej pieczary i rozpałał ogień, wtedy obraz jej ukazywał mu się w płomieniach. Widział ją kroczącą dumnie pod skrzyżowanymi szpadami i uśmiechającą się swym najcudowniejszym uśmiechem. Gdy zasypiał na posłaniu z gałęzi sosnowych, zjawiała mu się we śnie wysoka i piękna, z uśmiechniętymi, delikatnymi ustami. Z dumnie podniesionej głowy patrzyły nań mądre oczy.

Nie ożeni się nigdy, bo żadna kobieta jej nie dorówna – a ona nie była dla nikogo na świecie.

Raz po raz pchany impulsem tęsknoty musiał wracać do dworu, aby ją zobaczyć i przekonać się, czy naprawdę była taka piękna, i za każdym razem było mu jeszcze ciężiej na sercu. Adelajda coraz dumniej unosiła głowę, aby nie pokazać światu smutku swojego serca.

Młody Dag należał do tych, którzy najłatwiej dali się oszukać.

31

Minęło lato, nastala jesień. Pewnego dnia major Barre powiedział przy stole, że muszą teraz podziękować za wspaniałą gościnność, jakiej zażywali przez całe lato, i że muszą wyjeżdżać następnego dnia. Była wtedy środa. Ale stary Dag był zdania, że mogą zostać jeszcze przez niedzielę i wyjechać w poniedziałek. Major nie sprzeciwiał się.

Słowa ojca wyrażające zapowiedź wyjazdu brzmiały dla Adelajdy jak dzwon głoszący żałobę nad ostatnim latem jej życia. Pomyślała o dalekiej podróży do miasta, przypomniała sobie obleśny uśmiech aptekarza. Tej nocy nie mogła zmrużyć oka. Wszystko, co w niej było młode i silne, staczało ostatnią, rozpaczliwą walkę.

Nazajutrz wczesnym rankiem zeszła na dół. Chciała wykorzystać do ostateczności każdą pozostałą jeszcze godzinę. Nie mogła spać. Otwierała ostrożnie drzwi wejściowe, kiedy w pierwszej izbie rozległy się kroki i ojciec Dag wyszedł do sieni.

– Tak wcześnie na nogach, panno Barre? – odezwał się. – Czy wybiera się pani na przechadzkę?

– Tak. Chciałabym jak najbardziej wykorzystać te dni, które pozostały mi do wyjazdu.

Czy w głosie jej zabrzmiała nuta, która staremu Dagowi wydała się obca? Spojrzał przenikliwie, niemal chytrze. W młodości miał słuch tak doskonale wyczulony, że wykrywał zwierzęta w lesie na długo przedtem, zanim je mógł zobaczyć. Potem wsłuchiwał się w głosy ludzkie, wczuwał się w ich brzmienie i akcenty, ale wtedy czynił to tylko dla pieniędzy. Od pół roku posługiwał się swym starym łowieckim talentem, aby czytać charakter ludzi – robił to dla siebie. Nic, co mogło uchwycić oko lub ucho, nie uszło jego uwagi.

Teraz w głosie Adelajdy uderzyło go ledwo wyczuwalne drżenie. Chytry wyraz jego oczu znikł jednak momentalnie – nikt by się nie domyślił, że śledzi bacznie i cokolwiek zauważa.

– Może pójdziemy razem, jeżeli taki stary człowiek pani nie przeszkadza – zaproponował.

Wyszli zaraz na spokojne, pełne porannego słońca podwórze, a potem dalej ku łąkom pod lasem.

Stary Dag mówił o pogodzie i o minionym lecie, o kwiatach i drzewach, i o ptakach, które już odleciały. W oczach Adelajdy nikt nie był tak wielki jak ojciec Dag. W czasie tego długiego lata poznała go nieco bliżej. Zdawała się go otaczać jakaś niezawodna moc i siła, może trochę surowa, ale pełna dobroci. Gdyby to ona miała takiego ojca! Takiego, który by wszystko widział i wszystko rozumiał, nie był wiecznie zaabsorbowany swoim własnym ja. Nie podnosiła tak wyniośle czoła, gdy stary Dag był w pobliżu, a teraz słuchała z pochyloną głową jego słów.

Doszli do miejsca, gdzie srebrne brzozy powiewały welonem swoich liści, teraz ozłoconych jesienią. Opowiedziała mu, że siedziała tutaj wiele, wiele razy, słuchając szumu wiatru w liściach i wpatrując się w dal poza dolinę.

Znowu to leciutkie, ledwo wyczuwalne drganie jej głosu; ale i teraz Dag je podchwycił. Przypomniawszy sobie, jak to kiedyś w młodości wypatrywał ptaki. Gdy tylko który się poruszył, ucho jego chwyciło zaraz szelest piór, a wzrok błyskawicznie dążył w kierunku szmeru. Tak samo teraz rzucił błyskawiczne spojrzenie na twarz Adelajdy. Być może, że dostrzegł też coś w jej oczach i rysach twarzy, czego dosłuchiwał się w głosie.

Zatrzymali się pod brzożami.

– Czy chodziła pani też dalej w tę stronę? – zapytał Dag. Nie, tam dalej jeszcze nie była.

Poszli więc teraz w dół rzeki, przeszli przez most i wdrapali się na pagórek, skąd zaczynał się już las. Nie rozmawiali, gdyż droga była stroma. Spod nóg ich toczyły się na dół kamienie. Ptaki śpiewały swe poranne trele, rzeka szumiała pod nimi, las kołysał się i szeptał. Jeszcze nigdy Adelajda nie odczuwała tego, co w tej chwili, gdy po raz pierwszy w życiu stanęła twarzą w twarz z tajemniczym, wielkim lasem. Miała wrażenie, że idzie ku nowemu, cudownemu światu. Stary Dag szedł szlakiem prowadzącym pod górę na Storkollen. Spoczęli dopiero na samym szczycie, skąd mieli otwarty widok na południe. Siedli na płaskim stopniu skały. Adelajda patrzyła przed siebie jak urzeczona. Nigdy nie była wyniesiona tak wysoko ponad światem. Mogli widzieć stąd całą nizinę położoną daleko w dole, tak, nawet tę wioskę na wschodzie, gdzie rzeka robi łuk, i pokryte granatowym lasem zręby gór, prześwietlone słońcem poranku. Ale co już zupełnie przekraczało jej wyobrażenie, to lasy na wschód i na północ – lasy Doliny Niedźwiedzi ciągnące się od zrębu do zrębu w daleką i siną nieskończoność.

Dag siedział dość długo, aby odetchnąć i aby równocześnie dać Adelajdzie czas na rozejrzenie się po okolicy. Czy czekał na to, by powiedziała jakieś słowo i ujawniła coś ze swoich myśli? Nie, on nie przywiązywał wagi do słów. Przypatrywał się jej, gdy oczy jej zatrzymały się na pierwszym widoku tych wysokości. Żadne słowo nie mogłoby wyrazić tego, co mówiły jej wielkie, niemal przerażone oczy. Po chwili Dag zwrócił jej uwagę na lasy od strony zachodniej.

– To tam zwykle udaje się Dag – powiedział, rzucając jej równocześnie szybkie spojrzenie.

Aha, więc on tam chodzi? Stary Dag skinął głową prawie niedostrzegalnie, potem zaś obrócił się i spoglądał w zamyśleniu na lasy. Adelajda całą siłą woli starała się opanować swoje uczucia. Należała do tych osób, które za nic w świecie nie okażą nikomu tego, co czują. Ale tego ranka zdarzyło się już niejednokrotnie, że w głosie jej brzmiała jakaś dziwna nuta, której zwykli ludzie nigdy by nie dosłyszeli, a której przecież nie potrafiła ukryć przed starym Dagiem. Zresztą skąd mogła wiedzieć, że Dag miał tak wyjątkowy słuch, że słyszał więcej i lepiej niż inni ludzie.

Podnieśli się i udali w drogę powrotną w dół po stromym zboczu góry.

– Po takim rannym spacerze ma się dobry apetyt na śniadanie – zauważył stary Dag.

To było wszystko, co sobie powiedzieli w drodze do domu.

Dzień upływał za dniem, aż nadeszła niedziela, ostatni dzień lata dla Adelajdy. Jutro mieli wyjechać. Z oczami błyszczącymi od łez przygotowywała wszystko do wyjazdu. Po raz ostatni miała się pożegnać z pokojem, w którym sypiała.

Zapadał już wieczór. Adelajda stała na swoim balkonie i patrzyła w dół na osiedle – na czerwone, jesienne barwy pól i drzew. Jesień objęła świat, i jesień była w jej sercu.

Cofnęła się do pokoju i usiadła na głębokim krześle, stojącym pomiędzy łóżem a otwartymi na balkon drzwiami. Powiew wiatru ze dworu mieszał się z zapachem unoszącym się w pokoju, obrazy, które pamięć zachowała z ostatnich spacerów splatały się ze wspomnieniami miłych chwil, spędzonych w tym domu. Tego było za wiele. Wybuchnęła płaczem tak gorącym, że zdawało się, serce pęknie jej z żalu.

Zapukano do drzwi. Panna Kruse prosiła na wieczerzę. Adelajda wyjąkała ciche „dziękuję” spoza firanki łóżka, za którą się ukryła. Usiłowała zmyć ślady łez z twarzy i przybrać swą zwykłą postawę. Po raz ostatni szła w tym ukochanym dworze na wieczerzę smukła i dumna aż do ostatniej bolesnej godziny. Zdziwiła się, ujrawszy stół w sieni nie nakryty; ale drzwi do starej komnaty stały otworem. Dziś tam przygotowano wieczerzę. Od czasu, gdy byli w Björndal, nigdy jeszcze tutaj nie jedli, i zastanawiała się nad tym, co też to miało oznaczać. Ojciec i stary Dag rozmawiali, stojąc przed kominkiem. Dni były jeszcze takie ciepłe, że nie zapalono ognia. Żeby przyozdobić kominek, zatknięto tu i ówdzie jesienne liście. W starej komnacie panował jak zwykle półmrok, lecz na stole paliły się świece.

Nawet wielka sala nie mogła się równać ze starą komnatą, gdy przyozdobiono ją odświętnie. Wielu z tych, którzy już nie zaliczali się do żyjących, siadywało tutaj na ławkach dookoła długiego stołu; wielu o których pamięć już wygasła.

Gdy Adelajda spojrzała na stół, coś się w niej załamało. Stół nie był nakryty jak do codziennego posiłku. Nie, bowiem wyłożono najcięższe srebro i najcieńsze płótno. Każda świeca tkwiła w srebrnym lichtarzu, w butelkach złościło się wino. Prawdopodobnie miała to być ostatnia uczta ku czci kapitana, a zarazem dla jej ojca i dla niej, ponieważ jutro wyjeżdżali już stąd na zawsze.

Od stolika pod oknem, na tle ciemnej ściany, podniósł się teraz jakiś cień. Opanowało ją uczucie słabości. Był to młody Dag. Powrócił więc dzisiaj z lasu do domu, aby powiedzieć „dobranoc”, tak jak to było na Boże Narodzenie. Tym razem będzie to już ostatnie „dobranoc”.

Czekano na nią. Natychmiast zasiedli do stołu. Ojciec Dag siedział na przyniesionym z sieni wielkim krześle, po jednej stronie długiego stołu, plecami do południowego okna. Naprzeciwko niego zajął miejsce major, na jednym końcu stołu Adelajda, na drugim Dag. Adelajda miała za sobą drzwi do sieni. Siedzieli uroczyście, oddaleni od siebie, ale widocznie zrobiono to z rozmysłem.

Stało się tak, jak Adelajda przypuszczała. Gdy już pokosztowano wina, rozległ się głos starego Daga. Wspomnił kapitana i wszystkie te chwile, które spędzili razem. Podziękował majorowi i pannie Barre za to, że umilili mu samotność w okresie minionych dni. Gdy przepijano do siebie, Adelajda także uniosła swój kielich i spróbowała; miała wrażenie, że pije krew z własnego serca.

Major pił często i dużo. Wiedział, że to było dozwolone, gdy świętowano w tym domu. Wbrew przyzwyczajeniu stary Dag wypijał swój kielich duszkiem, ale pomimo to oczy jego były ciężkie i poważne. Dlaczego tym razem ucztowano właśnie tutaj? Czy stary Dag myślał o tych niezapomnianych chwilach, które przeżył w tej komnacie? O kapitanie, który tak nagle umarł, w momencie, kiedy już tak dużo dla siebie znaczyli? Zbliżyła ich owa długa noc, a zanim Klinge zachorował, spędzili jeszcze niejedną wieczerę razem. W ostatnich czasach, gdy kapitan leżał chory, Dag wiernie siedział przy jego łóżu. Siedział przez wiele dni i wiele nocy. Zwierzali się sobie ze swych myśli na temat życia i śmierci. O tym rozmyślał teraz stary Dag. O tym i o tych, którzy już odeszli.

Obecnie myśli jego szły nieco innym torem niż dawniej. Nie uważał już śmierci swych najbliższych za karę, wymierzaną mu przez wyższe moce. Ale wiernie zachowywał w pamięci wszystkie myśli, które nachodziły go zawsze, ilekroć śmierć zabierała kogoś z jego najbliższych. Nikt z jego ukochanych nie żył nadaremnie ani nie umarł nadaremnie. Wiedział, że każdy z jego otoczenia, czy za życia, czy przez swą śmierć, dorzucił coś do tego, co złożyło się na jego obecną dojrzałość. Czuł, że oni wszyscy żyją w nim. Towarzyszyli mu w przedsięwziętym przez niego dziele: w postanowieniu poświęcenia większej uwagi ludziom niż gromadzeniu bogactw. Dobrzy ludzie nigdy nie żyją nadaremnie – rozmyślał. Nawet Dorota, choć tak bojaźliwa i niepozorna, dawała mu przykład słowem i czynem. A stary Klinge, który snuł się tutaj jak cień? Rozpamiętywanie jego samotnego, ciężko przez los doświadczonego żywota, rodziło teraz myśli, które miały przydać się innym. Stary Dag uważał za swój obowiązek dbać o to, aby życie i śmierć innych nie zostały zapomniane.

Siedział przy tym odświętnym stole, ale był tak pogrążony w swych myślach, że wielokrotnie zapominał zupełnie o swym otoczeniu. Tego wieczoru wspomnienia odżyły z dziwną siłą. Posiadał wielką władzę nad ludźmi we dworze i na folwarkach, w osiedlu i lasach, i dalej na południu położonych dolinach. Jak król i pan życia wielu ludzi. A jednak teraz, gdy widział, jak pozostałych troje pochylało się nad stołem, unosił głowę i rozglądał się tym samym osamotnionym wzrokiem, co kiedyś za czasów Doroty. Kto raz stał się samotny, będzie nim do końca życia.

Pozostała trójka siedziała prawie cały czas z głowami pochylonymi nad stołem. Adelajda i Dag tego ostatniego ciężkiego dla siebie wieczoru nie chcieli zdradzać tego, co odczuwali. Oboje byli nieśmiali, ale dumni. Udawali, że jedzą, i patrzyli na swoje talerze. Major zajęty był tym, żeby przy tej ostatniej biesiadzie jak najwięcej zjeść i wypić. Taka okazja zapewne już się w jego życiu nie nadarzy.

Podawano wiele dań. Zupę i rybę, ptactwo i solone mięso, pieczeń cielęcą, z łosia i wieprzową; jarzyny i owoce – plony tej jesieni. Popijali winem i wódką oraz mocnym piwem.

Stół ten w niczym nie przypominał, że były to ciężkie czasy. Stary Björndal czujnie słuchał i patrzył na wszystko, co się działo w świecie. W porę też zorientował się, że idą złe czasy. Otrzymał niejedną wskazówkę z miasta, bowiem liczono się z nim jako z wpływowym człowiekiem. Wóz za wozem, naładowany zbożem i innym rodzajem zapasów, przybywał do dworu. Poza tym miejscowi ludzie znali jeszcze z dawnych czasów sposób wyrabiania chleba z kory drzew. Zaś na stokach wzgórz było pod dostatkiem młodych osik, mchu, wszelkiego rodzaju liści, trawy bagiennej i sitowia na pokarm dla inwentarza żywego; należało tylko zbierać we właściwej porze.

Dag myślał o wszystkim, wydając dyspozycje na folwarku i w osiedlu. Zresztą przymrozki jesienne nie były tak dotkliwe w tej osłoniętej dolinie, otoczonej zewsząd lasami i przykrytej ponadto rozsianym tu i ówdzie gąszczem krzaków i zarośli, gdy tymczasem na otwartej równinie mroźny wiatr dął niczym nie powstrzymywany. Stary Dag i podlegli mu ludzie wynieśli dużo praktycznych umiejętności z ciężkich czasów, jakie dawniej przeżywali, przy czym Dag zapamiętał sobie wszystko, co przekazała mu tradycja. Długoletnie doświadczenie przydało mu się teraz. Bieda musiałaby długo trwać, aby dotrzeć tam, gdzie władzę sprawował Dag.

Czy właśnie tymi sprawami był zajęty, gdy jego zamyślony wzrok zatrzymał się na jedzeniu wystawionym na stole i na siedzących przy nim osobach? Nie. Myślał był znowu z tymi, którzy od niego odeszli. Myślał też z upragnieniem o tym, jak zrealizować ich życzenia. Dla tak prostego człowieka jak on istniała tylko jego możliwość – zachować w działaniu silną wolę. Jego życiem był czyn, od myśli zawsze przechodził do czynu. Wprawdzie wiele już dobrego wyświadczył w ostatnich czasach ludziom z okolicy i ludziom w osiedlu i w lasach, drobnostki, o których nikt nawet nie potrzebował wiedzieć. Ale czy nie mógłby zrobić czegoś dla innych, dla swoich najbliższych?

Był tu jego syn. Miał po nim odziedziczyć pieniądze i wszystko inne. Syn był zabezpieczony. Wzrok Daga zatrzymał się na Adelajdzie i majorze, a potem raz i drugi przeszedł z Adelajdy na syna i z powrotem. Oboje niby zajęci byli jedzeniem, ale właściwie nie jedli nic. W czasie owego rannego spaceru odkrył, że Adelajda nosiła w sercu ból. A jego chłopak nie zaznał przecież od czasu świąt ani chwili spokoju.

Oboje mieli tajemnice! Każdemu z nich zdawało się, że nikt o tym nic nie wie, ale on, stary, siedział i liczył ich sekrety jak cyfry na papierze.

Stary Dag nalał sobie duży kieliszek wódki i przepił do majora. Wychylił do dna i głośno postawił na stole. Głowa jego pracowała usilnie. Z niejedną sprawą uporał się w życiu, ale nigdy nie odważył się jeszcze dotykać spraw sercowych. W oczach zamigotał mu błysk uśmiechu. Nie nadawał się chyba do oświadczyń w imieniu innych, skoro przecież sam nie oświadczył się, gdy przypadło mu to uczynić w swoim własnym imieniu.

Ukradkiem spojrzął na syna. Pochylona twarz młodego Daga wydawała się twarda i nieprzystępna. Potrzeba było dużej odwagi, aby wtrącić się do jego tajemnic. Panna Barre ze swą stanowczą miną również nie robiła zachęcającego wrażenia. Stary Dag znów nappełnił po brzegi kieliszek i wychylił go duszkiem. Oświadczyły to coś pośredniego pomiędzy zapytaniem i prośbą. Nie umiał ani zapytywać, ani prosić. Przemawiał zwykle tylko w jeden sposób: to i to ma być tak! O nie, oświadczyły to nie jego sprawa. Na nowo nalał sobie kieliszek, ale nie ruszył go.

Długo się namyślał. Powoli pochylił się do przodu i spojrzął z góry na dół. Srebrne włosy wiły się na skroniach, nos wystawał duży, spiczasty. Oczy były ukryte pod brwiami. Kiwnął dwa razy głową, jak gdyby sobie przytakiwał. Następnie uniósł czoło, podnosił je coraz wyżej; twarz przybrała ów charakterystyczny wyraz, pojawiający się u niego w szczególnie ważnych chwilach. Skóra na wystających kościach naciągnęła się; wyglądał jak ktoś, kto prze naprzód przeciw atakom gwałtownej burzy. Wyprostował się, potężny i olbrzymi jak łoś, a kiedy pochylił się nad świecami, na ścianie za nim i na suficie wyrósł ogromnych rozmiarów cień.

Chrząknął i spojrzął ku majorowi.

– Co pan na to powie, majorze? Ci młodzi są w sobie zakochani, ale nawet jednym słowem nie zdradzili się z tym przed nami.

Trzy pary oczu wlepiły się w starego Daga. Wszystkie jednocześnie i wszystkie osłupiały. Pierwsza opanowała się Adelajda; zamknęła oczy, pochyliła twarz. Bładła i czerwieniła się na przemian. Potem młody Dag zaczął wracać do równowagi. I on pochylił głowę, kryjąc mocno pałające policzki. Że też ojciec mógł tak mówić! Nigdy by tego nie pomyślał. Na Boga, czy nie wie, co robi? Teraz na pewno Adelajda dumna jak królowa podniesie się i opuści komnatę. Major także wstanie i pójdzie za nią. Wszystko się zawali.

Ale nic się nie stało. Major bezradnie patrzył na obecnych.

Co ja słyszę? – wykrztusił wreszcie z trudem. Czy to możliwe? Adelajdo, czy to prawda? Język plątał mu się już od wielu wypitych kieliszków, ale teraz zupełnie mu skołowaciał.

Adelajda, wciąż pochylona nad stołem, nie odpowiadała. Oczy starego Daga były spokojne i ciemne, ale w kącikach drgały wesołe ogniki. Czyż on nie decydował o losie tylu ludzi na wiele mil dokoła? Czyż nie mógł zdecydować również o losie tych, którzy byli mu najbliżsi? Przecież kiedy był w wieku syna, również był taki dziwny i nieśmiały. Pamięta to dobrze. Czy miał spokojnie patrzeć na to, aby ci dwoje, którzy tak się oto kochają, stracili siebie nawzajem?

Nie! Gdyby dopuścił do tego, nie byłby Dagiem Björndalem.

Przeznaczenie Adelajdy Barre, przeznaczenie jej rodziny? Cóż to znaczyło w Björndal? Czyż tutaj nie on był przeznaczeniem dla wszystkich i dla wszystkiego?

Major patrzył na nich i zrozumiał, jakie znaczenie miało to zdarzenie dla jego córki i – dla niego samego. Ale nie chciało mu się to pomieścić w głowie. W życiu jego nigdy jeszcze nie było zwrotu ku lepszemu!

Stary Dag wznosił toast:

– Wypijmy za zdrowie tych młodych!

Wypito ostatni kielich i wszyscy powstali od stołu. Teraz powinny nastąpić powinszowania i uściski dłoni, ale wszystko było takie niezwykle, że nikt nie zdołał się jeszcze opamiętać. Adelajda podziękowała za wieczerzę, nie podając jednak nikomu ręki, po czym szybko wybiegła przez pierwszą izbę do sieni. Chciała znaleźć się jak najprędzej w swoim pokoju, ale przy samych schodach zatrzymała się i oparła o poręcz.

Co to się stało? Czy kilka słów, wypowiedzianych przez starego Daga, miało usunąć z jej życia tę tragiczną udrękę? Czy na świecie zdarzały się jeszcze takie rzeczy? Jakimi czarami zdołał przeniknąć głębie jej serca? Była przekonana, że nikomu nawet na myśl nie przyjdzie, że ona może mieć taką tajemnicę. Czy mimo wszystko była to prawda? Czy Dag kochał ją naprawdę? W głowie szumiało jej od pulsującej krwi, ziemia kołysała się pod stopami.

Czyjeś kroki, mocne i pewne, zbliżały się od strony pierwszej izby. Był to młody Dag.

Przeczekał przedtem parę chwil, obliczywszy sobie, że teraz Adelajda powinna już znajdować się w pokoju. Lecz zatrzymał się jak wryty, gdy ją ujrzał przy schodach. Odwróciła się powoli i wpatrzyła w niego. Był to on, lecz twarz miał zachmurzoną, ponurą. Więc to jednak nie była prawda...

Wreszcie Dag się opanował.

– Niech się pani na mnie nie gniewa – powiedział. – To nie jest moja wina. To tylko był pomysł ojca.

Oczy Adelajdy rozszerzyły się w śmiertelnym strachu.

– Więc to nieprawda? – wyszeptwała.

– Jaka nieprawda?

– Że... mnie pan kocha! – Głos jej załamywał się w łkaniu.

– O... to... to jest prawda – odparł Dag niezręcznie jak chłopiec.

Adelajda stała z opuszczonymi ramionami, ale ostatnie słowa Daga ocuciły ją. Wyprostowała się i teraz stała z dumnie podniesioną głową, jak gdyby chciała patrzeć z góry na cały świat. Stała tak przez jakiś czas. Może oczekiwała czegoś, ale nic się nie stało.

Czy udzieliła jej się moc starego Daga? Czy nauczył ją sztuki kierowania losem? Zeszła ze stopnia i obróciła się twarzą do Daga. Jedyna świeca na kominku oświetlała ich postacie.

Smukła i uroczysta szła przed siebie. Stała przed nim, dumnie jak nigdy dotąd przechyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Światło rzucało na nią złoty odblask. Słodki zapach kwiatów owionął Daga. Nie wiedział, że to zapach lawendy. Stał jak wryty i wpatrywał się w nią jak w zjawisko, które lada chwila zniknie. Usta jej poruszyły się, jak gdyby szepcząc mu jakieś intymne słowa. Głowa Daga pochyliła się nad nią. Pocałował Adelajdę Barre, odwrócił się i odszedł. Nie dotknął jej wcale rękami.

Adelajda długo stała jak posąg. Czy to wszystko jest prawdą?

Później powoli uniosła głowę. Tak, to była prawda. Potwierdził to słowami, zaręczył się pocałunkiem. Na tym samym miejscu, gdzie go po raz pierwszy zobaczyła.

Zmartwienia, ból serca, bieda, ponure cienie przeznaczenia – wszystko znikło jak rosa pod promieniami słońca. Znikło po słowach starego Daga. Czy w życiu jej mogła zajść taka zmiana? Oczy jej napełniły się gorącymi łzami. Zwróciła się ku schodom.

Ale nie! Nie pójdzie teraz do swojego pokoju, nie chce teraz płakać. Chce być silna i dobra... dla niego... dla innych... dla wszystkich! Ach, gdyby mogła dawać choćby tylko trochę ze swego przepelnionego uczuciami serca. Gdyby tylko mogła! A może... Obróciła się powoli i weszła cichutko do pierwszego pokoju.

Ojciec Dag zaproponował, aby obaj starzy zapalili fajki i uczciwie sobie popili. Major nie miał nic przeciwko temu. Usiedli więc przy kominku, a liście jesienne paliły się niemal płomieniem.

W twarzy starego Daga nastąpiły widoczne zmiany. Sępie spojrzenie samotnika złagodniało. Były ku temu powody. Stoczył ciężki bój z samym sobą. Rozegrał tę walkę bardziej dogłębnie niż kiedykolwiek przedtem. Dotychczas toczyła się w nim podświadomym nurtem i dopiero teraz przy stole uświadomił sobie ostatecznie pełnię jej prawdy. Była to walka między silnym uczuciem miłości do syna a niechęcią do stałej obecności kogoś, kto by miał te same uprawnienia, co on. Uprzytomnił to sobie dopiero przy stole, gdy zdecydował się połączyć tych dwoje młodych. Z niezbyt wielką chęcią myślał o małżeństwie syna, który zaczęłby zaraz gospodarować we dworze, zamiast wędrować gdzieś po lasach. Tak było wygodniej. Teraz musiałby wtajemniczać syna we wszystkie sprawy pieniężne i wiele innych, a wiedział przecież, jak silne było w nim pragnienie, by rządzić wszystkim i wszystkimi bez czyjegokolwiek współdziałania.

Walka była krótka. Wobec tych racji, którymi się tak długo powodował, opanowało go uczucie wstydu. Czy syn jego nie obejmie kiedyś wszystkiego po nim? Czy nie była już pora po temu, aby go zaczął uczyć i przysposabiać? Czy przyszłość rodu nie zawisała od niego? Stary Dag poddał się surowemu badaniu. Choćby jak najusilniej szukał w sobie światła poznania, zawsze napotyka na takie ciemności, że aż przerażenie go ogarnia.

Chciał mieć teraz syna w domu, blisko siebie. Chciał żyć znowu w rodzinnym gronie według starych tradycji i zwyczajów. Chciał ponadto, aby Adelajda Barre również tutaj należała. Robiła wrażenie osoby, z którą można mówić o wielu rzeczach. A przy tym była tak piękna, że usta same się uśmiechały, kiedy patrzyło się na nią. Kto patrzył w jej oczy, ten jakby się modlił. Potrzebował jej tutaj, bo mógł z nią rozmawiać. Teraz skończy się jego samotność.

Wtedy to właśnie, myśląc o tym wszystkim, wyprostował się i wypowiedział te śmiałe słowa...

Za młodych lat niejednokrotnie głowił się nad tym, co Ane Hamarrbö chciała powiedzieć, powtarzając wciąż przepowiednię, że ludzie jego rodu mają wznieść się do takich wyżyn, jakie w ogóle człowiek potrafi osiągnąć. Nie zdawał sobie sprawy, że tylko niewielu było zdolnych do takiego zwycięstwa, jakie on odniósł nad sobą w ciągu minionego roku. Wartość samego człowieka w niemało, jeśli się zważy, kim był ów dawny, mściwy i krwiożerczy dziedzic na Björndal, a kim obecnie stary Dag.

Może zapowiedź Ane Hamarrbö była niedaleka spełnienia, choć ona sama mogła wyobrażać to sobie zupełnie inaczej.

Ojciec Dag i major siedzieli przy kominku. Młody Dag przeszedł się po pokojach, gdy panna Adelajda wyszła z komnaty. Ojciec Dag kiwał przyzwalająco głową. Potem młody Dag wrócił. Siedział teraz przy stoliku pod oknem. Na dworze padał deszcz. Szumiał głucho wśród jesiennej nocy. Jak to przyjemnie siedzieć sobie o takiej porze w domu.

Z pierwszej izby dochodzą czyjeś lekkie kroki, a potem ostrożnie otwiera się wieko szpinetu. Adelajda poczęła grać żywą melodię światła i cieni, tętniącą radością i smutkiem, ciepłą jak krew.

Później weszła do starej komnaty, aby powiedzieć dobranoc. Wysoka i pełna powagi, i piękna.

Ojciec Dag słuchał każdego tonu, który grała, i westchnień deszczu na dworze. Wszystkie najukochańsze wspomnienia przeszłości odżyły w jego sercu. Powstał, gdy weszła, i zrobił to, czego nie ośmielił się uczynić syn. Wyciągnął ramiona i przytulił Adelajdę do swej szerokiej piersi. Szorstką ręką pogładził ją delikatnie po włosach i schyliwszy się szepnął:

– Moja córka...